MIESIĘCZNIK
Fantastyka
2 (17) LUTY 1984 CENA 50 ZŁ





Forum SF w Berlinie

grudzień 1983

W dniach od 28 listopada do 2 grudnia 1983 roku odbyto się w Berlinie konsultacyjne posiedzenie przewodniczących narodowych grup pisarzy SF z krajów socjalistycznych. W posiedzeniu przygotowanym przez sekcję pisarzy SF Związku Pisarzy NRD udziat wzięli: Ljuben Ditow i Elka Konstantinowa (Bułgaria), Tomas Janović, Alta Vašova i Zdenek Volny (Czechosłowacja), Adam Hollanek i Andrzej Wójcik (Polska), Mircea Bradu i Vladimir Colin (Rumunia), Peter Bogati i Peter Kuczka (Węgry), Nina Berkowa, Aleksander Fiodorów i Aleksander Kuleszów (ZSRR) oraz Gerhard Branstner, Helmut Fickelscherer, Klaus Frühauf, Wolfgang Kellner, Heiner Rank, Helmut Routschek (Aleksander Kroger), Olaf Spittel, Wolfgang Weitbrecht i Gerda Zschocke (NRD) Tradycja dorocznych konsultacyjnych spotkań przedstawicieli pisarzy SF krajów socjalistycznych sięga roku 1971, kiedy to z inicjatywy Petera Kuczki i Czesława Chruszczewskiego zwołano w Budapeszcie pierwsze tego typu zebranie. Kolejne zjazdy służące wymianie informacji, doświadczeń twór czych i nowości wydawniczych odbywały się co roku, w tym wielokrotnie - w 1973,1977,1 978,1979 i 1980 roku - w Polsce, w Poznaniu. Wiodąca rola Polski w tej nieformalnej organizacji załamała się na krótko po śmierci niestrudzonego orędownika współpracy pisarzy i wydawców krajów socjalistycznych - Czesława Chruszczewskiego. Na krótko, gdyż dzięki ustaleniom podjętym w Berlinie, już w przyszłym - 1984 roku - gospodarzem kolejnego spotkania znów będzie nasz kraj. Tym razem pod auspicjami miesięcznika „Fantastyka". Zgodnie też z tradycją, gospodarzowi następnego spotkania - redaktorowi naczelnemu naszego miesięcznika Adamowi Hollankowi przypadło pełnienie funkcji sekretarza - koordynatora grupy pisarzy SF krajów socjalistycznych.

A teraz o berlińskim spotkaniu. Odbyło się w sali konferencyjnej hotelu „Berolina". Po niezwykle serdecznym powitaniu i wstępnych referatach wygłoszonych przez przedstawicieli poszczególnych delegacji rozgorzała dyskusja, w której niemałą rolę odegrała i nasza delegacja - dzielnie wspomagając Petera Kuczkę w ożywieniu jego już ponad dziesięcioletniej idei powołania czegoś na kształt forum pisarzy krajów socjalistycznych, umożliwiającego stałe robocze kontakty twórców, wydawców i krytyków science fiction w ramach naszego obozu.

Idea ta, podnoszona od wielu lat na różnego rodzaju spotkaniach i zjazdach nie miała jak dotąd zbytniego szczęścia. Na przeszkodzie stawały różne mniej lub bardziej obiektywne przeszkody, a gdy wreszcie na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych Czesławowi Chruszczewskiemu udało się zainicjować w Poznaniu prace nad powołaniem międzynarodowego Instytutu SF przerwała je nagła śmierć pisarza. Dopiero powstanie „Fantastyki", która powoli staje się miejscem roboczych kontaktów pisarzy naszego obozu (gościli już u nas pisarze ZSRR, Węgier, i NRD, przedstawiciele naszej redakcji byli w CSRS, ZSRR, NRD, Jugosławii, na Węgrzech, spotykaliśmy się z pisarzami i wydawcami Bułgarii i Rumunii), odnowiło nadzieje na spełnienie dawnych marzeń. Jeszcze przed berlińskim spotkaniem przeprowadziliśmy wiele rozmów, które umożliwiły nam złożenie oferty - Polska, przy czynnej pomocy naszych partnerów znów może się stać organizatorem wspólnych poczynań. Oferta spotkała się z życzliwym przyjęciem Obok sprawy forum kolejna ważka propozycja rozpatrzona i zaaprobowana przez berlińskie posiedzenie to wspólna, międzynarodowa edycja leksykonu fantastyki naukowej krajów socjalistycznych. I w tym przypadku zgłoszenie pomysłu poprzedziły prowadzone w listopadzie konsultacje z przedstawicielem pisarzy i wydawców Węgierskich - Peterem Kuczką. Doszło wówczas do znaczących spotkań w Krajowym Wydawnictwie Czasopism i w Krajowej Agencji Wydawniczej, podczas których postanowiono nawiązać współpracę pomiędzy KWCz, KAW i Mora Kiado w celu podjęcia wspólnych edycji naukowej fantastyki, a wśród nich również wspomnianego leksykonu. Korzystając ze sprzyjającej atmosfery postanowiliśmy „sprzedać" jeszcze jeden pomysł. Otóż już w czerwcu narodziła się idea wydawania wspólnego almanachu przeglądu twórczości wszystkich krajów. Dyskutowaliśmy nad tą formą upowszechnienia literatury SF przy różnych okazjach i spotkanie w Berlinie postanowiliśmy wykorzystać również w celu namówienia innych do poparcia pomysłu. Sprawa na razie „chwyciła", ale do realizacji jeszcze chyba daleko.

Oczywiście poruszone powyżej tematy to tylko część szerokiej dyskusji na temat pisarstwa SF, na temat międzynarodowych organizacji i udziału w nich krajów socjalistycznych, na temat codziennej współpracy w upowszechnianiu i wzajemnym poznawaniu tej tak poczytnej i pożytecznej literatury. I jak zawsze dyskusje wychodziły poza oficjalną salę i ciągnęły się do późna w nocy w hotelowych pokojach. Dyskusje przerwane zakończeniem imprezy. Tym razem jednak przerwane na krótko. W październiku będzie je można podjąć na spotkaniu organizowanym przez „Fantastykę".

Forum SF w Warszawie

październik 1984



Literatura południowoamerykańska od lat cieszy sie renomą na świecie. Był okres, kiedy szturmem zdobywała rynki wydawnicze w Europie, w tym również i polskich czytelników. Mniej znane jest natomiast latynoskie pisarstwo typu fantasy, czy science fiction. A posiada ono niewątpliwie podobne cechy oryginalności, które były źródłem sukcesu wielu pisarzy z tego regionu świata. Opinie te potwierdzi chyba zamieszczone w tym numerze opowiadanie chilijskiego pisarza.
Hugo Correa: „Ktoś żyje w tym wichrze”.



Jak dzisiaj przechodzi do historii? Odnotowuję obserwacje z życia, migawkowe zdjęcia faktów, które zaprzątały moją uwagę w kilku ostatnich dniach. Nim się to ukaże w druku, wszyscy będziemy o jeden rok kalendarzowy bliżej końca tego naszego jedynego w swoim rodzaju, niezwykłego stulecia.
Coraz częściej science fiction w różnych swych przejawach daje nam teraz znać o sobie jako język precyzyjniejszy, lepiej przystosowany do naszych czasów niż dotychczasowe mowy literackie, a więc adekwatniejszy od starych sposobów komunikacji międzyludzkiej. Pod warszawskimi Hybrydami, wśród szklanych domów towarowych stolicy, kolejka do właśnie wyświetlanego filmu video.
Młodzi nie kochają kolejek, unikają stania „za czymś”, „do czegoś”, ale tutaj posuwają się potulnie naprzód, żeby wreszcie obejrzeć bajkę nad bajkami - epilog fantastycznych „Gwiezdnych wojen”, gdy prawdziwa, atomowa wisi wciąż nad światem jak zmora.
Straszliwy władca podziemi, Jabba, więzi na łańcuchu Księżniczkę. Krzyczy i jęczy rozpaczliwie poczciwy potworek - przyjaciel Księżniczki, Luke’a i kapitana Solo - małpolud Chewy. Za chwilę rozbłysną laserowe miecze, latające skutery przerwą sen prapuszczy świstami i rykami silników, ruszą do ataku plujące śmiercionośnymi pociskami niby-strusie mechaniczne, potomkowie prymitywnych czołgów. Technika, technika. Ale nie ona odniesie zwycięstwo. Jesiennie bogata przyroda Ziem Zachodnich wita naszą redakcyjną ekipę zjeżdżającą na Dni Fantastyki, pierwszą tak wielką imprezę, na której współorganizację porwaliśmy się wraz ze śmiałkami - działaczami kulturalnymi z Dzierżoniowa z Bogusławem Lamchem, dyrektorem Biblioteki Wojewódzkiej w Wałbrzychu, na czele. Kilkadziesiąt spotkań autorskich. Na jednym z nich przybyły z NRD pisarz Hemer Rank opowiada młodzieży gimnazjalnej o swej najnowszej książce. O rakiecie kosmicznej, która nie wyruszyła w podróż. Miniaturowa załoga - społeczeństwo tego pojazdu nie wie jednak, ze lot jest po prostu symulowany. Wśród wspaniałej techniki, w jaką ci ludzie zostali wyposażeni, zanikają stare obyczaje. Zwłaszcza kobiety przechodzą ogromną metamorfozę psychiczną - pozbawione normalnych właściwych swej płci od prawieków zajęć wynaturzają się Pisarz przedstawia je zmilitaryzowane, opanowujące społeczność twardo i brutalnie Ach, te konsekwencje nauki. Kosmonauci pojazdów prawdziwych, nie fikcyjnych, właśnie gdy przedstawia treść swej książki pisarz SF, wykonują prace w przytłaczającej pustce Wszechświata. W Dzierżoniowie na Dni Fantastyki zleciała się
młodzież, ogląda z wypiekami na twarzy filmy, ukazujące konsekwencje naukowych odkryć i wynalazków - dobre i złe. A Ziemia tutejsza, górska, jest pełna autentycznej techniki: elektronika buduje miniaturowe wieże, na zawołanie wyczarowujące całą magię muzyki - rockowej, najmodniejszej, a także muzyki sentymentalnych przebojów i ryku trąb i huku kotłów w kulminacjach symfonii. Z wodociągów w ciągu dnia woda nawet nie kapnie. Trochę ciurka wieczorem i rankami, tyle zęby się ledwo umyć. Susza, nauka przegrywa tu wyścig z naturą. Czytam, w którymś świeżo przyniesionym do pokoju hotelowego magazynie scjentyficznym, że „podbój naszego świata przez ludzką cywilizację nie zakończony, że zdobywamy nowe tereny”. Zbliża się koniec stulecia. Findesieclowe nastroje. Pisze się smutne książki, szuka wyjścia w proroctwach wróżbitów, próbuje leczyć u radiestetów. „Do końca tego wieku utracimy milion spośród wszystkich na tej ziemi 5 do W milionów gatunków” - pisze naukowiec. „ W ciągu pierwszych kilku dziesięcioleci następnego stulecia utracimy w sumie jedną trzecią lub może „tylko” jedną czwartą wszystkich gatunków żyjących na naszej planecie. Czy zdobędziemy jednak mądrość, która położyłaby kres temu zawojowywaniu przyrody?” Prognozy nauki mają nieraz charakter katastroficzny Fantastyka staje się czymś w rodzaju wież obserwacyjnych przyszłości i teraźniejszości. Można spojrzeć i zastanowić się, przemyśleć zanim się stanie. A więc SF jako odczynnik katastrofizmu? Wraz z przybyłymi do nas z rewizytą z ZSRR pisarzami i działaczami kultury Swietłaną Michajłową z Wszechzwiązkowej Agencji Autorskiej, Dymitrem Bilenkinem, jednym z klasyków radzieckiej SF i Michaiłem Adamem Puchowem, pisarzem i redaktorem, jak my - zwiedzamy Kraków. Oglądając kamienne postacie, zastygłe pod okapem wawelskich wież zamkowych, czy w niszach kościołów, nie potrafimy nie dostrzec, iż rysy ich twarzy, na zdjęciach w folderach precyzyjne i wierne rzeczywistości - naprawdę zostały zamazane, starte. Kamienie także chorują i giną z powodu błędów techniki.
„Ale- powiada jeden z moich przyjaciół- gdy tak krążymy po tym pięknym mieście - ludzie mimo wszystko żyją coraz dłużej”. I przytacza, jak on to świetnie zawsze potrafi - dziesiątki statystyk, świadczących o likwidacji licznych chorób, czy wynajdywaniu nowych sposobów na odmładzanie. W telewizji właśnie aerobic, kolorowe panie i panowie w pocie czoła walczą o swe zgrabne figury, o szyje i twarze bez zmarszczek. W tej epoce niby to schyłkowej każdy, stary czy młody, chce się podobać. Proszę spojrzeć na fryzury. Podobanie się to zresztą jeszcze nie wszystko: każdy chce swojej wyłącznie publicity, każdy pragnie czymś zwrócić uwagę innych, zaimponować. Czasy powszechnego gwiazdorstwa? Na pewno rekordomanii. Pigułek doprasowujących wyniki i pigułek nasennych. Największym powodzeniem wśród filmów video, przywiezionych do Dzierżoniowa cieszą się - podobnie jak w warszawskich Hybrydach „Gwiezdne wojny”. Urok tego kończącego całą trylogię filmu, tak nasyconego techniką, polega w dużej mierze na umiejętności przeciwstawienia się stechnicyzowanemu światu przyszłości. W tym filmie, tak przecież przepojonym supernowoczesnością, utkanym z naukowych tricków, ziejącym grozą metalowych pojazdów z błyskawiczną szybkością dążących do zabijania, pełnym zwyrodniałych istot żywych - karykatur człowieczeństwa, czy ludzi zamienianych w bezwolne roboty - nie cuda nauki, nie druzgocące bronie techniczne rozwiązują ostatecznie konflikty. Decydują cechy naturalne człowieka: niezłomność charakterów, wierność takim ideałom jak miłość i nadzieja, litość i współczucie, a także radość istnienia.
Gdy czytacie to, Państwo, dni juz coraz dłuższe, wiosna się przybliża. Szczęśliwi, którzy to czytacie - tuz przed wiosną. A przede mną, teraz piszącym, jeszcze tyle chłodów, słot, czarnych chmur jesiennych, śnieżnych nawałnic zimowych Ja mam to jeszcze przed sobą, co wy w przeszłości. Kontakty nasze dzieli zawsze kilka miesięcy. Dlatego postanowiliśmy, wspólnie z naszymi gospodarzami i współorganizatorami z Dzierżoniowa, że pierwsze Dni Fantastyki nie będą ostatnimi. Przyjemnie spotykać się osobiście, oko w oko.

1 0 - 9 - 8 - 7 - 6 - 5 - 4 - 3 - 2 - 1 - 0

Adam Hollanek

Skan i opracowanie **GTW**

MIESIĘCZNIK literacki Fantastyka

02-784 Warszawa-Ursynów,
ul. Służby Polsce 2,
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy).

Redakcja: Adam Hollanek (red. nacz.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. Działu reportażu i informacji), Marek Kubala, Maciej Makowski (kier, działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red), Tadeusz Markowski (z-ca red. nacz), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier, działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Marek Rostocki (kier działu nauki), Krzysztof Szotgmia (z-ca sekr. red), Darosław J. Toruń, Andrzej Wójcik (z-ca red. nacz.).
Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski,
Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93.
Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-56-26.
Warunki prenumeraty: ● Dla zakładów pracy: instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy. ● Dla prenumeratorów indywidualnych: osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy; osoby zamieszkałe w miastach - siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora przy użyciu „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”. ● Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania prenumeraty: do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.
Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa P. Z. Graf. RSW Łódź
Zam.39/84 r.Nakład 150000 egz.M-6

LĄDOWANIE XII

Ogromnie wzruszyło mnie wyznanie, jakieś bardzo spontaniczne, jednego z naszych Czytelników. Otóż pan Kajetan Łaniecki ze Żnina powiada o nas *„Miesięcznik jest bardzo cudowny i bardzo trudny do zdobycia w małych miastach. Proszę o pomoc”.* Nie lubię samochwalstwa, ale podobnych korespondencji otrzymujemy mnóstwo Oprócz szczerego komplementu zawierają one smutną niestety rzeczywistość. Sprawdziliśmy ją osobiście podczas wizyty zespołu redakcji na naszych Ziemiach Zachodnich. Skargi pod naszym adresem na brak „Fantastyki” w mniejszych ośrodkach miejskich i wiejskich dominowały w uwagach o piśmie. Myślę, że nie tylko nakład mamy zbyt mały, lecz przede wszystkim nawala dystrybucja. Ni stąd ni zowąd - na przykład odkryliśmy ostatnio pojedyncze egzemplarze jednego z poprzednich numerów „Fantastyki”. Gdzie? W hotelu Solec, w którym lokują się na ogół przyjeżdżający do stolicy cudzoziemcy.

Alfa Alfie nierówna

Gdy ukazała się pierwsza „Fantastyka” kupiłem ją z czystej ciekawości. Myślałem, że będzie to coś w rodzaju Alf wydawanych swego czasu przez KAW. Mile się rozczarowałem. Nie wiem dlaczego dopiero teraz zaczęto wydawać w kraju tego rodzaju pismo.

Artur Trela z Wadowic

Coś mi się nie wydaje, że w naszym kraju pisze aż stu pisarzy science fiction, jak to gdzieś wyczytałem. Do debiutów łapie się u nas byle kogo, byle się tylko pochwalić, że ma się młodych pisarzy i się ich drukuje. W „Spotkaniu w przestworzach”, almanachu lansowanym przez niektórych a wydanym w bardzo dużym nakładzie, zęby bił innych autorów polskich książek, kilka zaledwie opowiadań na jako takim, ledwo drukowalnym poziomie. W sumie dużo straconego papieru. Nie idźcie takim śladem w „Fantastyce”.

J. N. - pisarz

Jak się juz chwalimy uczestnictwem w międzynarodowych organizacjach, to warto by było przy pomnieć, że współorganizatorem Światowej Organizacji Zawodowych Pisarzy SF czyli World Science Fiction był nasz współczesny znany pisarz i uczony, autor „Homo Divisus” - Konrad Fiałkowski. Czemu nie było o tym w jego biografii?

Jerzy Hanik z Krakowa

Chwała wam, że miesięcznik w ogóle powstał Może w przyszłości będzie to tygodnik. Wiele pozycji książkowych nie dochodzi do mniejszych miast w ogóle. Nie można ich pożyczyć nawet w bibliotekach, bo po prostu ich nie ma. Do Mielca nie dotarła nawet połowa z pozycji, o których się czyta. To samo z waszym pismem. Diabli mnie biorą. Może ktoś z wielkich i silnych, także maniak SF, nasze wołania i przekleństwa posłyszy?

Bogdan Bednarski z Mielca

Bitwa o wiersze

Ostatnio na Waszych łamach p. J. Hedrańczyk z Opola pisał, że każda literatura, a więc i SF powinna posiadać swoją poezję. Wydaje mi się to lekką przesadą, gdyż fantastyka jest na tyle specyficzną formą, że gdyby ktoś się uparł, to mógłby jej utwory odczytywać jako poematy.

Tomasz Szymański z Pińczowa Zgadzam się, że na łamach „Fantastyki” winno się znaleźć także miejsce na poezję SF. Byłoby to dobrym uzupełnieniem tego ciekawego miesięcznika. Komiks... kolorowy także potrzebny. G. W. z województwa toruńskiego

Ja już wiem co się u Was będzie drukować, zamiast przygód kosmicznych wypociny bez rymu i rytmu, białe wiersze szanpanów redaktorów. Nie nabijajcie tym sobie głowy, a nam stronic „Fantastyki”.

Joachim Glenczar z Nowego Targu

Drukowanie poezji uważam za bzdurny pomysł. Jest tyle tygodników i miesięczników literackich, że zajmowanie miejsca na tego rodzaju próby w „Fantastyce” jest grubym nieporozumieniem. Powieść drukować szpaltowo, po wycięciu zostają strzępy...

Jacek Galer z Fraczkowa

Można się sprzeczać czy poezja w czasopiśmie SF niezbędna, ale w naszych tygodnikach i miesięcznikach literackich (nie SF) literatury bardzo mało. Grubo za mało. Przepraszam nie wytrzymałem, dlatego się wtrącam do dyskusji Czytelników.

Okładki raczej na miękko

List mój dotyczy powieści wszywanych w środek kolejnych numerów. Pomysł i jego realizacja jest prawie idealny. Proponowałbym jednak zamiast drukowania okładki powieściowej na twardym kartonie pisma, umieszczanie jej na stronie tytułowej (ewentualnie ostatniej) drukowanej powieści. Kolorystycznie i technicznie nie sprawiałoby to żadnych kłopotów. Moim zdaniem bzdurne są inne rozwiązania, ponieważ przy kolekcjonowaniu niszczy się numer pisma, a stronę okładkową „Fantastyki” można by przeznaczyć np. na prezentowanie twórczości plastycznej...

Ryszard Bednarek ze Szczecina

Wtrącam się znowu. Otóż naprawdę pomysł pana, panie Ryszardzie, wydaje mi się dobry, wart realizacji. To by pogodziło dwa skłócone obozy zwolenników wycinania i gorących tego przeciwników.

Średni poziom

Dominującą cechą Waszego stylu jest wg mnie chęć podobania się wszystkim... Wyczuwam wyraźne uśrednienie poziomu zarówno tekstów literackich, krytycznych i naukowych, jak i oprawy graficznej. Ot tak, w myśl zasady, dla każdego coś miłego. No i bardzo dobrze, nieprawdaż? O przyjęciu przez redakcję jako głównego kryterium sprawności pisarskiej, rozmachu i pomysłowości świadczy choćby dziwne upodobanie do space opery. Do licha, przecież już sama nazwa, utworzona przez analogię do horse opera i soap opera, świadczy o drugorzędności, jeśli nie trzeciorzędności gatunku. Chyba o wiele lepiej prezentuje się fantasy, która nie udaje, że przedstawia istniejący świat, lecz tworzy świat autonomiczny. W sprawie listy bestsellerów - wynik głosowania powinno się publikować z uwzględnieniem nazwisk jurorów. Główna zaleta takiej opinii - ujawnienie gustów panów redaktorów...

Andrzej Kowalski z Warszawy Gnębiła nas niedostatecznie dopracowana formuła listy bestsellerów. Pańskiej metody można by spróbować. Ale także będzie raczej zabawą niż skalą prawdziwych ocen. Dlatego postanowiliśmy ustanowić nagrody „Fantastyki” i podać do publicznej wiadomości nazwiska członków Jury. Wkrótce ten pomysł wprowadzimy w życie.

Redaktor

PS: Przyrzekamy, że co kilka numerów pisma pojawiać się będzie kolumna pod tytułem „Komu, komu...” z propozycjami wymiany numerów „Fantastyki” i książek. Uważamy bowiem, że pismo takie jak nasze ma obowiązek spełniania życzeń większości Czytelników, nadsyłających do niego listy. A listów przecież nadchodzą do nas setki.



Najdłuższa podróż

Poul Anderson

(The Longest Voyage)

Po raz pierwszy usłyszeliśmy o statku Nieba, kiedy byliśmy na wyspie o trudnej do powtórzenia, barbarzyńskiej nazwie Yarzik. Minął już prawie rok, od kiedy Złoty Skoczek wypłynął z Lavre i przypuszczaliśmy, że jesteśmy w połowie drogi dookoła świata. Nasza biedna karawela tak była oblepiona wodorostami i muszlami, że przy pełnych żaglach ledwie wlokła się przez morze. Reszta słodkiej wody w beczkach pozieleniała i stęchła, suchary roiły sie od robaków i u niektórych członków załogi wystąpiły pierwsze objawy szkorbutu.



Nie ma rady - zdecydował kapitan Rovic - musimy dopłynąć do jakiegoś lądu. - W jego oczach pojawił się znajomy I N błysk. Pogładził swoją rudą brodę i mruknął: - Poza tym, dawno już nie pytaliśmy o Złote Miasta. Może tym razem uda nam się czegoś dowiedzieć...

Podążaliśmy w kierunku tej potwornej planety, wznoszącej sie coraz wyżej w miarę jak posuwaliśmy się na zachód. Otaczała nas tak bezmierna pustka, że załoga znów zaczęła się buntować. W głębi duszy nie miałem do nich żalu. Wyobraźcie sobie tylko. Dzień po dniu nie widzieliśmy nic prócz bezmiaru wód. spienionych fal, obłoków na tropikalnym niebie, słyszeliśmy tylko wiatr, szum fal, skrzypienie drewna i czasem w nocy dziwne odgłosy wydawane przez morskie potwory. Już samo to było wystarczająco przerażające dla zwykłych żeglarzy, nieoświeconych ludzi, którzy nadal wierzyli, że Ziemia jest płaska. A tu jeszcze Tambur wisiał nieustannie nad bukszprytem tak, że wszyscy wiedzieliśmy, iż w końcu będziemy musieli przepłynąć pod tym posępnym stworem... A co go trzymało w powietrzu - załoga szemrała w kajutach. - Czy rozzłoszczony Bóg nie spuści go nam na głowy?

Tak wiec wysłali delegacje do kapitana Rovica. Ci krzepcy, nieokrzesani mężczyźni stanęli przed nim onieśmieleni i pełni szacunku, prosząc by zawrócił z drogi. Ale reszta zebrała się na pokładzie - muskularne, spalone słońcem postacie w zniszczonych kitlach, ze sztyletami i kołkami w rekach.

Prawda, że my, oficerowie, mieliśmy szable i pistolety. Ale było nas zaledwie sześciu, licząc przerażonego chłopca, czyli mnie i sędziwego Froada - astrologa, któremu szata i biała broda nadawały wielce czcigodny wygląd, ale który nie na wiele zdałby się w walce.

Po wysłuchaniu żądania Rovic stał długą chwile w milczeniu. Cisze zakłócał jedynie głuchy gwizd wiatru. Wspaniale wyglądał nasz kapitan, bo spodziewając się przybycia delegacji włożył czerwone pończochy, buty z dzwoneczkami, hełm i zbroje wypolerowaną jak lustro. Nad oślepiającym stalowym hełmem powiewały pióra, a brylanty na placach rzucały błyski na ozdabiające rękojeść szpady rubiny. Jednak kiedy wreszcie przemówił, nie były to słowa rycerza Królowej, ale prosty andyjski dialekt, którym posługiwał się w dzieciństwie.

- Wiec chcecie do domu, chłopaki? Jak jużeśmy przepłynęli połowę drogi przy dobrym wietrze? Jacy wy inni niż wasi ojcowie! Czyście zapomnieli, że - jak głosi legenda - ongiś wszystkie rzeczy robiły to co człowiek kazał i właśnie przez lenistwo pewnego Andyjczyka teraz ludzie muszą sami odwalać robota? Mało mu było, że siekiera ścięła dla niego drzewo, chciał żeby drwa same poszły do domu, ale i tego było za mało i kiedy powiedział, żeby go zaniosły, Bóg się zgniewał i zabrał mu jego władze. Ale żeby go zanadto nie ukrzywdzić, obdarzył wszystkich Andyjczyków powodzeniem na morzu, w grze w kości i w miłości. Czego więcej byście chcieli, chłopcy?

Zakłopotany taką odpowiedzią, przedstawiciel załogi zaczerwienił się, spuścił oczy i jąkając się mówił, że wszyscy zginiemy marnie... z głodu, pragnienia, potoniemy, albo nas zmiażdży ten straszny księżyc, albo dopłyniemy do krawędzi świata i spadniemy... Złoty Skoczek dotarł dalej niż jakikolwiek inny statek od czasu Upadku Człowieka i jeśli wrócimy to i tak okryjemy się sławą...

- A czy sława da się zjeść, Etien? - zapytał Rovic, nadal spokojny i uśmiechnięty. - Biliśmy się i przeszliśmy burze i pohulaliśmy wesoło, aleśmy nie widzieli ani śladu Złotego Miasta, a głowę daje, że gdzieś tu musi być, pełne skarbów dla pierwszego kto przybędzie je zagarnąć. Coś taki strachliwy? Niełatwy rejs? A co y ludzie powiedzieli? Ale by się pyszałki z Sathaynu i te brudasy z Woodland śmiały - nie tylko z nas, ale z całego Montaliru - gdybyśmy wrócili!

Tak oto ich uspokoił. Tylko raz dotknął szabli, na wpół ją wyciągając, jakby w roztargnieniu, kiedy wspominał o walce z huraganem w Xingu. A wszyscy pamiętali o buncie, który potem wybuchł i o tym jak ta szabla przebiła trzech uzbrojonych marynarzy, którzy go zaatakowali. Zrozumieli, że nie będzie przypominał tego co było, jeśli i oni nie będą do tego wracali. Obietnica nowych zabaw i rozkoszy wśród lubieżnych, prymitywnych plemion, opowieści o legendarnych skarbach i odwołanie się do ich dumy jako marynarzy i Montaliriańczyków rozwiały ich strach. A kiedy zobaczył, że zmiękli postąpił krok do przodu. Ponad jego głową łopotała wyblakła flaga Montaliru, a on przemówił tonem rycerza Królowej:

- Rozumiecie teraz, że zamierzam wrócić dopiero, gdy okrążymy całą kule ziemską i przywieziemy jej Królewskiej Wysokości podarunek, zaszczyt wręczenia którego przypadł nam w udziale. Nie będzie to złoto ani niewolnicy, ani nawet wiedza odległych miejsc. Nie tego pragnie ona i jej Spółka Wypraw Handlowych. Tego dnia, gdy znów staniemy w doku Lavre, złożymy jej w hołdzie nasze osiągniecie: czyn, na który nikt w świecie do tej pory sie nie odważył

Stał jeszcze chwile w ciszy zakłócanej jedynie szumem morza. Potem powiedział cicho: - Rozejść się. - Odwrócił się i odszedł do swojej kajuty.

Tak wiec płynęliśmy dalej. Załoga była cicha, ale pogodna, a oficerowie starali się ukrywać swoje wątpliwości. Ja byłem zajęty nie tyle obowiązkami duchownego, za co mi płacono, czy też kształceniem się na przyszłego kapitana, ile pomaganiem astrologowi Froadowi. Przy tak wspaniałej pogodzie często pracował na pokładzie. Jemu było obojętne czy utoniemy, czy będziemy płynąć, przeżył już tak wiele i liczyła się dla niego tylko wiedza o niebie, którą tutaj mógł pogłębiać. W nocy, kiedy stał na dziobie statku z kwadrantem, astrolabium i teleskopem, oblany srebrną poświatą, przypominał świętego z witraży kościoła w Provien.

- Spójrz tam, Zhean. - Wąską dłonią wskazał na Tambur, zawieszony na purpurowym niebie w otoczeniu kilku gwiazd, które odważyły się mu towarzyszyć. O północy ukazywał się w całej pełni, ogromna lazurowa tarcza, po której przesuwały się smugi złej czerni. Mały świetlik - księżyc, który nazwaliśmy Siett, migotał tuż przy mglistej krawędzi giganta.

- Zobacz - stwierdził Froad - nie ma wątpliwości, widać jak obraca się wokół swojej osi, jak burze szaleją w atmosferze. Tambur przestał być najbardziej tajemniczą ze strasznych legend i przerażającą zjawą, która pojawiła się przed nami na nieznanych wodach, on istnieje naprawdę. To świat taki jak nasz. O wiele większy, to pewne, ale po prostu sferoida w przestrzeni, wokół której porusza się nasza planeta, zwracając zawsze te samą półkule w stronę swego władcy. Przypuszczenia starożytnych zostały potwierdzone. Nasz świat nie tylko jest okrągły, ba, to dla każdego jest oczywiste... ale w dodatku okrąża większe centrum, które z kolei odbywa roczną podróż dookoła słońca. Ale, w takim razie, jak duże jest to słońce?

- Siett i Balant to wewnętrzne satelity Tambura - starałem sie uporządkować swoje wiadomości. - Vieng, Darou i inne księżyce, które często widać u nas w kraju, poruszają się po szlakach leżących na zewnątrz naszego świata. No tak! Ale jak to wszystko sie trzyma?

- Tego nie wiem. Może kryształowa kula, zawierająca gwiazdy wywiera na nie nacisk. Ten sam nacisk spowodował to, że znaleźliśmy się tutaj, w czasie Upadku z Nieba.

Noc była ciepła, ale zadrżałem jak z zimna. - W takim razie szepnąłem - ludzie mogą być również ... na Sietcie, Balancie, Viengu... nawet na Tamburze?

- Kto wie? Wiele lat upłynie zanim się dowiemy. I jakie to będą lata! Dziękuj Bogu, Zhean, że urodziłeś się w zaraniu nadchodzącego wieku.

I Froad ponownie zajął się obliczeniami. Pozostali oficerowie uważali to za nudne zajęcie, ale ja już poznałem matematykę na tyle, by zrozumieć, że dzięki tym niekończącym się tabelom można dowiedzieć się, jakie są prawdziwe rozmiary ziemi, Tambura, słońca, księżyców i gwiazd, jakie są ich drogi w przestrzeni i gdzie leży Raj. Tak wiec prości marynarze, którzy przechodząc obok naszych instrumentów czynili znaki i mruczeli zaklęcia, byli bliżsi prawdy niż dżentelmeni Rovica: bo Froad doprawdy miał do czynienia z potężną siłą.

Już z daleka dostrzegliśmy pływające po powierzchni wodorosty, ptaki, skłębione masy chmur - wszystkie oznaki lądu. Trzy dni później dobiliśmy do wyspy. Jej zieleń przy tak spokojnym niebie wydawała się bardzo intensywna. Gwałtowniejsze niż na naszej półkuli fale przybrzeżne rozbijały się o wysokie skały i spienione wracały z rykiem. Płynęliśmy ostrożnie wzdłuż brzegu, wypatrując odpowiedniego podejścia, a kanonierzy stali przy działach z zapalonymi zapalnikami. Niebezpieczeństwo stanowiły nie tylko nieznane prądy i mielizny - mieliśmy już kilka potyczek z pływającymi czółnami kanibalami. Najbardziej baliśmy się zaćmienia. Możecie sobie wyobrazić, jak na tamtej półkuli słońce codziennie zachodzi za Tambur. Na tamtej szerokości geograficznej działo się to około południa i trwało prawie dziesięć minut. Był to budzący grozę widok: główna planeta - bo tak nazywał ją Froad - pokrewna Diellowi i Cointowi, stawała się otoczonym czerwoną poświatą czarnym krążkiem na nagle pełnym gwiazd niebie. Wiał zimny wiatr i nawet fale przybrzeżne zdawały się uspokajać.

A jednak ludzka dusza jest tak zuchwała, że nasze czynności przerywaliśmy tylko na krótką modlitwę w chwili, gdy znikało słońce i myśleliśmy więcej o niebezpieczeństwie rozbicia statku w ciemnościach, niż o Majestacie Boga. Tambur jest tak jasny, że płynęliśmy okrążając wyspę nawet w nocy. Od wschodu od wschodu słońca, przez dwanaście straszliwych godzin Złoty Skoczek posuwał się wolno naprzód. Kiedy zbliżało się drugie już południe, wytrwałość kapitana Rovica została nagrodzona. Miedzy skałami ukazał się długi fiord. Wiatr wiał od brzegu, wiec zwinęliśmy żagle i wzięliśmy się za wiosła. Był to niebezpieczny moment, zwłaszcza, że dostrzegliśmy wioskę nad fiordem.

- Czy nie powinniśmy zostać tutaj i poczekać aż oni pierwsi do nas podpłyną, kapitanie? - ośmieliłem się zapytać.

Rovic splunął ja burtę.

- Przekonałem się, że nigdy nie należy okazywać wahania - odparł. - Jeśli ich czółna nas zaatakują, pokażemy im jak smakują nasze kule.

Ale sądzę, że jeśli od razu spostrzegą, iż się ich nie boimy, to nie będą skłonni do przygotowania później jakiejś zdradzieckiej zasadzki.
Okazało się, że miał racje.
Później dowiedzieliśmy się, że natrafiliśmy na wschodnią krawędź wielkiego archipelagu. Mieszkańcy byli znakomitymi marynarzami, mimo że mieli jedynie łodzie z wydrążonych pni. Jednak długość tych łodzi często sięgała czterech metrów i z czterdziestoma wiosłami lub trzema żaglami taki statek mógł niemal dorównać prędkością naszemu, a przy tym łatwiej było nim manewrować. Jednak niewiele miejsca na ładunek ograniczało ich zasięg-
Tubylcy mieszkali w drewnianych, krytych słomą chatach i używali jedynie kamiennych narzędzi, ale byli cywilizowanymi ludźmi. Uprawiali ziemie i łowili ryby, a ich księża mieli swój alfabet. Wysocy i silni, trochę ciemniejsi i mniej owłosieni niż my, wyglądali imponująco, zarówno nago, jak i w pełnej gali ubrań, piór i ozdób z muszli. Tworzyli luźne imperium, obejmujące cały archipelag, handlowali a także najeżdżali leżące dalej na północ wyspy. Całe państwo nazywali Hisagazi, a wyspę, na którą trafiliśmy - Yarzik.
Wszystkiego tego dowiedzieliśmy się stopniowo, w miarę jak opanowywaliśmy ich jeżyk. A spędziliśmy tam kilka tygodni. Książę wyspy, Guzan, przyjął nas dobrze, dostarczając nam pożywienia, schronienia i potrzebnych pomocników. My, z kolei, dawaliśmy im wyroby ze szkła, bele wondyjskiego materiału i inne podobne towary. Mimo to napotkaliśmy na wiele trudności. Zbyt błotniste brzegi uniemożliwiały wyciągniecie statku na ląd, wiec aby oczyścić statek, musieliśmy zbudować suchy dok. Wielu z nas zapadło na jakąś nieznaną chorobę i chociaż wszyscy wyzdrowieli, to jednak opóźniło to nasze prace.
- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - powiedział mi pewnego wieczoru Rovic. Przekonawszy się o mojej dyskrecji, zwierzał się czasem ze swoich myśli. Kapitan jest zawsze samotny, a Rovicowi, synowi rybaka, korsarzowi, samoukowi, zwycięzcy nad Wielką Flotą Sathyanu, któremu sama Królowa nadała szlachectwo, trudniej było zachować konieczną powściągliwość niż urodzonemu dżentelmenowi.
Czekałem w milczeniu, tam, w trzcinowej chatce, którą mu podarowano. Migotała lampka, coś szeleściło w trzcinach. Za chatą podmokły teren obniżał się stopniowo, aż do fiordu lśniącego w świetle Tambura. W drzwiach miedzy zbudowanymi na palach domami, szemrał wiatr. Słyszałem stłumiony głos bębnów, monotonny śpiew i tupot stop wokół jakiegoś rytualnego ognia. Chłodne wzgórza Montaliru wydawały się tak daleko. Rovic wyciągnął swe muskularne ciało, w tym upale odziane jedynie w prosty marynarski kilt. Kazał sobie przynieść ze statku normalne krzesło.
- Bo widzisz, przyjacielu - mówił dalej - gdybyśmy mieli mniej czasu, moglibyśmy najwyżej wypytać się o złoto. Może nawet udałoby się nam zdobyć jakieś wskazówki. Ale usłyszelibyśmy znowu to samo: „Tak, zamorski panie, jest naprawdę królestwo, w którym ulice wyłożone są złotem... sto mil na zachód", a wszystko byle pozbyć się nas jak najprędzej. A dzięki temu, że nasz pobyt się przedłużył wypytałem księcia i bałwochwalczych kapłanów trochę dokładniej. Udzieliłem im tak skąpych informacji na temat tego skąd przybywamy i co już wiemy, że powiedzieli mi wiele nowych rzeczy.
- Złote Miasta? - krzyknąłem.
- Cicho! Nie chce, żeby załogę ogarnęło podniecenie. Jeszcze nie.
Jego spalona słońcem i wiatrem twarz była dziwnie zamyślona.
- Zawsze sądziłem, że opowieści o tych miastach to tylko czcze gadanie - powiedział. Musiał zauważyć moje zaskoczenie, bo uśmiechnął się i mówił dalej. - Chociaż pożyteczne - bo ciągnie nas dookoła świata jak magnes. - Rozbawienie minęło i znów przybrał ten wyraz twarzy, który niewiele różnił się od wyrazu twarzy Froada spoglądającego na gwiazdy. - Tak, oczywiście ja też chce złota. Ale jeśli w czasie tej podróży nie znajdziemy go, to nic. Po prostu przechwycę kilka statków z Eralii albo Sathyanu, kiedy już będziemy na swoich wodach i koszt podróży mi sie zwróci. Mówiłem tedy na pokładzie szczerą prawdę. Zhean - ta podróż jest celem samym w sobie.
Otrząsnął się z zamyślenia i powiedział rześkim głosem:
- Dając mu do zrozumienia, że wiem już prawie wszystko na ten temat, wyciągnąłem z księcia Guzana potwierdzenie pogłosek, że na głównej wyspie Hisagazi jest coś, o czym ledwie ośmielam sie myśleć. Statek bogów, jak powiedział, i prawdziwy żywy bóg, który przybył do nich z gwiazd. Tego możesz się dowiedzieć od pierwszego lepszego tubylca. Tajemnica, którą znają tylko wyższe klasy to to, że historia ta nie jest jedynie legendą, ale autentycznym faktem. Tak przynajmniej twierdzi Guzan. Sam nie wiem co o tym myśleć. A jednak... Zabrał mnie do świętej jaskini i pokazał przedmiot z tego statku. Sądzę, że to jakiś zegarowy mechanizm. Ale co, nie wiem. Z lśniącego srebrzystego metalu, jakiego nigdy nie widziałem. Kapłan powiedział, żebym spróbował to rozbić. Nie był ciężki, wiec metal musiał być cienki, ale stępił moją szpadę, skała, którą w niego uderzyłem rozprysnęła się, a mój brylantowy pierścień nie zostawił na nim żadnej rysy. Wyszeptałem chroniące przed złym zaklęcie. Przeszedł mnie dreszcz. Bębny mamrotały w ciemnościach, a nad wodą jak żywe srebro wisiał Tambur, każdego popołudnia zjadający słońce.

Kiedy Złoty Skoczek znów nadawał się do żeglugi, Rovic bez problemu uzyskał pozwolenie na złożenie wizyty monarsze Hisagazi na głównej wyspie. Właściwie trudno by mu było tego uniknąć. Wieść o nas dotarła już do najdalszych zakątków królestwa i możni panowie z niecierpliwością oczekiwali widoku błękitnookich przybyszów. Doprowadzeni do ładu i znów zadowoleni, uwolniliśmy się od uścisków śniadych dziewcząt i wróciliśmy na statek. W górę kotwica, w górę żagle! Żegna-
ni śpiewem, którego echo płoszyło krążące nad błotami ptaki, wyszliśmy w morze. Tym razem mieliśmy eskortę. Sam Guzan wskazywał nam drogę. Był to potężny mężczyzna w średnim wieku, przystojny mimo sinego tatuażu na twarzy i ciele. Kilku jego synów rozłożyło sobie materace na naszym pokładzie, a rój wojowników w czółnach wiosłował przy burtach. Rovic wezwał bosmana Etiena do swej kajuty.
- Jesteś roztropnym człowiekiem - powiedział. - Powierzam ci pilnowanie, by załoga była czujna, z bronią w pogotowiu, ale to ma się odbywać dyskretnie.
- Dlaczego, kapitanie? - Na pokrytej bliznami twarzy pojawiło sie przerażenie. - Czy podejrzewasz, że tubylcy coś knują?
- Któż to może wiedzieć? - odparł Rovic. - Ale nic nie mów załodze. Nie potrafią ukrywać swoich uczuć. Gdyby ogarnęła ich chęć walki albo strach tubylcy od razu by to wyczuli i stali sie niespokojni - co z kolei pogorszyłoby nastroje wśród naszych ludzi i tylko Boża Córka wie, co mogłoby się w końcu zdarzyć. Zwróć tylko uwagę na to, żeby broń zawsze była pod ręką, a nasi ludzie trzymali się razem.
Etien ukłonił się i wyszedł. Ośmieliłem się zapytać, co Rovic miał na myśli..
- Nic konkretnego - powiedział. - Ale w tej oto dłoni trzymałem mechanizm, którego nawet Wielki Pan z Ciariu nie mógłby sobie wyobrazić i opowiadano mi niestworzone historie o Statku, który spłynął z nieba przynosząc boga czy też proroka. Guzan wierzy, że wiem więcej, niż wiem naprawdę, i liczy na to, że będziemy nowym elementem, zakłócającym ustalony porządek, dzięki czemu ma nadzieje zaspokoić swoje ambicje. Nie bez powodu zabrał ze sobą tych wszystkich wojowników. A jeśli chodzi o mnie... mam zamiar dowiedzieć się czegoś więcej.
Siedział przy stole, przyglądając się jak promień słońca przesuwa się w gore i w dół po boazerii w rytm kołysania się statku. Wreszcie odezwał się znowu:
- Pismo Święte mówi, że przed upadkiem człowiek mieszkał za gwiazdami. Astrologowie z zeszłego wieku mówili, że planety są ciałami materialnymi, tak jak ta ziemia. Przybysz z Raju... Kiedy stamtąd wyszedłem, szumiało mi w głowie.
Bez trudu posuwaliśmy się miedzy wyspami. Po kilku dniach dotarliśmy do wyspy centralnej, Ulas-Erkila. Miała ona około stu mil długości i czterdzieści mil w najszerszym miejscu. Zielone pola wznosiły się stromo ku łańcuchowi górskiemu z wulkanicznym stożkiem. Hisagazi czczą dwa rodzaje bogów - wody i ognia
- i myślę, że góra Ulas jest siedliskiem tych ostatnich. Kiedy zobaczyłem śnieżny szczyt, unoszący się nad szmaragdowymi stokami i plamę dymu na błękitnym niebie, zrozumiałem co czują poganie. Najświętszy czyn, jakiego może według nich dokonać człowiek, to rzucenie się do płonącego krateru Ulas i wielu postarzałych wojowników wnoszą na górę, żeby mogli to zrobić. Kobiety nie mają wstępu na zbocza.
Nikum, królewska siedziba, leży nad fiordem jak wioska, w której mieszkaliśmy przedtem. Ale Nikum jest bogate i wielkie jak Roann. Większość domów zbudowana jest z drewna, nie z trzciny. Jest tam też bazaltowa świątynia na skale nad miastem, a za nią ogrody, dżungla i dalej góry. Mając pod dostatkiem wielkich drzew, zamiast bardziej prymitywnych miejsc do cumowania, jakimi zadowala się większość portów na świecie, Hisagazi zbudowali cały zespół doków takich jak w Lavre. Zaproponowano nam honorowe miejsce w centralnej części nabrzeża, ale Rovic, tłumacząc, że trudno manewrować naszym okrętem, polecił przycumować go w dalszym końcu.
- W środku mielibyśmy wieże strażniczą tuż nad nami - szepnął do mnie. - A oni może jeszcze nie wynaleźli łuku, ale ich oszczepnicy są świetni. Poza tym byłby łatwy dostęp do naszego statku i chmara czółen oddzielałaby nas od wyjścia z zatoki. A stąd w każdej chwili możemy szybko odpłynąć.
- Ale czy mamy się czego obawiać, kapitanie? - zapytałem. Przygryzł wąsy. - Nie wiem. Wiele zależy od tego, co oni naprawdę sądzą na temat tego ich boskiego statku... i czym on jest rzeczywiście. Niech się dzieje co chce, niech piekło i śmierć szaleje, a my nie wrócimy bez prawdziwych wiadomości dla Królowej Odęli.

Gdy nasi oficerowi schodzili na ląd, terkotały bębny i skakali ustrojeni piórami włócznicy. Zbudowano dla nas wspaniały pomost. (Tubylcy przepływali po prostu od domu do domu w czasie przypływu, a towary przewozili małymi łódkami). Wśród malowniczych winorośli i trzcin stał pałac, długi budynek z drewnianych bali, o fantastycznych rzeźbach bogów na dachu.
Iskilip, Kapłan-Imperator Hisagazi, był stary i otyły. Wysoki pióropusz, ozdobione piórami szaty, drewniane berło zakończone ludzką czaszką, tatuaż na twarzy, bezruch, wszystko to sprawiało, że nie wyglądał na istotę ludzką. Siedział na podwyższeniu wśród słodko pachnących pochodni. Synowie siedzieli u jego stóp, a dworzanie po obu bokach. Wzdłuż ścian stały straże. Nie mieli naszego zwyczaju stania na baczność. Uzbrojeni w krzemienne topory i włócznie, zabijające równie łatwo jak żelazo, z tarczami z łuskowatej skóry jakiegoś morskiego potwora, ci młodzi, prężni ludzie o ogolonych głowach wyglądali naprawdę groźnie.
Iskilip powitał nas uprzejmie, polecił podać poczęstunek i wskazał nam ławę niewiele niższą od jego podium. Zadał nam wiele bystrych pytań. Hisagazi wiedzieli o istnieniu wysp leżących daleko od ich archipelagu. Potrafili nawet wskazać kierunek i określić w przybliżeniu odległość, dzielącą ich od krainy o wielu zamkach, którą zwali Yuradadak, chociaż żaden z nich nigdy tak daleko nie zawędrował. Sądząc z ich opisów cóż to mogło być innego niż Giair, do którego podróżnik z Wondii, Hanas Tolasson dotarł drogą lądową? Zatopiwszy się w entuzjastycznych rozmyślaniach o tym, że naprawdę okrążamy świat, dopiero po chwili zacząłem ponownie przysłuchiwać się rozmowie.
- Jak już powiedziałem Guzanowi - mówił Rovic - następna rzecz, która przywiodła nas tutaj to wieść o tym, że zostaliście wyróżnieni przybyciem statku z nieba. I on pokazał mi, że to prawda.
Szept przebiegł przez sale. Książęta zesztywnieli, dworzanie przybrali dziwny wyraz twarzy i nawet wartownicy poruszyli sie i coś szemrali. W oddali słychać było huk zbliżającego sie przypływu. Iskilip przemówił ostrym tonem:
- Czyżbyś zapomniał, że tych rzeczy nie wolno oglądać niewtajemniczonym, Guzanie?
- Nie, Wasza Świątobliwość - odparł książę. Pot spływał po jego twarzy, ale nie był to pot strachu. - Ten kapitan wiedział. Jego ludzie również... o ile zdołałem się zorientować... on ma trudności z mówieniem w naszym jeżyku... ale zrozumiałem, że jego ludzie też są wtajemniczeni. Jego żądanie brzmi rozsądnie, Wasza Świątobliwość. Proszę spojrzeć na cuda, które przywiózł. Twardy, lśniący kamień-nie-kamień, taki jak w nożu, który mi podarował, czyż nie przypomina tego, z czego zbudowany jest Statek? Rurki, które sprawiają, że odległe rzeczy widać jak na dłoni, takie jaką ty otrzymałeś, Panie, czyż nie przypominają przyrządu, który ma Posłaniec?
Iskilip pochylił się w stronę Rovica. Dzierżąca berło ręka drżała tak mocno, że szczeki czaszki zaklekotały. - Czy Ludzie Gwiazd nauczyli was jak robić te przedmioty? - krzyknął. - Nigdy nie przypuszczałem... Posłaniec nigdy nie mówił o innych... Rovic uniósł dłonie do góry. - Nie tak szybko, Wasza Świątobliwość, bardzo proszę - powiedział. - Słabo władamy waszym jeżykiem. Nie zrozumiałem ani słowa.
To było kłamstwo. Wszystkim oficerom polecono udawać, że znają hisagazi gorzej niż to było w istocie (wprawiliśmy się w tym jeżyku przez ćwiczenia ze sobą w tajemnicy). W ten sposób miał wspaniałą wymówkę dla wymijających odpowiedzi.
- Najlepiej będzie, jeśli pomówimy o tym na osobności, Wasza Świątobliwość - zaproponował Guzan, spoglądając na dworzan. Odwzajemnili mu się pełnym zazdrości spojrzeniem.
Iskilip siedział zgarbiony w swoim okazałym królewskim stroju. Jego słowa były stanowcze, ale wypowiedział je głosem starego, zmęczonego człowieka.
- Nie wiem. Jeśli ci przybysze są już wtajemniczeni, z pewnością możemy pokazać im co mamy. Ale jeśli nie - gdyby pogańskie uszy miary usłyszeć opowieść.naszego Posłańca...

Guzan wzniósł władczą reke. Zuchwały i ambitny, od dawna duszący się w swej mało ważnej prowincji, tego dnia był w swoim żywiole. - Wasza Świątobliwość - powiedział - czemu ta historia była przez wszystkie te lata otoczona tajemnicą? Częściowo po to, by utrzymać naród w posłuszeństwie. Ale czy oprócz tego Wy i Wasi doradcy nie obawialiście się, że żądny wiedzy świat przybywszy tu zaleje nas i zniszczy? Cóż, jeśli pozwolimy, by błękitnoocy ludzie nie zaspokoiwszy ciekawości odjechali, z pewnością wrócą tu z posiłkami. Wiec nic nie tracimy wyjawiając im prawdę. Jeśli nie mają swego Posłańca i na nic nam się nie przydadzą, to i tak będzie czas, by ich zgładzić. Ale jeśli naprawdę i do nich przybył Posłaniec, czegóż nie będziemy mogli razem zdziałać!
Powiedział to szybko i cicho, żebyśmy my, Montaliriańczycy, nie mogli go zrozumieć. I rzeczywiście nasi oficerowie nie zrozumieli, ale moje młode uszy uchwyciły sens jego wypowiedzi, a Rovic uśmiechał się tak bezmyślnie, że domyśliłem się, iż rozumie każde słowo.
W końcu zdecydowali zaprowadzić naszego przywódcę - i moją skromną osobę, bo żaden hisagaziański szlachcic nie rusza sie nigdzie bez osoby towarzyszącej - na górę do świątyni. Iskilip osobiście prowadził, a za nim szedł Guzan i dwaj krzepcy książęta. Dwunastu włóczników zamykało pochód. Pomyślałem, że szpada Rovica nie na wiele by się zdała w razie jakichś problemów, ale zacisnąłem usta i zmusiłem się do podążenia za nim. Wyglądał tak ochoczo, jak dzieciak w Dzień Dziękczynienia. Zęby błyszczały w uśmiechu, a pióra beretu fantazyjnie opadały na czoło. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa.
Wyruszyliśmy o zachodzie słońca - na tamtej półkuli mniej zwraca się uwagę na odróżnianie pór dnia. Widząc, że Siett i Balant znajdują się w położeniu oznaczającym wysoki przypływ, nie byłem zadowolony, że Nikum niemalże zniknęło pod wodą. A jednak kiedy wspinaliśmy się kamienistą ścieżką do świątyni, widok roztaczający się przed moimi oczyma był najdziwniejszym, jaki kiedykolwiek widziałem.
Pod nami leżała tafla wody, nad którą unosiły się dachy miasta, u wejścia do zatoki fale pieniły się na skałach. Wzgórza nad nami były całkiem czarne, a ognisty zachód słońca krwawo barwił wody. Zza chmur wyzierał blady sierp Tambura. Po obu stronach ścieżki rosła sucha trawa. Na wschodzie, na purpurowym niebie zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy. Tym razem gwiazdy nie przyniosły mi uspokojenia. Szliśmy w milczeniu. Bose stopy tubylców stąpały bezgłośnie. Dzwoneczki przy butach Rovica brzęczały cichutko.
Świątynia była zbudowana z rozmachem. Wewnątrz tworzących czworobok bazaltowych murów znajdowało się kilka budynków z tego samego materiału. Dachy pokryte były świeżo ściętymi liśćmi. Z Iskilipem na czele minęliśmy zakonników i kapłanów i weszliśmy do drewnianej chaty za sanktuarium. Dwóch wartowników stało w drzwiach, ale na widok Iskilipa uklękli. Monarcha zastukał swoim dziwnym berłem. Zaschło mi w ustach, a serce waliło jak młotem. Spodziewałem się ujrzeć jakąś istotę szkaradną lub cudowną. Kiedy drzwi się otworzyły, zaskoczony byłem widokiem zwykłego mężczyzny, w dodatku mizernej postury. W świetle lampy przyjrzałem się jego siedzibie - był to pokój czysty, skromny, ale wygodny, taki jak przeciętne mieszkanie hisagaziańskie. On sam odziany był w spódnice z trzciny, spod której wychodziły cienkie i krzywe nogi starego człowieka. Był chudy, ale trzymał się prosto z dumnie uniesioną głową. Jego skóra była nieco ciemniejsza od naszej, a jaśniejsza od skóry Hisagaziańczyków, oczy brązowe, a broda rzadka. Nos, usta i zarys szczeki różniły rysy jego twarzy od innych ras. Ale był to człowiek, nic więcej.
eszliśmy do chaty, zostawiając włóczników na zewnątrz. Iskilip przedstawił nas na wpół rytualnie. Guzan i książęta stali niespokojnie, lecz wcale nie przerażeni. Od dawna przywykli do tego rodzaju ceremonii. Z twarzy Rovica nie sposób było wyczytać co myśli. Ukłonił się Val Nirowi, Posłańcowi Niebios i w kilku słowach wyjaśnił skąd i po co przybyliśmy. Ale kiedy mówił ich oczy spotkały się i widziałem, że ocenia człowieka z gwiazd.
- Oto mój dom - powiedział Val Nira. Powtarzał te słowa zapewne już wiele razy. Nie zauważył jeszcze naszych metalowych przedmiotów, albo nie pojął jakie mają dla niego znaczenie. Od... czterdziestu trzech lat, nie mylę się, Iskilip? Traktowano mnie bardzo dobrze. I jeśli czasem miałem ochotę płakać w samotności, to cóż, taki jest los proroka.
Monarcha poruszył się, zakłopotany. - Jego demon opuścił go wyjaśnił. - Teraz jest zwykłym człowiekiem. To jest właśnie nasza tajemnica. Nie zawsze tak było. Pamiętam chwile, kiedy przybył. Przepowiadał niezwykłe rzeczy, a wszyscy ludzie padali przed nim na twarz. Ale od czasu, kiedy jego demon wrócił do gwiazd stracił swoją siłę. Ludzie nie uwierzyliby w to, wiec nadal udajemy, że nic się nie zmieniło, by uniknąć niepokoju.
- Który naruszyłby wasze przywileje - wtrącił Val Nira z ironią. Wtedy Iskilip był młody - dodał patrząc na Rovica - i istniały wątpliwości co do dziedziczenia tronu. Użyczyłem mu swego wpływu. Obiecał, że w zamian zrobi coś dla mnie.
- Próbowałem - powiedział król. - Zapytaj wszystkich mężczyzn, którzy utonęli, jeśli nie wierzysz. Ale inna była wola bogów.
- Najwidoczniej tak - wzruszył ramionami Val Nira.
- Na tych wyspach jest niewiele rud i nikt nie potrafi rozpoznać tych, które mi są potrzebne. Do stałego lądu za daleko jest dla czółen Hisagazi. Ale nie przeczę, że próbowałeś, Iskilip. Po raz pierwszy obcy zostali obdarzeni królewskim zaufaniem, przyjaciele. Czy jesteście pewni, że zdołacie powrócić żywi?
- Ależ, co też, są naszymi gośćmi! - wybuchneli Iskilip i Guzan niemal równocześnie.
- Poza tym - uśmiechnął się Rovic - znałem już prawie całą tajemnice. Mój kraj ma również swoje tajemnice. Tak, myślę, że możemy coś wspólnie zdziałać, Wasza Świątobliwość.
Król zadrżał. Jego głos zabrzmiał jak skrzek. - Czy rzeczywiście wy też

macie Posłańca?
- Co? - Val Nira wlepił w nas zdziwiony wzrok. Czerwienił się i bladł na przemian. Potem usiadł na ławce i zaszlochał.
- No, niezupełnie. - Rovic położył rękę na drżących ramionach starca. - Przyznaje, że żaden Statek Nieba nie zawitał do Montaliru. Ale mamy inne tajemnice, może równie cenne.
Tylko ja, który znałem go dobrze, mogłem wyczuć jaki jest napięty. Patrzył na Guzana tak długo, aż ten spuścił oczy. A równocześnie, z matczyną łagodnością, mówił do Val Nira.
- Rozumiem, przyjacielu, że twój statek uległ katastrofie na tym wybrzeżu i nie może być zreperowany, dopóki nie zdobędziesz potrzebnych materiałów?
- Tak... tak... posłuchaj... - ożywiony myślą, że uda mu się zobaczyć rodzinne strony, zanim umrze, Val Nira jąkając się próbował wyjaśnić na czym polega jego problem.
- Teoretyczne założenia, które przedstawił są tak zdumiewające, a nawet niebezpieczne, że jestem pewien, iż panowie woleliby żebym nie powtarzał wszystkiego. Jednakże nie sądzę, aby były błędne. Jeśli gwiazdy są słońcami takimi jak nasze, a każdej towarzyszą planety takie jak nasza - to znaczy, że teoria kryształowej kuli jest fałszywa. Ale Froad, kiedy mu to potem powtórzyłem, uznał, że to nie ma znaczenia dla prawdziwej religii. Pismo Święte nie wspomina o tym, że Raj leży dokładnie nad miejscem urodzenia Bożej Córki. Tak po prostu sądzono w czasie wieków, kiedy wierzono, że świat jest płaski. Dlaczego Raj nie miałby być jedną z tych należących do innego słońca planet, tam gdzie ludzie żyją w chwale i przenoszą się z gwiazdy na gwiazdę tak łatwo jak my z Lavre do West Alaun?
Val Nira uważał, że nasi przodkowie rozbili się na naszej planecie kilka tysięcy lat temu. Prawdopodobnie uciekali, by uniknąć konsekwencji jakiegoś przestępstwa albo herezji i zabrneli aż tak daleko. Ich statek uległ jakiemuś uszkodzeniu, ci którzy ocaleli stali się na powrót dzikimi ludźmi, a ich potomkowie stopniowo zdobywali wiedze na nowo. Moim zdaniem takie wyjaśnienie nie przeczy dogmatom o Upadku, a raczej je potwierdza. Upadek obejmował nie całą ludzkość, ale niewielką grupę - o nieczystej jak nasza krwi - a reszta została w dostatku i radości w niebie. Do dzisiaj nasz świat leży z dala od handlowych szlaków mieszkańców Raju. Mało kto z nich interesuje się odkrywaniem nowych światów. Jednym z takich podróżników był Val Nira. Wędrował kilka miesięcy, zanim trafił na naszą ziemie. A wtedy i jego dosięgło przekleństwo. Coś się zepsuło, wylądował na Ulas-Erkila i Statek nie mógł już lecieć dalej.
- Wiem, co się zepsuło - mówił gorączkowo. - Nie zapomniałem. Przez wszystkie te lata nie było dnia, żebym nie powtarzał sobie, co mam zrobić. Do jednego delikatnego silnika Statku potrzebna jest rtęć. - Minęło trochę czasu zanim Rovicowi udało się ustalić, że słowo, którego starzec używa oznacza właśnie rtęć. - Kiedy silnik wysiadł, wylądowałem tak ostro, że zbiorniki wybuchły. Cała rtęć się wylała. Tyle, że w tej zamkniętej przestrzeni mógłbym ulec zatruciu. Uciekłem na zewnątrz i zapomniałem zamknąć drzwi. Rtęć spłynęła po pochyłym pokładzie za mną. Zanim ochłonąłem z przerażenia, tropikalny deszcz zmył płynny metal. I tak oto zostałem skazany na dożywotnie wygnanie. Naprawdę byłoby lepiej, gdybym zginął od razu!
Schwycił Rovica za rękę. - Czy naprawdę możesz zdobyć rtęć? zapytał błagalnym głosem. - Potrzebuje nie więcej niż mogłaby pomieścić ludzka głowa. Tylko tyle i kilka drobnych napraw, do których wystarczą narzędzia ze Statku. Kiedy powstał ten kult musiałem rozdać niektóre moje rzeczy, by każda świątynia miała relikwie. Ale zawsze pamiętałem, żeby nie oddać niczego potrzebnego. Wszystko czego potrzebuje jest tam. Trochę rtęci i... och, Boże, może moja żona jeszcze żyje, na Ziemi!

Guzan w końcu zaczął pojmować, co się dzieje. Dał znak książętom, którzy ścisnęli mocniej swoje topory i przysunęli się bliżej. Wartownicy byli za drzwiami, ale jeden krzyk wystarczyłby, żeby wpadli do chaty ze swoimi włóczniami. Rovic przeniósł wzrok z Val Niry na Guzana, którego twarz zbrzydła z wściekłości. Mój kapitan położył dłoń na rękojeści szpady. Była to jedyna oznaka napięcia.
- Rozumiem, panie - powiedział pogodnie - że życzyłby pan sobie, by Niebieski Statek mógł znowu latać.
Guzan był zupełnie zbity z tropu. Nie spodziewał się tego. - Cóż, oczywiście - krzyknął. - Dlaczego nie?
- Wasz oswojony bóg opuści was. Co wtedy stanie się z waszą władzą w Hisagazi?
- Ja...ja nie zastanawiałem się nad tym - wyjąkał Iskilip. Spojrzenie Val Nira wędrowało miedzy nami, jakby przyglądał sie grze w piłkę. Jego drobne ciało zadrżało.
- Nie - zapiszczał - Nie możecie. Nie możecie mnie zatrzymać! Guzan kiwnął głową. - Za kilka lat - powiedział całkiem uprzejmie - i tak odejdziesz w czółnie śmierci. Gdybyśmy teraz chcieli cie zatrzymać wbrew twojej woli, mógłbyś nie chcieć wygłaszać pomyślnych dla nas proroctw. Nie, możesz być spokojny, zdobędziemy ci twój płynny kamień. - I dodał przeszywając Rovica zabójczym spojrzeniem: - Kto go przywiezie?
- Moi ludzie - odparł rycerz. - Nasz statek może z łatwością dotrzeć do Giairu, gdzie na pewno mają rtęć. Nie trwałoby to dłużej niż rok.
- I wrócilibyście z posiłkami, by zdobyć święty statek? - wypalił Guzan bez ogródek.
Rovic oparł się nonszalancko o słup podtrzymujący dach. Wyglądał jak wielki, pewny siebie, drapieżny kot.
- Tylko Val Nira potrafi uruchomić ten statek - powiedział cedząc słowa.
- Czy to ma znaczenie kto pomoże mu go zreperować? Z pewnością nie sądzisz by któryś z naszych krajów mógł podbić Raj?
- Bardzo łatwo kierować tym statkiem - zaszczebiotał Val Nira. Każdy może to zrobić. Wielu szlachcicom pokazałem, których dźwigni należy użyć. Najtrudniej sterować miedzy gwiazdami. Nikomu z tego świata nie udałoby się dotrzeć samodzielnie do moich rodaków - nie mówiąc już o pokonaniu ich w walce - ale czemu mówicie o walce? Tysiąc razy ci powtarzałem, Iskilip, że Mieszkańcy Mlecznej Drogi nie są dla nikogo niebezpieczni, że są gotowi każdemu pomóc. Mają takie bogactwa, że sami nie wiedzą co z nimi robić. Z radością nie szczędziliby wydatków, by pomóc wam w powrocie do cywilizacji. - Znów spojrzał na Rovica z przepełnionym pragnieniem, niemal histerycznym wyrazem oczu. - Nauczymy was wszystkiego. Damy wam silniki, automaty, małe człowieczki, które będą za was wykonywać ciężką prace, fruwające w powietrzu łódki i statki, przewożące pasażerów miedzy gwiazdami...
- Obiecujesz to od czterdziestu lat - wtrącił Iskilip. - Ale mamy tylko twoje słowo.
- I wreszcie okazje, by je potwierdzić - nie wytrzymałem i musiałem się wtrącić.
- Nie jest to taka prosta sprawa - powiedział Guzan z teatralną stanowczością. - Obserwuje tych ludzi od tygodni, Wasza świątobliwość. Nawet kiedy starają się zachowywać jak najprzykładniej, są zapalczywi i zachłanni. Nie mam do nich za grosz zaufania. Także tej nocy przekonałem się, jak nas oszukują. Znają nasz jeżyk lepiej niż utrzymywali. I wprowadzili nas w błąd dając do zrozumienia, że mają Posłańca. Gdyby Statek rzeczywiście miał znów unieść się w powietrze i mieliby go w swoich rekach, to kto wie co by zrobili?
- Co proponujesz, Guzan? - głos Rovica zabrzmiał jeszcze przyjaźniej.
- Możemy to omówić innym razem.
Zobaczyłem jak pieści zaciskają się na kamiennych toporach. Przez chwile słychać było tylko nerwowy oddech Val Niry. Guzan stał sztywno w świetle lampy, pocierając brodę w zamyśleniu. W końcu powiedział szorstko:
- Może załoga, złożona głównie z Hisagaziańczyków mogłaby popłynąć twoim statkiem po płynny kamień. Kilku twoich ludzi, Rovic, popłynęłoby z nimi jako doradcy. Reszta zostałaby tutaj w roli zakładników.
Mój kapitan nie odpowiedział. - Nic nie rozumiecie - jęknął Val Nira. - Sprzeczacie się nie wiadomo o co! Kiedy moi ludzie tu przybędą, nie będzie już więcej wojen, ucisku, wyleczą was ze wszystkich chorób. Nauczą przyjaźni i równości. Błagam was...
- Wystarczy - przerwał mu Iskilip. - Wrócimy do tego jutro, a teraz pójdziemy spać. Jeśli ktokolwiek będzie mógł zasnąć po tylu dziwnych słowach.
Rovic spojrzał na Guzana, omijając wzrokiem króla. - Zanim podejmiemy decyzje - zacisnął palce na rękojeści szpady tak mocno, że paznokcie zrobiły się białe, ale głos nawet mu nie zadrżał - najpierw chce zobaczyć ten Statek. Czy możemy udać sie tam jutro?
Iskilip był królem, ale skulił się w swojej szacie z piór. Guzan kiwnął głową na znak, że się zgadza.

Życzyliśmy sobie dobrej nocy i wyszliśmy. Zbliżała się pełnia Tambura i dziedziniec zalany był zimną poświatą, ale chata stała w cieniu świątyni. W oświetlonych światłem lampy drzwiach widniała wątła sylwetka Val Nira z gwiazd. Patrzył w ślad za nami aż nie zniknęliśmy w oddali. W drodze powrotnej Guzan i Rovic targowali się ostro. Statek znajdował się o dwa dni marszu w głąb lądu, na stokach góry Ulas. Mieliśmy go obejrzeć, ale tylko dwunastu Montaliriańczyków mogło wziąć udział w wyprawie. A potem mieliśmy ustalić dalsze przedsięwzięcia.
Latarnie na rufie naszej karaweli rzucały żółte światło. Dziękując Iskilipowi za gościnę, Rovic i ja wróciliśmy tam na nocleg. Wartownik przy schodni zapytał czego się dowiedziałem.
- Zapytaj mnie jutro - odparłem wymijająco. - Dziś już mi sie kreci w głowie.
- Wstąp do mnie na kielich wina zanim pójdziemy odpocząć zaprosił mnie kapitan.
Bóg jeden wie, jak tego potrzebowałem. Weszliśmy do niskiego pokoiku, zatłoczonego żeglarskimi przyrządami, książkami i mapami. Rovic usiadł za stołem i wskazał mi krzesło. Napełnił dwa kielichy z ouaynijskiego kryształu. Czułem, że myśli o doniosłych sprawach - o

wiele ważniejszych niż ocalenie naszego życia. Przez chwile sączyliśmy wino w milczeniu. Drobne fale pluskały, wartownicy stąpali na pokładzie, cisza. W końcu Rovic wyprostował się, patrząc na rubinowe wino na stole.
- No i jak, chłopcze - powiedział - co o tym myślisz?
- Sam nie wiem co mam myśleć, kapitanie.
- Ty i Froad jesteście trochę przygotowani do wieści że gwiazdy są słońcami. Jesteście wykształceni. Jeśli chodzi o mnie, to tyle już dziwnych rzeczy przeżyłem... Ale reszta naszych ludzi...
- Co za ironia losu, że barbarzyńcy tacy jak Guzan od dawna o tym wiedzą - od czterdziestu lat mają tego starca z nieba - czy on naprawdę jest prorokiem, kapitanie?
- Zaprzecza temu. Gra role proroka, bo musi, ale to oczywiste, że wszyscy książęta i panowie w tym królestwie wiedzą, że jest to tylko sztuczka. Iskilip jest już stary i prawie całkiem nawrócony na te. sztuczną wiarę. Gadał coś o proroctwach, które Val Nira wygłaszał dawno temu, prawdziwych proroctwach. Ba! Zawodna pamięć i pobożne życzenia. Val Nira jest tak samo zwykłym i omylnym człowiekiem jak ja. My Montaliriańczycy jesteśmy takimi samymi ludźmi jak Hisagazi, chociaż nauczyliśmy się stosować metal wcześniej od nich. Ludzie Val Niry z kolei wiedzą więcej niż my, ale też są tylko śmiertelnikami, na Niebie. Musze pamiętać, że tak właśnie jest.
- Guzan pamięta.
- Brawo, chłopcze! - Rovic uśmiechnął się. - On jest sprytny i śmiały. Zrozumiał, że ma szanse osiągnąć coś więcej niż zarządzanie mało znaczącą wyspą. Nie pozwoli tej szansie umknąć bez walki. Jak każdy obłudnik, nas posądza o knucie tego, co sam zamierza zrobić.
- Ale co?
- Przypuszczam, że chce mieć Statek dla siebie. Val Nira powiedział, że łatwo nim latać. Podróż miedzy gwiazdami byłaby niemożliwa dla każdego oprócz niego i żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nic próbowałby zostać piratem na Mlecznej Drodze. Jednakże... gdyby Statek został tutaj, ten, do kogo by należał, mógłby podbić więcej narodów niż sam Lamę Darveth. Osłupiałem. - Czy uważasz,
że Guzan nie próbowałby nawet szukać Raju? Rovic w zamyśleniu patrzył na swój kielich. Zrozumiałem, że chce być sam. Wymknąłem się cicho do mojej koi na rufie. Kapitan wstał przed świtem. Popędzał załogę i najwyraźniej podjął już jakąś decyzje, niezbyt przyjemną. Ale kiedy już raz coś postanowił, nigdy nie zmieniał zdania, Długo rozmawiał z Etienem, który wyszedł z kajuty przestraszony. Dla dodania sobie odwagi bosman ostrzej dyrygował ludźmi.
Na wyprawę mieli pójść Rovic, Froad, ja, Etien i ośmiu marynarzy. Wszyscy zaopatrzeni zostali w hełmy, muszkiety i ostrą broń. Ponieważ Guzan powiedział nam, że do statku prowadzi ubita ścieżka, przygotowaliśmy wóz do przewożenia zapasów. Etien nadzorował jego załadowanie. Zdumiałem się widząc, że prawie cały, aż jęknęły osie, założony był beczkami z prochem. Ale przecież nie zabieramy armaty! - zaprotestowałem.
- Rozkaz szypra - warknął Etien. Odwrócił się do mnie plecami. Jedno spojrzenie na twarz Rovica wystarczyło, by powstrzymać nas od pytania o powód. Przypomniałem sobie, że będziemy wędrować na szczyt góry. Wóz pełen prochu i zapalony lont wystarczy pchnąć go w dół na wrogą armie, by wygrać bitwę. Ale czy Rovic spodziewał się otwartej walki tak szybko?
Z całą pewnością rozkazy, które wydał pozostającym na statku marynarzom i oficerom wskazywały na to, że właśnie tak było. Mieli zostać na pokładzie Złotego Skoczka, gotowi do natychmiastowej walki lub ucieczki.
O wschodzie słońca odmówiliśmy modlitwę do Bożej Córki i wymaszerowaliśmy z portu. Lekka mgiełka była rozpostarta nad zatoką, blady sierp Tambura wisiał nad cichym Nikum.
Guzana spotkaliśmy przy świątyni. Dowodził nimi syn Iskilipa, ale książę ignorował młodzieńca podobnie jak i my. Mieli ze sobą stu ludzi w łuskowatych zbrojach, o ogolonych głowach, pokrytych na całym ciele wizerunkami smoków i burz. Pierwsze promienie słońca lśniły na obsydianowych ostrzach włóczni. Obserwowano nasze nadejście w milczeniu. Ale kiedy zbliżyliśmy sie do tej bezładnej chmary, Guzan podszedł do nas. On też cały był okryty skórami i trzymał miecz, który dostał od Rovica na Yarzik. Rosa migotała na piórach jego płaszcza.
- Co macie na tym wozie? - zapytał.
- Żywność - odparł Rovic.
- Na cztery dni?
- Odeślij do domu wszystkich z wyjątkiem dziesięciu twoich ludzi - powiedział chłodno Rovic - a ja odeśle ten wóz. Zmierzyli się wzrokiem, aż wreszcie Guzan odwrócił się i dał rozkaz wymarszu. Ruszyliśmy - grupka Montaliriańczyków, otoczona pogańskimi wojownikami. Przed nami rozciągała się dżungla, morze zieleni, wznoszące się do połowy stoku Ulas. Wyżej były już tylko nagie czarne skały, uwieńczone czapą śniegu wokół dymiącego krateru.
Val Nira szedł miedzy Rovikiem a Guzanem. Dziwne, pomyślałem, że wygnaniec Boga był taki skurczony. Powinien iść potężny i wyniosły, z gwiazdą nad czołem.
Przez cały dzień, w nocy, gdy rozbiliśmy obóz i znów następnego dnia Rovic i Froad wypytywali go o jego rodzinne strony. Nie słyszałem wszystkiego, bo musiałem, kiedy przypadła moja kolej, ciągnąć wóz wąską, pnącą się w górę, piekielną ścieżyną. Hisagazi nie mają zwierząt pociągowych, wiec nie używają kół i nie mają dobrych dróg. Ale to, co usłyszałem wystarczyło, bym długo nie mógł zasnąć.



Cuda, o jakich nie śniło się poetom! Całe miasta mieszczące sie w jednej wieży, ponad pół kilometra wysokiej. Światła na niebie, tak że nigdy nie jest naprawdę ciemno, nawet po zachodzie słońca. Pożywienie nie uprawiane w ziemi, ale robione w alchemicznych pracowniach. Najbiedniejszy mieszkaniec ma kilka maszyn, które służą mu lepiej i pokorniej niż tysiąc niewolników, ma powietrzny wóz, w którym może przez jeden dzień oblecieć cały swój świat, kryształowe okno, w którym pojawiają się obrazy jak w teatrze, by urozmaicić mu wolny czas. Statki krążą miedzy słońcami, wyładowane bogactwem tysiąca planet, a każdy z nich bez broni i straży, bo nie ma tam piratów, a królestwo od dawna jest w tak dobrych stosunkach z innymi państwami gwiazd, że ustały wszystkie wojny. (Te inne kraje mają bardziej nadprzyrodzony charakter niż kraj Val Nira, bo narody, które je tworzą nie są ludzkie, chociaż potrafią mówić i myśleć). W tym szczególnym państwie niewiele jest przestępstw. A jeśli coś złego się wydarzy, przestępca zostaje schwytany, ale go nie wieszają ani nie zamykają. Jego umysł zostaje wyleczony z pragnienia łamania prawa i wraca do domu jako szczególnie poważany obywatel, bo wszyscy wiedzą, że już można mu całkowicie ufać. Jeśli chodzi o rząd - ale tego właśnie nie zdołałem usłyszeć. Sądzę, że jest to republika, rządzą wybrani pełni poświecenia ludzie, dbający o dobrobyt wszystkich. Doprawdy, myślałem, to jest Raj!
Nasi marynarze słuchali z rozdziawionymi ustami. Rovic przyjmował to z rezerwą, ale wciąż przygryzał wąsy. Guzan, który słyszał to już wiele razy, niecierpliwił się. Wyraźnie nie podobała mu się nasza zażyłość z Val Nirą i łatwość z jaką pojmowaliśmy jego słowa.
Ale w końcu pochodziliśmy z kraju, w którym od dawna popierano rozwój filozofii i wszystkich sztuk mechanicznych. Ja sam, w moim krótkim życiu, byłem świadkiem zastąpienia koła wodnego w rejonach o niewielkiej ilości strumieni przez nowocześniejszy wiatrak. Zegar wahadłowy wynaleziono rok przed moim urodzeniem. Przeczytałem wiele powieści o latających maszynach, które wielu próbowało zbudować. Przyzwyczajeni do tak zawrotnego tempa rozwoju, my, Montaliriańczycy, gotowi byliśmy do zaakceptowania jeszcze śmielszych pomysłów.
W nocy, kiedy siedzieliśmy z Froadem i Etienem przy ognisku, zagad-

nąłem uczonego co o tym myśli.
- Tak - powiedział - dzisiaj objawiono mi Prawdę. Czy słyszałeś, co mówił człowiek z gwiazd? O trzech prawach ruchu planet wokół słońca i głównym prawie przyciągania, który ten ruch tłumaczy? Na Wszystkich Świętych, to prawo można ująć w jednym krótkim zdaniu, ale trzysta lat minęłoby zanim uczeni doszliby do tego!
Patrzył gdzieś poza płomienie, ogniska, ciemną plamę dżungli i gniewny wulkaniczny blask w górze. Zacząłem go wypytywać. Zostaw go, chłopcze - uciszył mnie Etien. Przysunąłem się bliżej masywnej, budzącej zaufanie postaci bosmana. - Co sądzisz o tym wszystkim? - zapytałem cicho. W dżungli coś szemrało i rechotało.
- Ja już jakiś czas temu przestałem myśleć - powiedział. - Po tym dniu na pokładzie, kiedy szyper namówił nas na żeglowanie dalej, choćbyśmy mieli dotrzeć na krawędź świata i spaść z pianą miedzy te gwiazdy... cóż, jestem tylko biednym marynarzem i moja jedyna szansa powrotu do domu to trzymanie się kapitana.
- Nawet jeśli poleci w niebo?
- Może to mniej ryzykowne niż płyniecie dookoła świata. Ten mały staruszek przysięgał, że jego pojazd jest bezpieczny i że wśród słońc nie ma burz.
- Czy wierzysz w to co mówi?
- O tak. Nawet taki prosty stary człowiek jak ja, jeśli poznał w życiu wielu ludzi potrafi wyczuć, że ktoś jest zbyt nieśmiały i pełen entuzjazmu, by kłamać. Nie boje się ludzi w Raju i szyper też się ich nie boi. Tylko w pewien sposób... - Etien potarł dłonią brodę, marszcząc brwi. - Chociaż w jakiś sposób, którego nie potrafię zrozumieć, napawają Rovica obawą. Nie obawia się, że przybędą tu zniszczyć nas ogniem i mieczem, ale jest w nich coś, co go niepokoi.
Poczułem jak ziemia zadrżała leciutko. To Ulas. - Zdaje się, że narażamy się na gniew Boga...
- Nie to gnębi kapitana. Nigdy nie był przesadnie pobożny. Etien podrapał się, ziewnął i wstał. - Cieszę się, że nigdy nie będę kapitanem. On musi myśleć, co należy zrobić, czas żebyśmy poszli spać.

Ale niewiele spałem tej nocy. Rovic chyba dobrze wypoczął. Jednak następnego dnia wyglądał mizernie. Zastanawiałem się dlaczego. Czy podejrzewał, że Hisagazi zaatakują nas? Jeśli tak, to dlaczego w ogóle zgodził się iść? W miarę jak zbocze stawało się coraz bardziej strome, coraz trudniej było pchać wózek i moje obawy rozwiały sie, bo skupiłem się na łapaniu oddechu. Jednak kiedy dotarliśmy do Statku, przed wieczorem, zapomniałem o zmęczeniu. Po chóralnych okrzykach zdziwienia, nasi marynarze stanęli w milczeniu, wsparci na dzidach. Hisagazi ze strachu popadali plackiem na ziemie. Tylko Guzan stał sztywno. Zauważyłem wyraz jego oczu kiedy patrzył na cudowne zjawisko. Wyzierało z nich pożądanie.
Dzikie było to miejsce wyszliśmy ponad linie lasu i teren pod nami wyglądał jak zielone morze, zakończone srebrną obwódką oceanu. Dookoła nas leżały w nieładzie czarne głazy, a pod stopami mieliśmy popiół i pył wulkaniczny. Wyżej urwiska strome ściany skalne, aż do śniegu i dymu wznoszącego się w niebo, były blade i zimne. A tu stał Statek. Statek był samym pięknem. Pamiętam. Długością, a raczej wysokością, bo stał na ogonie, równy był naszej karaweli, w kształcie przypominający zakończenie iglicy, jego biel nie straciła połysku po czterdziestu latach. To wszystko. Ale jakże marne są słowa. Jak mogą oddać czystość linii, blask opalizującego metalu, obraz dumnej i pięknej rzeczy, która samym swym kształtem zdawała się rwać do lotu? Jak można wyczarować nimi urok ^taczający statek, którego kil ciął światło gwiazd?
Stałem tam długo. Zaszkliły mi się oczy. Wytarłem je, zły, że aż tak byłem poruszony, ale zobaczyłem łzę lśniącą na policzku Rovica. I tylko twarz miał spokojną, a kiedy się odezwał, powiedział jedynie rzeczowym tonem: - Chodźcie, trzeba rozbić obóz. Wojownicy Hisagazi nie odważyli się podejść bliżej niż kilkadziesiąt metrów do Statku, tak potężnym był dla nich bożkiem. Nasi marynarze również trzymali się z daleka. Ale kiedy zapadła noc i wszystko już było zrobione, Val Nira zaprowadził Rovica, Froada, Guzana i mnie do niezwykłego pojazdu. Kiedy się zbliżyliśmy, podwójne drzwi z boku otworzyły się bezgłośnie i wysunął się z nich metalowy pomost. Zalany światłem Tambura i odbijający czerwony blask łuny wulkanu, Statek był dla mnie wystarczająco dziwny. Kiedy wiec sam otworzył się dla nas, jakby pilnował go jakiś duch, krzyknąłem i uciekłem. Żwir chrzęścił pod moimi butami, poczułem zapach siarki. Ale kiedy dotarłem do krańców obozu, oprzytomniałem na tyle, by się obejrzeć. Statek stał samotny i dostojny. Wróciłem. Jasne, zimne w dotyku płytki oświetlały wnętrze. Val Nira wyjaśnił, że wielki silnik, który wprowadzi Statek w ruch jak skrzat z bajki, zaprzęgnięty do kierata - był nieuszkodzony i mógł dostarczyć mocy, jeśli przesunęłoby się dźwignie. O ile zdołałem zrozumieć to, co powiedział, działo się to przez zamianę metalicznej cząstki soli w światło... właściwie i tak tego nie rozumiem. Rtec potrzebna była do części sterowniczej, przenoszącej siłę silnika do innego mechanizmu, który unosił statek w górę. Obejrzeliśmy uszkodzony zbiornik. Dobrawdy potężne musiało być uderzenie przy lądowaniu, by zgiąć i skręcić tak gruby stop. A jednak Val Nire chroniły niewidzialne siły i reszta Statku niewiele ucierpiała. Val Nira wyciągnął jakieś narzędzia, które strzelały płomieniami, buczały i wirowały i na naszych oczach usunął kilka uszkodzeń. Z pewnością bez trudu mógłby uporać się z reperacją - a wtedy wystarczyłoby wlać rtęć i Statek znów by Ożył. Pokazał nam jeszcze wiele różnych rzeczy. Nie opowiem o tym, bo nawet nie pamiętam dokładnie tych dziwów, nie mówiąc już o znalezieniu odpowiednich słów. Siedzieliśmy tam ładnych kilka godzin.
Guzan nie odstępował nas na krok. Chociaż był tam już raz w czasie ceremonii wtajemniczenia, nigdy przedtem nie pokazano mu aż tak wiele. A jednak kiedy na niego patrzyłem, widziałem w nim więcej zachłanności niż podziwu.
Bez wątpienia Rovic też to zauważył. Niewiele mogło umknąć jego uwadze. Kiedy wyszliśmy ze Statku nie był tak oszołomiony jak Froad czy ja. Wtedy myślałem, że niepokoił się co wymyślił Guzan. Teraz, wracając do tej chwili, wydaje mi się, że był smutny.
Wszyscy położyliśmy się spać, a on długo jeszcze stał wpatrując sie w Statek. O świcie obudził mnie Etien.
- Wstawaj, chłopcze, mamy robotę. Naładuj pistolety i weź sztylet.
- Co? Co się dzieje? - wyplątywałem się z oszronionego koca.
- Szyper nic nie mówił, ale najwidoczniej spodziewa się walki. Idź do wozu i pomóż przesunąć go pod latającą wieże. - Etien przykucnął przy mnie i powoli powiedział. - Wydaje mi się, że Guzan wpadł na pomysł wymordowania nas wszystkich tutaj na tej górze. Potem może zmusić jednego oficera i kilku marynarzy ze Złotego Skoczka, żeby zawieźli go do Giairu i z powrotem. Reszcie poderżną gardła i po kłopocie.
Czołgałem się, szczekając zębami. Zabrałem broń i trochę jedzenia ze wspólnego składu. Hisagazi wzięli w podróż suszoną rybę i rodzaj chleba ze sproszkowanego ziela. Dotarłem do wozu ostatni. Tubylcy posępnie, zbliżali się do nas, niepewni co zamierzamy zrobić.
- Ruszamy, chłopcy - powiedział Rovic. Wydał rozkazy. Czterech mężczyzn zaczęło ciągnąć wóz w stronę lśniącego wśród mgieł Statku. Reszta została z bronią w reku. Guzan przybiegł do nas od razu z rozespanym Val Nirą. Twarz pociemniała mu z gniewu. Co robicie? - warknął.
Rovic spojrzał na niego spokojnie. - Cóż, panie, ponieważ spędzimy tutaj trochę czasu oglądając Statek...
- Co? - przerwał Guzan. -Jak to? Czy nie zobaczyłeś wystarczająco dużo, jak na pierwszy raz? Musimy wracać do domu i przygotować się do wyprawy po płynny kamień.
- Idź, jeśli chcesz - odparł Rovic. -Ja tu jeszcze trochę zabawie. A ponieważ nie masz do mnie zaufania i ja tobie nie ufam, moi ludzie będą w Statku, gdzie łatwo się w razie potrzeby bronić. Guzan wściekał się i wrzeszczał, ale Rovic przestał zwracać na niego uwagę. Nasi ludzie nadal pchali wózek po nierównej ziemi. Guzan dał znak swoim włócznikom, którzy zbliżyli się bezładną, ale gotową do walki chmarą. Etien wydał rozkaz. Stanęliśmy w szeregu. Pochyliliśmy piki i wycelowaliśmy muszkiety. Guzan cofnął się. Na jego własnej wyspie pokazaliśmy mu jak działa broń palna. Bez wątpienia mógłby nas pokonać, gdyż było ich więcej, ale poniósłby zbyt duże straty.
- Nie ma o co walczyć, prawda? - powiedział Rovic. - Robie tylko to, co nakazuje rozsądek i ostrożność. Statek jest bardzo cenny.
Mógłby dla wszystkich otworzyć wrota Raju... albo dać jednemu panowanie na tej ziemi. Są tacy, którzy woleliby to drugie. Nie pokazuje nikogo palcem, jednak roztropniej będzie jeśli zatrzymam Statek jako zastaw i fortece, dopóki będzie mi się podobało siedzieć tutaj.
Myślę, że wtedy właśnie przekonałem się, jakie były prawdziwe zamiary Guzana. Gdyby szczerze chciał dotrzeć do gwiazd, troszczyłby się

Poul ANDERSON

Urodzony w 1926 roku w Bristol (Pensylwania) amerykański pisarz skandynawskiego pochodzenia. Absolwent wydziału fizyki University of Minnesota (1949).
Zaczyna publikować w 1948 roku (opow „Tommorrow's Children" w Astounding Sciene Fiction), jednakże przez pierwszych kitka lat pisze stosunkowo niewiele. Dopiero w 1951 roku ukazuje się 10 jego opowiadań, w 1952 powieść ,,Vault of Ages" zaś w 1953 aż 19 opowiadań i 3 powieści, w tym „Brain Wave" i „Three Hearts and Three Lions".
Przez kilka następnych lat Anderson, jakby zadowolony z sukcesu „Brain Wave", pisze wielką ilość poprawnych, ale pozbawionych ambicja opowiadań i kilka powieści typu space opera, w tym czasie powstają jednak pierwsze utwory dwóch kontynuowanych do dziś serii tematycznych. Bohaterem pierwszej z nich jest interstelarny kupiec Nicholas van Rijn, zaś drugiej - agent imperium Ziemi Dominik Flandry. Należące do tych serii opowiadania „Najdłuższa podróż" (The longest Voyage - 1960) oraz „Starfog" (1967) zostały nagrodzone Hugo Award w 1961 i 1967 roku

jedynie ej bezpieczeństwo statku. Nie schwyciłby wątłego Val Niry w swoje potężne łapy i nie ciągnął jak tarczy przed naszymi pociskami. Wściekłość wykrzywiła jego wymalowaną twarz. Wrzasnął do nas: - W takim razie ja też wezmę zakładnika! I nic wam nie pomoże wasze schronienie!
Hisagazi dreptali w pobliżu, mamrocząc i potrząsając włóczniami i toporami, ale nie ruszyli na nas. Szliśmy wśród czarnych skał. Słońce świeciło ostro. Froad tarmosił brodę. - Ojej, kapitanie - powiedział - czy sądzisz, że przystąpią do oblężenia?
- Nie radziłbym nikomu oddalać się od grupy - odparł sucho Rovic.
- Ale bez Val Niry i jego wyjaśnień cóż przyjdzie nam z siedzenia w Statku? Najlepiej wracajmy. Musze zajrzeć do matematycznych ksiąg - ciągle kołacze mi się w głowie to prawo o obrocie planet - musze zapytać tego człowieka z gwiazd co wie... Rovic przerwał mu, opryskliwie wydając rozkaz trzem ludziom, by pomogli podnieść koło, które utknęło miedzy kamieniami. Był w złym humorze. Przyznaje, że jego postępowanie wydawało mi sie szalone. Gdyby Guzan coś knuł, niewiele zyskalibyśmy zamykając się w Statku, gdzie czekałby nas głód. Lepiej było walczyć na otwartej przestrzeni, gdzie mielibyśmy szanse się przebić! Z drugiej strony, gdyby Guzan nie miał zamiaru na nas napaść, prowokowanie go nie miało żadnego sensu. Ale nie odważyłem sie pytać.

Kiedy przyciągnęliśmy wózek do Statku, znowu wysunął się dla nas pomost. Marynarze zatrzymali się, wykrzykując przekleństwa.
- Spokojnie, chłopcy - uciszał ich Rovic. - Ja już byłem w środku. Tam nie ma nic złego. Teraz trzeba przenieść tam proch i rozmieścić go tak jak ustaliłem.
Nie należałem do najsilniejszych, wiec nie wyznaczono mnie do noszenia ciężkich beczek, ale postawiono na warcie przy pomoście. Byliśmy zbyt daleko od Hisagazi, żebym mógł odróżnić słowa, ale widziałem jak Guzan wszedł na skałę i przemawiał do nich. Potrząsali bronią i krzyczeli. Jednak nie odważyli się zaatakować. Próbowałem zrozumieć co się dzieje. Jeśli Rovic przewidział, że będą oblegać Statek, to wyjaśniałoby dlaczego zabrał tyle prochu... nie, to nie to, bo prochu było więcej niż dwunastu ludzi mogło zużyć w ciągu tygodnia nieustannego strzelania... i nie mieliśmy prawie wcale jedzenia! Spojrzałem na trujące chmury nad wulkanem, na Tambura, na którym szalały straszliwe burze i zastanawiałem się jakie demony przybyły stamtąd by opętać ludzi.
Oprzytomniałem słysząc ze środka czyjś oburzony krzyk. Froad! Już chciałem tam pobiec, ale przypomniałem sobie o powierzonym mi zadaniu. Słyszałem jak Rovic huknął na niego i kazał ludziom robić coś dalej. Froad i Rovic poszli chyba do kabiny pilota i gadali przez ponad godzinę. Kiedy starzec wyszedł, już nie protestował. Ale schodząc z pomostu płakał. Za nim wyszedł Rewie i nigdy nie widziałem, żeby ktoś miał bardziej ponurą twarz niż on wtedy. Za nim wysypali się z wnętrza marynarze, niektórzy przerażeni, niektórzy wzdychali z ulgą. To byli prości marynarze. Statek nie znaczył dla nich wiele, było to tylko coś obcego i niepokojącego. Ostatni wyłonił się Etien. Rozwijał po drodze długi sznurek.
- Utworzyć czworobok! - wrzasnął Rovic. Ludzie zajęli swoje miejsca.
- Froad i Zhean - powiedział kapitan - lepiej stańcie w środku. Nadajecie się bardziej do niesienia amunicji niż do walki.
- Sam stanął na czele.
Pociągnąłem Froada za rękaw. - Proszę mi powiedzieć co sie dzieje?
- Ale był tak zapłakany, że nie mógł mówić. Etien kucnął z krzemieniem w reku. Usłyszał mnie, bo wszyscy stali w grobowym milczeniu. Powiedział twardo: - Rozłożyliśmy proch i lont w całym statku.
Nie byłem w stanie mówić, myśleć, takie to było potworne. Jakby z daleka usłyszałem trzask stali o kamień, słyszałem jak Etien dmucha na iskrę i mówi: - Myślę, że to dobry pomysł. Powiedziałem, że pójdę za kapitanem nie bacząc na gniew Boga - ale lepiej nie drażnić Go za bardzo.
- Naprzód marsz! - Rovic wyciągnął szpadę.
Szliśmy szybko, a nasze buty skrzypiały głośno i strasznie. Nie oglądałem się za siebie. Nie mogłem. Nadal czułem się jak w koszmarnym śnie. Guzan i tak nie pozwoliłby nam przejść, wiec ruszyliśmy prosto na nich. Wyszedł naprzód, kiedy zatrzymaliśmy się przed obozem. Usłyszałem niewyraźnie jego słowa:
- No co, Rovic, co teraz? Gotowy jesteś do powrotu?
- Tak - powiedział kapitan. - Wracamy do domu.
Guzan zmrużył oczy, coś przeczuwając. - Dlaczego zostawiliście wasz wózek? Co w nim jest?
- Zapasy. Idziemy.
Val Nira nie odrywał wzroku od naszych złowrogich pik. Z trudem wydobył z siebie głos - O czym wy mówicie? Po co zostawiać taj jedzenie? Będzie się psuło aż...aż... - Urwał spojrzawszy Rovicowi prosto w oczy. Zbladł.
- Coś zrobił? - szepnął.
Nagle Rovic zakrył twarz dłonią. - To co musiałem - powiedział stłumionym głosem. - Córko Boga, wybacz mi. Człowiek z gwiazd patrzył na nas przez chwile. Potem odwrócił sie i zaczął biec. Obok zaskoczonych wojowników, po zapylonym stoku, do Statku.
- Wracaj! - ryknął Rovic. - Ty idioto, nigdy...
Spoglądał na małą, samotną postać i opuścił ręce. - Może tak będzie najlepiej - powiedział.
Guzan uniósł szpadę. W łuskowatym płaszczu z powiewającymi piórami wyglądał równie imponująco jak zakuty w stal Rovic. Powiedz mi co zrobiłeś - warknął - albo w jednej chwili zetnę ci głowę!
Nie zwracał uwagi na nasze muszkiety. On też miał swoje marzenie.
On też zobaczył, że już się nie spełnią, kiedy Statek eksplodował.

Nawet ten nieugięty pojazd nie mógł być silniejszy niż kilka beczek starannie rozlokowanego prochu. Rozległ się huk, który powalił mnie na kolana i kadłub pękł na pół. Białe kawały metalu rozprysły się po stoku. Widziałem jak jeden z nich uderzył w wielki głaz i rozbił go na części. Val Nira zniknął, zginął zanim zobaczył co się stało; wiec w końcu Bóg ulitował się nad nim. Przez płomienie i dym, i piekielny hałas dostrzegłem jak Statek pada. Toczył się w dół, rozsypując swoje własne poszarpane wnętrzności. Góra zagrzmiała, poruszyła się i pochowała Statek w swym wnętrzu. Pył wzbił się w niebo. To wszystko co miałem odwagę zapamiętać. Hisagazi wrzeszcząc uciekli. Pewnie myśleli, że to koniec świata. Guzan stał w miejscu. Kiedy pył okrył nas i grób Statku i biały krater wulkanu, skoczył na Rovica. Muszkieter uniósł swą bron. Etien powstrzymał go. Staliśmy przyglądając się walce dwóch mężczyzn i wiedzieliśmy, że muszą to rozegrać sami. Szczekały ostrza i leciały iskry. Wreszcie zwyciężyła wprawa Rovica. Trafił Guzana w gardło.
Pochowaliśmy Guzana i ruszyliśmy przez dżungle. Tej nocy wojownicy pozbierali się na tyle, by nas zaatakować. Musieliśmy bronić się szpadami i pikami. Przerąbaliśmy sobie przez nich drogę w stronę morza.
Zrezygnowali z dalszej walki i pospieszyli uprzedzić mieszkańców miasta. Kiedy dotarliśmy do Nikum, wszystkie siły Iskilipa otaczały Złotego Skoczka czekając na nas. Znów utworzyliśmy czworobok. Straciliśmy sześciu dobrych ludzi na poczerwieniałych ulicach. Kiedy nasi na statku zorientowali się, że Rovic wraca, zbombardowali miasto. To zapaliło dachy domów i odwróciło uwagę na tyle, że pomoc ze statku mogła do nas dołączyć. Przedarliśmy się do mola i weszliśmy na pokład. Rozwścieczeni i odważni Hisagazi podpłynęli czółnami. Wspinali sie jeden na drugiego i sporej grupie udało się wedrzeć na statek. Dopiero po zaciekłej walce oczyściliśmy z nich pokład. Wtedy właśnie uszkodziłem sobie kręgi szyi, które do dzisiaj dają mi sie we znaki.
Wreszcie wyszliśmy z zatoki. Wiał wschodni wiatr. Rozwinęliśmy wszystkie żagle i umknęliśmy pogoni. Policzyliśmy zabitych, opatrzyliśmy rany i poszliśmy spać. O świcie, zbudzony bólem ramienia i o wiele gorszym bólem w środku, wdrapałem się do nadbudówki. Niebo było zachmurzone. Wiatr się wzmagał. Zimne i spienione, zielone morze ciągnęło sie aż po chmurnie szary horyzont. Maszty skrzypiały, liny piszczały. Stałem tak godzinę na chłodnym wietrze, uśmierzającym ból.
Usłyszałem za sobą kroki. Nie odwróciłem się. Wiedziałem, że to Rovic. Stał przez chwile w milczeniu. Zauważyłem, że zaczyna siwieć.
W końcu nie patrząc na mnie, powiedział: - Rozmawiałem z Froadem, tego dnia. Zasmucił się, ale przyznał mi racje. Czy mówił ci coś o tym?
- Nie.
- Żaden z nas nigdy nie będzie miał ochoty o tym opowiadać. Po jakimś czasie odezwał się znowu: - Nie bałem się, że Guzan czy ktoś inny zagarnie Statek i spróbuje podbić świat. My Montaliriańczycy poradzilibyśmy sobie z takim łajdakiem. Nie bałem sie też mieszkańców Raju. Ten nieszczęsny staruszek nie mógł kłamać. Nigdy nie zrobiliby nam krzywdy... rozmyślnie. Przywieźliby cenne podarki, nauczyli nas wiele i pozwolili zwiedzić ich gwiazdy.
- Wiec dlaczego?
- Któregoś dnia następcy Froada rozwiążą zagadki wszechświata - powiedział. - Kiedyś nasi potomkowie zbudują swój własny statek i wyruszą tam gdzie zapragną.
Spieniona woda odbijała się od burty. Mgiełka kropel zmoczyła nam włosy. Czułem smak soli na wargach.
- Zanim to nastąpi - ciągnął Rovic - przepłyniemy morza tej ziemi wzdłuż i wszerz, wejdziemy na góry, oswoimy te ziemie, poznamy i zrozumiemy. Pojmujesz, Zhean? To właśnie odebrałby nam Statek.
Wtedy ja też mogłem zapłakać. Położył rękę na moim zdrowym ramieniu i staliśmy tak razem, a Złoty Skoczek pod pełnymi żaglami sunął na zachód.

Przełożyła **Anna Miklińska**

Ktoś żyje w tym wichrze

Hugo Correa

(Alguien mora en el viento)

-Bob.
Prawie niedosłyszalne, wstrzymywane od dłuższej chwili, westchnienia ulgi, przerwały cisze. Nikt się nie poruszył. Pod kosmicznymi skafandrami rozluźniły się mięśnie. Wywołany - dwadzieścia pięć lat - otworzył usta, aby coś powiedzieć. Rozmyślił się. Uśmiechnął niewyraźnie. Dwóch mężczyzn obrzuciło go szybko wzrokiem. Twarze innych zostały nieporuszone.
- Drugi.
Komendant szybko rozwinął papier. Kończyło się odprężenie. Atmosfera w kabinie zrobiła się znowu napięta. Bob, z opuszczoną głową, wyglądał na zmęczonego.
Igor. Głos zabrzmiał spokojnie. Trzydzieści lat. Masywny o, twardych rysach twarzy, z wyrazem uporu na zaciśniętych ustach. Przełknął ślinę.
- Ja? Wykonał gwałtowny gest i spojrzał na Boba, który wydawał się go nie dostrzegać. Następnie obrzucił spojrzeniem swych towarzyszy.
- Przykro mi - powiedział dowódca. - Trzeci.
Igor wystąpił z szeregu i zbliżył się do okienka. Gniew wykrzywił mu twarz.
- Piotr.
- Musiałem to być właśnie ja! wykrzyknął wywoływany, z uśmiechem na szerokiej twarzy. - Co zrobić! Wcześniej czy później...
Wzruszył ramionami, poklepał Boba po plecach. Spokojny, jego trzydzieści siedem lat nie pozostawiło na nim śladów.
- Idziemy stary! Nie ma czasu do stracenia. - Żegnajcie chłopcy - powiedział dowódca. - Miejmy nadzieje, że wasze poświecenie nie pójdzie na marne. W przeciwnym razie już wkrótce spotkamy się na innym świecie.
- Jeszcze jest czas, aby zamienić się miejscami, komendancie - zauważył ze śmiechem Piotr, Kierując sie do kabiny pneumatycznej.
Komendant również się uśmiechnął. Igor rzucił mu wściekłe spojrzenie
- Jest pan szczęściarzem, komendancie - syknął przez zaciśnięte zęby.
- Pan się myli, Igorze - beznamiętnie odpowiedział komendant. Regulamin jest regulaminem. Przykro mi, że właśnie w tym momencie pan mi to mówi. Wydawało się, że Igor zamierzał coś dodać. Pozostali, obawiając się jakiejś nieprzewidzianej reakcji, nie odrywali od niego wzroku. Ponownie zrobił gniewny ruch ręką, ale już bez poprzedniej zaciekłości. Wszedł do kabiny, w której się już znajdowali Piotr i Bob.
- Komendancie - powiedział z progu Piotr - niech pan pójdzie do mojego domu i uszczypnie ode mnie mojego malca. Jest już pewnie okrągły jak piłka.
- Zrobię to Piotrze. - I dodał mocnym głosem: - Macie dwie minuty na wykonanie zadania.
Za trzema mężczyznami zamknęły się drzwi. Zapłonęło światełko. Barometr wykazał gwałtowny spadek ciśnienia. Nikt się nie poruszył. Na zegarze przesuwały się sekundy: osiemdziesiąt siedem, osiemdziesiąt dziewięć, dziewięćdziesiąt. Kiedy doszedł do stu osiemnastu cisza się zagęściła. Sto dziewiętnaście, jeden z mężczyzn wydał gardłowy dźwięk. Sto dwadzieścia.
- Na stanowiska! - zagrzmiał komendant.
Na zewnątrz, w upstrzonej gwiazdami pustce, trzy obiekty z wolna odłączyły się od rakiety. Trzech niemczyzn, zamkniętych w oddzielnych kapsułach ratunkowych.
W dole ciemniała powierzchnia planety. Płachta chmur gnanych przez huragany wiejące z szybkością tysięcy kilometrów na godzinę zasłaniała jej oblicze. Co się pod nią kryje? Tego nie wiedział nikt. Od samego początku władał tu wiatr. Planeta była zawsze zwrócona ku słońcu tą samą stroną, co powodowało stały brak równowagi ciśnień. Furia wichru pochłonęła już trzy ekspedycje, nigdy więcej o nich nie usłyszano. Od czasu ostatniej, ludzie zarzucili projekty zbadania planety.

-Patrzcie!
Rakieta wypluła długie strumienie ognia; zatrzymała się w próżni. Potem zaczęła oddalać się od rozbitków, wznosząc się z coraz większym impetem.
- Niech się rozbiją!
- Nie mów tak Igorze! Niech lecą szczęśliwie! To dobrzy chłopcy...
- I co z tego? Jesteś durniem Piotrze! Zawsze nim byłeś. Człowiek, któremu dobrze szło. O życiu jak z filmu. Opowiedz teraz którąś z twoich przygód! Oni odlatują. Dotrą na Ziemie, zdrowi i zadowoleni. A my?-
- Zamknij się, Igor! Nie zwracaj na niego uwagi Piotrze. Jest zamroczony.
- Nie martw się o mnie, Bob. Rozumiem to.
- Trzy trumny! Regulamin jest regulaminem. Ja, który mogłem mieć tyle rzeczy! Dlaczego nas raczej nie zabili?
- Masz jeszcze czas, żeby to zrobić, Igorze. Nikt ci nie broni, prawda?
- Nie, Bob! Nie mów tego nawet żartem! Zawsze może zdarzyć się cud. A jeśli zdołamy wylądować?
- Dureń! Wylądować! W piekle, tak. I tam właśnie wylądujemy! A diabeł już na nas czeka z widłami wystawionymi w górę.
- Jeżeli będziesz dalej tak mówił, zmusisz mnie do przerwania z tobą łączności, Igorze! Radze ci Piotrze, zrób to samo.
Planeta się przybliżała. W górze, daleko, pośród gwiezdnych konstelacji, płomienny punkt szybko malał. Piotr pomyślał, że statek ocalał.
- Już czas wystrzelić rakiety! - zawołał Bob.
- Po co? Co nam to da?
- Nie wiem co nam to da. Ograniczam się do rady, Igor. Będziemy mogli dojść do chmur z szybkością zero. Gotowi? Zaczynam odliczać.
Usłuchali automatycznie.
- Dokładnie, Bob! - wykrzyknął Piotr. - Szybkość zero. Jesteśmy poniżej tysiąca metrów...
- Zamknij sie! Obyśmy byli o sto czy pięćdziesiąt! Patrzcie na to! Burza smoły! Widzicie szybkość tych chmur? Popatrzcie tam dalej. Widzicie ten lej?
- Poleć Bogu dusze, Igorze! To najlepsze co możesz zrobić.
- Po co? Bóg nas opuścił parę chwil temu. Odleciał z rakietą! To diabeł tutaj na nas czeka, mój dobry Piotrze!
Piotr nie zdołał odpowiedzieć. Jego kabina ratunkowa gwałtownie się przechyliła. Już nie spadała jak kamień; rozpoczęła ruch ukośny szerokim łukiem. Dosięgły jej najwyższe podmuchy. Nachylenie kapsuły pozwoliło zobaczyć nawis czarnych chmur, które prześlizgiwały się z ogromną szybkością. W ich kierunku znosiło teraz rozbitków. Wezbrana rzeka, mętna i pełna wirów. Jak wylewy rzeki Claro w jego ojczystym kraju, kiedy deszcze zasilające strumień, przekształcały go w ciemną, ryczącą głucho lawinę.
- Słyszycie to? – odezwał się Piotr drżącym głosem. – To piekło, moja kapsuła już dotknęła chmur.
- Boże Święty, Igor!
- Tonę!
Piotr wyłączył nadajnik, w tym momencie jego także ogarnęły podmuchy. Kapsuła zaczęła wirować. Frenetyczne obroty następowały jeden po drugim, aż poczuł zawrót głowy. Pośród tego zamętu dostrzegł, że jest pochłaniany przez jasny wir. Jednocześnie zaczął tracić świadomość.

Otworzył oczy. Kapsuła trwała nieruchomo. Do jej wnętrza wdzierał się jakaś jasność. Zamrugał powiekami, był jeszcze oszołomiony. Przywarł wzrokiem do otworu obserwacyjnego.
Nie ulegało wątpliwości: kapsuła tkwiła do połowy zanurzona w zielonej masie o wyglądzie roślinnym. Masa włókien odchylonych do tyłu, poddanych jakiejś dziwnej wibracji. Niebo miało wygląd białawego sklepienia, zapełnionego poruszającymi się formami. Zupełnie jak krajobraz podmorski. Wszystkie obiekty poruszały się w ten sam sposób. Podobne do gwiazd ciała, wirowały z dużą szybkością; nie można było rozróżnić ich końców. Kształty wydłużone, rurkowate o kolorach przejrzystych, różowym, żółtym, niebieskim. Wszystkie skręcały się delikatnie. On również się poruszał! Kapsuła balansowała powolutku. Włączył radio.
- Ratunkuuuuu! Jestem blisko powierzchni. Jest gładka jak marmurowa

płyta. Spadam…!
Cisza. Ryk wiatru. Piotr słyszał bicie swego serca. Igor zginaj. Siedział nieruchomo, nasłuchując. Nic. Upłynęło kilka sekund zanim przyszedł do siebie. Znowu się rozejrzał; wszystko spokojne i ciche. Odgłos huraganu budził niekończące sie echo, Jak wytłumaczyć to światło i bezustanny taniec przedmiotów? Nagle zrozumiał. Znajdował się w centrum powietrznego prądu. To odkrycie go oszołomiło, jego kapsuła ratunkowa spadła na podłoże roślinne, które płynęło, popychane powietrznymi prądami, w towarzystwie innych, podobnych, pływających wysp, podążając w tym samym kierunku. Wielkość tych wysepek była wystarczająca, aby utrzymać pojazd kosmiczny. Wszystko co go otaczało dookoła, było niczym innym, jak atmosferą planety, która mieściła w sobie florę, a być może i faunę, lekką i delikatną jak niektóre galaretowate morskie stworzenia. Światło niewątpliwie pochodziło z jakichś fosforyzujących mikroorganizmów. A wysokość?
-Sprawdził przyrządy. Wysokość stała. Chwilami schodził jakieś kilkaset metrów, następnie podnosił się, przekraczając dwadzieścia kilometrów. W oddali zapora mgieł ograniczała widoczność. Westchnął. Tymczasem nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Podniósł rękę do piersi i przycisnął fotografie. Podziękował Opatrzności. Co stało się z Bobem? Prawdopodobnie zginął tak jak i nieszczęsny Igor. Nieszczęśliwcy! Jasne, że on również nie mógł sobie specjalnie winszować szczęścia. Wody i żywności mogło mu wystarczyć na jakieś dziesięć dni. Powietrze planety, bogatsze w tlen niż ziemskie, nadawało się do użytku, jednak należało je przefiltrować.
Nagle zauważył, że poziom zewnętrzny się podnosi. Nie zdążył przemyśleć tego odkrycia, gdy masa roślinna dotarła na wysokość okienka obserwacyjnego. Przeszedł go dreszcz. Kapsuła ratunkowa pogrążała się. Chmura nie była na tyle solidna, aby utrzymać jego ciężar. A może wchłaniał go jakiś organizm? Nagle otoczyły go mgły, kapsuła ześlizgiwała się w dół. Po niekończącym się, długim zjeździe wreszcie znieruchomiała. Z drżeniem zapalił światło. Wstrzymał oddech. Wydawało mu się, że wystarczy najlżejsze drgniecie, aby kapsuła wznowiła swój ruch opadający. W końcu zmienił pozycje. Nic się nie stało. Hałas cyklonu dochodził do jego uszu odległy i przytłumiony. Możliwe, że znajdował się kilka metrów od dolnej powierzchni chmury i ześlizgując się dalej mógł

HUGO CORREA

Urodzony w 1926 r. w Chile. Jest dziś silną osobowością w latynoamerykańskiej literaturze SF. Jego opowiadanie z 1958 r. „Algulen mora en el viento” stało się klasyką literatury SF w Południowej Ameryce, otrzymało nagrodę „Alerce” przyznawaną przez Uniwersytet w Chile i zostało opublikowane w słynnym „The Magazine of Fantasy and Science Fiction”. Najbardziej znane książki Hugo Correi to: „El qua marodea en lluvia” z 1968 r. (powieść przeniesiona w kilka lat później na ekrany kinowe). „Los titeres” z 1969 r (zbiór opowiadań), „Los altimos” z 1959 r. (powieść) i. „Cuanda Pilato se opuso” z 1971 r.(zbiór opowiadań).

(TM.)

ponownie dostać się w strefę huraganu. Usiłował przebić wzrokiem mgle. Okienko było oblepione gęstą substancją. Obrócił kapsułę; na sześćdziesiątym stopniu widoczność zwiększyła się na nieokreśloną odległość. Z lewej strony mur rozpoczynał się od szyby.
„Stary, to są chwile, kiedy należy działać" - pomyślał. Sprawdził automatyczne laboratorium; powietrze czyste, bez zanieczyszczeń. Zdjął z drzwi zabezpieczenia i pchnął je. Kapsuła zadrżała. Sekundę trwał nieruchomo, po czym wrócił do pracy. Światło tworzyło na powierzchni szeroki prostokąt, ukazując płaszczyznę pełną wypukłości. Wyciągnął nogę. Ciężki but zagłębił się w podłożu elastycznym, stałym i równym. Znajdował się wewnątrz galerii o grubych ścianach, odgłos wiatru był tu przytłumiony. Dał kilka kroków, aby wypróbować teren. Następnie, świecąc latarnią, obejrzał dokładnie kapsułę. Stalowa rura z dyszą wbitą w glebę, opierała się o ścianę wewnętrzną, zamykającą przejście. Za jego plecami tunel się zakrzywiał. Schodził łagodną pochyłością, prowadząc do wnętrza masywu. Cylindryczny, o średnicy około dwu metrów. Kopuła kabinki dosięgała sklepienia. Ponad nią ział otwór przez który ciężka rakieta dotarła tutaj, ześliznąwszy się co najmniej 100 metrów. Sprawdził ciśnienie i zdjął skafander. Wciągnął w siebie powietrze łagodne i wonne. Poczuł się odmłodzony. Zrzucił z siebie również kombinezon kosmiczny i pozostał jedynie w lekkim skafandrze i plastykowych butach. Wykonał skłon, następnie usiadł i oparł się o ścianę. Do jego uszu przez odległy huk wiatru dochodziło jakby echo delikatnej melodii. Wspomniał swoją żonę i syna, dom, który zbudował z takim poświeceniem. Na ziemi o tej godzinie Elena przygotowywała się do snu. W jego kraju panowała zima. Z pewnością padało, a na kominie wiły się gałęzie eukaliptusa. Mały pewnie już leżał, z buzią rumianą i świeżą. „Dobrze. Zbadajmy teren. Zobaczymy dokąd prowadzi ten tunel".
Masyw poruszał się delikatnie. Łódka dryfująca po spokojnym morzu. Podłoże pozwalało szybko poruszać się do przodu; pod jego stopami uginało się jak gruby dywan, nie pozostawiając śladów. Miękkie w dotyku, o delikatnych wypukłościach ściany, „ wydzielały trudny do określenia zapach. Różnorodne grzyby wyrastały na poboczach przejścia tworząc oryginalne obrzeża. Nawet lekkiego powiewu. Panowała przyjemna temperatura. Droga wiła się regularnymi zakrętami. Łączyły się z nią galerie różnej wielkości. Podążał zawsze największą z nich. W ten sposób przewędrował około pięciuset metrów.
Podmuchy wiatru stawały się coraz bardziej odległe. Ten fakt wskazywał jak gruba była ta popychana przez cyklon gąbka. Ogromna liczba wypełnionych powietrzem korytarzy, przekształciła ją w naturalny aerostat.
Nagle, po jeszcze jednym zakręcie, rozbłysło światło. Mężczyzna stanął jak wryty. Światło było tego rodzaju, że wykluczało możliwość fosforescencji. Wsłuchał się, znana już melodia rozbrzmiewała gdzieś w pobliżu. Po kilku chwilach wahania skierował sie w te stronę. Światło było jaśniejsze. Wyłącznie przez ostrożność wziął do reki pistolet. Korytarz kończył się gigantyczną jaskinią. Prawdziwa grota usytuowana w samym sercu masywu. Ze stropu, na dużej wysokości zwisała kula, przytulnie oświetlająca wnętrze. I przedmiot ten, sztuczne słońce, był pochodzenia ziemskiego.

Obrzeżona bladą roślinnością laguna nadawała zakątkowi szczególnego uroku. W pobliżu wody usytuowany był namiot pneumatyczny o przestarzałym fasonie. Stąd właśnie dochodziła muzyka. Umieszczone bardziej z tyłu dwa jasne schrony uzupełniały obóz.
Kto mógł tu mieszkać? Przypomniał sobie poprzednie ekspedycje. Na Ziemi przypuszczano, że nikt z nich nie uszedł z życiem. Ale jego własne ocalenie świadczyło o istnieniu takiej możliwości. Nieomal już widział owłosionego i rozczochranego mężczyznę. Jedynie muzyka wywoływała echo w zakątku. Drzwi otworzyły się, gdy znajdował się w odległości dwudziestu metrów. Na progu ukazała się wysoka dziewczyna, ubrana w niemodną spódnice i bluzkę. Młodziutka. Jej twarz promieniała świeżością i pewnym szczególnym uduchowieniem.
- Spóźnił się pan - powiedziała z uśmiechem.
Piotr stanął jak wryty, z szeroko otwartymi ustami i oczami.
- Jak...?
Roześmiała się, co jeszcze bardziej rozjaśniło jej twarz. Jasne włosy spadały na czoło. Jakiś figlarny błysk igrał w jej żywych, ciemnych oczach.
- Jak dowiedziałam się, że pan tu idzie? - zbliżyła się do niego. Może pan to nazwać kobiecą intuicją. Ale proszę wejść. Czekałam na pana z obiadem.
Ujęła go za rękę i poprowadziła do namiotu. Pomieszczenie było umeblowane sprzętem polowym. Krzesła, stół i dywan. W lewym kącie kuchenka ze stojącymi na niej naczyniami, z których rozchodził się ciepły i apetyczny aromat.
- Proszę siadać. Czy pan jest głodny?
- Nie wiem. Proszę mi powiedzieć, kim pani jest?
- Jestem Laura. - Ze ściennej szafy wyjęła talerze i sztućce i nakryła do stołu, jak doświadczona pani domu. - W pierwszej ekspedycji brała udział kobieta.
- Pani?
Ponownie się roześmiała, ukazując białe zęby.
- Nie, nie. Jestem córką tej kobiety.
- A pozostali? Pani rodzice?
- Umarli. - Zdjęła pokrywkę z jednego naczynia i rzuciła szybkie spojrzenie na jego zawartość. Wydawała się zadowolona. - Od wielu lat żyje tu sama.
- Chce pani powiedzieć, że jest jedyną osobą, która zamieszkuje to miejsce?
- Tak jest. - Napełniła zupą dwa talerze i, podawszy mu jeden, zajęła miejsce naprzeciwko. - Smacznego. Proszę jeść, zanim ostygnie.
Zupełnie jak w domu. Jedynie przerywane balansowanie podłoża przypominało o sytuacji.
Podczas gdy jedli, Laura opowiedziała mu swoją historie. Mówiła spokojnie, tak jakby odnosiło się to do rzeczy zwykłych i powszednich. Trzej mężczyźni i doktor Solar, jedyna kobieta biorąca udział w ekspedycji, zostali rzuceni wiatrem na chmurę wkrótce po opuszczeniu rakiety. Odkryli szczególną formacje wysepki i zainstalowali się w jej środkowej części. Zdołali ocalić od katastrofy wiele przedmiotów, które przygnał tu huragan: przenośną baterie atomową, sztuczne słonce, żywność i lekarstwa. Życie rozbitków zaczęło się toczyć normalnie. Pomimo że dysponowali radiem, na skutek specyficznej interferencji fal, okazało się niemożliwe nawiązanie kontaktu z kimś z zewnątrz. Musieli pogodzić się z myślą o niemożliwości opuszczenia tego miejsca. Burzliwa atmosfera stanowiła przeszkodę nie do przezwyciężenia przez ziemską naukę. W czym się mylili, pomyślał Piotr, wspomniawszy ostatnie próby zbadania planety. Ale było tu wystarczająco dużo wody, dobre powietrze i jadalne rośliny, które umożliwiały przeżycie. Rozbitkowie mogli się spodziewać, że nie zginą z wycieńczenia. Ale była tylko jedna kobieta. Mówiąc to, Laura skierowała wzrok w stronę kuchenki. Nie okazywała specjalnego zakłopotania. Piotrowi wydawało się chwilami, że to jakiś absurdalny sen.
Gdziekolwiek znajdą się mężczyźni, zawsze pozostaną mężczyznami, kontynuowała dziewczyna. Doktor, na chłodno, zdecydowała się zaspokoić ich wszystkich trzech, aby uniknąć rywalizacji. To był błąd. Jeden z nich zakochał się w niej. Zdesperowany jej niewzruszonym postępowaniem, popełnił samobójstwo. Laura nie wydawała się poruszona swoją opowieścią. Tak jak ktoś, kto relacjonuje fabule tylko co obejrzanego filmu. Pozostali dwaj mężczyźni zestarzeli się szybko, w niewytłumaczalny sposób.
- Zestarzeli? - Piotr poczuł chłodny dreszcz.
- Tak. Po upływie kilku tygodni stali się starcami. I umarli.
- Jak? Dlaczego?
Wzruszyła ramionami. Wstała i zajęła się przygotowaniem drugiego dania.
- Ze starości. Być może jakaś nieznana choroba. Ale wszystkie objawy, według mojej matki, wskazywały na starość. I ona również starzała się, chociaż nie tak szybko. Spodziewała się dziecka.
Postawiła dwa talerze, już przygotowane.
- Moja matka wydała mnie na świat bez niczyjej pomocy. Wszystko poszło dobrze. Ale ona w dalszym ciągu starzała się i, kiedy skończyłam dziesięć lat, umarła. Do ostatniej chwili miała nadzieje, że przybędą, aby ją ocalić. Była piękna. Zniszczyła ją przedwczesna starość. Nienawidziła tej planety.
- A pani?
- Lubię ją. Nie znam innej. Jak smakuje panu ta potrawa?
- Bardzo dobra. Naprawdę znakomita.
- Przyrządza się ją z pewnych tutejszych roślin. Bardzo pożywna. - I dodała: - Być może sądzi pan, że powinnam mieć inne pragnienia. Wrócić na Ziemie, przynajmniej starać się o to, wyjść za mąż, mieć dzieci. Ale nie przejmuje się tymi rzeczami.
- Ile ma pani lat?
- O ile wiem, nie zadaje się kobietom tego pytania, prawda? Mężczyzna poczerwieniał.
- Nieważne! - zawołała śmiejąc się z jego zakłopotania. - Dwadzieścia.
- Wygląda pani na piętnaście.-
- To chyba komplement. Moja matka lubiła kiedy jej mówiono, że wygląda na młodszą niż była. Biedna! Była bardzo nieszczęśliwa.
Patrzyła zamyślona. Piotr poczuł przypływ niewysłowionej tkliwości. Na koniec dziewczyna zmarszczyła brwi, zastukała palcami po stole i uśmiechnęła się.
- Podoba mi się pan. Nigdy dotąd nie widziałam mężczyzny. Myślałam, że będzie to coś niepokojącego, co wprowadzi mnie w zakłopotanie. A przeciwnie, obok pana czuje spokój i bezpieczeństwo. Proszę mi o sobie opowiedzieć.
Wyjaśnił jej, że meteoryt spowodował zmianę kursu rakiety, która znalazła się w polu ciążenia planety. Zapasy paliwa były ograniczone. W obliczu zagrożenia upadkiem na planetę, musieli pozbyć się całego ładunku. Okazało się to niewystarczające. Musieli pozbyć się jeszcze dwustu kilogramów. Zastosowano regulamin. Wylosował on i dwaj inni.
- Jeden zginął?

- Jeden? Obaj, o ile wiem!
- Nie. - Odpowiedziała z dziwnym naciskiem. - Jest ktoś drugi, kto także ocalał.
- Bob? Gdzie on jest?
- Nie wiem. Znajduje się daleko i grozi mu niebezpieczeństwo.
- Skąd pani to wie?
- Urodziłam się tutaj, na tej planecie. Wbrew pozornemu chaosowi, panuje tu określony Porządek; jak w całej naturze. Możliwe, że moja intuicja jeszcze się zaostrzyła. Z góry mogę przewidzieć pewne określone wydarzenia. Wnikają one do mojego mózgu w formie nagłych myśli.
- A Bob? Czy możemy coś dla niego zrobić?
- Nic. jeżeli zamierzają go ocalić, przybędzie tu, wcześniej, czy później. W przeciwnym razie...
Zakończyła zdanie wymownym gestem.
- Co to znaczy „jeżeli zamierzają go ocalić”? Kto?
- No cóż... - wahała się przez kilka sekund - nic się nie dzieje bez przyczyn, prawda? Chociaż nie mam na to dowodów, wiem że istnieją tutaj jakieś istoty inteligentne. Gdzie one są? Nie wiem. Nie można ich również zobaczyć, ale ich obecności można sie domyślać po wielu niewytłumaczalnych zjawiskach.
Piotr rozejrzał się dookoła niespokojnie.
- Proszę się nie obawiać. Z tego co czytałam wynika, że na wszystkich planetach, na których istnieje życie, w wyniku ewolucji mogą powstać istoty inteligentne. Czemu nie tutaj?
- Musiałaby je pani ujrzeć, bo zamieszkałyby miejsca podobne do tego.
- Może tutaj, w przeciwieństwie do Ziemi, z uwagi na specyficzne warunki atmosferyczne, istoty na wyższym stopniu rozwoju są bezcielesne.
Największe i najtrwalsze w białych prądach są właśnie te chmury - kontynuowała Laura. - Powstały one z kolonii pierwotniaków, podobnie jak rafy koralowe na Ziemi. Wszystko pozostałe jest lekkie, prawie eteryczne i niezwykle kruche.
- Jedna rzecz jest pewna: tutaj wichry są panami i twórcami życia.
W oddali gwizdy podmuchów. Piotr poczuł dreszcz. Laura zebrała naczynia i włożyła je do zmywarki.
- Na tej planecie, od samego początku zmagają się dwie siły: jedną reprezentują prądy jasne, a drugą ciemne. Te ostatnie tracą teren, ale w dalszym ciągu są potężne.
Podała kawę.
- Proszę mi powiedzieć, czy pani „przyjaciele” mogliby wskazać drogę wyjścia?
- Nudzi się tu panu? - spytała z zabawnym gestem niezadowolenia,
- O nie! Ale sądzę, że zarówno dla pani, jak i dla mnie byłoby dobrze móc opuścić te planetę.
- Nie. Nie wyjadę stąd. Wiele wspomnień wiąże mnie z tym miejscem - odpowiedziała powoli. - Chociażby dla pamięci matki powinnam tu zostać. Dwadzieścia lat i tragedia, dzięki której przyszłam na świat. Nie można tego wszystkiego zapomnieć. Rosłam z tymi wspomnieniami i, lepiej czy gorzej, planeta ta traktowała mnie dobrze. Tu wszystko wydaje mi się naturalne, na Ziemi byłoby inaczej. Nie wiem który z tych trzech mężczyzn był moim ojcem, ale się tym nie przejmuje. Może klimat, czy też to coś sprawia, że niektórzy traktują takie sprawy tolerancyjnie. Zaczęła układać naczynia i sztućce w szafce ściennej. Piotr wstał i przeszedł się po namiocie.
- Zobaczy pan, że spodoba się tu panu. Nie przybędzie panu lat.
- Skąd pani wie?
- Został pan tu dobrze przyjęty. Odmłodnieje pan. Nie będzie pan miał potrzeb materialnych, tak jak ja. Przeciwnie niż moja matka, która zawsze była przygnębiona.
- Klimat planety podkreśla temperament osób - dodała Laura. Materialiści czują, że wzmaga się ich apetyt. To zrozumieli ci, którzy przeżyli z pierwszej ekspedycji.
- A inne wyprawy? Czy ktoś ocalał?
- Nikt, o ile wiem. Pan pierwszy od dwudziestu lat zdołał ujść z życiem z huraganu. I nie był to przypadek. Może los chciał, abym miała towarzysza.
Piotr wychylił się na zewnątrz namiotu. Na wysokości powyżej pięćdziesięciu metrów kołysało się sztuczne słońce. Jego odbicie uzyskiwało dziwne kontury w wodzie laguny, której powierzchnia, w wyniku delikatnego kołysania, wydawała się pokryta falami.
„Dziesięć lat sama. Biedna. Poza wszystkim, może to i lepiej”.
- Jest pan senny?
Jej głos wyrwał go z zamyślenia.
- Może się pan położyć kiedy zechce.
- Dziękuje. - Wydobył fotografie i pokazał jej. - Moja żona i syn. Nie jest taka ładna jak pani, ale ona jedna mnie chciała. Co pani myśli o dziecku?
- Jaki śliczny!
- Tak. Bardzo żywy.
- Dla nich pan umarł, prawda?
- Tak, prawda. Niech się dzieje wola Nieba. Mam szczęście. To miło poznać dziewczynę taką jak ty, spontaniczną i pozbawioną złośliwości. Jestem zwyczajny; nie mam takiej inteligencji jak Bob czy Igor.
- Postaram się to odwzajemnić. - I dodała z dziecięcym wahaniem: - Zrobię wszystko, aby był pan szczęśliwy. Mężczyzna wziął ją za brodę i zajrzał w oczy. Wytrzymała jego spojrzenie. Ścisnął ją w ramionach; poczuł dziewczęce ciało. Zapach jej włosów wprowadził go w błogi nastrój. Odległy szum wiatru. Gąbka, która obracała się szarpana burzliwą atmosferą. A on był tutaj, z kobietą, która się nie broniła. Nie. Nie mógł tego zrobić. Dlaczego? Od tak prostego czynu zależało zniszczenie tego uroku. Dziesięć lat sama. Jej matka i trzej kochankowie. Delikatnie odsunął się. Laura się uśmiechnęła. Ogromna ulga odbiła sie na jej twarzy. - Będziemy bardzo szczęśliwi. Zobaczysz. Tutaj był potrzebny mężczyzna taki jak ty„Ponieważ mężczyźni decydują o przeznaczeniu. Czy nie tak?
- A może kobiety?

- Już się obudziłeś? - Laura weszła do sypialni. Woń kawy i rozszerzyła nozdrza mężczyzny. Zupełnie jak w domu. Czy przyszłoby do głowy jego towarzyszom z rakiety, że on, skazany na pewną śmierć, korzystał teraz z wygód większych niż oni?
- Musze iść poszukać moich rzeczy w kapsule ratunkowej.
- Nie kłopocz się tym. Wstałam rano i wszystko przyniosłam. Dryfowanie łodzi po spokojnym morzu. Mężczyzna się golił, kołysząc się delikatnie. Wziął długą kąpiel. Słyszał Laurę nucącą, zajętą przy swojej domowej krzątaninie.
Wszystko, co znajdowało się w obozowisku, zostało zainstalowane tu przez rozbitków. Bateria jądrowa, zdolna pracować przez stulecia bez uzupełniania zapasu paliwa. Sztuczne słońce - ogromna lampa gazowa, która na ograniczonym obszarze dawała efekty podobne do słonecznego światła - zostało ustawione tak, aby dawać światło w ciągu czternastu godzin i gasnąć na dziesięć. Jak na Ziemi.
- Chodźmy! - powiedziała dziewczyna.
- Mam wrażenie jakbym stracił na wadze. Zauważyłaś czy schudłem?
- Schudłeś? Znam cie zaledwie od wczoraj. Skąd mogę wiedzieć?
- Racja. Zapomniałem. Ale czuje się dziwnie. W każdym razie jest przyjemnie.
- Zobaczysz jak dobrze będziesz się tu czuł.
Laura maszerowała na przedzie jednym z niezliczonych tuneli wpadających w grotę centralną. Przez wiele minut schodzili korytarzem zakreślającym spirale. Dziewczyna oświetlała drogę latarnią. Czasem zatrzymywała się i czekała na Piotra, który pozostawał w tyle. Kiedy indziej brała go za rękę, prowadząc przez wertepy kolosalnej gąbki. Dwa kilometry średnicy, jeden grubości. O formie zbliżonej do soczewki. Obracała się wokół własnej osi, dając jedno okrążenie co pięć minut.
- Tysiąc pięćset kilometrów na godzinę. Co dwadzieścia sześć godzin okrążamy planetę.
Piotrowi przyszło do głowy, że pomimo wszystko, było możliwe przedarcie się ludzi przez burzliwą atmosferę i osiedlenie się na tych prawdziwych satelitach. Tak czy inaczej każda chmura mogła udzielić schronienia co najmniej setce ludzi. Dotarli do innej jaskini, rozpościerającej się dokładnie pod pierwszą. Hałas wichru stał się nie do zniesienia. Na powierzchni, w środkowej części tej groty, znajdował się szeroki otwór. Wydostawało się przezeń mleczne światło. Mężczyzna się zatrzymał. W półcieniu Laura się uśmiechnęła.
- Teraz musimy założyć skafandry! - zawołała. Powtórzyła polecenie, ponieważ hałas nie pozwolił dosłyszeć głosu.
- Co chcesz zrobić?
- Pozwolimy się unieść wiatrowi.
- Chcesz powiedzieć, że skoczymy tutaj?
Ponownie ujęła go za rękę. Zbliżyli się do otworu. Skłębione smugi zniżały się, rozmiatając ogromne ilości szczątków. Wiele z nich fosforyzowało.
- Chodźmy! - powiedziała nagle Laura.
Nie puszczając jego dłoni, którą przez rękawice mocno ściskała, rzuciła się w otwór. Mężczyzna zdusił krzyk. Spadali przez chwile, która wydawała mu się nieskończona. Gdy ochłonął, zobaczył, że jest otoczony gęstą, opalizującą mgłą, wypełnioną dziwnymi figurami, które wirowały. W górze cień chmury. Poniżej zwieszały się długie liany, wijące się jak węże w podmuchach wiatru. Powoli masyw pozostawał w tyle.
Piotr płynął obok dziewczyny nie odczuwając najmniejszego zmęczenia. Nagle puściła go.
- Posuwaj się za mną. Wiatr zrobi to, o co go poprosisz.
Figura dziewczyny w kosmicznym skafandrze odpłynęła jak mydlana banka. Wystarczył lekki ruch ciała i rąk, aby się do niej zbliżyć. Z prawej strony wzrok napotykał nieprzejrzaną czerń.
- To jeden z prądów ciemnych. Należy ich unikać. Ciągną za sobą obiekty o dużej wielkości i ciężarze zdolnym zmiażdżyć nas w jednej chwili. Są tam resztki rozbitków, chmury kamienne i piaszczyste, które ten wiatr unosi od początku. Wszystko to, co przestaje istnieć w strumieniach jasnych zostaje wrzucone do tych wirów. To prawdziwe cmentarzyska. Załogi ziemskich statków kosmicznych, które spadły na te planetę,

płyną w tych wirach.
- Przejdźmy do innego strumienia! - zawołała Laura.
Nowa droga obniżała się. Dziewczyna wytłumaczyła mu, że powietrzne prądy wieją we wszystkich kierunkach i na różnych wysokościach. I można było okrążyć całą planetę, korzystając jedynie z tego napędu.
Poniżej, szybko zbliżała się płaszczyzna lśniąca i płaska, z różnobarwnymi pasami.
- Ziemia! Przelećmy w pobliżu!
Czy można było skierować tu statek tak, aby uniknąć rozbicia? Poniżej stu metrów zamknął oczy. Spojrzawszy ponownie ujrzał, z wysokości mniejszej niż metr, płaszczyznę wygładzoną, lśniącą ostrymi barwami, gwałtownie ześlizgującą się w dół. Nieomal odczuł gorąco spowodowane tarciem wiatru przez tysiąclecia szlifującego powierzchnie planety. Gładka jak marmurowa płyta. Słowa Igora zadźwięczały w jego uszach. W oddali, inny lej obiegał planetę, jak gigantyczny, wyprężony wąż. Fantasmagoryczna wizja oddaliła się. Eoliczna erozja oczyściła oblicze planety, pozostawiając ją piękną i nieskalaną, przekształconą w szklaną łąkę.



Ludzie nigdy nie zdołaliby zagłębić się w tej ziemi. Wyobraził sobie statek kosmiczny, usiłujący wylądować. Jak ślizgałby się po powierzchni, koziołkując, zanim rozleciałby się na kawałki, wzbogacając swymi szczątkami zawartość wirów. Mknęli jak strzały, skacząc z jednego prądu w drugi, przenosząc sie z jednej strony w drugą. Nagle znaleźli się w dużym tunelu, o przejrzystej atmosferze i ścianach z gęstych chmur wirujących i tęczowych. Wylądowali na niewysokich wzgórzach; w górze perłowa kopuła o delikatnych lśniących refleksach. ‘ Wyszli z powietrznego korytarza i wylądowali w strudze światła. Bardzo blisko jakaś chmura ześlizgiwała się gwałtownie.
- Jesteśmy na miejscu. - powiedziała dziewczyna. I dodała: - Jest tutaj twój przyjaciel.
- Kto?
- Ma na imię Bob. Przybył tu podczas naszej nieobecności
Kiedy pozbyli się skafandrów, szepnęła mu do ucha:
- Jesteś zadowolony?
- Tak.
- Mam nadzieje, że zawsze będziemy mogli być szczęśliwi - powiedziała ze smutkiem.
- Dlaczego?
- Nie wiem...
Bob stał obok namiotu. Na ich widok szeroko otworzył oczy.
- Piotr! A ta dziewczyna? Czy ja śnie?

-To było piekło - mówił Bob. Wiatr mną kręcił. Prawie mnie rozszarpał. Opuścił kapsułę, kiedy ta zaczęła wirować. Jego ciało utkwiło w czymś. Od uderzenia stracił przytomność. Wróciwszy do siebie, odkrył, że jego oparcie traci wysokość. Roślina, na której wylądował była o włos od pochłonięcia przez ciemną strefę. Nagłe podmuchy wiatru wydobyły go stamtąd. Przez wiele godzin był unoszony wiatrem, wirując i wplątując się w różne przedmioty, fruwające wokół. Dobrze, że nie zderzył się z czymś twardym. W końcu, kiedy już myślał, że jest zgubiony, wylądował na chmurze.
- Zdaje mi się, że miałeś więcej szczęścia Piotrze.
- Igor zginął.
- Kto może tu przeżyć na zewnątrz? Nie wiem jak zdołałem uciec. A ty? A ta dziewczyna? Opowiadaj.
Piotr streścił krótko swoje przeżycia oraz historie Laury.
- Masz szczęście 1 Trafić tak od razu. - Dodał zwracając się do dziewczyny: - Wyobrażam sobie, że jesteście bardzo dobrymi przyjaciółmi! Piotr nie należy do tych co tracą czas.
- Była dla mnie bardzo dobra - powiedział Piotr, czując się niezręcznie.
- Udzieliła mi gościny i pokazała planetę.
Laura nieznacznie dała mu znać gestem, aby zamilkł.
- Są pewne rzeczy, które nadają życiu różanej barwy. Nawet piekło może zmienić się w raj. Jesteś wielkim, ale to wielkim szczęśliwcem, Piotrze.
Laura wyszła z namiotu. Bob pochylił się nad stołem i szepnął:
- Nie powiesz mi chyba, że z tym cukierkiem u boku pozostałeś wierny swojej żonie!
- Jesteśmy tylko przyjaciółmi, Bob. Nawet jeżeli wyda ci się to dziwne. To bardzo dobra dziewczyna. Mógłbym być jej ojcem.
- Dobra, dobra! Nie do mnie z takimi bzdurami. To królowa w każdym calu!
- Nic nie wie o życiu, Bob. Wychowała się samotnie i jest szczęśliwa. Jest bardzo uduchowiona...
- Tak? Z tymi piersiami i ciałem zdolnym uszczęśliwić najbardziej wymagającego? Skłamałbym mówiąc, że wywołuje u mnie skojarzenia duchowe. A jeśli chodzi o to, że nic nie wie o życiu, no cóż, nigdy nie jest za późno, aby rozpocząć edukacje, czyż nie?
- Nie wiem, Bob. Nie mam ochoty o tym mówić.
- Dlaczego? Słuchaj Piotrze, nie udawaj naiwnego. Nazwijmy rzeczy po imieniu. Ta kobieta podoba mi się. Rozumiesz? Jesteśmy opuszczeni w tym piekle, a ona mogłaby nam znacznie uprzyjemnić ten koszmar. Ponieważ przybyłeś tu pierwszy, nie będę kwestionował twoich praw. Jasne, ze to ciastko z łatwością starczy dla dwóch. Skoro mamy żyć tu razem, proponuje podzielić się nią. Żadnego egoizmu.
Piotr wstał zirytowany.
- Słuchaj Bob. Rób co ci się podoba. Jest kobietą i będzie umiała poradzić sobie z tymi sprawami. Jeżeli spróbujesz użyć przemocy, ostrzegam, że będę jej bronił. Są rzeczy, których się nie da podzielić. Jeżeli ona cie zaakceptuje, nie będę się wtrącał. Oczywiście, wolałbym tej sprawy nie poruszać. Ale ostatecznie rozumiem cie.
Wyszedł z namiotu i skierował się w stronę laguny. Lekkie kroki za plecami.
- Co ci powiedział twój przyjaciel?
- Nic. Opowiadał swoje perypetie.
- Nie mówił nic o mnie?
- Bardzo mu się podobasz - odpowiedział sucho. Pożałował tego tonu i dodał z uśmiechem: - Co o nim sądzisz?
- Nie wiem. Patrzył w taki sposób... Boje się go. Ale jednocześnie jest przyjemny.
- Aha.
- Co ci jest? Nie jesteście w zgodzie?
- Nie, nie! To dobry chłopak. Bardzo inteligentny. Zapowiadał sie na świetnego astrogatora. Po tej podróży miał zostać komendantem.
- Biedak! I wylądował tutaj! On nie należy do tych, którzy mogą zaadaptować się na tej planecie.
- Dlaczego tak sądzisz?
- Przez to co powiedział. Nie został tak dobrze przyjęty jak ty. Dlatego nie chciałam, abyś mówił o naszej podróży. Na razie nie trzeba, aby o tym wiedział. Postaramy się uprzyjemnić mu pobyt tutaj, żeby nie zgorzkniał, prawda?
Piotr westchnął. Jakże łatwo było osiągnąć to co mówiła, pomyślał wspominając niedawną rozmowę.
- Pozostaniemy przyjaciółmi, dobrze? Jeżeli coś ci się nie będzie podobało, powiedz mi to. Nie chciałabym stracić twojego szacunku.
- Nie martw się o to. Zawsze możesz na mnie liczyć. Odsunął dręczące przeczucia.

Bob i Piotr na zmianę wykonywali prace. Nie były one zbyt ciężkie, jednakże wymagały pewnego wysiłku. Zbierali rośliny w pobliskich galeriach i przerabiali je w przestarzałej maszynie rafinacyjnej. Bob, znakomity mechanik, przejrzał baterie i naprawił niektóre urządzenia dotychczas nieużyteczne, ponieważ Laura nie znała ich zastosowania. Dwaj mężczyźni zajmowali jedną sypialnie. Piotr zauważył, że Bob i Laura odbywali długie rozmowy. Niejeden raz widział, jak wychodzili późno, razem, roześmiani. Zorientował się również, że niekiedy jego obecność nie była mile widziana przez Boba. Inaczej było z Laurą, która zawsze była dla niego uprzejma. Wydawało mu się nawet, że dostrzega u dziewczyny pewne rozżalenie za swoją jakby obojętność. Ale co mógł zrobić? Trzeciego dnia po swoim przybyciu, Bob nie spał u siebie. Tego poranka, po raz pierwszy, Laura nie przyniosła śniadania. Piotr wstał i poszedł do łazienki, oddzielającej obydwie sypialnie. Pomimo pneumatycznych ścian, wydało mu się, że w alkowie słychać

męski głos...
Kiedy wychodził z łazienki, natknął się na Laurę. Dziewczyna zmieszała się.
- Dzień dobry!
- Jadłeś już śniadanie? Przepraszam, trochę się spóźniłam!
- Nie przejmuj się tym. Sam sobie przygotuje.
- Nie bądź niemądry. Śniadanie będzie gotowe, zanim skończysz.
Parę minut później, kierując się do jadalni, zderzył się z Bobem. Chłopak zamierzał wejść do łazienki, ziewając i przeciągając się.
- Jak się masz, Piotrze! Jak ci się spało?
- Dziękuje, dobrze. A ty?
- Jak kalif! Boccato di cardinale, jak mawiał Igor. - Zakończył zdanie przymrużeniem oka.
Piotr gestem nakazał mu milczenie; słyszał w kuchni obok Laurę. Bob oparł się o drzwi łazienki i spojrzał na niego pobłażliwie.
- Nalegam na moją propozycje, Piotrze - powiedział zniżonym głosem, z szerokim uśmiechem na twarzy. - Nie jestem egoistą. Kiedy tylko zechcesz, możemy zawrzeć urnowe, powiedzmy, o nieagresji. Po pół nocy. Jak to widzisz? Dziewczyna jest już doświadczona w trudnej sztuce miłości. Mniej pracy dla ciebie. Nie chce się poddać życiu łatwemu i rozpustnemu. Ale dla ciebie rzeczy staną się znośniejsze na tej nieszczęsnej planecie.
Piotr poczuł, że ma go ochotę spoliczkować. Opanował się i westchnąwszy przeszedł do jadalni. Usłyszał, że Bob gwiżdżąc jakąś melodie wszedł do łazienki.
Obserwował ukradkiem Laurę, która podawała śniadanie. Zarumieniła się nagle. Odwrócił wzrok, myśląc, że jego spojrzenie mogło być impertynenckie.
- Pomogę ci.
- Nie, nie. To się już nie zdarzy.
Niezręcznie podała filiżankę, nieomal wylewając ją na Piotra.
- Przygotuje twoją porcje. Nie wiem co się dzisiaj ze mną dzieje!
- Pozwól, że sam to zrobię.
- Nie. Obiecałam, że będziesz tu miał dom. -1 dodała patrząc mu w oczy, przygnębiona: - Wiem, że to już nie jest to samo.
- Ależ, co ty! Nie martw się. Świetnie się spisujesz. Powiedziałem, że zrobię sobie jedzenie, po to abyś nie odkładała swoich zajęć. Zawsze pomagałem Elenie. Kiedy znowu pójdziemy na spacer?
- Ten... Możesz iść kiedy zechcesz! Już wiesz, co trzeba zrobić...
- Czemu nie mielibyśmy wybrać się w trojkę? Bob byłby zachwycony.
- Czym byłbym zachwycony? - Bob wszedł do jadalni owinięty w kąpielowy ręcznik.
- Lataniem. Fruwaniem z wiatrem.
- Ja? Oszalałeś, stary! Nawet po śmierci. Nie rozumiem jak wy to mogliście zrobić. Macie chyba jakieś specjalne uwarunkowania. Już na samą myśl, że mógłbym popełnić podobne szaleństwo dostaje gęsiej skórki.
- Ale skoro wiatr jest tak potężny, że może unieść statek kosmiczny, co ci się może stać?
- Czy ja wiem. Kiedy upadłem miedzy te powietrzne fale, absolutnie nie czułem się lżejszy. Moje ciało było niczym ołowiany ładunek. Nie fruwałem. Kręciłem się jak fryga, ciągle w dół.
- Nie przejmuj się tym, Bob - przerwała milczenie Laura. - Zaaklimatyzujesz się. Nie wszyscy mają te łatwość co Piotr.
- To jest piekło! - powtórzył Bob patrząc na Laurę. - Ale pewnego dnia ludzie tu przybędą i zapewniam was, że coś z tym da sie zrobić. Przynajmniej odkryją, że w tych chmurach można żyć. Energia wiatru dostarczy im taniej siły motorycznej, która umożliwi eksploatacje planety. Wystarczy, że zbadają systematycznie te prądy, a reszta już będzie prosta. Kwestia odpowiedniego wyjścia naprzeciw wiatrowi i powolnego hamowania aż do momentu dotknięcia ziemi. Można skonstruować podziemne rakietodromy, a ponieważ wody i powietrza jest tu pod dostatkiem, nie będą mieli trudności z zaopatrzeniem. Nie tak jak na innych planetach, gdzie nic nie ma.
Odwrócił się kierując do sypialni. Mijając Laurę, objął ją wpół. Oswobodziła się delikatnie, rzucając na Piotra ukośne spojrzenie.
- Mylisz się Bob! - powiedziała wolno. - Prądy bezustannie zmieniają kierunek, bez zachowania określonego porządku. Żaden nie utrzymuje regularnego kursu.
- Tak? Dobrze. Już ludzie odkryją ten system. Ród ludzki nie zatrzyma się z powodu takiej niedogodności. Tym bardziej, jeżeli sie dowiedzą, że niektórzy rozbitkowie zdołali ujść z życiem.
- jak się o tym dowiedzą? - zapytał Piotr.
- Skonstruuje przekaźnik, aby mogli nas usłyszeć na Księżycu lub na jakiejkolwiek rakiecie lecącej na Merkurego. Te, których używali pierwsi rozbitkowie były przestarzałe.

Piotr wchodził w jeden z korytarzy, kiedy zatrzymała go Laura. Widać było, że jest czymś poruszona.
- Co się stało?
- Chciałabym z tobą pomówić o Bobie.
Rzuciła szybkie spojrzenie na dom; potem ujęła go pod ramie i razem weszli do galerii.
- Jak miło być z tobą! Czuje się taka spokojna i bezpieczna dodała z prośbą w głosie. - Nie myśl o mnie źle.
- Źle myśleć o tobie? Skąd ci to przyszło do głowy? - Wziął ją pod brodę i zajrzał w oczy. - Nigdy bym o tobie źle nie pomyślał, rozumiesz.
- Dziękuje - szepnęła. Pocałował ją w rękę. -Jesteś bardzo dobry, Piotrze. Bob nigdy nie będzie mógł fruwać tak jak ty i ja. Oni go nie lubią. Pomimo to dali mu szanse. Przyprowadzili go tutaj, nie zostawili na pastwę losu. Ale nic więcej dla niego nie zrobią. Widzisz? A on zdaje sobie sprawę z sytuacji, chociaż jej dobrze nie rozumie. Coś wyczuwa. Wydaje mu się niemożliwe, że mogłeś fruwać i z wiatrem okrążyć planetę. Jest przekonany, że on sam nie zdoła tego dokonać. Nie myli się. Te myśl wszczepili mu ci, którzy tu żyją. Oni wiedzą, co robią.
- Ale czy ty naprawdę w to wierzysz? Czy nie jest to jedynie złudzenie twoje lub Boba?
- Nie. Już ci to powiedziałam: tutaj panuje pewien Porządek. - I dodała drżącym głosem: - Teraz i ja nie odważyłabym się rzucić na wiatr.
Nie mówiąc nic więcej z opuszczoną głową wyszła z galerii. Piotr widział jak Bob udał się do komórki z maszynami. Osiągnie swój cel? Sam fakt, że Elena dowiedziałaby się, że on żyje, byłby dla niego pociechą. Nowy klimat dobrze mu służył. Nie bał sie wiatrów i nie zaprzątała go sprawa rozwiązania tajemnicy. Ale nie mógł zostać tu do końca życia.
Bob, chciał tego czy nie, musiał założyć dom z Laurą. Zatroszczy sie o to; lubił dziewczynę i życzył jej losu spokojnego i godnego. Ale gdy widział ich razem, przypominali mu żonę i syna. Bob, w koszuli z krótkimi rękawami, manipulował przy skomplikowanym urządzeniu stojącym w szopie.
- Jak tam?
- Cześć. - Przygładził zwichrzone włosy. Krople potu spływały po jego twarzy. Zgasił przenośną latarkę. W półmroku Piotrowi wydało się, że dostrzega coś dziwnego w jego twarzy. - Niewiele zrobiłem. Strasznie się mecze. Czuje się ociężały i bez sił. Pomimo że ciążenie jest prawie takie samo jak na Ziemi, mam wrażenie jakby było podwójne. Nie czujesz tego, Piotrze?
Piotr nie odpowiedział. Bob powoli wyszedł z pomieszczenia i zaczerpnął duży haust powietrza. Piotr upewnił się, że przed paroma sekundami wzrok go nie omylił. Na twarzy Boba, jeszcze trzy dni temu tak młodzieńczej, znaczyły się głębokie ślady zmęczenia. I nie tylko to: dookoła ust i oczu utworzyły się zmarszczki. Bob postarzał się o dziesięć lat.
- To piekło, Piotrze - dyszał Bob. - Piekło. W tej atmosferze musi być coś, co wywołuje zaburzenia.
Wbił w niego wzrok.
- Zdumiewające! Przysiągłbym, że wyglądasz młodziej niż przedtem.
- Jak? Co ty mówisz?
- Ależ to wyraźnie widać. Wydajesz się młodszy, Piotrze! Byłeś jednym z najstarszych członków załogi. Jestem pewien, że miałeś kurze łapki. ...A teraz masz skórę jak u chłopca...
- To tylko świetlny efekt, Bob. Wydaje ci się - bronił się przestraszony.
- Ależ ja to widzę! Nie mogę się aż tak mylić.
- Słuchaj, stary; weźmy się lepiej do roboty. Im szybciej skończymy, tym większe mamy szanse wydostania się stąd. Znasz się na tym i dasz sobie rade. Sam nie zdołałbym zbudować przekaźnika.
Mówiąc to, Piotr wyszedł do komórki owładnięty wielkim niepokojem. Rzeczywiście czuł się świeży jak pierwiosnek. Wydawało mu się nawet, że jego ciało waży mniej niż przedtem. Gąbczaste podłoże nie uginało się, gdy po nim stąpał; natomiast Bob... Bezwiednie skierował się do rotundy wyjściowej. Dopiero gdy podmuchy wiatru zaczęły go chłostać po twarzy, ocknął się z zamyślenia. Z otworu dobywała się wielka jasność. Eteryczne ciała schodziły wirując zawrotnie; następnie ześlizgiwały się po ścianach otworu jak maleńkie zjawy. Ogłuszony hukiem, nałożył skafander i odzież kosmiczną, które po pierwszej podróży zostawił w zagłębieniu. Jakiś tajemny impuls skłaniał go ku tej próbie z wichurą. Odczuł wahanie wspomniawszy Laurę. Dziewczyna bała się. Dlaczego? Na skraju przepaści powietrze było szczególnie przejrzyste. Zamknął oczy i rzucił się w próżnie. Sekundę później płynął doznając absolutnej bezcielesności.
- Gdzie byłeś? Coś mu się nie podobało w zmiętej twarzy Boba. Za jego plecami rozciągał się pięknie oświetlony obóz. Włosy mężczyzny posiwiały.
- Wyszedłem na spacer.
- Na trzy dni? Nie do mnie taka mowa. Ta dziwka powiedziała mi, że jesteś w porozumieniu z jakimiś istotami, które zamieszkują te planetę. Powiedz, co ci powiedzieli?
Głos ucichł. Gorączkowy błysk w oczach. Pośpieszny oddech.
- Zwariowałeś, Bob. Skończyłeś ten nadajnik?
- Wiedziałeś, że przegram, prawda? I nie ostrzegłeś mnie. Tchórz! Byłeś zazdrosny. Dlaczego nie byłeś na tyle mężczyzną, aby mi o tym powiedzieć? Głupiec. Gadaj teraz co znalazłeś. Mów!
- Szedłem, aby ci to powiedzieć. Chciałem ci zrobić niespodziankę.
- Tak? O co chodzi?
- Znalazłem rakietę trzeciej ekspedycji. Stoi nietknięta, na chmurze takiej jak ta.

- Aha! I zamierzałeś mi to powiedzieć?
- Nie bądź głupcem, Bob! Gdyby tak nie było, po co bym wrócił?
- Przyczyna jest prosta: wróciłeś po Laurę. Twoją duchową żonę. Ha! Ha! Ponieważ ona też się zna z „nimi”, z władcami wiatru, moglibyście odlecieć nic mi nie mówiąc. Ale nie zrobisz tego stary. Weźmiesz mnie na statek i odlecimy razem. Rozumiesz? Natychmiast! Idziemy!
- A Laura?
- Ona jest stąd. Nie ma po co odjeżdżać. Ponadto nie zostanie taka sama. Jest w ciąży. Będzie miała po mnie dobrą pamiątkę.
- Nie możemy jej tak zostawić, Bob!
- Dlaczego? A jej matka nie urodziła jej bez niczyjej pomocy? Już! Idziemy! Nie bede ryzykował, że porozumiecie się za moimi plecami, aby mnie wykiwać!
Zamiast usłuchać, Piotr spokojnie postąpił naprzód.
- Co... co zamierzasz zrobić?
- Już ci powiedziałem; idziemy po Laurę.
Bob był załamany. I stary. Miał wygląd ponad sześćdziesięcioletniego mężczyzny.
Laura była w sali. Pomarszczona twarz. Również się starzała.
- Idziemy. Znalazłem rakietę. Jest nietknięta; załoga opuściła ją nie wiedząc, że wylądowała na chmurze. Przy odrobinie szczęścia, możemy stąd uciec.
- Nie, nie odejdę stąd, Piotrze. Jestem skazana. Straciłam łaskę moich opiekunów. Nic mnie nie zdoła ocalić. Wyjechałbyś z moimi zwłokami na pokładzie, bo proces starzenia uległby przyspieszeniu.
- Nie mogę odejść bez ciebie.
- Jedź sam; czekają na ciebie na Ziemi. Na mnie nie. Nie jestem taka jak myślisz. Okłamałam cie. To był mój pierwszy błąd. Wiedziałam o istnieniu tej rakiety i zataiłam to przed tobą. Odkryłam to po śmierci matki, kiedy zaczęłam poznawać moc wichrów. Myślałam, że obydwoje moglibyśmy żyć tu szczęśliwie, bez materialnych więzów. Ponieważ tutaj mężczyźni tacy jak ty nie umierają.
Westchnęła. Zwilżyła wargi jeżykiem.
- Postąpiłam egoistycznie i zostałam ukarana. Przybył Bob; nie umiałam oprzeć się jego atrakcyjności fizycznej. Postarzyli go, a ciebie zaprowadzili do rakiety. To znaczy, że chcą ci dać możliwość odejścia, choć jesteś im miły. Wracaj do żony i do synka! Bob doczłapał się oddychając z wysiłkiem. Nie spojrzał na Laurę.
- Chodźmy! Nie traćmy dłużej czasu...
- Laura nie chce odejść.
- I co z tego? Wie co robi. Dobrze czy źle, ale jest s4ąd. Czy nie tak, Lauro? - spojrzał na nią błagalnie.
- Tak, Bob. Jedźcie i zostawcie mnie. Ja byłam wszystkiemu winna.
- Gdzie jest strój dla Boba? - zapytał nagle Piotr.
- W drugiej ziemiance są trzy - powiedziała Laura. Piotr wyszedł i po chwili wrócił ze skafandrem.
- Wiem, że spodziewasz się dziecka, nie miałbym spokoju, gdybym cie zostawił. Za rakietę dostane dużo pieniędzy. Ani ty, ani dziecko nie będziecie mieli kłopotów materialnych. Będę o was dbał. Twój skafander jest w komorze?
- Nie wierzysz mi? Nie mogę odjechać. Umrę ze starości zanim rakieta wystartuje. Natomiast jeżeli zostanę, przynajmniej przez jakiś czas będę mogła wychowywać dziecko. Bob też nie ucieknie. Gdy raz się postąpi źle, nie ma ratunku.
Dobiegający z oddali szum zmienił ton. Laura mówiła prawdę. Nagle Piotr to zrozumiał. Wzdrygnął się.
- Tylko o jedno cie proszę; nie mów nic o tym, co tu się wydarzyło. Powiedz, że wiatr przypadkiem zaniósł cie do opuszczonej rakiety - dodała ze smutnym uśmiechem. - To na Ziemi zwyczajna rzecz, prawda? Mężczyźni umierają lub odchodzą, a kobieta zostaje oczekując dziecka.
- Piotrze! Dlaczego tak się grzebiesz? - rozbrzmiał jękliwy głos Boba. Hałas zrobił się ogłuszający. Z wściekłym echem dobywał sie z niezliczonych korytarzy gąbki.
- Zabierz go; chce odejść. Biedny! Na nic to mu się nie przyda. Jedyny, który może odjechać bez niebezpieczeństwa, to ty. Zegnaj. I wybacz.
Piotr spojrzał na nią. Zmęczone oczy kobiety były spokojne. Mężczyzna pomyślał, że szybko straci całą swą urodę.
- Nie mam ci nic do wybaczenia. Zostawię Boba. Za godzinę będę z powrotem. Dziecko nie może zostać samo. Zajmę się nim, a jeśli Bóg zechce, pewnego dnia nadarzy się inna okazja do powrotu. Życie wieczne nie jest dla ludzi, Lauro.
Wróciliśmy w to samo miejsce, Bob. - Skąd wiesz?
- Tu leży skafander Laury.
- Niemożliwe. A rakieta?
- Nie wiem. Widziałeś, że wiatr unosił nas przez trzy godziny bez określonego kierunku. A teraz nas zostawia tutaj. Ponadto powietrze jest dziś zbyt mętne.
Mężczyźni zdjęli skafandry. Na twarzy Boba odbiła się bezsilna wściekłość.
- Bydlak! Zrobiłeś to specjalnie. Piotr przeciwstawił mu się spokojnie.
- Słuchaj, Bob. Jesteś dobrym astrogatorem. Wiesz, że w nieznanym terenie trudno się zorientować bez odpowiednich instrumentów, czy nie tak? Jak możesz wiec podejrzewać, że kieruje sie wbrew woli tej chmury?
- A jak wobec tego ją odkryłeś?
- Wiatr mnie tam zaniósł. Natomiast teraz tego nie zrobił. Dlaczego? Może za pierwszym razem to był tylko przypadek. Może powinienem był odlecieć natychmiast. Stracona okazja! Zrzucił odzież i ułożywszy ją obok kombinezonu Laury skierował się do obozowiska.
- Nie zostawiaj mnie tutaj! Zabierz mnie! Zaledwie mogę iść. Ryk wiatru jakby ucichł. Wiry wnikały przez szczelinę z osłabioną siłą. Światło zwiększyło się znacznie. Piotr odczuł dziwną emocje. Bob, jak się wydawało, nie dostrzegał tych zjawisk. Przełożył rękę Boba przez swoje barki i zaczęli iść. Maszerował szybko pomimo ciężaru. Czuł się lekki i świeży jak nigdy. Za jego plecami rozlewała się szeroka jasność.
- Znowu się spotkać z tą! Umieram, Piotrze - biadolił Bob. „Oni” mnie nienawidzą. Ty wygrałeś. Lepiej mnie zabij...
- Zamilknij człowieku. Odpoczniesz w obozie. Potrzebujesz snu.
- To była kobieta fatalna, Piotrze. Fatalna! I pragnę jej. Pragnę jej coraz bardziej. A jestem stary...
- Pamiętaj, że oczekuje twojego dziecka.
- Dziecka. Po co mi ono? Na Ziemi, tak, ale tutaj... Ale pójdę z nią znowu do łóżka! Umrę na niej! Przynajmniej sprawie sobie te przyjemność. Nie sprzeciwiasz się, prawda? Nigdy nie chciałeś sie z nią przespać. Chociaż ofiarowałem ci ją. Nie możesz mi teraz zrobić świństwa, Piotrze. Widzisz w jakim jestem stanie.
- Przestań gadać głupstwa. Ona wie co robi. Dla mnie ona jest twoją żoną. Rozumiesz? Szkoda, że nie rozumiałeś tego od początku.
- Wiec dlaczego zostajesz? Czy nie masz na Ziemi żony? I dziecka?
Piotr westchnął.
- Jestem żonaty, Bob. Bardzo lubię Laurę, bo była dla mnie dobra.
- To uczucie musi być wielkie, skoro zdecydowałeś się zostać. Jak sądzisz, znajdziemy jutro rakietę?
- Spróbujemy, Bob. - Gdy to mówił pomyślał: „Nie znajdę jej już. To była jedyna okazja. Jakie to dziwne. Co można zrobić. Teraz na pewno nie zobaczę mojego malca. Ale gdyby on znał te historie, z pewnością by zrozumiał. Będzie mężczyzną, dorośnie. Biedny Bob! Ruina człowieka. Przynajmniej on mógł odejść. Laura miała racje; starzeje się nadal”.
Do jego uszu doszła muzyka. Wzdrygnął się. Poznał melodie: ta sama, którą słyszał kiedy po raz pierwszy szedł do obozu. Nagle odniósł wrażenie, że uczestniczy w czymś, co już się raz zdarzyło. Powietrze ciche i wonne. Delikatne balansowanie gąbki. Uciszony szum huraganu.
Obóz. Jaki był piękny! Zatrzymał się. Bob, z opuszczoną głową, wydawał się zasypiać, uwieszony u jego ramienia. Tak: to samo poczucie spokoju. Laguna okolona eterycznymi kwiatami. Jednak w pewnym momencie to piękno przestało go urzekać. Dlaczego?
Ruszył szybko naprzód. Nie odczuwał drogi. Wzruszenie ścisnęło mu gardło. Drzwi się otworzyły: na progu stanęła dziewczyna.
- Laura! - Bob krzyknął zduszonym głosem. Osłupiały Piotr puścił go. Bob upadł na kolana, oczy wyszły mu z orbit.
Laura spojrzała na niego z nieskończoną litością.
- Spóźniłeś się. - Jej głos był dźwięczny, drżący.
Podeszła do Piotra, uklękła, a potem upadła mu do nóg. Ujęła jego dłonie i pocałowała. Mężczyzna poczuł na skórze wilgoć łez. Podniósł ją. Melodyjny i harmonijny szum cyklonu. Leżący na ziemi Bob ciężko dyszał.
- Przeklęta dziwka! - Słowa dobywały się chrapliwie i niedołężnie.
- Powinienem był cie zabić. A ty, draniu! Czym się skończyły twoje obietnice? Nie mówiłeś, że jest moją żoną? Nadludzkim wysiłkiem uniósł się. Następny wysiłek: wstał. Stary. Niedołężny, dotarł do namiotu. Oparłszy się na nim, wybełkotał:
- To tak! Zapomniałaś już o pierwszej nocy? Jak krzyczałaś później z zadowolenia? Jak się zwijałaś z rozkoszy? A teraz mnie rzucasz, bo jestem stary? Ty, która jesteś wszystkiemu winna? Chodź tu. Podejdź.
Laura pokornie opuściła głowę. Jej głos wywołał odległe echo:
- Nie, Bob. O niczym nie zapomniałam. Ale jak sądzisz, czemu zawdzięczam mój nowy wygląd? Będę miała dziecko, które będzie znało swojego ojca. Rozumiesz?
Wydawało się, że Bob zamierzał coś odpowiedzieć. Grymas rozlał sie po jego twarzy. Opadł osłabły.
- Trzeba się nim zająć i czuwać nad nim w ostatnich chwilach jego życia - powiedział cicho Piotr. - Zanieśmy go do sypialni.

Przełożyła **Maria Nowakowska**

Czy jest na świecie ktoś, kto by się nie zdumiewał faktem własnego istnienia? Co by było, gdyby ojciec nie spotkał matki? Albo gdyby się spotkali, ale nie spodobali sobie? I co gdyby z jakiegoś powodu ojciec został gdzieś odwołany w niewłaściwym momencie albo gdyby matkę bolała głowa tego dnia, gdy zgromadzona została sperma mająca dać początek danej osobie, a następnego dnia została użyta jakaś inna porcja spermy? Skoro wszystko to mogło było się zdarzyć, faktyczne istnienie danej istoty ludzkiej stanowi najbardziej zadziwiający z przypadków.
A czyż nie odnosi się to do całego naszego gatunku, rodzaju, rzędu, gromady? Jakie drobne fakty i dziwne zbiegi okoliczności musiały zaistnieć właśnie tak, a nie inaczej w ciągu długiej historii Ziemi? Wystarczy przywołać przejmujący dreszczem obraz pająków spacerujących po twoim grobie - którego-mogłoby-nie-być.

Jego matka Sabrina była z domu Gunderstone. Jej przodkowie brali udział w Wojnie Domowej aż do jej tragicznego finału, bili się z Komańczami na dalekim zachodzie, budowali mozolnie teksaskie imperium bydlęce, którego godłem był znak piętna na bydle z Longhorn. Potem nadeszły ciężkie czasy, ale to właśnie on miał odbudować wielkość Gunderstone'ów. Nadała mu imię Aleksander i karmiła go swymi górnymi marzeniami.
- Bzdury! - zwykł się obruszać jego ojciec. - Obłąkane ględzenie.
Jonasz Jones miał trzy tysiące akrów warte teraz, lekko licząc, po tysiąc za akr - pozostałość po tym, co stracili późni Gunderstone'owie. Przenosząc się z farmy do Longhorn, kupił pośrednictwo Buicka. Przedkładał zdrowy rozsądek nad wzniosłe uczucia i usiłował skierować syna w stronę bankowości lub prawa. Na przekór ojcu Alek wybrał wielkość. Droga do tego była bolesna, ale matka nie pozwoliła zwiędnąć swoim marzeniom o chwale. Kiedy po pierwszym dniu w szkole wrócił z krwawiącym nosem, przytuliła go do siebie i zapowiedziała, że przyjdzie czas, gdy jej syn zawstydzi napastników.
Rósł jako zwycięzca, choć triumf nigdy nie był łatwy. Dzieci, które tłukł, twierdziły, że jest oszustem. Na uczelni był za słaby w piłkę nożną. Kiedy przeszedł do koszykówki, która w Longhorn była na poziomie, trener stwierdził u niego niezdolność do kolektywnej gry. Chłopcy z zespołu nazywali go napaleńcem. Płakał, kiedy opowiadał o tym matce.
- Mniejsza o tych mizernych głupków - powiedziała mu. - Ty masz talenty Gunderstone'ów. Kiedy nadejdzie twój czas, staniesz się największym człowiekiem na ziemi.
Lecz i tego było nie dość. W owym roku w modzie był kosmos: pierwsza stacja satelitarna przekazywała energie słoneczną do Nowego Meksyku, a pierwszy statek załogowy był w połowie drogi na Marsa. Gdy wykluczono Alka z korporacji jego ojca w Longhorn College, on i jego matka ujrzeli jasno, że spełnienia przeznaczenia muszą szukać w kosmosie.
Kupił sobie teleskop, brał lekcje latania i zapisał się w Longhorn na nauki kosmiczne do Bena Tengela, bohatera, którego los dotknął w smutny sposób, ale który był najbardziej znanym mieszkańcem Longhorn. Pradziad Bena pasł bydło Gunderstone'ów. Ben był nauczycielem matematyki, który marnował swe zdolności na obłąkaną, wymyśloną przez siebie wersje geometrii czasoprzestrzeni.
Kiedy był młody i jeszcze przystojny, stracił głowę dla Sabriny Gunderstone. Niezależnie od innych uczuć musiała uważać go za dzieciaka bez grosza przy duszy, którego może i zabawnie było znać, ale nad którym nie płonęła aureola wielkości. Wybrała Jonasza Jonesa i bogaty kawał dziedziczonego imperium. Ben opuścił Longhorn i resztę życia spędzał na wysiłkach zmierzających do wykazania jej, jak bardzo się omyliła. Wstąpił do Sił Kosmicznych. Po zwolnieniu brał udział w projektowaniu satelity-siłowni. Powołany na powrót do czynnej służby podczas Zagrożenia Atomowego był pilotem satelity pościgowego, który zdetonował Pocisk Pokoju dwieście kilometrów od Paryża. Ten czyn uratował życie dziewięciu milionom Francuzów, a jego omal nie uśmiercił.
Uratowany dzięki medycznym cudom, Ben był teraz na wpół mechanizmem, żył w boleściach przykuty do maszyny na kółkach. Wzrok miał uszkodzony i oglądał świat za pomocą ogromnych, pobłyskujących purpurowo, sztucznych oczu. W bardziej pomyślnym okresie swego życia był wspaniałym nauczycielem, teraz Alek od razu poczuł do niego niechęć. Nieludzkie oczy jak u monstrualnego owada. Przytłaczająca szpitalna woń jego mechanizmu. Wybuchowe usposobienie w dniach, gdy nic nie mogło złagodzić bólów. I to najgorsze: wściekłość, gdy zarzucił Alkowi, że oszukuje na teście matematycznym.
Wybaczył mu jednak, może ze względu na Sabrine, i nie pozwolił odejść.
Dzięki dalszej pomocy Tengela został wybrany do załogowego lotu na Jowisza. Matka przygotowała się do powitania go jako drugiego bohatera kosmosu z Longhorn, ale on wrócił wcześniej i bez zapowiedzi. Wylano go z załogi.
Gdy Marty Marx zastał go samotnego, upijającego się na smutno w barze Wextera, jego przyszłość była nadal niewyraźna.
- Pamiętasz doktora Tengela?
- No pewnie. A co?
Był przy piątej whisky i musiał wysilić wzrok nim poznał Martwego. Marty nigdy nie był jego przyjacielem; to Marty stłukł go pierwszego dnia w szkole, a potem rywalizował z nim o Bonnie Belle; może nawet to on był tym szczurem, który powiedział Tengelowi, że Alek oszukuje. Teraz jako adwokat w ulizanym szarym garniturze roztacza! aurę fałszywej serdeczności.
- Gdzie jest teraz Tengel?
- Daleko stąd. - Marty zawiesił głos, patrząc z dezaprobatą na kieliszek Alka. - Założył właśnie towarzystwo kosmiczne; wykorzystuje swoją matematykę gwiezdną i swoje dawne układy w armii. Działa całkiem nieźle. Pracuje jako ekspert od prawa kosmicznego. On ma robotę, o której mówi, że jest jak stworzona dla ciebie.
- Jeśli to jest w przestrzeni...
Na pewno w przestrzeni. Nic wiece] Marty nie Wiedział, lecz Alek miał już dość krzywych spojrzeń ojca i usprawiedliwiania przez matkę niesławnego powrotu syna. Powiedział, że chciałby przyjrzeć się tej pracy. Biorąc ze sobą wizytówkę Marty'ego i nabazgranym na niej swoim nazwiskiem, złapał samolot do Albuąuerque i dotarł do Inżynierii Tengela.
Był to długi hangar pokryty nowymi płytami z metalu i mieszczący się na południe od dworca centralnego, w pobliżu, laboratoriów Sandii. U wejścia człowiek z ochrony obejrzał wizytówkę i wezwał eskortę. Biuro było małym pomieszczeniem o ścianach z dykty, pełnym woni



Jack Williamson

Szansa dla dinozaurów

(Chance for Dinosaurus)

antyseptycznych środków stosowanych przez Tengela.
Gdy strażnik go wprowadził, pomieszczenie było puste. Oglądał szkice nowych statków kosmicznych przypięte do dykty, gdy poczuł ową znaną szpitalną woń; odwrócił się i ujrzał Tengela, który wtaczał się na bezszmerowych kołach, zatrzymując się za stołem, którego blat tworzyła goła płyta dykty.
- Siadaj - skrzypiący szept Tengela wyrwał się z głośnika nad jego głową. -Jak tam matka?
- Dobrze, jak sądzę.
Alek usiadł usiłując nie patrzeć zbyt hardo, nie zważać na zapach, nie bać się. Tengel był zawsze tak desperacko gwałtowny, tak dziki w tej swojej walce o byt, tak głęboko zanurzony w tajemne piekło, jakie krył karmazynowy poblask nieprzeniknionych owadzich oczu. Trudno było uwierzyć, by ten stwór w maszynie mógł kiedykolwiek być zwykłym, przystojnym i młodym mężczyzną, który umawiał się z ukochaną Sabriną Gunderstone.
- Marty dał mi twoje zapisy z Sił Kosmicznych - poderwał go znowu ryk z głośnika. - Twoja tamtejsza kieska nie obchodzi mnie. W gruncie rzeczy dowodzi ona tylko tego swoistego szaleństwa, jakie już dawno temu u ciebie dostrzegłem.
Alek starał się nie wiercić nerwowo.
- Nadasz się - dziwaczna głowa przytaknęła nagle. - O ile chcesz polecieć. Niechęć do pracy zespołowej nie stanowi tu przeszkody. Będziesz całkowicie zdany na siebie. Szanse masz chyba niewielkie, ale przy takiej stawce to nieistotne. Jesteś jedynym człowiekiem, jakiego znam, o takim natężeniu obłędu; dlatego może ci sie powieść. Zrobisz, a przejdziesz do historii jako ten, który uratował planetę.
Czerwone oczy przyjrzały mu się ponownie, twarde jak sumienie.
- Chcesz spróbować?
- Ja... myślę... chce! - Nagle Alek zapomniał o oczach i woni. Jakie to zajęcie?
- Czy wiesz, co się stało z dinozaurami?
- Nie. - Alek nigdy nie przejmował się zbytnio całą tą zatęchłą nauką.
- Czy to ważne?
- Dinozaury wymarły. -Jego usztywnione przez blizny usta poruszały się z trudem, a metaliczne grzmienie wydawało się być głosem samej maszyny. - Siedemdziesiąt milionów lat temu władały Ziemia. Opanowały ląd, powietrze, morza. Nasi przodkowie, prymitywne ssaki, byli w większości szczurowatymi stworkami, które starały się tylko przeżyć w byle jakiej niszy ekologicznej, jaka im się trafiała.
Aż dinozaury wyginęły.
Wszystkie naraz, jak tego dowodzą skamieliny. Duże i małe. Wszędzie. To była ta pradawna kieska, która otworzyła Ziemie przed ssakami. Gdyby się to nie stało, nie byłoby nas tutaj. Długo dręczyła nas zagadka przyczyny ich wyginięcia, ale teraz znamy już odpowiedź.
Asteroid. Wielki. Uderzył w jakiś ocean, jak o tym świadczą dane geologiczne. Powstały fale na całej planecie. Para spowodowana upadkiem asteroidu skropliła się w gorący potop. Pył, jaki przy tym upadku powstał, wypełnił atmosferę tak gęstą i wysoką chmurą, że światło przestało docierać. Straszliwa noc bez świtów, z roku na rok zimniejsza. Lód i śnieg pokrył kontynenty tropikalne, oceany zamarzły.
Kiedy słońce zaczęło na nowo przenikać, Ziemia była już prawie martwa. Dwie trzecie gatunków nagle wyginęło. Wszystkie dinozaury. Naszym przodkom udało się przeżyć. - Dla podkreślenia swoich słów Tengel uniósł swą sztywną mechaniczną łapę. - Ten właśnie asteroid umożliwił powstanie ludzkości. Alek siedział i słuchał w tępym oszołomieniu.
- To fakt. - Tengel kiwnął monstrualną głową, drażniący szept opadł. Dziś już niewątpliwy. Każda planeta, jakąkolwiek byś wskazał, była formowana przez zderzenia z asteroidami; wystarczy wspomnieć kratery na Marsie i Księżycu. Na Ziemie też spadają, w Arizonie na przykład. Siły Kosmiczne wykryły właśnie jeden, który tu zmierza...
Tengel przerwał. Odpoczywał przez chwile, jego wyschłe rysy wyrażały niezwalczoną i absolutną rozpacz. W dzwoniącej ciszy, jaka zapadła, Alek zastanawiał się, czy długotrwałe cierpienia nie zaszkodziły zdrowiu psychicznemu tengela.
- Pewnie jesteś wstrząśnięty. - Machnął znowu swoją łapą, usiłując udać obojętność. - Obiekt jest jeszcze poza zasięgiem zwykłych teleskopów. Wykryliśmy go poprzez skomplikowany detektor pocisków.
Było to trzy lata temu. Okres ten poświeciliśmy na wysiłki zmierzające do uratowania planety. Statek o dalekim zasięgu, uzbrojony w specjalne urządzenie nuklearne. Na tyle silne, jak sądzę, że zdoła zmienić tor obiektu. Twoim zadaniem jest umieścić je w obiekcie. O ile chcesz się tego podjąć.
Karmazynowe błyski przebiegły przez wielosoczewkowe oczy, gdy Tengel podniósł pytająco głowę. Alek drżał, starając się przybrać dumną, wyprostowaną pozycje.
- Dziękuje panu! - wyrzucił z siebie jednym tchem. - Jestem wyćwiczony w tym kierunku i niczym nie ryzykuje. To jest wielka szansa, moment, dla którego żyłem
Pojazd dla niego był już gotowy i znajdował się w bazie Sił Kosmicznych na Księżycu. Oficerowie Sił Kosmicznych w strojach cywilnych poinformowali go o działaniu pocisku i pojazdu. Jeden z nich dał mu wysuszoną ratkę króliczą. Katapulta rzuciła go w przestrzeń, rakiety wyniosły na orbitę. Komputer pokładowy mówiący ochrypłym szeptem Tengela powiedział mu, kiedy wystartować do długodystansowego kursu. Strona techniczna była zastosowaniem matematyki gwiezdnej Tengela, której zasady nie były Alkowi znane, ale których znać nie musiał. Komputer doprowadzi go na miejsca zasadniczego spotkania i odpali pocisk. Jedyne, co Alek miał robić, to wypełniać zarejestrowane wcześniej polecenia Tengela. W momencie wyjścia w kurs pojazd przechylił się, powodując zawrót głowy u pilota. ? radia dobiegł „Lot Walkirii" Wagnera wysłany za Alkiem jako pożegnalny prezent od komendanta bazy. Wkrótce jednak ucichł i w odbiorniku Alek znajdował tylko milczenie.
Leciał przy całkowitym braku sygnałów. Zaniepokojony tym z początku, potem rozweselił się. Wreszcie twarzą w twarz ze swym wielkim przeznaczeniem. Czuł się go godzien, szczęśliwy, że Tengel wybrał właśnie jego, by stawił czoła niezwykłemu niebezpieczeństwu i okrył się niezwykłą chwałą. Jest stworzony do robienia wspaniałych rzeczy. Tylko on! Daleko za Marsem napotkał asteroid. Mały, zdeformowany księżyc, pokryty bliznami kraterów, z jasnym pyłem szronu, który nie tajał przez niezliczone lata. Komputer pokładowy doprowadził pojazd na miejsce i umieścił obraz poszarpanego kształtu asteroidu na ekranie celowniczym. Nagrany szept Tengela powiedział Alkowi, kiedy nacisnąć jarzący się czerwono guzik. Ta niesamowita cisza trwała nadal, a Alek obserwował eksplozje. Wybuch jądrowy - bolesny nawet dla oczu za soczewkami z filtrem. Rozszerzanie się rozżarzonego pęcherza, który - najpierw biały od żaru - powoli stygł, czerwieniał i gasł. Obiekt rozpadał sie bardzo powoli na kawałki, które jak Alek wiedział, ominą Ziemie.
Nareszcie jego przeznaczenie spełnione! Ciągle w ciszy, przerywanej tylko od czasu do czasu poleceniami Tengela, komputer zawrócił pojazd, a po pewnym czasie wprowadził go na orbitę okołoksiężycową. Alek miał księżyc na ekranie. Stwierdził nagle, że jego pokryta kraterami powierzchnia była dziwnie zmieniona. Jasnozielone dyski leżały w równych szeregach przecinając obszar mórz. Jednakowe srebrzyste anteny sterczały z jednakowych dysków, ostrza promieniowały rozżarzoną czerwienią.
Oszołomiony wykonał polecenie zejścia z długodystansowego kursu. Radio zaczęło działać na nowo, ale nie dobiegł z niego „Lot Walkirii" ani żadne w ogóle dźwięki ogłaszające zwycięstwo. To co usłyszał, było straszliwą kakofonią krzyków, pomruków i dzikich wrzasków. Komputer wyłączył je.
- Gratulacje bohaterze! - zaryczał ponownie szept Tengela, gorzko ironiczny. - Kiedy dotrzesz do tego punktu, będziesz sądził, że sprawa zakończona. Chciałbym ci powiedzieć, czego dokonałeś. Winien ci to jestem, bo kiedyś kochałem twoją matkę. Szkoda, że ona się nie dowie.
Przygotuj się na bolesny wstrząs. Pamiętasz moje nieszczęścia w domu szczęśliwych posiadaczy bomb, który zwykliśmy nazywać cywilizacją ludzką. Myślę, że rozumiesz, jak mało miałem powodów, by kochać ludzkość lub przewidywać dla niej jaśniejszą przyszłość. Życie nauczyło mnie rzeczy najsmutniejszej ze wszystkich: my ludzie fatalnie spartaczyliśmy te wspaniałą szanse, jaką dał nam asteroid.
Jeśli ludzkość zgrzeszyła, to ty i ja dokonaliśmy całkowitego odkupienia.
Wypełniwszy swoje zadanie, będziesz się zastanawiał, jakiej oczekiwać nagrody. Niewielkiej, obawiam się. W istocie świat, który uratowałeś, nie potrafi ci odpłacić ani nawet cie nie pozna. Chociaż dynamika czasoprzestrzenna nie jest jeszcze całkowicie jasna, sądzę, że wkrótce odkryjesz, iż pozbawiłeś się swojej własnej racji bytu.
Wobec twojej tak niepewnej sytuacji będę się streszczał. Nie wiesz jednej prostej rzeczy, nie zdradziłem jej też Siłom Kosmicznym: mój długodystansowy pojazd jest wehikułem czasu. Powiózł cie on przez wieki, abyś zniszczył asteroid, który miał unicestwić dinozaury.
Nigdy się nie dowiemy, jak skorzystały z tej nowej szansy. Jeśli rozwiną się na tyle, by móc odkryć i zrozumieć, co uczyniłeś, bez wątpienia oddadzą ci cześć za odrodzenie ich i ich nieszczęsnego upadku...
Gorzki szept zamilkł. Pulpit i jego metalowa osłona zaczęły blednąc, stawały się coraz bardziej przezroczyste, odsłaniając ponownie owe dziwne dyski leżące na ponurym, odmienionym księ...

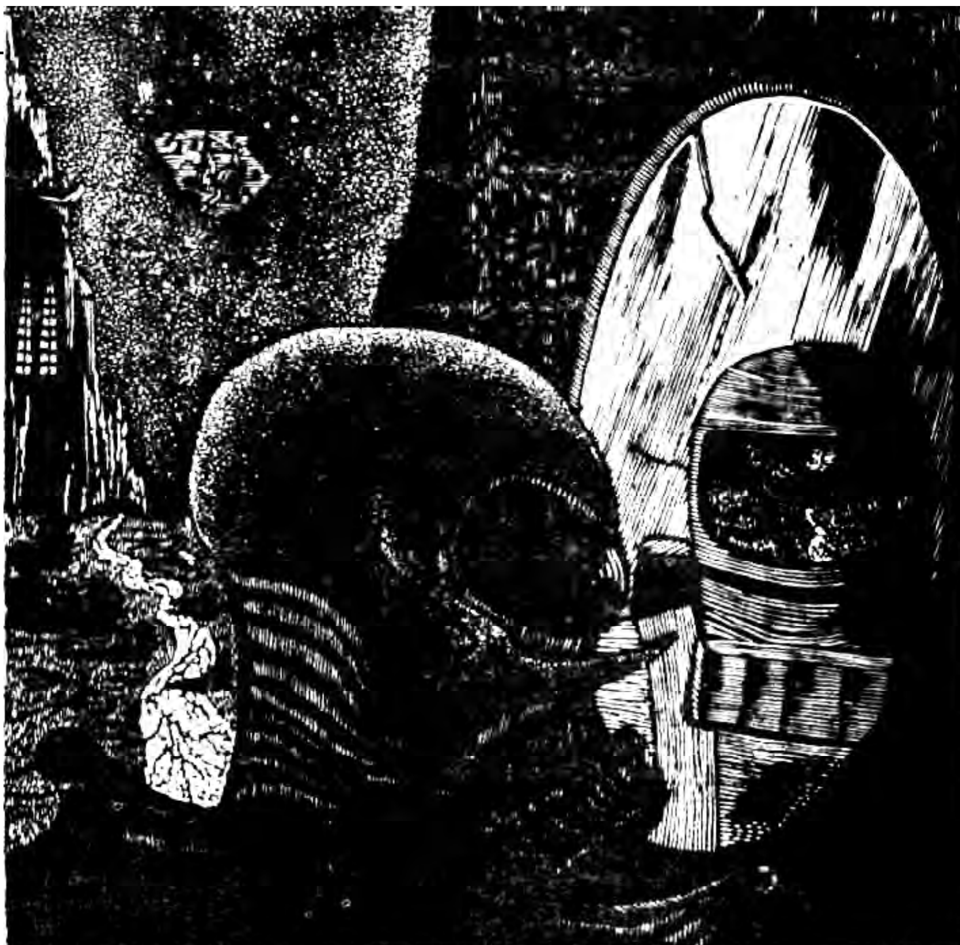
Przełożył **Bogdan Baran**

Jack (John Stewart) WILLIAMSON

urodził się w 1908 r Rodzice byli pionierami, wędrującymi miedzy Teksasem a Nowym Meksykiem. Jako pisarz zadebiutował w 1928 r. na łamach „Amazmg Stones" opowiadaniem „The Metal Man". Po ukończeniu studiów zdecydował się na karierę zawodowego pisarza. Pierwszą powieść „The Legion of Space" opublikował w 1934 r. Jej sukces skłonił go do napisania dalszych pozycji tego samego cyklu, uważanego do dziś za jedną, z najbardziej udanych serii powieściowych z gatunku space opera Od 1951 r pisze pod pseudonimem Will Stewart. Jest autorem około 30 powieści, zbiorów opowiadań oraz wielu scenariuszy komiksów.
W 1976 r otrzymał specjalną nagrodę SF Writers of America - „Grand Master Nebula".

(A. W.)

z polskiej fantastyki



(ur. 12.12.1951 w Wałbrzychu) - poeta, dramaturg, autor opowiadań i słuchowisk radiowych. Dzieląc zainteresowania sprawiedliwie między różne formy i gatunki literackie, właśnie w SF widzi odświeżającą szansę na ukazanie spraw ważnych w mikroskopijnej i kosmicznej skali. Zauroczony na początku twórczej drogi Witkacym, Różewiczem, Ginsbergiem, Hamsunem - dopisuje dziś do grona swych patronów także Lema, Vonneguta, Dicka... To pisarze SF próbują rozprawić się z tym, co obecnie najważniejsze - z kryzysem tożsamości współczesnego człowieka i z brakiem autentyzmu naszej cywilizacji.

(mp)

Tadeusz Patulski

Pieśń różowej skały

Przybyliśmy tutaj tydzień temu. Wszystko ziemskie - powietrze, woda, rośliny. Brakowało jedynie zwierząt i owadów. Jest nas tuzin: dwunastu śmiałków nie myślących oficjalnie o tym co było tutaj przed nami. Analizatory podświadomości w centrum kosmicznym uznały, że spełniamy wszystkie wymagania stawiane przed Zespołem Wyjaśniającym. Greg wyruszył ze mną przed godziną. Ciągle mamy kłopoty z Czasem. Cała planeta przesuwa się, a my zostajemy w tej samej sekundzie. Powrót jest oczywiście możliwy. Wystarczy odwrócić pojazd o 180°. Czasami odnoszę wrażenie, że z tym zjawiskiem zetknęliśmy się na Ziemi. Wtedy jednak nikt się nad tym nie zastanawiał.
Greg dostrzegł je pierwszy. Trącił mnie łokciem. Widziałem lustro. Nadzwyczajne lustro wyrastające pionowo z różowej skały. Tutaj też kończyły się wszystkie ślady poprzednich ekip. Kończyły się na zawsze.
- Fenomenalne.
Przełknąłem ślinę. Widziałem w życiu wiele rzeczy, ale czegoś tak doskonałego nie było nawet na planecie Krystalicznych Słów.
- Analizator cząstkowy podaje, że lustro jest zbudowane z nieznanych materiałów - wydusił z siebie Greg.
- A skała?
- Skała... w skład skały wchodzą najprostsze aminokwasy i swobodne atomy węgla.
- Temperatura?
- 36,6... zdrowy człowiek.
- Co mówisz? - zapytałem patrząc bezwiednie na lustro.
- Temperatura zdrowego człowieka.
Nie zaskoczyło mnie to. Wszystkie fakty podane przez Grega były tak oczywiste, tak jedyne z możliwych, że teraz inaczej być nie mogło.
- Tom - Greg chwycił mnie za ramie - Tom, lustro odwraca się w naszą stronę!
- Spokojnie Greg, włączam pole odblaskowe.
Lustro zaczęło jarzyć się milionami barw. Wśród nich dominował kolor, którego nigdy w życiu nie widziałem, nawet nie wiem jak go nazwać. To nie była jakaś tam tysięczna wersja któregoś z palety barw. Inny, niemożliwy kolor. Nagle wszystko zgasło i lustro znieruchomiało. Zobaczyliśmy odbicie krajobrazu i naszego pojazdu, a w nim dwóch facetów z rozdziawionymi gębami. Po sekundzie zamknąłem usta i na zimno rozpatrywałem genialność odbicia. Było o wiele dokładniejsze niż rzeczywistość. W myśli przebiegły słowa: Równacz Złudzeń, Równacz Subiektywizmu.
- Fenomenalne - powtórzył Greg i znowu trącił mnie łokciem stary, zobacz, tamci szykują się do odjazdu!
- Czas największy wracać do bazy - usłyszałem z lustra własne słowa.
- Mamy czas - odezwał się obok Greg,
- Rzeczywiście.
- Różnie jest z tym czasem, jedziemy - tym razem mówił Greg z lustra.
Spojrzeliśmy po sobie.
Przekręciłem kierownice o 180° i ruszyłem pełnym gazem.
- Zobacz, pojechali - wykrzyknął Greg.
- Tamci zostali, to my jedziemy odpowiedziałem spokojnie wciskając przełącznik mocy.
- To niemożliwe - dodałem.
- Zaprzeczasz sam sobie - zdenerwował się dziwnie szybko Greg.
- Nie wierz w to - przekonywałem wpatrując się w odjeżdżające odbicie.
- Stój! - Greg szarpnął wyłącznik mocy. Pojazd zarył się przednimi kołami.
- Czekaj chwile, bo się pogubimy, już tracę orientacje co do stron lustra.
- Jesteśmy przed lustrem.
- To fakt - przyznał Greg - ale z której strony?
- Myślisz, że jest druga strona?
- Jasne, przed chwilą staliśmy i jednocześnie jechaliśmy. Dopiero teraz zacząłem kapować. Rzeczywiście, przestałem widzieć na pewno co się ostatnio wydarzyło. Najprawdopodobniej stoimy dalej przed lustrem, ale przysiągłbym, że przed chwilą jechaliśmy.
- To proste Greg, wywołajmy bazę - nacisnąłem guzik falowy.
- Tu baza, co się stało, macie jakieś kłopoty?
Milczeliśmy. Słyszeliśmy bazę będąc tu i tu. Nie było żadnego tam.
- Hej, chłopcy, co się dzieje?! - szef wrzeszczał do mikrofonu.
- Nic, mamy jakieś kłopoty, nie wiemy gdzie jesteśmy.
- Jak to nie wiecie, wysiadły przyrządy?
- Nie o to chodzi szefie, sprawa jest delikatna/dotarliśmy do tego osławionego lustra i jest nas teraz czterech, to znaczy dwóch, ale razy dwa.
- Mów jaśniej Tom, nic z tego nie rozumiem, czyżby rozdwojenie świadomości?
- To nie całkiem tak, po prostu jesteśmy tu i tu, rozumiesz?
- Chłopaki, zostańcie tam, wysyłam Codę, najlepiej odprężcie sie, pomyślcie o czymś miłym, puszcze wam jakąś muzykę... nie wyłączajcie

odbiornika. Coda za chwile do was doleci.
Łatwo powiedzieć, odprężcie się... Greg był spokojny, udzielał mi sie ten jego spokój. Pomyśleć, że zawsze był cholerykiem. Nareszcie zobaczyliśmy Codę. Nad tamtym pojazdem jej nie było. To znaczy, że tam jest odbicie, że tu jest odbicie. Lustro rozjarzyło się i nareszcie zobaczyliśmy Codę. Greg trzasnął pięścią - niech to szlag trafi. Coda lądowała tu i Coda lądowała tu. 1 w tym momencie lustro bezszelestnie pogrążyło się w różowej skale. Podbiegli do nas Steve i Jan, otworzyli bezpieczniki zewnętrzne.
- Co jest?
Wyszedłem półprzytomny, przygarnąłem w ramiona Steva - nareszcie jesteście, co za cholerny koszmar, czy ty wiesz stary co znaczy naprawdę żyć podwójnie?!
- Dobra, dobra, pakujcie pojazd i wracamy do bazy, należy sie wam odpoczynek.
Greg zaczął rżeć ze śmiechu - no widzisz Tom, zrobiono z nas wariatów, a niech to szlag trafi!
Wygramoliliśmy się do Cody, krajobraz zachwiał się i polecieliśmy.
Siedziałem z zamkniętymi oczami i raz jeszcze analizowałem całą sytuacje.
- Co jest do cholery! - wykrzyknął nagle Steve. Spojrzałem.
- Nie ma bazy!
Rzuciliśmy się do okien. W miejscu naszego lądowania nie było promu. Co więcej, nie było nawet śladu jakiegokolwiek lądowania. Czysta gładka łacha piasku, idealnie nie naruszone rośliny. Z punktu widzenia wszelkich praw sytuacja zupełnie niemożliwa.
Przyrządy na dodatek nie sygnalizowały obecności żadnego metalu.
- Janie, nadaj sygnał.
Niskie buczenie wypełniło kabinę Cody. Nic, żadnego odzewu. Tymczasem Greg spokojnie zapalił papierosa.
- Baza jest, stoi tutaj gdzie stała, to tylko nas nie ma.
- Jak to nas nie ma? - wkurzył się Steve - co znaczy nas nie ma?!
- Zwyczajnie - mruczał Greg - jesteśmy po prostu odbiciem w lustrze.
- A co w takim razie z nami? - rzucił ironicznie Jan.
- Nas pochłonęła ziemia, razem z tym przeklętym lustrem.
- To może być prawdopodobne - poparłem Grega - musimy wrócić do różowej skały i czekać na wyłonienie się lustra, ono zbiera wszystko co rzeczywiste i zapełnia planetę tym co niematerialne.
Nagle dostałem od Steva w żołądek, ból przeszył mnie do szpiku, gdyby nie Greg upadłbym na podłogę.
- Przepraszam cie, Tom - Steve zaczął masować mój żołądek chciałem po prostu wbić ci raz na zawsze do głowy, że o żadnej niematerialności nie może być mowy, jesteśmy tutaj z krwi i kości.
- To jak to wszystko wytłumaczysz? - z trudem łapałem powietrze.
- Baza pewnie poleciała za nami.
- Steve, zapominasz o punkcie 5 regulaminu ratunkowego, baza nie miała żadnego prawa ruszać się stąd, to karalne.
- Ale jest klauzula wyjątkowa.
- Przesłance się licytować przerwał Jan - wracamy! Coda odwróciła się i ląd nabrał szybkości.
Skała stała nienaruszona. Kilka razy przelecieliśmy nad jej grzbietem. Żadnej szczeliny, żadnego załamania, pustka.
- Siadamy - Steve przesunął dźwignie na zero. Coda osiadła w miejscu swego poprzedniego lądowania.
Spojrzałem na zegarek, czas był ten sam, ten sam, w którym przybyliśmy tutaj z Gregiem. Cóż w tym dziwnego, nic, normalka.
- Patrzcie - Greg stanął przy szybie.
Skała zaczęła dzielić się na szkło. Nie można było wymyśleć innego porównania, to było najbliższe prawdy. Lewa cześć wystrzeliła w górę i oto nad nami zawisła biała katedra dźwięku. Tymczasem prawa poszybowała w odległy horyzont tworząc przenajświętszą pajęczynę. Dźwięk uderzał o ściany Cody, przesuwał sie po szybach i znowu wystrzelał pionowo w stronę jedynej gwiazdy. Z tego odmętu, z tego pomieszania białego dźwięku wolno, milimetr po milimetrze rodziło się lustro. Zobaczyliśmy naszych starych znajomych z czterech poprzednich wypraw, właśnie szykowali się wspólnie do powrotu, gdy nadjechałem pojazdem razem z Gregiem. Przywitali nas serdecznie, coś tam rozmawiali, coś gestykulowali. Wszyscy tam byliśmy szczęśliwi, a tutaj niespodziewanie pękły szyby Cody.
- Greg, co to było? - rączka mocy uwierała mnie w biodro. Greg siedział pochylony z twarzą na tablicy przyrządowej.
- Hej, Greg! - szarpnąłem go za ramie. Opadł bezszelestnie na kolana.
- Greg! - chwyciłem go za włosy i zobaczyłem, że śpi. Spokojnie, jak niemowie. Delikatnie oparłem go o podgłówek fotela, uśmiechnął się...
- Słuchaj Tom, dzisiaj zobaczysz kryształowe jezioro, jako pierwsza istota z tego kosmicznego śmietnika zostałeś przeze mnie wyróżniony, czekaj... później będziesz zadawał pytania, jeżeli oczywiście uznasz, że można w ogóle pytać o cokolwiek... wasza ekspedycja nie podobała mi się tak samo, jak wszystkie do tej pory gubi was największa wada, jaką jest wścibskość… ciekawość świata powinna kończyć się na zaspokojeniu ciekawości... czekaj... nie skończyłem, jesteś pierwszą istotą, która jeszcze żyje, wszyscy do tej pory byli martwi... może kiedyś byli jeszcze żyjący na waszej Ziemi, ale nie mieli rakiet... Tom, wyjdź z pojazdu, czeka ciebie tutaj największa prawda...
Greg nie mógł tego powiedzieć. Dźwięk był wszędzie - circulofonia doskonała.
Nie miałem czasu, aby pomyśleć chociaż przez chwile o jakimkolwiek niebezpieczeństwie. Wyskoczyłem z pojazdu i podszedłem do lustra. Dopiero teraz mogłem przekonać się o ogromie tej nieskazitelnej powierzchni. Wyciągnąłem rękę. Trafiła na ciepło i zniknęła po drugiej stronie. Przeszedłem ją i znalazłem się w tym samym miejscu, tyłem do lustra. Przede mną stał pojazd ze śpiącym Gregiem. Odwróciłem się zdziwiony i znowu straciłem poczucie rzeczywistości. Nie wiedziałem, która strona lustra jest prawdziwa. Gdzie to kryształowe jezioro?
- Tom... musisz wejść we mnie, to szalenie trudne, jestem zbudowana z czegoś, co wy nazywacie tlenem... tutaj nie można myśleć, to zbyt brudne, myśleć, przestań myśleć...
- To niemożliwe - powiedziałem spokojnie - jestem człowiekiem.
- Nie, to ja jestem człowiekiem.
- Jakże ty możesz być człowiekiem - zadrwiłem.
- A kto to jest człowiek, czyż ten, który ma ciało i myśli, skąd wiesz, że to właśnie ty jesteś człowiekiem, ze słownika?
- Załóżmy, że mówisz prawdę.
- Zawsze mówię prawdę - głos był czysty.
- Dobrze, niech będzie, powiedz jak przestać myśleć.
- Zwyczajnie, uwierz, że nie jesteś człowiekiem.
- Spróbuje - usiadłem przed lustrem. Patrzyłem na swoją zmęczoną twarz, na bruzdy zmarszczek rozsadzające skórę, na włosy wyrastające dziko ze skóry, na gałki oczne pływające w sieciach rzęs. To był obraz, który nosiłem w spojrzeniu, czyżby zawsze to był tylko obraz’ Jakim człowiekiem widzi się ślepiec, czy widzi się człowiekiem? Moje ręce zwisały bezwładnie z kolan. Były pięciopalczaste, pokryte potem i brudem, na końcu każdego palca wyrastały rogowate paznokcie. Nogi zgięte przez mięśnie opierały się o grunt, nie było w nich nic oprócz obrazu i oto lustro zmieniło się w elipsę, która zamknęła mnie do środka. Z horyzontu wylało się kryształowe jezioro, wysoką falą biegło w moją stronę i kiedy już miałem zerwać się do ucieczki fala opadła i szerokim głosem odbiła się od podeszew.
Wstałem. Nowy kolor smutowy (tak się ten kolor nazywa!) przejrzał mnie na wylot. Widziałem nasze loty w kosmos, naszą durne, naszą durne z potęgi tego wszystkiego, co kazało nam wierzyć w te nasze mikroheroizmy. Kryształowe jezioro było tak blisko nas i nikt nad nim nie był, to za blisko, za łatwo nie być człowiekiem. Żadnej walki z sobą, zawsze walka z kimś innym. Tragiczne!
Lustro pękło i różowe skały zaczęły śpiewać. Greg obudził się - hej Tom, dlaczego klęczysz? Zobacz, znaleźliśmy zaginionych. Tom, krzyknij do nich! Nie trzeba. Zauważyli nas, biegli tutaj z szaloną radością. Całowali się, przewracali, obrzucali piaskiem i chlapali najprawdziwszą wodą.
- Tom - wrzasnął Greg - podnieś się wreszcie, masz minę, jak dzikus.
- Przepraszam, Greg.
Wracaliśmy całą gromadą. Już z daleka baza powitała nas snopem kolorowych rakiet.
Nazajutrz zostawiliśmy pojemnik z wiadomością o ludziach, którzy już tutaj byli i wzięli na własność te planetę. Baza mknęła w stronę Ziemi z szybkością trójświetlną. Steve podszedł do mnie ze szklaneczką koktajlu - napijesz sie Tom? Wziąłem szklankę.
- Skończyłeś raport?
- Tak, chcesz posłuchać? - wyjąłem z pudełka płytę foniczną.
- Jasne.
Światło heliofonu błysnęło dwa razy na odtwarzaniu: *„Raport wyprawy XCV 1430. Po siedmiu dniach podróży wylądowaliśmy na planecie oznaczonej w katalogu znakami BNK 3987465. Warunki biologiczne - zero, glebowe - zero; możliwość życia człowieka. Zjawiska: różowa skała dźwiękowa z efektem przemieszczania echa cząsteczek budulcowych; lustro zbudowane z nieznanego materiału, już nie istniejące bez wyjaśnienia przyczyn”.*
- Znakomicie Tom, ci ludzie na Ziemi dopiero powariują, masz lusterko?
- Mam, Steve - uśmiechnąłem się gorzko - jestem tylko człowiekiem, musiałem zrobić wszystko, aby żyć.
- Głowa do góry, wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, nikomu nie zależy na głupiej śmierci, żal mi tylko...
- Z czystym sumieniem mogę się wreszcie zrewanżować - i z całej siły uderzyłem Steva w żołądek. Steve dopił spokojnie koktajl.
- Właśnie dokończył - to okropne nie czuć bólu, no, Tom, przygotuj się, za pięć minut lądujemy, nie myślałem, że tak prędko staniemy się doskonali, nie myślałem... - jeszcze przez chwile kołysał się na nogach.

Tadeusz Patulski

Colin KAPP

Formy Chaosu

(The Patterns of Chaos)

przełożył Tadeusz Markowski

Rozdział XXI

„To się chyba zaczęło od szeptu wśród białej pustyni.” Głos Jaycee.

Ból powrócił razem ze świadomością, a bezpiecznik semantyczny uniemożliwiał mu zapadniecie w kojącą nieświadomość. Oczy Mongoła błyszczały w ciemności, a silny cios w splot słoneczny wyrwał Bronowi głośny krzyk wraz z resztką powietrza z płuc. „Zranione ciało kołysane krwawym bezsensem mroźnego wiatru”.

- Jaycee, na miłość boską, przestań. Odczep się wreszcie.

Nie próbował nawet ukrywać, że mówił. I tak miał dość kłopotów z myśleniem. Jaycee bawiła się nim. Specjalnie używała klucza semantycznego, żeby zachował świadomość tortury. Dzikie ciosy znów spadły na niego.

„Umysł, który oszalał nie od tortur żelaza...”

- Jaycee. Zlituj sie!

Było mu wszystko jedno czy przeżyje, czy nie. Pragnął jedynie uwolnienia od tego naukowego i bezlitosnego niszczenia jego ciała.

„Jakiś okaleczony męczennik oszalał z bólu krzyża, wzniósł głowę i krzyknął w niebiosa: „Boże, dlaczego mnie opuściłeś?”

Potrzebował dobrej minuty, żeby się zorientować, że ulewa ciosów znikła. Przed oczyma miał czerwone plamy, a krew spływała mu po policzkach. Ciągle stał pionowo, ale działo się tak wyłącznie dzięki podtrzymującym go dłoniom. Spróbował zmusić się do myślenia. Dwaj Niszczyciele oglądali czarno-biały przedmiot, w którym z trudem rozpoznał swoją Biblie.

Ich szef ponownie podszedł do niego. Bron wstrzymał oddech wiedząc, że nowe ciosy zabiją go z pewnością. Nic się jednak nie stało. Przez zapuchnięte oczy obaczył, że Mongoł patrzył na niego z podziwem.

- Dobry Boże. Widziałem facetów zabitych przez kilka ciosów. Wszyscy umierali jęcząc, a ty wciąż się modlisz. Nie znam się na kościele, ale ty jesteś twardy. Szkoda, że nie jesteś z nami. Jesteś cholernie twardy.

Jak przez mgłę Bron poczuł, że-go gdzieś ciągną, a później miał wrażenie, że kładą go na kanapie. Prawie nie czuł rąk, które go myły i smarowały maścią regenerującą. Jedna rzecz tylko sprawiła na nim wrażenie rozpalonego do białości żelaza – głos Jaycee, który mruczał w głębi głowy:

„To tylko próbka moich możliwości, Bron. Nauczę cie, jakie to szczęście całkiem o mnie zapomnieć”.

Obudził się w nieznanej kabinie mając mgliste wrażenie, że właśnie ktoś wszedł. Upewnił się w tym dopiero wtedy, kiedy poczuł zapach pieczonego mięsa.

Najmniejszy ruch zmuszał go do jęków. Wstał i chwiejnie podszedł do lustra. Wyglądał strasznie. Wrócił na łóżko i siedząc starał się przyjrzeć posiłkowi. Wreszcie zmusił się do zjedzenia i wypicia, mimo bólu poszarpanych warg.

Posiłek i dyscyplina, którą sobie narzucił w celu jego zjedzenia poprawiły mu trochę morale i wreszcie poczuł, że może stawić czoła nowemu dniu.

- Jaycee?

„Nie. Tu Veeder. Jaycee poszła robić to, co zwykle czyni jak ją podniecisz”.

- Oszczędź mi naiwności, Doc. Czuje się dzisiaj wszystkim, tylko nie naiwnym. Wczoraj musiało być strasznie. Nie czułem się tak podle od czasu ostatniego wypadu w Europie. Dlaczego zostawili mnie przy życiu?

„Proponuje dwa powody. Po pierwsze Niszczyciele czują ogromny respekt wobec siły i wytrzymałości. To co przeszedłeś zabiłoby z łatwością kogoś nie mającego twojej wytrzymałości i treningu. Po drugie, podejrzewam, że nie odkryli jeszcze tego, że ich rakiety zostały wystrzelone. Wyłączyli wszystkie czujniki w zbrojowni i zamknęli drzwi. Ponieważ są zwykłymi członkami załogi, wiec nie sprawdzili stanu magazynu. Nie wiem, co chciałeś zrobić, ale można powiedzieć, że drogo za to zapłaciłeś”.

- Zapłaciłbym o wiele mniej, gdybym nie słyszał tej cholery.

„Zabiliby cie” - zaprzeczył Doc. „Twoja wytrzymałość i kilka szczęśliwych zdań uratowały cie. Sądzę, że możesz jej podziękować za to, że wciąż żyjesz, choć trochę poobijany. Ale do rzeczy. Sprawdziliśmy twoje nowe współrzędne. Miałeś racje. Jest to system pięciu planet na skraju galaktyki. Doskonała baza, której nigdy byśmy nie znaleźli bez ciebie. Sztab Generalny wysłał tam całą flotę, która przybędzie za jakieś 160 godzin”.

Rozmowa została przerwana wejściem szefa załogi Niszczycieli. Uśmiechnął się widząc Brona, a potem przyjrzał się troskliwie swoim pięściom.

- Masz cholernie twardy łeb - powiedział dość uprzejmie i rzucił na łóżko strój Niszczyciela. - Załóż to, a nie te pieprzoną suknie. Jesteś żołnierzem, a nie jakimś tam pełzającym chrześcijaninem.

Tym razem Bron wolał nie sprzeciwiać się. Strój świetnie na nim leżał, podkreślając jego potężne mięśnie. Mongoł, który nazywał się Maku, przyglądał mu się z uznaniem.

- Wyglądasz jak prawdziwy Niszczyciel. Gdybym miał się bić to chciałbym, żebyś był ze mną. Bron nie odpowiedział. Opinia tego człowieka była oparta na intuicji i nic jej nie mogło zmienić.

Komedia dobiegała końca.

Trzydzieści pięć godzin później Tantal po raz ostatni wyszedł z podprzestrzeni.

W dużej odległości od systemu przeznaczenia statek czekał

na resztę floty. To był niezapomniany widok. W jednej chwili Tantal przestał być tylko porzuconym w kosmosie kawałkiem metalu. Jeden po drugim pojawiały się wokół niego inne statki floty.

Przypadkowo wybrany punkt zbiorczy w niczym nie przeszkodzi obliczeniom Komanda. Analiza planetarna szybko wskaże planety, na których możliwe jest życie. Od tej chwili rozpoczną się masowe represje. Przestrzeń wokółsystemowa za kilka dni stanie się miejscem zbiórki największej w historii floty Mścicieli. Wszędzie, gdzie polecą statki Cany ich ślad grawitacyjny zaprowadzi Komando na odpowiednią planetę. Bron, o dziwo, był przekonany, że Mściciele nadlecą za późno.

Cisza podprzestrzeni ustąpiła miejsca szumowi silników grawitacyjnych. Tantal wraz z resztą floty zmierzał na planetę bazę. Załoga była teraz zajęta nawigacją, ale zawsze jeden z nich przydzielony był do pilnowania go. Bron nie przejmował się tym. I tak niczego nie mógł zrobić w czasie lotu. Jego stosunki z załogą stały się prawie kordialne. Wiedząc dobrze jaki los im zgotował, żałował czasem, że tacy ludzie muszą umrzeć.

Spał właśnie, kiedy Tantal odłączył się od reszty formacji. Obudziła go cisza wynikła z wyłączenia silników grawitacyjnych. Znowu naszedł go sen.

Leżał na poduszce tak miękkiej i elastycznej jak łono matki. Płynął gdzieś, unoszony bezwładnie silnym prądem, ciągnącym go do okropnego celu. Wyraźnie czul ruch prądu. Miał świadomość olbrzymiego ciśnienia. Słyszał dziwne głosy, wodniste, lepkie, klejące rechotanie przerażonych dzikich gęsi, tonących w błocie. Ponad wszystko zaś czuł strach, uczucie osaczenia, które ciążyło jak ołów.

Ponownie zanurzył się w ciemnym tunelu, unosząc się na czarnych wodach niesamowitej rzeki. Na każdym zakręcie dławił go strach, że dalej niczego już nie będzie. Wkrótce był pewien, że to już koniec, że rzeka wpłynie do jakiejś jaskini, a on znajdzie się tam nagi i bezbronny, skonfrontowany z rzeczywistością, do której absolutnie nie był przygotowany.

Niepokój ustąpił miejsca panice. Szum wody stawał się coraz silniejszy, groźniejszy, bardziej bolesny i cisnący. Groził utratą rozumu, dziwniejszym i potworniejszym niż jakiekolwiek delirium.

Huk silników rozsadził ten koszmar i wybił go wreszcie ze snu. Wracając do świadomości spadł na podłogę i z prawdziwą ulgą powitał ból, który wyrwał go ostatecznie z resztek snu. Jeżeli jednak obrazy zniknęły, to dziwny gęsi rechot wciąż był wyraźnie słyszalny, mimo szumów kanału transferowego.

Rozdział XXII

- Doc? Jaycee? Znowu ten szum w kanale. „Nie ma ich, żołnierzyku".

- Ananias? Myślałem, że nie wolno ci zbliżać się do urządzeń kontrolnych.

„Wszystko da się załatwić. Zdaje się, że Doc cierpi z powodu czegoś, co wypił w kawie, a Jaycee z tej samej przyczyny, tylko w alkoholu. Ponieważ tu byłem, wiec pomyślałem, że największy już czas na szczerą rozmowę".

- Zawsze byliśmy szczerzy. Jesteś tylko zwykłą świnią pozbawioną zasad, której ostatnia godzina wybije w chwili, kiedy będę mógł dosięgnąć twego gardła.

„Zawodna pamięć jest rzeczą wspaniałą, Bron. Jeżeli dobrze pamiętam, to było dwóch skubańców pozbawionych zasad, a ty byłeś najobrzydliwszym z nich. Można powiedzieć wręcz, że zawdzięczam swój sukces twojemu pożałowania godnemu wpływowi. Ale nie jestem tutaj, żeby wymieniać z tobą komplementy. Chce cie ostrzec".

- Spływaj Ananias. Cokolwiek byś mówił, to i tak niczego nie zmienisz.

„Wprost przeciwnie. Już zapomniałeś, że za tą całą historią krył się pewien plan? Z pomocą Boga i mojej dedukcji może uda się go jeszcze uratować. Ale to nigdy nie nastąpi, jeżeli wciąż będziesz mi przeszkadzał. Zniszczenie współrzędnych planety Brick było najgłupszą rzeczą, jaką dotąd zrobiłeś".

- Musiałeś się gęsto tłumaczyć, co?

„To nic wobec zła, które wyrządziłeś. Jedyna nadzieja w tym, że flota Komanda nie zdąży nadlecieć na czas".

- Czego ty chcesz, Ananias? Z pewnością nie zależy ci na wygranej Komanda.

„Na Jowisza!" - krzyknął szczerze przerażony Ananias. „Bujasz tak mocno w obłokach, że to aż śmieszne. Gdybyś nie był tak silnym katalizatorem, miałbym ochotę cie zabić. Ostrzegam, Bron. Pozwól wydarzeniom iść swoim torem. Nie dodawaj do nich własnego chaosu. Jeżeli dalej będziesz komplikował, to zmusisz mnie do przeciwdziałania. Nawet gdybym miał cie wydać. Ponieważ chyba naprawdę niewiele pamiętasz, powiem ci coś, co cie zmusi do myślenia. Wiesz kto wymyślił te fałszywe współrzędne? Ty! Jedynie twój zwichrowany umysł mógł to wymyśleć. A po co? Dlatego, że jeżeli te dwie floty uderzą na siebie, to zniszczą się nawzajem doszczętnie. I co wtedy zrobimy?"

Bron nie odpowiedział. Walczył z fałszywością usłyszanych słów i nie potrafił ich powiązać z sytuacją. Potrzebował trochę czasu na zastanowienie.

Tymczasem Tantal zatętnił ruchem. Przygotowywano dok potrzebny do przyjęcia promu. Przyglądał się z uznaniem skuteczności i współdziałaniu załogi. Ci ludzie żyli w kosmosie i uznawali go za swojego wroga. Byli twardzi, zdecydowani i niesamowicie wyszkoleni. Bron zdał sobie sprawę, że jeśli ci groźni Niszczyciele wydadzą bitwę flocie Komanda to nie będzie zwycięzców. Ta bitwa nie będzie jednostronną operacją czyszczącą, ale walką na śmierć, w której jedna strona musi zostać całkowicie zniszczona. A kilku niedobitków, którzy powrócą do rodzimej bazy będzie zaledwie wspomnieniem po dwóch najwspanialszych flotach gwiezdnych galaktyki.

Punkt widzenia Ananiasa bronił się tylko przy założeniu, że lepsza jest jakaś flota - choćby Niszczycieli - niż całkowity jej brak. Do tego musiałby istnieć jakiś wspólny wróg... Gwałtowne nasilenie rechotu w jego głowie wyrwało go z zamyślenia. Przypomniał sobie siedem cylindrów spadających na Onaris z odległości 6000 parseków. Ogrom wniosku, jaki z tego wypłynął przyprawił go o zawrót głowy.

- Ananias...

Nie było odpowiedzi.

- Ananias!?

Cisza. Konsola transferu była pusta i po raz pierwszy w czasie tej akcji Bron był naprawdę sam.

Utrata łączności zaniepokoiła go, bo zbiegła się z nowymi wydarzeniami na pokładzie. Zdał sobie nagle sprawę z utwardzenia postawy załogi, z ich nieufności kontrastującej z poprzednim zachowaniem. Domyślił się, że otrzymali przez radio nowe rozkazy i od tej pory mieli go traktować jako niebezpiecznego więźnia, a nie jak raczej zabawnego Synkretyste. Niemniej jednak wciąż mógł się poruszać po pokładzie. Przyglądał się nawet przylotowi eleganckiego promu planetarnego dobijającego do boku Tantala.

Od tej pory jednak nie można już było wątpić. Mongoł podszedł do Brona z wycelowaną bronią i polecił swoim ludziom skuć mu ręce na plecach i założyć na nogi kajdany utrudniające chodzenie. Potem przytknięto mu do nosa tampon ze środkiem usypiającym. Próbował wstrzymywać oddech, ale wreszcie uległ. Powoli stracił przytomność.

Maku przyglądał mu się z cieniem żalu.

- Pieprzony chrześcijanin. Ale jesteś cholernie twardy. To pewne. Mam nadzieję, że zajmie się tobą Cana, bo Daiquist jest pełnym furiatem - mruknął i obrócił się do swojej ekipy. - To dobry facet. I nie jest ważne, po której jest stronie. Mimo wszystko to równy gość. To po czyjej jest się stronie zależy od tego, gdzie się człowiek urodzi. Ten tutaj z pewnością zginie, jeśli wyjdzie stąd w tym stroju.

Kopnął tkliwie Brona i dodał:

- Bronie Haltern! Niedobrze, że idziesz do piekła w kajdanach. Ale na razie trzeba cie stąd wydostać. Statek ulegnie zniszczeniu i Cana chce mieć pewność, że nie znikniesz razem z Tantalem.

Rozdział XXIII

Bron ocknął się w jakiejś celi. Zdjęto z niego kajdanki oraz strój Niszczyciela. W czasie snu starannie ubrano go w czystą tunikę. W kieszeni czuł miły ciężar Biblii. Słoma, na której leżał pochodziła bez wątpienia z planety, a nie ze statku. Nie słychać było zresztą tej ledwo wyczuwalnej wibracji charakterystycznej dla lotów kosmicznych. Przez kilka sekund zbierał myśli, by wreszcie zerwać się na równe nogi na skraju paniki.

- Jaycee! Doc! Ananias! Odezwijcie sie!

Wąski judasz dawał widok na szary korytarz z kamienną posadzką. Grube drzwi ograniczały widok.

- Jaycee? Gdzie się podziewasz, do diabła? Antares... jeżeli monitorujecie na tej częstotliwości, to natychmiast wywołajcie kontrole. To sprawa nadzwyczajna.

Oszalały z paniki starał się za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. Masywne drzwi ledwo dźwięczały pod jego pięściami, a szyba judasza tłumiła jego krzyki.

- Jaycee... na miłość boską!

Wreszcie usłyszał w głowie cichy chrobot.

„Co tam znowu do ciężkiej cholery. Chcesz siusiu?!”

- Zamknij się, Jaycee. Musze natychmiast mówić z Ananiasem.

„Musisz mówić z Ananiasem?” - krzyknęła ze zdziwieniem. „Bron? Marze o tym spotkaniu. A kiedy go dopadnę usłyszysz tylko jego wrzask. Ten pieprzony karzeł wsypał mi czegoś do szklanki”.

- Wisi mi to. Rób co ci mówię. 1 znajdź Doca. Powiedz mu, żeby zatrzymał flotę. Zrobiliśmy potworny błąd.

„Będziesz mu musiał podać bardziej przekonywający powód”.

- Znajdź go, to mu powiem. Jeżeli te dwie floty się spotkają, to zginą obydwie. „Nie mów mi tylko, że stałeś się wierzący w środku misji”.

- Jaycee. Jestem już żywym trupem. Ale teraz zrozumiałem, że nie walczymy z właściwym wrogiem.

„Co to znaczy?”

- To, że Cana nie kłamał, mówiąc że to nie on zniszczył Onaris. On, tak samo jak my, nie posiada tak silnej broni. To świństwo było obce i zostało wystrzelone z doskonałą precyzją, żeby zniszczyć planetę z 200 milionami ludzi. To istoty, które zbudowały te cylindry - żeby zniszczyć Onaris i 55 innych planet, co przypisywaliśmy Niszczycielom - właśnie są naszym prawdziwym wrogiem. Jeżeli zaatakujemy Cane, to ryzykujemy utratę obu flot, a wtedy galaktyka będzie otwarta, aż do Ziemi.

‚Jeżeli są jacyś Obcy, co nie zostało udowodnione, to skąd wiesz, że nadlatują?”

- Po pierwsze słyszę ich w kanale transferowym. Po drugie, Cana właśnie z tej przyczyny stworzył swoją flotę.

„Nie zgadzam się, Bron. Cana stworzył flotę, żeby zagrozić Ziemi”.

- Cana ma w nosie Ziemie. Postaw się na jego miejscu. Gdyby miał taką bron, jak pocisk termiczny z Onaris, to wystrzeliłby go prosto na Ziemie, nie przejmując się Komandem. Nie potrzebowałby wtedy tak silnej floty.

„Rozumiem. Ogłaszam alert czerwony dla Doca i Ananiasa. Nie wierze, żebyś przekonał Doca tak, jak nie przekonałeś mnie, ale masz prawo do swojego zdania”.

- Mam prawo do czegoś więcej, Jaycee. Mam racje i wiesz o tym.

„O tym zadecyduje Doc. Na razie ciągle podlegasz rozkazom. Nie próbuj się uwolnić, bo bede musiała przywrócić cie do porządku”.

- Nie mogę czekać. Musze uprzedzić Niszczycieli, żeby zabrali stąd swoje statki. Nie możemy pozwolić na zniszczenie ich floty. To jedyna siła gotowa do odparcia Obcych.

„Nie mogę na to pozwolić, dopóki nie wypowie się Doc, a on może zdecydować się mimo wszystko na atak”.

- Nie mówiłem o groźbie ze strony floty Komanda, a o małym chaosiku, który zmontowałem jeszcze na Tantalu, kiedy bałem się, że flota Komanda nie zdąży na czas.

„Co?! Coś ty zrobił?” - wykrzyknęła Jaycee twardym głosem.

- Co? Po prostu zorganizowałem zniszczenie tego układu. „Oszczędź mi melodramatu, Bron. Nie miałeś odpowiedniego sprzętu”.

- Ależ tak. Miałem pociski termiczne i wystrzeliłem je jeszcze w podprzestrzeni. Obliczyłem tor lotu i zaprogramowałem ich cel. Wkrótce powinny w niego uderzyć.

„Bez paniki. Cztery rakiety typu Nemesis nie mogą zagrozić całej flocie na orbicie. Co najwyżej spalą ze dwa kontynenty”.

- Mogą, jeśli się wie jak ich użyć. Nie tylko planeta baza zostanie zniszczona, ale także inne planety.

„Nie nalegaj, Bron. Wiem, że jesteś wcieleniem diabła, ale nawet ty nie jesteś w stanie zrobić czegoś takiego z czterema głupimi pociskami. Niszczyciele je zresztą zaraz wykryją”.

- Nie tam, gdzie je wysłałem. Przy długiej trajektorii wykryto by je natychmiast po wejściu w zasięg detektorów ochrony. Ale one nigdy nie zbliżą się na tyle do floty.

„A wiec gdzie je wysłałeś? Na słońce?”

- Nie. Tam ich efekt byłby żaden. Natomiast najbliższa słońcu planeta jest zbyt blisko i ma zbyt dużą gęstość. To prawie plazma, która ledwo trzyma się kupy. W nią właśnie uderzą moje pociski.

„Ależ one ją zdezintegrują...”

Jaycee zamilkła niezdolna do ogarnięcia wszystkich konsekwencji sytuacji.

Jeżeli jej cześć spadnie na słońce, to promieniowanie wy sterylizuje cały układ”.

- Jeśli nie pomyliłem się w obliczeniach, to prawie cała masa planety zostanie przyciągnięta przez słońce. Musze uprzedzić Niszczycieli. Chce, żeby Antares nadał taki komunikat na ich fali alarmowej. Połącz mnie z Antares.

„Żartujesz? Nie mogę tego zrobić bez zgody Doca. Nawet on będzie musiał mieć zgodę Sztabu Generalnego”.

- Czas nagli. Zanim Sztab podejmie decyzje, będzie po wszystkim. Bron wrócił pod drzwi i jeszcze raz w nie walnął. Bez skutku.

- Do diabła, Jaycee. Jeżeli nie ostrzeżesz Niszczycieli, to sam będę musiał znaleźć jakiś sposób. „Nie rób tego, Bron. Wciąż podlegasz rozkazom, które za wrogów uważają Niszczycieli. Jeżeli spróbujesz ich ostrzec będzie to traktowane jako bunt. Przeszkodzę ci wszystkimi środkami”.

- Odczep się.

Przykucnął i wcisnął palce pod drzwi. Zadowolony z oględzin podniósł się i rozejrzał wokoło w poszukiwaniu czegoś, co pozwoliłoby wykorzystać sytuacje.

„Nie kombinuj, Bron. Raz już nie posłuchałeś i pobili cie prawie na śmierć. To cie niczego nie nauczyło?”

- Zrób mi przyjemność, Jaycee. Zdechnij.

Mała żarówka pod sufitem przyciągała najmocniej jego uwagę. Dotknął Biblii i sprawdził jej wygląd. Papier wyglądał na łatwopalny. Następnie wziął się za łóżko, które na szczęście nie było zbyt mocno przymocowane do ściany i z łatwością je wyszarpnął.

„Ostrzegam Bron, że zabije cie w końcu. Nie mam nastroju na twoje wygłupy”.

- Daj mi spokój. Nie ośmielisz się mnie zabić, a nic innego mnie nie powstrzyma. Bron podniósł łóżko i zbił nim ampułkę. Światło zadrżało, ale nie zgasło.

„Nie wiem co chcesz zrobić, ale przestań. Ostrzegam, że jestem wystarczająco zdenerwowana, żeby zastosować któryś z obwodów karcących”.

- To by ci sprawiło frajdę, co?

Bron zgasił łuk elektryczny i cela była teraz oświetlona jedynie słabym promykiem wpadającym przez judasza. „Frajdę? Nawet nie wiesz, z jaką radością nacisnęłabym czasami przycisk. Tylko że...”

- Złości?

Bron wspiął się po łóżku i dostał się do przewodów.

„Złość... zemsta... nienawiść... Nie wiem już nawet czego ty

nie wzbudzasz we mnie”.

Wcisnął miedzy druty kartkę wyrwaną z Biblii. Drugą kartką ochraniał iskierkę od podmuchu. Nie śmiał zapalać więcej, wiedząc, że i tak będzie miał szczęście, jeśli zdąży zanim automat nie wyłączy prądu.

„Bron, ostrzegam...”

- Czemu nie naciśniesz przycisku? Jeżeli sprawia ci to przyjemność...

Wreszcie zabłysnął nikły ognik. Bron zeskoczył na ziemie i dorzucał nerwowo kartki dla podtrzymania ognia.

„Bron! Przestań mnie doprowadzać do szału!”

Udało mu się wcisnąć zapaloną kartkę pod drzwi i zaraz zaczął dorzucać nowe kartki. Miał nadzieje, że system alarmowy wykryje ten nikły dymek.

- Naciśnij wreszcie, jeżeli się ośmielisz. To może być ciekawe dla nas obojga.

Próbował się przygotować na ból, ale to było straszniejsze niż najpotworniejsze wyobrażenia. Wszystkie nerwy czuciowe zostały naruszone. Nawet kiedy już ból ustał, to i tak potrzebował z pół minuty, żeby dojść do siebie. Nie mógł jednak wydobyć z siebie głosu. Słowa zresztą były zbędne. Histeryczna wściekłość Jaycee docierała do niego wyraźnie. Powiedział sobie, że te trzydzieści sekund musiały być równie straszne dla niego, co dla niej. Usłyszał jej szept.

„Zarażasz mnie, niszczysz, ty świnio!... świnia!...”

Zanim ogarnęła go druga porcja bólu zdążył zrozumieć po jej łkaniu, że tym razem będzie wciskać przycisk bardzo długo. Może nawet do czasu nadejścia Doca lub Ananiasa. Na szczęście była zbyt zdenerwowana, żeby pomyśleć o utrzymaniu go przy świadomości przez zastosowanie klucza semantycznego. Zemdlał.

Rozdział XXIV

Bron odzyskał świadomość pod strugami wody, którą Niszczyciele wylali mu na głowę. Nie leżał już w celi, a na posadzce jakiejś sali kontrolnej zapchanej aparaturą. Daiquist z wściekłą miną pochylał się nad nim. Cana trzymał się na uboczu, starając się zrozumieć sytuacje. Bron podniósł się zdziwiony oskarżającym spojrzeniem.

- Do diaska - zagrzmiał Daiquist - podziwiam twój tupet, ale to ostatni numer, jaki nam wykręciłeś. I powiedzieć, że uratowaliśmy cie z Onaris.

Zabrakło mu słów, jakby oszustwo Brona przerastało go.

- Nie rozumiem...

Bron desperacko grał dalej swoją role, choć instynkt mu mówił, że przegrał. Ale w jaki sposób? Najwyraźniej podejrzenia Daiquista zamieniły się w pewność, choć Bron nie mógł zrozumieć co było tego przyczyną.

- Co się stało, Jaycee? „Ananias cie sprzedał, Bron”.

Głos był zmęczony i ciężki. Mówiła dalej, ale Bron nie słuchał. Doskonale rozumiał. Głos Jaycee słychać było również z głośników zainstalowanych przez Niszczycieli. Uśmiech Daiquista był modelem triumfu i nienawiści.

- I co, Synkretysto? Wciąż nie rozumiesz? Ty i ta twoja dziwka z Komanda? Od pół godziny dowiadujemy się wciąż nowych rzeczy o tobie. Ona chce ci sprawiać ból, co? Będę miał przyjemność zadowolić ją. Będziesz cierpiał jak nikt dotąd. A kiedy skończę, to wątpię czy nawet Komando odważy się podesłać nam nowego szpiega.

- Jeżeli nas podsłuchiwałeś - odparł Bron - to wiesz, że starałem się zwrócić waszą uwagę. Te rakiety, które wysłałem na pierwszą planetę... macie zaledwie kilka godzin na ucieczkę.

- Sądząc po twoich dotychczasowych podstępach, to jeszcze jeden z nich. Komando marzyłoby o tym, żebyśmy opuścili nasze linie obrony i rozpuścili statki.

- To nie jest podstęp. Nie wiedziałem przecież, że mnie podsłuchujecie.

„Nie muszą, Bron. Ananias jest w kosmosie na pokładzie statku wywiadu radiowego. Przechwytuje połączenie i nadaje Niszczycielom zwykłym radiem nadświetlnym”. Cana spojrzał na technika obsługującego radio.

- To prawda?

- Transmisja nadświetlna? Oczywiście, że to prawda.

- To mimo wszystko może być pułapka - warknął Daiquist. - Zajmę się nim. Będzie błagał o pozwolenie wyśpiewania wszystkiego.

Cana podniósł rękę.

- Nie. Jeżeli to pułapka, to flota Komanda przynajmniej nas nie zaskoczy. Możemy przecież opuścić ten układ w formacji bojowej. Ale mój nos mi mówi, że to nie jest pułapka.

- A wiec co?

- Schematy Chaosu przewidują zniszczenie Tantala. Słyszałeś, gdzie on wysłał rakiety. A teraz powiedz jeszcze, gdzie umieściłeś Tantala.

- Porzucono go na orbicie wokół pierwszej planety.

Wyraz twarzy Daiquista najlepiej świadczył o jego niezdecydowaniu.

- Nie... dalej uważam, że lepiej będzie...

- Czy nie rozumiesz - krzyknął Cana z całym naciskiem autorytetu, który rządził federacją pirackich planet - że, jeśli Synkretysta mówi prawdę, to wszyscy zginiemy zanim coś z niego wyciśniesz?

- A wiec pozwól mi go po prostu zabić. Nie mam ochoty bić się mając obok szpiega. Cokolwiek by mówiły schematy, to uważam, że wystarczająco już ryzykowaliśmy.

- Nie mogę na to pozwolić i dobrze wiesz dlaczego. Nie ufam ci - dodał Cana patrząc na Brona - bez względu na to kim jesteś. Jeżeli wciąż żyjesz, to tylko dlatego, że jakkolwiek byśmy obliczali schematy Chaosu, to zawsze cie odnajdujemy u źródeł najpotężniejszych fal. Najwyraźniej jesteś katalizatorem, który spowoduje najpotężniejsze w historii ludzkości zmiany entropijne. A wiec powiedz mi, Bronie Haltern, czy kim tam jesteś, w jaki sposób zamierzasz złapać kosmos za ogon?

Nagle przy jednej z konsol operatorskich zrobiło się zamieszanie i jeden z techników wykrzyknął podniesionym głosem:

- Tantal nie odpowiada. Chyba zniszczony. Cana odwrócił się do Daiquista.

- Czy dalej wątpisz w schematy, Martin? To podmuch wywołany wybuchem pocisków na pierwszej planecie. Trzeba będzie godzin na dotarcie jej kawałków do słońca, ale promieniowanie, które wywołają dotrze do nas w kilka minut. Ogłoś natychmiastową ewakuacje.

- Mówię ci, że to podstęp.

- Podstęp czy nie, to czy możesz wątpić w jego umiejętności wpływania na wydarzenia w skali kosmicznej?

Daiquist stawał się coraz bardziej wściekły.

- Słuchaj Cana. Dlaczego nie chcesz, żebym go zabił? Co się stanie z tymi schematami kiedy dostanie kule w łeb?

- Ciekawe pytanie, Martin. Ale ponieważ jego działanie jest już w nich uwzględnione, to albo nie będziesz mógł go trafić, albo będziemy mieli szanse poznać osobiście fenomen zmartwychwstania. Jedno i drugie uwłaczałoby mojej materialistycznej godności. Dlatego właśnie zabraniam ci próbować. Straciliśmy jeden układ planetarny i mamy całą flotę do uratowania. Nie ma wiec sensu dyskutować.

Daiquist obrócił się niechętnie w stronę operatora radia.

- Ogłoście alarm. Wszyscy mają natychmiast powrócić na statki, a personel naziemny ma się przygotować do natychmiastowej ewakuacji. Wszystkie statki ustawią się w formacje bojową w odległości czternastu średnic układu. Ten rozkaz ma absolutny priorytet i nie będzie powtarzany.

Daiquist obszedł całą sale wydając wciąż nowe polecenia. Cana przyglądał się uważnie Bronowi.

- A wiec, Synkretysto, mam cie skuć, czy dasz słowo, że nie będziesz próbował mi szkodzić? Cokolwiek by było, to chciałbym znać twoją rangę.

- Nie mogę odpowiedzieć ani na jedno pytanie, ani na drugie. Po pierwsze wciąż jestem na służbie i podlegam rozkazom, a wiec nie mogę dać słowa. Po drugie zapomniałem większości szczegółów ze swego życia.

- Może twój mentor będzie uprzejmy udzielić mi odpowie-

dzi?

- To komendant Bron z Centralnego Biura Wywiadowczego Komanda - wyjaśnił posępny głos Jaycee.

- Ach tak. Powinienem się tego spodziewać. Powiedz mi komendancie, czy ona słyszy twoimi uszami?

- Nie tylko słyszy, ale i widzi moimi oczami.

- Interesujące - mruknął Cana i obejrzał uważnie głowę Brona, nie dostrzegając jednak głęboko umieszczonych elektrod. - Nie doceniałem Komanda. Ani jego techniki, ani ludzi, którzy je tworzą. Niemniej jednak dalej będę cię traktował jak Halterna Synkretyste. Niewątpliwie odegrasz role jako katalizator. Idziesz?

Eskortowani wyłącznie przez adiutantów, wyszli razem na dwór, gdzie było bladoszaro, jakby był ranek. Wokół Bron dostrzegł tylko pustynie. Atmosfera była wilgotna i zimna, przesycona jakby desperacką samotnością. Zupełna antyteza wyobrażenia o bazie Niszczycieli. Jedynie budynki wciśnięte w szczelinę skalną świadczyły o obecności ludzi.

Przyglądał się z lekiem tej panoramie. Dopiero, kiedy zorientował się na jakiej byli wysokości, jego ocena bladoszarego słońca uległa zmianie. Zrozumiał, że ta parodia zimy odpowiadała w rzeczywistości południu. Nikomu nie przyszłoby do głowy założyć swoją bazę w tak niegościnnym otoczeniu. Im bardziej się nad tym zastanawiał, tym bardziej zrozumiała stawała się ta historia. Statki Niszczycieli nie skierowały się do swojej bazy. Najpierw zamierzały zostawić niewolników na planecie, którą wybrali do eksploatacji. To była zwykła kolonia, obóz dla tysięcy niewolników, którzy mieli pracować pod tym słabym słońcem. Ludzie byli tańsi od maszyn w początkowym etapie kolonizacji. Łatwiej też było ich zdobyć. Poza tym sami się reprodukowali i można ich było przyuczać do różnych zadań, jak maszyny. Nie było nawet istotne to jak wielu spośród nich umrze przy pracy, dopóki istniało jądro reprodukujące. Tak wiec w najszerszym rozumieniu ludzkość zatriumfowała nad automatami.

Rozdział XXV

Bron poczuł nagle wstręt do siebie za skazanie tego świata duchów na zemstę, przewyższającą wszystkie inne. Wokół było widać tylko promy. Na orbicie flota Niszczycieli szykowała się do bitwy z flotą Komanda. Był pewien, że nieszczęśliwych niewolników z Onaris porzucano pospiesznie na pastwę losu.

Czuł na sobie badawcze spojrzenie Cany i zastanawiał się czy ten wybitny intelekt mógł odgadnąć jego myśli. Cana jednak nie dawał po sobie niczego poznać.

Kanciaste statki, zapewniające łączność z flotą, rozsiadły się na dalekich polach. Dziesiątki pojazdów kręciły się wokół nich przewożąc ludzi i aparaturę. Przez cały czas słychać było sygnał alarmowy. Grupy ogłupiałych niewolników z Onaris dawały się pędzić przez pola jak bydło. Statki ze spóźnialskimi starały się jak najszybciej dołączyć do floty.

Wiele zaniepokojonych spojrzeń kierowało się w stronę szarego słońca, jakby obawiając się, że nagle sczerwienieje i wybuchnie. Przez straszny moment ten smutny świat pozna najgorętsze lato wszechczasów, ale wraz z ciepłem i światłem nadleci promieniowanie, które stopi kamienie na wiele kilometrów w głąb. To był niezaprzeczalny pewnik, choć nikt nie mógł przewidzieć dokładnej godziny katastrofy.

Bron sam czuł narastający niepokój. Jakby katastroficzna natura wydarzeń swoim ciężarem zduszała ludzką obawę przed śmiercią. Jego uwagę przykuły wreszcie nowe wydarzenia. Obok niego wylądował prom. Siedem otwartych pojazdów wylądowało w szyku nieco dalej.

Cana dał mu znak, żeby wsiadł do jednej z tych maszyn i odwrócił się, szukając wzrokiem Daiquista. Czekał kilka minut, patrząc to na słońce, to na zegarek, podczas gdy pilot promu usiłował nerwowo znaleźć pułkownika Daiquista przez radio. Wokół nich narastał tłum ewakuujących się Niszczycieli. Gdy któryś z pojazdów zapełnił się po brzegi Cana dawał mu zezwolenie na start. Ponieważ Bron zajął już miejsce w jednym z nich, wiec został przetransportowany do promu na długo przed Caną.

Bron ciągle ubrany w swoją białą tunikę spodziewał się wyraźnej wrogości ze strony otaczających go Niszczycieli, którzy wiedzieli przecież, że to on właśnie jest autorem obecnego kryzysu. Ze zdziwieniem stwierdził, że okazują mu taki sam respekt, jak wyższym oficerom. Przyniesiono schodki, ułatwiające wejście na prom, a nawet przygotowano pasy na wypadek gdyby nie umiał sobie z nimi poradzić.

Po wlokących się nieskończenie minutach prom wreszcie wystartował, pewnie prowadzony mimo dramatycznej atmosfery przez zgraną załogę. Połączenie ze statkiem na orbicie było równie precyzyjne i Bron odniósł wrażenie, że nigdy nie widział równie doskonałego manewru, nawet wśród załóg Komanda.

Czekał już goniec, by odprowadzić go na mostek. Mniej więcej w tym samym czasie nadleciał Cana. Prawie natychmiast odezwały się silniki grawitacyjne. Zużyta energia świadczyła, że odlot następował w ostatniej chwili. Cana pchnął Brona przed wielki ekran kontrolny, żeby sam zobaczył przyczynę tego pośpiechu.

Obraz zaparł mu oddech. Kamery były ustawione na słońce, które teraz nie miało w sobie nic z przytulności. W jego wnętrzu szalała burza słoneczna o tak wielkim natężeniu, że nawet z odległości ponad 100 milionów kilometrów wydawała się ona zagrażać statkowi. Monstrualne wybuchy ognia rozchodziły się jak fantastyczne wybuchy jądrowe z 1/10 szybkości światła. Przed ich oczyma słońce wydawało się kurczyć, a potem marszczyć i bąblić, wymiotując ogniem z taką mocą, że aparaty obserwujące musiały być ciągle regulowane dla zneutralizowania wzrastającej jasności. Razem z narastającą radiacją strumienie ognia rozchodziły się coraz dalej w przestrzeni.

Bron nie był w stanie ocenić skali wybuchu, ale obiektywy kamer ciągle cofały się, żeby ogarnąć całość obrazu. Ogromnie nasilone promieniowanie kosmiczne i ultrafioletowe z pewnością już wcześniej przebiło ochronną atmosferę planet zamieszkałych. Druga planeta musiała już zamienić się w promieniotwórcze piekło. Trzecia natomiast, którą właśnie opuścili, była już bombardowana tak silnym strumieniem promieniowania, że życie na jej powierzchni było niemożliwe. Szybkość i rozmiary kataklizmu przekraczały wszystko, co Bron mógł sobie wyobrazić.

Od czasu do czasu kamery pokazywały statki Niszczycieli na tle rozprzestrzeniającej się zagłady. Każdy z nich znajdował się na długiej, wymuszonej trajektorii, która, jak się spodziewano, miała pozwolić na ucieczkę i ochronę przed promieniowaniem. Potem kamery skupiły się na Trzeciej Planecie, pokazując szczegóły. Siedem statków wciąż jeszcze znajdowało się na orbicie i prawdopodobnie miało już tam pozostać. Przed takim natężeniem śmiertelnego promieniowania nie mogły ich ochronić nawet potężne ekrany. Załogi musiały zginąć.

Na tle powierzchni planety widać było startujący zygzakiem prom, który nagle pełnym ciągiem wbił się w ziemie. Cana zażądał bardziej szczegółowych przybliżeń. Jeden po drugim zidentyfikowano statki pozostałe na orbicie. Ich całkowita sterylizacja była teraz kwestią minut. Któregoś dnia będzie można je odzyskać, ale ludziom, którzy je pilotowali nie pozostała już żadna nadzieja.

Statek Admiralski Cany, Skua, znajdował się dość daleko od szalejących macek promieniowania i wkrótce huk przeciążonych silników uspokoił się i wrócił do normy. Cana natomiast z pewnością się nie uspokoił. Kipiał wewnętrznie zimną złością, co było strasznym widokiem. Bez przerwy żądał danych i informacji na temat statków, którym nie udało się uciec. Wreszcie odwrócił się w stronę Brona z wściekłością, którą z trudem opanowywał.

- Wiesz co mi zrobiłeś, Synkretysto? Kosztowałeś mnie trzy zamieszkałe planety, co najmniej siedem statków, ponad 1000 ludzi... i Martina Daiquista!

Przerwał, jakby mu zabrakło słów, ale zaraz znowu zaczął mówić, ciągle walcząc z narastającą wściekłością.

- Jeden człowiek, pieprzona książka i garść biotroniki. Na Zeusa! Nic dziwnego, że formy Chaosu traktują cie z takim respektem. Jeżeli potrafisz tyle dokonać będąc więźniem, to drżę

na myśl, co się stanie z wszechświatem, jeśli powierzy ci się flotę.

Spojrzał ze smutkiem na ekrany, pokazujące nabrzmiałe słońce, zmuszone do zniszczenia planet, które ogrzewało od tysiącleci.

- Musze się wpierw zająć bezpieczeństwem floty. Przyjdź do mojej kabiny za godzinę. Musimy porozmawiać o wielu rzeczach.

Odszedł zwołując na konferencje oficerów i miotając obelgi na obsługę radia, która toczyła z góry przegraną bitwę o utrzymanie łączności w pobliżu szalejącej gwiazdy.

Bron pozostał jeszcze przy ekranach, wciąż przejęty ogromem chaosu, który sprowokował. Zniszczenie na tak kolosalną skale przy użyciu czterech małych rakiet Nemesis było możliwe jedynie dzięki jego perwersyjnemu geniuszowi, który podpowiedział mu pomysł zwiększenia miliony razy skuteczności tych rakiet. Nie on jeden zdawał sobie sprawę ze swojego talentu. Stawał twarzą w twarz z od dawna nakreślonym przeznaczeniem. Tak wyjątkowym, że decyzja o jego zamordowaniu na Onaris została podjęta przed 700 milionami lat w innej galaktyce.

Rozdział XXVI

Doc ocenia, że masz szczęście, że słońce nie zamieniło się w nową" - powiedziała Jaycee cichym głosem, który wyrwał go z zamyślenia.

- Już wrócił?

„Już dawno. Przesłuchuje taśmy i stara się coś z nich zrozumieć".

- Co?

„Przegrał w Sztabie. Zdjęli go z dowództwa i cały kram powierzono temu gnojkowatemu generałowi Ananiasowi".

- Łącznie z dowództwem nad flotą?

„Cały kram. Został teraz Głównym Doradcą Sztabu Generalnego".

- A gdzie jest w tej chwili?

„Ciągle w kosmosie, na pokładzie statku radiowego wywiadu. Przynajmniej wciąż nas podsłuchuje za pośrednictwem Antares".

- Czyli słyszy naszą rozmowę?

„Trafiłeś w dziesiątkę, żołnierzyku" - głos Ananiasa był przytłumiony, ale wyraźny. „Cieszę się, że znowu jesteś w formie. Zmontowałeś maleńkie zniszczonko, które przewyższyło wszystkie twoje dotychczasowe osiągnięcia. Kłopot w tym, że uderzyłeś w złą stronę. Mając ciebie, nie musimy już martwić się o wrogów".

- Zrób mi przysługę, Ananias. Musisz zatrzymać flotę Komanda przed spotkaniem z Niszczycielami. Flota Cany jest już gotowa i ma desperacką wole walki. Są w stanie rozbić was w puch.

„Spokojnie. Te dwie floty nigdy się nie zbliżą do siebie na parsek. Już się tym zająłem. Martwię się tylko o ciebie. Nie tylko zapomniałeś o tym, że mieliśmy plan, ale także o tym, że to był twój pian. Naprawdę nic nie pamiętasz?"

- Coś tam mi się kołacze jak trafie na sprzyjające warunki, ale całości nie pamiętam.

„A wiec dla twojej wiadomości. Obydwaj byliśmy zamieszani w spisek śmierdzący na kilometr, za który moglibyśmy zostać powieszeni dziesięć razy, gdyby rzecz się wydała. To, że nie zawiśliśmy zawdzięczasz wyłącznie mojej elokwencji. Ale nie mogę cie ciągle prowadzić za rączkę. Musisz zacząć sam sobie radzić i to szybko. Na razie nie decyduj o niczym ważnym bez porozumienia ze mną. Jeżeli zmontujesz jeszcze jeden taki idiotyczny numer jak ostatni, to prawdopodobnie stracimy Ziemie. Jaycee? Jesteś tam?"

„Słucham, Ananias?"

„Pilnuj tego króla narwańców. Wchodzimy w podprzestrzeń i nie będziemy mogli was przechwytywać. Jeżeli Bron zacznie znowu się wygłupiać, to potraktuj go wszystkim co tam masz. Połączę się z wami, jak tylko będę mógł".

„Przyjęte. Musisz być z siebie dumny, co? Sztab jeszcze raz potwierdził swoją decyzję. Wygląda na to, że od tej chwili wszyscy pracujemy dla ciebie".

„Dawno to przepowiadałem. Czyż nie mówiłem, że zawsze jest przyjemniej być szefem? Ale nie nabierz się na pozory. Nigdy nie wpadłbym sam na taki numer, nawet dziesięć razy mniejszy i mniej przewrotny. Prawdziwy twórca naszych nieszczęść siedzi na drugim końcu kanału. Gdyby nie stracił tak sprytnie pamięci, to powiedziałby ci o tym osobiście".

Nagła zmiana poziomu szumów oznajmiła wyłączenie się Ananiasa. Bron mógł dzięki temu lepiej słyszeć dziwne głosy dochodzące od dawna z kanału transferowego. Zaniepokojony stwierdził, że znajomy rechot stał się głośniejszy i groźniejszy. Dotąd niewyraźny szum rozdzielił się na poszczególne głosy, jakby słyszał oddzielne ptaki walczące w błocie. Bez względu na jeżyk i naturę istot wydających te dźwięki, ich nalegający akcent i panika były łatwo rozróżnialne.

„ Rytmiczne tony obcej inwazji w jego głowie rozbijały się jak fale o brzeg, z tym, że te fale były ze szkła, a istoty tonęły w błocie, obmywającym plaże sytuowane ponad granicami ludzkiej wyobraźni. Zdał sobie z przerażeniem sprawę, że jeśli głosy będą się dalej wzmagały, to wkrótce uniemożliwią jakąkolwiek ludzką rozmowę. Wtedy będzie zdany wyłącznie na siebie. Bron zmusił się wreszcie do ucieczki od tej ponurej myśli i skupił się na własnej sprawie.

- Jaycee, czy Ander jest uchwytny? ‚Jest tutaj. Chcesz z nim rozmawiać?"

- Natychmiast. Musze wiedzieć, co to jest katalizator Chaosu.

„W porządku. Będziesz musiał poczekać kilka minut. A propos, powinnam mieć niewątpliwie wyrzuty sumienia za ból, jaki ci zadałam. Miał cie przywrócić do porządku..., ale sądzę, że kiedy dwie istoty są tak bliskie sobie jak my, to jest właściwie rzeczą niemożliwą ukryć własne uczucia".

- To było nieuniknione, prawda? To musiało się zdarzyć wcześniej czy później. Czy myślisz czasem o naszych stosunkach?

„Nie ma ryzyka, że je zapomnę, jeśli o tym myślisz".

- A tak naprawdę? To mi przypomina... mistyczny związek myśli miedzy katem a jego ofiarą. Jesteś ze mną bardziej niż gdybyśmy ze sobą spali. Czasem mam nawet wrażenie, że wiesz o czym myślę.

„Często mi się to zdarza. Trochę na wyczucie, a trochę dlatego, że nieświadomie formułujesz zdania, kiedy myślisz. Nie jest to na tyle wyraźne, żebym je jasno zrozumiała, ale wystarczy dla odebrania emocji. Nawet nie wiesz, że dostaje gęsiej skórki jak dotykasz innej kobiety. Mogę nawet odgadnąć twoje dylematy".

- Gęsią skórkę?

„Właśnie. Kiedy użalasz się nad sobą, kiedy się nienawidzisz. Czy to jest gorycz miłości czy czułości, mam ochotę wyć. Mam ochotę krzyczeć do nich, że gdyby cię rozumieli tak jak ja ciebie rozumiem, to nikt nie musiałby cierpieć. Ani oni ani ja".

- Ani ja?

„To nie jest dokładnie tak. Ty jesteś jednocześnie ofiarą i katem. To twoja rola. Wisi mi jak bardzo cierpisz, jeżeli tylko umożliwia to dalsze trwanie naszego związku. Wiem, że cokolwiek by się z tobą działo, będę cierpiała tak samo jak ty. Tylko czasami nasz układ mi nie wystarcza i mam ochotę wbić się paznokciami i zębami w twoje ciało, żeby wyrównać bilans. Jestem... jak odurzona. Mój Boże. To twój typ Chaosu, Bron. Z końca wszechświata dotykasz mnie, rozrywasz i rozbijasz".

Zamilkła nagle, jakby jej ktoś przerwał. Po chwili znów się odezwała:

„Mam na linii Andera. Zostawiam cię z nim. Doc przejmuje sterowanie, więc jeśli coś będziesz chciał, to załatwiaj to z nim. ja idę się urżnąć jak jeszcze nigdy". .

Nowy głos włączył się na linię.

„Tu Ander. Słyszałem, że chcesz wiedzieć co to jest katalizator Chaosu?"

- Tak. Wszyscy mi mówią, że nim jestem.

„Jest to pojecie względnie proste, Bron. Pamiętasz nasze ustalenia o tym, że entropia wzrasta lub maleje pod wpływem działania inteligencji. Większość ludzi nie wpływa na ogólny schemat entropii i przez to nie można ich wyróżnić z tłumu. Nieliczni

jednak katalizują losy całych narodów i prowadzą w nowy świat myśli i wartości. Ich działania można w pewnym stopniu śledzić, bo wywołują wykrywalne fale w Chaosie. Właśnie takich ludzi nazywamy katalizatorami Chaosu".

- Co to za ludzie?

„Prawie wszyscy historyczni tyrani oraz kilku świętych. Kupa wielkich myślicieli, zwłaszcza fizyków, prawie wcale polityków oraz wielu takich jak ty, których talenty niszczycielskie pozostawią lub pozostawiły trwałe blizny w historii. Nazwiska większości nic ci nie powiedzą, bo ocena opiera się nie na ich współczesnej wartości, a na sprawdzonych efektach zmieniających historie ludzkości".

- Ależ historia nie wypowiedziała się jeszcze na mój temat - zaprotestował Bron.

„Jeszcze nie, ale formy Chaosu tak. Jeżeli skonsultujemy je, to zobaczymy w nich siłę efektów, których przyczyną staniesz się któregoś dnia. Właśnie natężenie tych efektów stało się przyczyną zniszczenia Onaris".

- To chyba lekka przesada.

„Niestety, nie. Przed milionami lat, jakaś inteligentna forma życia odczytała to samo w schematach Chaosu i przestraszyła się. Może nie umiano określić, kto będzie przyczyną, ale potrafiono obliczyć pozycje i czas, i to z taką dokładnością, że pocisk spadł zaledwie kilka metrów obok i parę godzin później".

- Ale dlaczego właśnie ja?

„Podejrzewam, że są to starania mające na celu unikniecie skutków czegoś, co zrobisz ty lub inni eksperci Chaosu, których zbiera Cana. Ale ty jesteś katalizatorem numer jeden, głównym punktem skupienia przyczyn. Nie wiem czego naprawdę dokonasz, ale fale sferyczne szoku są najsilniejszymi, jakie kiedykolwiek zarejestrowano".

Rozdział XXVII

Brzęczyk sygnału alarmowego rozproszył resztkę zamyślenia, a załogę doprowadził do stanu gotowości z szybkością i precyzją nie pozostawiającą wątpliwości co do jej walorów. Sygnał alarmowy budził w Bronie na pół zapomniany instynkt, wynikający z jego przeszkolenia w Komando. Przyglądał się teraz uważnie mostkowi Skuy. Coraz lepiej rozpoznawał różne urządzenia, odpowiadające różnym technikom walki. Zaniepokojony raz jeszcze obejrzał wskazania aparatów, które logicznie rzecz biorąc, powinny informować o rodzaju zagrożenia.

Na razie ekrany pozostawały puste. Żaden nie pokazywał czegoś, co można by uznać za przyczynę alarmu. Oczy załogi były skierowane na świetlną tablice komputera, który kierował i ustawiał instrumenty pokładowe, jakby w przewidywaniu nadejścia kilku Nemesis, znajdujących się jeszcze poza zasięgiem czujników.

Sytuacja przypominała Bronowi oczekiwanie na przylot pocisku mającego zniszczyć Onaris. Wtedy panowała ta sama atmosfera niepokoju. Zaczynało się od oczekiwania i przewidzenia punktu praktycznie niewidzialnego w przestrzeni, o którym wiedziano, że wkrótce urośnie i przekształci się w diaboliczne narzędzie zniszczenia, do walki z którym nikt nie był przygotowany ani wyposażony.

- Doc? Jesteś tam? „Słucham, Bron".

- Upewnij się, czy urządzenia nagrywające nie nawalają. Zdarzy się coś bardzo ważnego. „Przyjęto. Może chciałbyś, żebym ci wyjaśnił szczegóły zanim bede musiał przesłać dokumentacje do

sądu?"

- Nie rozumiem. Jakie oskarżenie można wytoczyć przeciwko mnie? „Wszystkie przestępstwa kryminalne będą figurowały w akcie oskarżenia".

- Spróbuj wiec je streścić. Nie mam już czasu.

„Konkretnie chodzi o usuwanie danych, fałszowanie raportów wywiadowczych, manipulowanie funduszem Komanda dla sfinansowania projektów nie autoryzowanych, nie mówiąc o różnych oskarżeniach o szpiegostwo, sabotaż i zdradę".

- Wystarczy jak na początek. Ponieważ niczego nie pamiętam, wiec nie mogę z tobą dyskutować na ten temat. Jakie jest twoje stanowisko w tej sprawie?

„Jestem człowiekiem pozbawionym złudzeń. Przez pięć lat pracowałem z tobą nad tym projektem. Pięć lat, które mnie wyczerpały. I czego się dowiaduje? Że Ananias i ty posłużyliście się mną, robiąc ze mnie idiotę".

- Nie jesteś idiotą, Doc. Z pewnością nigdy nie brałem cie za idiotę. Musi być ważny powód takiego postępowania, choć na razie nie pamiętam jaki.

„Radze ci wiec zapytać Ananiasa, bo Komando weźmie się i za niego".

- Sądziłem, że jest on teraz na szczycie?

„Politycznie tak. Ale z punktu widzenia prawa, prokuratura Komanda wszczyna postępowanie wobec was dwóch. To będzie sprawa, której nie uda się zatuszować nawet poplecznikom Ananiasa ze sztabu generalnego. Próbowałem ci pomóc, ale nic nie mogę, jeśli nie przedstawisz bardzo przekonywających powodów twojego postępowania".

- Nie mogę, Doc. Powiedziałbym ci, ale nie mogę. Ale bądź na nasłuchu, bo niektóre odpowiedzi znajdują się tutaj, a jedna z nich właśnie się rodzi.

W tym czasie instrumenty zawęziły pole obserwacji zgodnie z komputerową prognozą. Bron zorientował się, że stan alarmowy ogłoszono na podstawie przewidywań Chaosu. Punkt, którego wypatrywały aparaty obliczono na podstawie złożonych zmarszczek fal entropii.

Ekrany pokrywały się stopniowo lekką mgiełką zakłóceń elektronicznych, na granicy zasięgu czujników i grubo poza strefą ataku. Zauważył z żalem, że grupa kontroli uzbrojenia nie zajmowała się najwyraźniej śledzeniem wskazań przyrządów. Zamierzał pójść i sprawdzić to osobiście, lecz czyjaś ręka zatrzymała go i obróciła w drugą stronę. Przed nim stał Cana.

- Wiem o czym myślisz Synkretysto, ale to nie przejdzie. Chaos przepowiada, że nieprzyjacielski statek nadleci za 10 minut. Przepowiada również, że stracimy jeden z naszych statków. Otworzymy ogień, kiedy tylko uda nam się wystarczająco dokładnie zlokalizować wroga, ale to nic nie da, bo znamy już wypadkową Chaosu wydarzenia, które musi się zdarzyć. Dla form Chaosu strata naszego statku jest już faktem historycznym.

- Ale nie dla mnie - zaprotestował Bron. - Dostaniesz zaraz położenie wroga w trzech wymiarach plus współrzędną czasową. Będziesz miał wystarczająco precyzyjne dane, żeby go zniszczyć. Nie powiesz mi, że nie możesz wysłać na jego spotkanie takiej ilości ciężkich głowic, żeby zniszczyły wszystko, co się tam pojawi.

- Oczywiście, możemy spróbować - odparł Cana - ale nie zrozumiałeś jeszcze najważniejszego faktu. My już wiemy, że nasza broń nie da mu rady, bo znamy wypowiedź Chaosu. Nie można zmienić przyszłego wydarzenia, które już jest zapisane.

- Dlaczego?

- Bo zmienienie niezmienności jest sprzecznością. Z definicji przegraliśmy przed rozpoczęciem walki. Jak zamierzasz wygrać bitwę, którą historia przyszłości uznała za przegraną?

- Rozumiem twój argument, ale nie zamierzam go przyjąć do wiadomości. Nie widzę co prawda, w jaki sposób można rozwiązać ten paradoks, ale to problem Chaosu, a nie mój.

Cana przyjrzał się Bronowi przenikliwym wzrokiem. Wreszcie podjął decyzje.

- Zbrój mistrzu, Synkretysta będzie dowodził tą bitwą. Wykonuj jego rozkazy, jakbym to ja je wydawał.

Bronowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Natchniony swoją intuicją, która uzupełniała jego wieloletnie doświadczenie wojenne z Komanda, natychmiast wkroczył do akcji polecając grupie koptroli uzbrojenia przyłączenie współrzędnych Chaosu. Potem wrócił do Cany.

- Zakładam, że macie ekipę Chaosu, która programuje komputer? Musze z nimi mówić. Cana dał znak ręką i jeden z techników podał Bronowi słuchawki.

- Ekipa Chaosu na linii.

- Świetnie. Poprawcie mnie jeżeli się mylę, ale zbliżamy się do wypadkowej Chaosu, która wskazuje na utratę jednego statku

Niszczycieli.

- Zgadza się.

- Skąd wiecie, że to będzie statek?

- Ależ oczywiście, że statek. Wybuch o sile 18 teramegaton nie zdarza się w kosmosie, jeżeli akurat nie wybuchnie statek wraz z generatorem. Współrzędne czasoprzestrzenne wskazują na korwetę Anna-Maria. Już poleciliśmy ewakuacje załogi.

- Cofam ten rozkaz. Niech Anna-Maria wycofa się z zagrożonego obszaru.

- Tego nie można zrobić - zaprotestował zaszokowany głos. - Nie można walczyć z Chaosem. Bron obrócił się do Cany.

- Proszę potwierdzić ten rozkaz. Mam jeszcze inne rzeczy na głowie.

Potem wrócił do konsol i zadawał szybkie pytania. Odpowiedzi były negatywne. Zwołał konferencje oficerów łączności i wyjaśnił prosto swój plan. Nikt nie dyskutował wobec jego logiki. W ciągu zaledwie minuty wszyscy znali swoje zadania. Radykalne podejście Brona wywołało zaraźliwy entuzjazm, kontrastujący niemile z niedawną postawą zrezygnowania. Tylko Cana pozostawał sceptyczny, ale powstrzymywał się od jakiejkolwiek ingerencji.

Wrogi statek stał się teraz widoczny na ekranach. W skali ludzkiej było to monstrum. Nieforemna i niewykończona masa czarnego, ponurego metalu. Kanciasta maszyna bez cienia gracji. Szedł z szybkością podświetlną, ale o wiele szybciej niż Skua i reszta floty. Z tej odległości nieprzyjaciel wydawał się ślepy i całkowicie pozbawiony finezji, niezbędnej statkom galaktycznym. W czasie, gdy komputer bojowy powtarzał obliczenia, obraz wroga stał się wyraźny i stabilny. Załoga była teraz w stanie alarmu i czujnie regulowała ostatnie szczegóły umożliwiające atak z maksymalnej odległości.

Główny zbrój mistrz siedział przed konsolą łączności i szybko wydawał polecenia swoim podwładnym na innych statkach. Głowę trzymał przez cały czas lekko odchyloną w bok, żeby nawet na chwilę nie stracić z oczu informacji pojawiających się na konsoli komputera. Potwierdzenia nadchodziły jedno po drugim. Wszystkie pozycje były ustalone i przełączone na główny komputer bojowy. Jeżeli doświadczenie zakończyłoby się fiaskiem, to nie byłoby już żadnego sposobu na zmianę taktyki. Bron oglądał wskazania przyrządów i kiedy tylko spadły one do zera kiwnął przyzwalająco głową.

Ludzkie palce zerwały bezpieczniki i komputer bojowy przejął dowództwo nad atakiem. Ale na mostku nikt nie wątpił, że prawdziwa bitwa rozgrywała się jedynie miedzy Bronem Synkretystą a bezlitosnymi formami Chaosu.

Rozdział XXVIII

- Widziałeś ten statek, Doc?

„Tak. I to nie jest sztuczka Cany. To powoduje masę pytań. Rząd ziemski zawsze negował możliwość zagrożenia zewnętrznego, a zwłaszcza możliwość ataku istot pozagalaktycznych. Ostatnie wybory odbyły się w tym właśnie duchu. Teraz sądzę, że mylono się w obu sprawach”.

- A Cana miał racje. Pocisk z Onaris pochodził najwyraźniej z tej samej stajni. To Obcy zniszczyli te planetę. A jeżeli Cana był niewinny w tym przypadku, to jak możemy mieć pewność, że winny jest zniszczenia pozostałych 37 planet?

„To ty powinieneś wiedzieć. Razem z Ananiasem przygotowaliście oskarżenie Niszczycieli. Przesyłam te taśmy do Sztabu. Rada Naczelna będzie musiała na ich podstawie zrewidować swoje stanowisko. Zawołam Jaycee na dyżur, ale pozostanę w pobliżu”.

Bron przyglądał się ekranom. Wszystkie czujniki oznajmiały, że obcy statek wkrótce znajdzie się w zasięgu rakiet. Miał mgliste wrażenie, że w tym wszystkim coś nie gra. Zauważył wreszcie, że obcy rechot w jego głowie uciszył się. To nie był zwykły zanik fali, bo głosy dalej docierały do niego wyraźnie, ale hałas uspokoił się, jakby jego twórcy również byli widzami spektaklu, który miał się wkrótce rozegrać.

Skua pierwsza wypuściła długie cylindry torped kosmicznych, uzbrojonych w głowice mezonowe. Ich dokładność pozwalała na trafienie w cel z dokładnością kilku metrów. Ta precyzja była zresztą zbędna, bo każda z nich mogła zniszczyć dowolny statek znanego typu z odległości 50 kilometrów. Bron wolał jednak nie ryzykować. Zasięg ekranów optycznych był tak wielki, że torpedy zdawały się zbliżać do celu w ślimaczym tempie, a przecież każda z nich pędziła z szybkością jednej setnej prędkości światła. Jak dotąd nieprzyjaciel nie próbował robić niczego, żeby się bronić.

Wkrótce Skua wystrzeliła drugą salwę rakiet. Tym razem lżejszych i uzbrojonych w klasyczne głowice jądrowe. Skierowały się one nie na wroga, a w stronę punktu, w którym według Chaosu miała wkrótce nastąpić eksplozja. W tej akcji uczestniczyło jeszcze siedem innych statków Niszczycieli. Ze wszystkich statków, obecnych w tej okolicy, jedynie Obcy nie strzelał i nie dawał żadnych znaków, mogących oznaczać przygotowanie do walki. Rozdzierał ciężko przestrzeń, jakby nie było żadnego zagrożenia. Rechot Obcych stał się ledwo słyszalny.

Torpedy uderzyły wreszcie w cel. Fantastyczny wybuch dwunastu głowic mezonowych przeciążył kamery i na kilka sekund z ekranów zniknął wszelki obraz. Kiedy wreszcie powrócił, nikt z obecnych na mostku nie mógł powstrzymać krzyku rozczarowania. Obcy statek był nienaruszony i nawet nie robił wrażenia uszkodzonego. Leciał niewzruszenie w sercu floty Niszczycieli wytrzymawszy reakcje dezintegrującą, obliczoną na całkowitą anihilacje wszelkiej znanej we wszechświecie materii.

Kilka minut później druga fala torped osiągnęła swoje przeznaczenie i eksplodowała z siłą 18 teramegaton w punkcie, w którym według obliczeń Chaosu powinna się znajdować Anna-Maria, gdyby nie było interwencji Brona. Korweta zmieniwszy pospiesznie kurs leciała obok jako maleńka strzała z brązu i asystowała przy symulacji własnej śmierci.

Canie błyszczał wzrok.

- Dziękuje, Synkretysto. Zaczynasz pokazywać swoją prawdziwą wartość. Nigdy w historii żadnemu człowiekowi nie udało się manipulować wypadkowymi Chaosu. Nie nauczyłeś się tego w wariackim Seminarium na Onaris i wątpię, żeby to była standardowa procedura Komanda. Jesteś nie tylko urodzonym katalizatorem, ale również nadzwyczajnym człowiekiem.

Odpowiedź Brona przerwał gwałtownie okrzyk jednego z operatorów. Wszyscy obrócili się w stronę ekranów pokazujących zapierający dech spektakl. Obraz obcego statku był teraz powiększony i zajmował cały ekran główny. Ciosy mezoniczne nie wyrządziły mu co prawda widocznych szkód, ale najwyraźniej wytrąciły go z dotychczasowego kursu. Monstrualne urządzenie chybotało się teraz w różne strony. Nie jak dryfujący statek, ale raczej jak patyk rzucony na fale.

Wszyscy wpatrywali się zafascynowani w ciężki i olbrzymi cylinder, który obracał się powoli. Ostrość obrazu pozwalała na stwierdzenie niepewnej nawigacji, ale nie dawała żadnego wyobrażenia ani co do jej celu, ani co do rodzaju napędu. Wreszcie dokonali niepokojącego odkrycia. Statek obrócił się i pokazał im rufę, która wyglądała na uciętą tak, jakby nigdy nie istniała. Nie było żadnych dysz, silników, nawet żadnej przegrody. Olbrzymia konstrukcja była pustym pojemnikiem otwartym z jednej strony. Nie posiadała żadnych pomieszczeń i niczego w niej nie było. W jaki sposób udało się komuś nadać jej tak wielką szybkość i utrzymywać na kursie? Na to pytanie nie mieli żadnej odpowiedzi.

Przed ich niedowierzającymi oczyma rozgrywała się jeszcze bardziej dramatyczna scena. Zagadkowy przedmiot przeszedł przez środek dodatkowej eksplozji i dalej leciał na ślepo. Czujniki śledziły lot starając się odgadnąć jego przeznaczenie. Celowniki nawigacyjne skrzyżowały się wreszcie na dalekim obrazie innej korwety o nazwie Jubal. Ledwo wyostrzono obraz, kiedy ciemny cylinder uderzył w korwetę jak patyk trafiający ptaka w locie.

Za sprawą jakiejś monstrualnej reakcji Jubal i Obcy wybuchli, ale w dziwny sposób. Nie było eksplozji, czy widocznych wyładowań energetycznych. Tylko zwykła anihilacja masy obu ciał. Każde z nich jakby miało w sobie antytezę zawartości drugiego.

Efektem tego było całkowite znikniecie obu ciał bez żadnego śladu energii, która powinna towarzyszyć zniszczeniu tak wielkiej masy.

Wkrótce jedynym dowodem tego wydarzenia były nieliczne szczątki w kosmosie i pozostające bez odpowiedzi pytania świadków.

Prawie natychmiast potem rechot od nowa rozbrzmiał w głowie Brona. Miał wrażenie, że słucha owacji ogromnych tłumów, a mimo to niewytłumaczalne akcenty przebijające się przez huk przywodziły na myśl raczej strach niż owacje. Obcy z pewnością byli świadkami wydarzenia, bo wznowienie szumów nastąpiło zbyt precyzyjnie jak na zwykły zbieg okoliczności. Spróbował wyobrazić sobie ich obcość, ale to było zadanie ponadludzkie. Te istoty były czymś, co posiadało środki i zdolności przewyższające ludzkie doświadczenia. Nie miał żadnego punktu odniesienia dla swoich mglistych pomysłów. Te istoty wydawały się mieć tylko dwa punkty zbieżne z ludźmi: strach i wrogość.

- Trafiony! - wykrzyknął Cana. - Można powiedzieć, że mamy przeciwników godnych siebie. Pobili cie, Synkretysto twoją własną bronią.

- Jak to?

- Oszukałeś Chaos, podstawiając decyzje w miejsce wypadkowej. Odpowiedzieli zniszczeniem Jubala metodami nie wywołującymi fal entropijnych. Według teorii Chaosu, twoja metoda nie różni się od rzeczywistego zdarzenia, a ich od klasycznego braku zdarzenia. Oznacza to, że mamy duże szanse wygrania.

- Skąd to przekonanie?

Cana uśmiechnął się ze zmęczeniem.

- Drogi Synkretysto. Mamy dowód w postaci pocisku z Onaris, że Obcy badają Chaos od setek milionów lat. Obserwowałem cie przed chwilą i widziałem, że twoje działanie było instynktowne. Znalazłeś trafne rozwiązanie w ciągu niecałych siedmiu minut. Zaczynam rozumieć dlaczego oni się ciebie tak boją.

Wściekłe trzaski zakłóceń w jego głowie oznajmiły Bronowi, że coś się działo w kanale transferowym. Wreszcie doszedł go stłumiony, ale dający się zrozumieć głos.

„Ananias na linii. Słyszysz mnie, ty cholero?"

„Veeder cie słyszy, Ananias. Co się dzieje?"

„Pozostań na nasłuchu, Doc, i otwórz osobny kanał dla Sztabu. Już im wysłałem swój raport. Ta rozmowa będzie decydująca. Słyszysz mnie Bron?"

- Doskonale. Co jest grane?

„Wyszliśmy z podprzestrzeni i wkrótce dołączymy do floty Komanda. Mam ze sobą 68 statków. Wszystkie gotowe i palące się do walki. Nadaje także na falach nadświetlnych, żeby Cana również mnie słyszał."

- Mam nadzieje, że nie chcesz mu grozić? Ma ze sobą co najmniej dwa razy więcej statków. „Grozić! Chyba oszalałeś? Nie chcemy mu grozić, ale połączyć się z nim. Chaos przepowiada, że

główne siły wroga nadlecą za kilka dni. Patrząc na układ fal, jest to raczej cholerna armada niż zwykła flota... i narobi mnóstwo szkód". Bron odwrócił się do Cany.

- Generał Ananias chce z tobą mówić na falach nadświetlnych. Uważa, że główne siły wroga są zaledwie o kilka dni lotu i chce cie wzmocnić flotą Komanda.

- Powiedz, że bede z nim mówił. Zastanawiałem się właśnie, czy dotrzyma kiedyś paktu, który zawarłem z nim na pokładzie Tantala, po wyratowaniu go.

Rozdział XXIX

Bron przyglądał się technikom instalującym dodatkowe połączenie z Ananiasem. Cana czekał ze zniecierpliwieniem na ten moment.

- Generale Ananias, mój wywiad nie przedstawia mi w zadowalającym świetle twojej postawy wobec federacji planet zwanych Niszczycielami.

- Ostrzegałem w czasie naszego ostatniego spotkania, że taka sytuacja może okazać się nieunikniona.

- To prawda, ale wolałbym, żebyś postawił kropkę nad „i" na użytek Komanda, które ma prawdopodobnie dostęp do tej rozmowy.

- Jak wolisz. Wiesz równie dobrze, jak ja, że zagrożenie zewnętrzne jest rzeczywistością i to nie tylko w odniesieniu do prowincji peryferyjnych, ale także wobec twojej federacji i w końcu wobec samej Ziemi. Wiemy o tym od lat. Na nieszczęście, rząd ziemski był w tym okresie wyjątkowo niestabilny i traktował każdą wzmiankę o zagrożeniu naszej galaktyki jako niesamowicie panikarskie pogłoski.

- Punkt widzenia Ziemi jest nie do utrzymania. Byłem wraz z Tantalem w pustce wokółgalaktycznej i osobiście stałem się świadkiem fizycznego zagrożenia ze strony Obcych. Sam wiesz o tym równie dobrze. Sądzę, że zgodzisz się z moją oceną, że nie mają oni najmniejszego zamiaru dopuścić do utworzenia przez ludzkość jakichkolwiek przyczółków w kosmosie.

- Zgadzam się z twoją charakterystyką, generale, ale unikasz odpowiedzi na moje pytanie. Dlaczego uporczywie oczerniałeś narody Niszczycieli?

- Niczego nie unikam. Próbuje wyjaśnić. Ponieważ nie byłem w stanie przekonać mojego rządu, wiec musiałem uciec się do ostateczności. Dla obrony Ziemi konieczne było utworzenie i utrzymywanie armii i floty kosmicznej. W porozumieniu z komendantem Bronem, z rozmysłem przypisaliśmy Niszczycielom skutki ataków Obcych. Dzięki temu podstępowi przekonaliśmy rząd do przeznaczenia funduszy na stworzenie floty dla obrony przed Niszczycielami. Ani Bron, ani ja nigdy nie traktowaliśmy tego poważnie, ale zawsze fałszowaliśmy raporty dla podtrzymania tej tezy. Nie wiem dlaczego wy mielibyście stanowić realną groźbę zamiast Obcych. Ponieważ Bron jest w waszych rękach chciałbym podkreślić, że to właśnie on jest głównie odpowiedzialny za te oszukańczą politykę. Jest również jednym z najsilniejszych katalizatorów Chaosu, jakie udało się odkryć. Dlatego postanowiliśmy umieścić go tam, gdzie jest największe zagrożenie, czyli u ciebie.

- To prawda, Synkretysto? - zapytał Cana.

- Nie wiem, ale to tłumaczyłoby wiele spraw. Mówisz Ananias, że sam wymyśliłem to wszystko?

- Wszystko, aż do najbardziej wariackich podstępów. To był projekt, który doskonale pasował do twojej zdolności obracania działania systemów przeciw nim samym. Oszukałeś Komando, żeby zostać wysłanym w ręce Niszczycieli. To chyba najbardziej cie pociągało. Byliśmy małą garstką wtajemniczonych, którzy wiedzieli, że masz się przyłączyć do Niszczycieli, a nie walczyć z nimi. Kłopot polegał na tym, że o mało nie przekreśliłeś wszystkiego i nie zgubiłeś nas, przez utratę pamięci w środku akcji.

- Przyjmując to wszystko generale - zapytał Cana - jakie są twoje propozycje?

- Po tej rozmowie i moich wcześniejszych raportach Ziemia nie może dłużej wątpić w realność zagrożenia. Czy to jej się spodoba czy nie, jest już zaangażowana w te walkę. Jednak bez względu na trwałość tego sojuszu nie bardzo widzę, możliwość powierzenia mojej floty dowództwu Niszczycieli.

- Czy to konieczne? - zapytał Cana.

- Znasz przecież prawo odwrotności kwadratowej w zastosowaniu do taktyki wojny kosmicznej. Dwie małe floty mają tylko 25% szans na przeżycie w porównaniu z jedną połączoną formacją.

- Jest to statystycznie prawdziwe, ale prowadzi nas do politycznego impasu. Ponieważ byliśmy do niedawna wrogami, wiec również nie mogę pozwolić sobie na oddanie mojej floty pod dowództwo Ziemi.

- A wiec mam następującą propozycje. Czy, jeżeli uda mi się zmienić stanowisko Ziemi, zgodziłbyś się na powierzenie obu flot pod dowództwo Brona, który zostałby naczelnym szefem obu sił? Jest to doświadczony żołnierz, niewątpliwie największy katalizator Chaosu naszych czasów i jego pozycja w waszej flocie wydaje mi się stanowić dobry kompromis pomiędzy punktami widzenia Niszczycieli i Ziemi.

Cana zerknął na Brona.

- Straciłem swojego adiutanta Martina Daiquista, a więc nie

mogę zaproponować kontrkandydata. Sam widziałem Brona w działaniu i skłonny jestem wierzyć, że tylko on jest w stanie stawić czoła sytuacji. Zgadzam się na jego naczelne dowództwo pod warunkiem, że obie floty będą mu całkowicie podlegać, a on sam nie będzie podlegał żadnym naciskom ze strony Ziemi.

‚Jaycee na linii, Bron" - jej głos brzmiał tylko w jego głowie i nie było go słychać w głośnikach. „Zmieniliśmy częstotliwość, żeby nie przeszkadzać Ananiasowi. Sztab Generalny słuchał was przez cały czas i wyraził zgodę na mianowanie cie naczelnym szefem, jeżeli ty się na to zgadzasz. Sam musisz podjąć decyzje".

- Błyskawicznie działają - zdziwił się Bron. - Co ich wreszcie obudziło?

- „Po części taśmy, które przekazał im Doc, ale również fakt, że 14 planet peryferyjnych przestało nadawać. Trzy z nich zdążyły przekazać, że zostały zaatakowane przez coś, co nadleciało z pustki międzygalaktycznej. Były pewne, że nie byli to Niszczyciele. W sztabie zapanowała na moment potworna panika, aż wreszcie ktoś się zorientował, że ty i Ananias przystąpiliście już do działania. Przyjmujesz dowództwo?"

- Nie boje się decyzji, ale swoich zdolności. Zgadzam się, ale znajdź Andera i każ mu przeanalizować zapis starcia z tym pseudostatkiem. Jest rzeczą pewną, że jeżeli nie znajdziemy skuteczniejszej broni, to przegramy te wojnę przed jej rozpoczęciem.

„Przyjęłam. Zdam ci raport natychmiast po otrzymaniu odpowiedzi".

Bron znowu obrócił się do Cany, który śledził z jego twarzy postęp tej bezgłośnej rozmowy.

- Sztab Generalny Ziemi przyjmuje twoje warunki. Przyjmuje dowództwo, jeżeli zapewnisz mnie, że i z twojej strony nie będzie nacisków.

- Masz moje słowo.

- Ostrzegam cie, Cana, że będzie ciężko. Straciłeś korwetę w doskonałym stanie z powodu jakiegoś kubła na śmieci.

Jeżeli nie udało nam się tego zniszczyć głowicami mezonowymi/ to co się według ciebie stanie, kiedy napotkamy główne siły?

- Nie wiem - wyznał Cana. - Od lata żyje z tą wizją. Przez nią zmusiłem wolne planety do zawiązania federacji. Cały czas miałem świadomość, że nie mamy żadnych szans, jeśli Obcy nadlecą dużą siłą. Ale starzeje się już, a ta wojna będzie wymagać szybkiego umysłu i zręcznych palców. Przygotowywałem do tego zadania Martina, ale on zginął przede mną. Mam jednak wrażenie, że Obcy nie będą mieli więcej szczęścia. Jest w tobie Synkretysto coś niesamowitego.

- Ananias! - zawołał Bron. - 14 planet peryferyjnych przestało nadawać. Cześć wrogich sił już tam musiała nadlecieć. Czy możesz wysłać patrol dla zebrania szczegółowych informacji? I przekaż mi dane o typach statków, którymi dysponujesz oraz szczegóły ich uzbrojenia. Powinieneś mieć u siebie jakąś ekipę Chaosu. Chce, żeby całkowicie współpracowali z ekipą Cany. Oni mają kilkaset milionów lat przewagi nad nami w tej dziedzinie i mam zamiar szybko ich dogonić.

- Przyjęte. Wiesz? Czuje się jak za dawnych dobrych czasów.

- A wiec nie marudź i wyłącz się. Wyślij kilka statków na rozpoznanie przestrzeni międzygalaktycznej i postaraj się zebrać dane o liczbie i typie wrogiej floty. I nie łącz się ze mną przez kanał transferu, a falami nadświetlnymi. Kanału używaj tylko w ostateczności.

Gwizd dodatkowej fali ucichł gdy tylko Ananias się wyłączył. Teraz, kiedy przekaźnik biotroniczny nie był już przeładowany, Bron ponownie zdał sobie sprawę z gęsich dźwięków. Jakieś dwadzieścia pojedynczych głosów wzbijało się ponad ogólny szum. Ci parlamentariusze wyrażali się w całym zakresie dźwiękowym przy pomocy czegoś w rodzaju szkaradnego jodłowania. Tak jakby ich głosy były modulowane wielkimi pęcherzami pękającymi na powierzchni błota. Ich ton był nerwowy, szybki i natrętny, jakby wszystko zależało od czasu.

Nie wątpił już, że słyszy głosy nadlatujących. Jakimś tajemniczym sposobem ich system łączności nakładał się na jego własny kanał. Jeżeli ich głosy mogły prowokować u niego równie dziwne myśli, to zastanawiał się co mogły dla nich znaczyć jego rozmowy ze Jaycee. Nie wiedział przecież nawet co one oznaczały dla niego i Jaycee.

Rozdział XXX

Radio przekazało wreszcie zmęczony głos Ananiasa. - Sytuacja przedstawia się następująco. Awangarda złożona z około 100 statków znajduje się już na skraju Drogi Mlecznej. Można powiedzieć, że jest to stalowa pieść głównych sił, które wciąż nadlatują.

- Czy twoja ekipa Chaosu przewidziała nadejście tej grupy?

- Owszem, ale nie potrafiliśmy zinterpretować obliczeń. Chaos wykazywał jakąś działalność w okolicach peryferii, ale nie mogliśmy określić dokładnych współrzędnych, bo pracowaliśmy na niepełnych danych. Teraz, kiedy mamy dostęp do archiwum Niszczycieli, możemy ustalić dokładniejsze współzależności.

- Za późno. Powinno się to zrobić przed 5 laty.

- Zgoda. Tylko Ziemia nas wtedy nie słuchała. Co zamierzasz zrobić?

- Musimy mieć więcej informacji o ich statkach i uzbrojeniu, a także wypróbować naszą taktykę na wąską skale, zanim zostaniemy zmuszeni do stawienia czoła ich głównym siłom. Przygotuj sześć krążowników do ataku na najmniejszą grupę wrogich statków, jaką uda ci się znaleźć.

- A czemu nie użyjemy całej floty?

- Bo wszystkie statki, które wezmą udział w tym starciu mogą zginąć. Chce dostać maksimum informacji ryzykując minimum maszyn. Wszystkie informacje o skuteczności broni, dobre i złe, powinny zostać natychmiast przekazane przez radio nadświetlne i zarejestrowane dla dalszej analizy.

- Przyjęte.

Ananias wyłączył się. Bron rozluźnił się nieco, rozglądając się po mostku Skuy, który stał się jego punktem dowodzenia i domem od 36 godzin. Technicy Niszczycieli, niesforni, ale skuteczni, zajmowali wszystkie stanowiska. Bron przejął bez oporów funkcje Daiquista. Odnosił wrażenie, że jego dość niezwykła pozycja synkretysty, w połączeniu z oczywistymi zdolnościami dowódczymi zdążyły wytworzyć wokół niego atmosferę legendy. Z pewnością nie mógłby wymagać większego respektu i dobrej woli od twardej załogi Niszczycieli.

Skua w towarzystwie siedmiu zebranych pospiesznie statków opuściła bezpieczne schronienie wnętrza Drogi Mlecznej i udała się na podobny rekonesans, co Ananias. Jak wszyscy nawigatorzy, Bron czuł na sobie ciężar olbrzymiej samotności w miarę zagłębiania się w nieskończoną pustkę oddzielającą od siebie galaktyki. Szli śladami samotnego statku Obcych, który jedynie przez przypadek odkryto w formie maleńkiej szpileczki osamotnionej w przestrzeni.

Detektory zlokalizowały już i potwierdziły obecność wroga. Wkrótce potem ekrany wizualne złapały pierwsze ślady kontaktu elektronicznego. Załoga arsenału krzątała się z zaaferowaniem i programowała wyrzutnie rakietowe, ale Bron nie chciał prosić ekipy Chaosu o predykcje wyniku bitwy. Wolał iść do ataku kierowany nadzieją, którą niepomyślna analiza mogła zabić. Wszystkie osiem statków miało dokładnie określone sposoby ataku, a ich rozkazy były proste: zaraz po wykonaniu zadania miano wycofać się poza zasięg rakiet i czekać na nowe rozkazy.

Obcy wreszcie pojawił się na ekranach. Była to o wiele doskonalsza i z pewnością groźniejsza maszyna niż ta, która zniszczyła Jubala. Statek pokryty był tysiącami tabliczek, które mogły być strzelnicami lub tylko elementami pancerza.

Przypatrując się zmierzającym szybko do zera wskaźnikom bojowym, Bron wyczuł ponownie ciche zdenerwowanie obcych głosów w swojej głowie. Sprawiały one teraz wrażenie kogoś wstrzymującego oddech w oczekiwaniu na jakieś wydarzenie. Hałas stał się głuchym pomrukiem, napiętym szeptem pełnym obawy. Przed czym? Nie oczekuje się porażki czy zwycięstwa w milczeniu i napięciu. Tylko zadziałania pułapki...

Natychmiast skoczył do radia krzycząc tak napiętym głosem,

że wszyscy obrócili się w jego stronę.

- Przerwać atak! Wszystkie statki przerwać atak i wycofać się. Strefa niebezpieczna.

Obraz natychmiast zasnuł się mgłą, podczas gdy Skua skręcała pełną mocą. Wielki statek uciekał wykręcając tak ciasno, jak tylko pozwalały kompensatory grawitacyjne. Mimo ich działania przeciążenie wielu g przygniotło ludzi do pokładu. Płaczliwe głosy ucichły równie nagle. Powrót obrazu na ekrany pokazał, że Bron miał racje.

Kiedy wszystkie statki Niszczycieli wycofały się na bezpieczną odległość obcy statek wybuchnął. W ciągu jednej sekundy zamienił się w kule ognia, która wkrótce stała się prawie gwiazdą. Przez trzydzieści sekund wszystkie czujniki promieniowania ostrzegały o ryzyku zniszczenia ekranów biologicznych. Wreszcie szalone słońce zgasło i umarło.

Bron połączył się z resztą statków. Wszystkie przeżyły szok, ale żaden nie odniósł uszkodzeń. Każdy z nich zawdzięczał życie jedynie intuicji Brona.

Nie potrafił wyjaśnić swojego polecenia. Miał coraz większe kłopoty ze słuchaniem normalnych rozmów z powodu szalonych kłótni wynikłych po samozniszczeniu obcego statku. Kiedy wreszcie głosy przycichły, połączył się z Komandem.

- Jesteś tam, Jaycee?

„Słucham”.

- Nic nowego?

„Antares miał kłopoty z zakłóceniami na przekaźniku. Jakby coś gotowało się w jakimś kotle. Filtrują go teraz, ale niedawno sytuacja była naprawdę ciężka. Coś mi się zdaje, że oglądaliście bardzo ładne fajerwerki, nie?”

- W swoim czasie, w takim małym barze na tyłach siedziby Komanda w Europie, podawano koktail o podobnym działaniu. Po szóstej szklance budziłaś się w trzy dni później z burzą radioaktywną w miejscu gęby. Bardzo by mi się teraz przydała butelka tego trunku.

Jaycee zaczęła się śmiać.

„Mam wrażenie, że wraca ci pamięć”.

- Po kawałku. Ale większości rzeczy, które sobie przypominam wolałbym nie pamiętać. W każdym razie nie mogę sobie przypomnieć ciebie. Czy powinienem? \

„Ściśle tajne, Bron. Nawet nie wolno mi odpowiedzieć”.

- Dziwka! Żądam odpowiedzi.

„Nie dostaniesz jej. W czasie misji tworzymy we dwójkę ekipę zgraną psychologicznie. Nie wolno nam robić niczego, co mogłoby tej równowadze zaszkodzić, bo wtedy nasza współpraca stałaby się nie do wytrzymania. Zwłaszcza dla ciebie”.

- A dla ciebie?

„Ja się nie liczę. Musze rozwiązywać własne problemy po swojemu. Ale ty możesz mnie tolerować tyle czasu w swojej głowie jedynie dlatego, że daje ci to, czego potrzebuje twoja osobowość. Dla Cany i sztabu jesteś może naczelnym dowódcą, ale ja wiem, że jesteś tylko pieprzoną świnią i ty także o tym wiesz. Moje zadanie polega na upewnieniu się, że nigdy o tym nie zapomnisz”.

- Wielkie dzięki. Wierz mi, że będę nad sobą pracował. Czy masz już odpowiedź Andera? „Siedzi w sali operacyjnej i ładuje matmą główny komputer, jakby sam płacił za jego czas. Chcesz z nim rozmawiać?”

- Najpierw niech skończy. Dorzuć mu taśmy z ostatnim starciem. Może wyciągnie z nich coś nowego.

„Odkryłeś coś?”

- Mam wrażenie, że nie pokonamy Obcych żadną znaną bronią. Jeżeli badali nasze schematy Chaosu przez tysiąclecia to doskonale znają granice naszych możliwości technicznych. Jeżeli zaś są mistrzami techniki, na jakich wyglądają, to z pewnością zadbali o uodpornienie swojej floty na działanie głowic mezonowych i innych broni. Ale musimy posiadać coś, co ich niepokoi, bo inaczej nie zaatakowaliby tak niespodziewanie w tym akurat momencie. Nie zapominaj, że obserwują nas co najmniej 700 milionów lat.

„I sądzisz, że wiesz o co im chodzi?”

- Wszystko wskazuje na ścisły związek z Chaosem. Próbowali przeszkodzić Canie w zebraniu specjalistów. Próbowali wyeliminować mnie na Onaris. Użyli broni nie dającej wypadkowej przeciwko Jubalowi. Zaczynam wierzyć, że to sam Chaos skrywa klucz tej bitwy. Ale w jaki sposób fizycznie prowadzić wojnę kosmiczną przy użyciu abstrakcji matematycznej? To jest coś, czego nie mogę zrozumieć.

Rozdział XXXI

-Słyszę cie, Ananias. Jak poszło?

- Potwornie, Bron. Straciłem sześć statków w najbardziej debilnej strategii, jaką w życiu widziałem. Obcy je po prostu zatłukli.

- Co z nimi zrobili?

- Zepchnęli nasze statki na kursy kolizyjne. Statek na statek. Gdzie byśmy się nie obrócili jeden z tych wariatów leciał na zderzenie z nami i wybuchał. To mnie niepokoi, Bron. Kiedy nadlecą główne siły nie starczy nam statków na wytrzymanie takiej bitwy. A nasze rakiety nic im nie zrobią.

- Już ich raz spotkałeś na Tantalu. Opowiedz mi o tym.

- Wtedy było inaczej. Tantal poleciał na głębokie rozpoznanie pustki międzygalaktycznej. Wyszliśmy z podprzestrzeni jakieś 19 parseków od granic naszej galaktyki. Ku naszemu zdziwieniu natychmiast odebraliśmy sygnały z jakiegoś bliskiego statku. Teraz wiem, że to musieli być oni. Obliczyli z pomocą Chaosu naszą pozycje, ale wtedy Chaos był dla nas wielką niewiadomą. Obecność obcego statku w pobliżu punktu naszej materializacji była zbyt fantastyczna na przypadkowy zbieg okoliczności. Próbowaliśmy bezskutecznie nawiązać z nimi łączność. Potem ten obcy ruszył na zderzenie z nami. Nastąpił wybuch czy coś takiego - nie wiem. Nigdy nie mogłem sobie tego przypomnieć, bo straciłem przytomność. Kiedy wróciłem do siebie zobaczyłem, że reszta załogi nie żyje. Nie wiem, co ich zabiło. Chyba wstrząs.

Później było jeszcze gorzej. Żadna gwiazda nie zgadzała się z mapą nawigacyjną. Komputer orzekł, że wedle jego danych wszechświat został odwrócony. Ponieważ to było niemożliwe, wiec doszedłem do wniosku, że w jakiś sposób statek i ja zostaliśmy przenicowani w czasie wybuchu.

Cokolwiek by to było, dryfowałem przez kilka dni. Nie miałem ludzi do obsługi statku, a poza tym prawie nic nie działało. Byłem zajęty prawie wyłącznie montowaniem prymitywnego systemu przeżycia. Wreszcie kontrola dalekiego zasięgu Cany musiała mnie zauważyć i wysłała patrol rozpoznawczy. Cana chciał, żebym przekazał na Ziemie ostrzeżenie o zagrożeniu i zgodziłem się. Wsadzili mnie na statek w wolnym porcie Stero i wróciłem na Ziemie, gdzie opowiedziałem szczerze swoją historie. Nikt mi nie wierzył. Potraktowano ją jako kłamstwo, mające na celu uratowanie własnej skóry. Insynuowano, że sprzedałem Tantala Niszczycielom. Oficjalnie zostałem potępiony, ale nieoficjalnie kilku przyjaciół uwierzyło w moją opowieść. Miedzy innymi ty.

- A wiec zastanówmy się, co można wyciągnąć z tego, co już wiemy. Stosują cztery różne sposoby ataku: zniszczenie bezwydarzeniowe Jubala, abordaż twoich sześciu statków, samozniszczenie tego, który sam zaatakowałem i uderzenie z przenicowaniem, które zniszczyło Tantala. Żaden z tych sposobów nie wymaga zastosowania broni w naszym rozumieniu. Wygląda na to, że wykorzystują tylko swoje statki, jak kamikaze. Każda z tych metod wymaga natomiast materiałów i środków nauki, która wyprzedza o lata naszą obecną znajomość fizyki. Co więcej, każda z nich jest inna. Ponieważ wszystkie starcia rozgrywały się w różnych miejscach i czasie, wiec można rozsądnie założyć, że nie poznaliśmy jeszcze wszystkich możliwości.

- Czy te różnice wynikają z zamiłowania do różnorodności? - zapytał Ananias. - Czy może mają głębsze znaczenie?

- To z pewnością coś znaczy. Poświecili miliony lat na analizę Chaosu. Udowodniłem już, że jeśli zastosuje się odpowiednią symulacje, to można zmienić wyrok Chaosu. Ale mamy bardzo ograniczone możliwości robienia tego na wielką skale. Sądzę, że oni wiele razy analizowali te przyszłą bitwę i mocno sfałszowali

karty dobrze wiedząc, że nie będziemy mogli pójść w ich ślady.

- Co oznacza, że jesteśmy z góry skazani na przegraną.

- Niekoniecznie. W tym rozumowaniu jest logiczna konsekwencja, która może nas doprowadzić do odnalezienia brakującej części tej zagadki.

- Niech mnie diabli wezmą, jeśli to rozumiem - mruknął Ananias. - Ale z drugiej strony nigdy nie potrafiłem nadążyć za twoim rozumowaniem.

- Spójrz na problem z innej strony. Załóżmy, że gramy w rodzaj gry wojennej na komputerze. Doznawszy teoretycznej porażki, zmieniamy taktykę i jeszcze raz zaczynamy grę. Przy wystarczającej ilości czasu i wyobraźni odkryjemy wreszcie technikę, która zagwarantuje nam odpowiednio wysokie prawdopodobieństwo zwycięstwa.

- Owszem, ale jaki to ma związek z naszym problemem?

- Załóżmy, że Obcy przeprowadzili taką symulacje nadchodzącej bitwy, stosując do niej teorie Chaosu. Załóżmy, że gra zakończyła się ich przegraną. Zmienili wiec dane i zaczęli jeszcze raz. Aż do skutku. Nie widzisz jeszcze co z tego wynika?

- Szczerze mówiąc, nie.

- To ci powiem. Oznacza to, że przepowiednie Chaosu nie są niezmienne. Muszą istnieć rozwiązania alternatywne. W rzeczywistości istnieją na pewno punkty o znaczeniu kluczowym dla całej historii. I może właśnie na ich zmianie polega rola katalizatora. Może tylko on jest w stanie przerwać te przepowiedzianą siatkę wydarzeń i skierować przyszłość w zupełnie innym kierunku.

- Mój Boże, Bron! Jeżeli się nie mylisz...

- Nie mogę się mylić. Bo wtedy nie będzie już nadziei dla homo sapiens.

- Jak chcesz wykorzystać te teorie?

- Dodając odrobinę prywatnego Chaosu, madę by Bron, do ogólnej sytuacji. Spróbuje zaprogramować system na działanie przeciwko sobie. Masz nadajnik i odbiornik transferu biotronicznego na pokładzie?

- Tak, ale...

- Włącz odbiornik i nadawaj to, co usłyszysz do wszystkich swoich statków. Odkryjesz, że na moim kanale są obce sygnały. Antares miał z nimi kłopoty, wiec z pewnością je odbierzecie. Kiedy wejdziecie do bitwy usłyszycie, że głosy Obcych stają się napięte. Zmniejsza się wtedy ich natężenie. Kiedy naprawdę zaczną się niepokoić, to wtedy trzeba stamtąd zwiewać i to szybko.

- Dlaczego?

- Ostatnie doświadczenie pokazało, że w takich chwilach cześć ich statków sama wybucha. Tym sposobem unikniemy przynajmniej części strat. Prawdopodobnie szybko się połapią w tej taktyce, ale sądzę, że zajmiemy ich tym przez dobrą chwile.

Brzęczyk alarmu ściągnął Brona przed ekrany. Jeszcze niczego nie było widać, ale komputer wyświetlał coraz to nowe współrzędne statków, które wydawały się tworzyć w przestrzeni monstrualny łuk. Sądząc z ilości danych zbliżało się do nich kilkaset wrogich statków. Wielka ich ilość zderzała się czołowo z falami Chaosu oznajmiając gwałtowne zmiany entropii.

Bron zmienił nagle zdanie. Pobiegł do stanowiska ekipy Chaosu i zażądał zbadania przyszłości Skuy. Komputer został szybko zaprogramowany i długi wykres fal Chaosu otaczających statek zaczął wysuwać się z drukarki. Przez najbliższych kilkanaście godzin linia statku mknęła prosto, mimo wyraźnych zmian w otoczeniu. W pewnym punkcie czerwona kreska wspięła się do maksimum i natychmiast opadła do zera.

Zastygli technicy wydali z siebie pomruk przerażenia na widok przepowiedni ich śmierci za kilka godzin. Bron uciszył ich sucho.

- Puśćie to jeszcze raz. Jak dojdziecie do załamania, to przeprogramujcie i zacznijcie od początku. Natychmiast zawiadomcie mnie, jeśli otrzymacie jakąś różnice w kolejnych przejściach.

W tej chwili wszedł Cana i zaczął się przyglądać z zainteresowaniem jego działaniom.

- Co tam knujesz, Synkretysto? Ciągle chcesz udowodnić, że to, co ma być, niekoniecznie musi się zdarzyć?

- Jestem pewien, że istnieje luka w teorii Chaosu i postanowiłem ją znaleźć.

- Przy tej ilości nadciągających statków będziesz bardziej potrzebował cudu niż teorii. Daje ci jakieś cztery godziny na obalenie sprawdzonych podstaw całej gałęzi nauki.

- Chaos nie jest kompletny, a poza tym to nie jest nauka. Zastanów się. Obcy nigdy nie staraliby się zabić mnie na Onaris, gdyby na serio wierzyli, że zginę za cztery godziny.

Ekrany na mostku świeciły teraz setkami punkcików. Nieprzyjacielska aTmada rozwijała swoje główne siły. Załoga zmrożona i napięta przyglądała się tym strasznym maszynom, których obraz rósł z sekundy na sekundę. Nawet z pomocą floty Komanda ludzie nie dorównywali im liczbowo. Przeświadczenie o tym, że nie mają przeciw nim skutecznej broni wywołało u wszystkich coś w rodzaju milczącego fatalizmu. Trochę spokojniejszego niż zwykła panika, ale równie desperackiego.

- Jaycee, połącz mnie błyskawicznie z Anderem.

„Już tu jest. Spodziewałam się tego”.

- Dzielna mała! Ander! Podejrzewam istnienie luki w teorii Chaosu. Moim zdaniem zdarzenie ustalone dzięki analizie entropii niekoniecznie musi zajść. Twierdze, że możliwe jest zmienienie więzi przyczyna-skutek i że pierwotnie zarejestrowana wypadkowa może w rzeczywistości nie być ostateczna.

„To stanowi cześć teorii pól wielokrotnych Yohanna. Jest to teoria chętnie podtrzymywana przez matematyków, ale dotąd nie została udowodniona”.

- Myślę, że mam jej potwierdzenie. Przeglądałeś zapisy, wiec wiesz, że oszukałem trochę Chaos zastępując zniszczenie Anny-Marii przez sztuczną eksplozje. Czyż nie było to odchylenie łańcucha przyczynowości?

„Bardzo niewielkie. Zniszczeniu uległ inny statek”.

- Tak, ale później. A wiec w tym czasie mogło się coś zdarzyć, co dałoby początek nowemu łańcuchowi przyczynowo-skutkowemu. To nie mogłoby się zdarzyć, gdyby nie odchylenie pierwszego łańcucha.

„Świetny tok rozumowania Bron. Ale to trzeba udowodnić. Na nieszczęście w tym czasie nic takiego nie zdarzyło sie”.

- Ależ tak. Podjąłem decyzje, żeby przekazać ci do analizy taśmy z zapisem zdarzenia, a ta rozmowa jest bezpośrednią konsekwencją tamtej decyzji, tak samo jak wszelkie postanowienia, które podejmę w związku z nią. Gdyby oryginalny łańcuch zdarzeń nie został zachwiany, to ta rozmowa nigdy nie miałaby miejsca.

Przez kilka sekund Ander zastanawiał się w milczeniu.

„Zgadza się. Wszystkie implikacje tego faktu są zbyt fantastyczne, żeby je od razu zrozumieć, ale powiedziałbym, że dostarczyłeś wiarygodnego przykładu zamierzonej zmiany historii. Już ci mówiłem, że powinieneś zostać uczonym, a nie żołnierzem”.

- To wszystko, co chciałem usłyszeć. Będę działał pod tym kątem aż do wszechświatowego wybuchu, jeżeli zajdzie potrzeba.

Przerwał na widok technika z ekipy Chaosu, który w podnieceniu podtykał mu pod nos jakiś wykres.

- To niemożliwe, a jednak się zdarzyło. Droga statku nie spada już do zera. Właśnie takie rzeczy nazywają później czarami. To idiotyczne.

- Idiotyczne czy nie - stwierdził Bron - ale tak teraz się to będzie odbywać. Od tej chwili ja będę decydował o tym, jak ma wyglądać wypadkowa. Ale powiem wam coś. Wątpię, żeby Wszechświat wrócił po tym do normy.

Jesteś nie tylko pieprzoną świnią, ale na dodatek świnią megalomanem” - włączyła się Jaycee w głowie Brona. „Jeżeli zaczniesz jeszcze raz ten numer to powiem ci takie rzeczy o twojej matce, że pożałujesz, że nie wyklułeś się z kurzego jaja”.

Rozdział XXXII

-Ananias, odebrałeś te głosy z transferu? - Przed dwiema minutami. W tej chwili zawiadamiamy o tym wszystkie statki.

- Świetnie. I upewnij się, że twoi kapitanowie umieją się nimi

posługiwać. Poleciłem Niszczycielom podłączyć się pod ten sam kanał. Ponieważ jest tylko jeden sygnał, wiec lepiej rozdzielić nasze ataki. Zakładam, że Obcy nie mają łączności nadświetlnej i nie będą podejrzewali, że ich słyszymy. Korzystaj z broni klasycznych, żeby zbyt szybko nie zorientowali się, że zmieniliśmy taktykę.

- Przyjęte. Mamy się przyłączyć teraz?

- Kiedy tylko będziecie gotowi. Zaczynamy od uformowania się w szyku, a potem lecimy prosto na nich, atakując wszystko, co nam wejdzie w drogę.

- Musze powiedzieć, że nie przebierasz w środkach, kiedy chodzi o potwierdzenie twoich przeczuć.

Bron przerwał połączenie, a następnie zawołał przez interkom Cane.

- Atakujemy za około 10 minut. Będę spokojniejszy, jeżeli zgodzisz się przenieść na pokład jakiejś korwety i opuścisz pole bitwy.

- Dlaczego? - zapytał Cana. - Co zamierzasz?

- Zamierzam wypróbować technikę walki, która zakłóci równowagę Chaosu do tego stopnia, że nie można będzie ufać naszym analizom. Nie mamy żadnego sposobu na stwierdzenie, czy ten statek lub którykolwiek inny, przeżyje te bitwę. Wolałbym mieć świadomość, że lecisz bezpiecznie do swojej bazy.

- Jeżeli przegramy te bitwę - stwierdził Cana - to Obcy ruszą dalej. Nie będzie już bezpiecznych planet. Dziękuje, ale zostanę na pokładzie Skuy.

- Jak wolisz. Chciałem tylko, żebyś zrozumiał niebezpieczeństwo.

- Bron. Od kiedy cie poznałem straciłem wszelką pewność, którą dotąd miałem o życiu i naturze Wszechświata. Ty nie stawiasz czoła ryzyku. Ty je ugniatasz tak, żeby spełniało twoje zachcianki i potrzeby. Jesteś najstraszliwszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

„Szczera prawda” - dorzuciła Jaycee.

Przy wzrastającym huku silników wszystkie statki ruszyły na wroga, poprzedzane mnóstwem torped mezonicznych wyglądających jak sfora psów biegnąca przed myśliwymi. Obrazy na ekranach zaczęły się koncentrować na wybranych odcinkach pola walki.

Chór obcych głosów wzrósł w głowie Brona, wyrażając zaalarmowanie, radość, nadzieje i strach. Głośniki przekazywały wszystkim te różnorodność. W razie potrzeby można było je przyciszyć, lecz Bron nie mógł zrobić niczego dla ulżenia swojej głowie.

Później nastąpił pierwszy kontakt. Oślepiający błysk wybuchających torped zaciemnił na moment ekrany. Kiedy znów się rozjaśniły widać było na nich trzy statki Niszczycieli zbliżające się do jednego z wrogów. Atakowali klasycznie pikując, by w ostatniej chwili zawrócić. Przez chwile nic się nie działo. Wreszcie atakowany zabłysnął szatańskim ogniem i rozprysnął się na wszystkie strony.

Obcy wrzeszczeli z wściekłości. Bron nie przejmował się tym zbytnio, bo właśnie znalazł sposób na utrzymanie tego hałasu na rozsądnym poziomie.

Dwie korwety runęły następnie na formacje złożoną z trzech wrogich statków. Po raz pierwszy Obcy zawahali się. Dwa ich statki zmieniły pospiesznie kurs, jakby chroniąc się przed atakującymi Niszczycielami. Trzeci natomiast posuwał się niewzruszenie i Bron zaczął podejrzewać, że jest to kolejny pusty pojemnik. Bron sam przygotował ten manewr, ale mimo to dał się ponieść napięciu. Przestraszył się, że jego plan zawiódł, gdy obie maszyny prawie dotknęły wroga przed zniknięciem w podprzestrzeni. Tylko głosy ich kapitanów recytujące współrzędne tachjonowe w radiu podprzestrzennym świadczyły o tym, że wszystko odbyło się prawidłowo.

Zawiódł się natomiast widząc, że wrogowie bynajmniej nie eksplodują. Przez kilka sekund lecieli swoim nowym kursem, jakby nie byli przekonani, że pozbyli się już napastników.

Jeden z nich jednak zbytnio zbliżył się do statku pojemnika. Oba zderzyły się i wybuchły tak samo jak kiedyś Jubal. Droga drugiego statku doprowadziła go w obszar zaśmiecony okruchami poprzedniej katastrofy i wkrótce on również wybuchł.

Nagła cisza ze strony Obcych była zaskakująca i ostrzegła Brona, że do sytuacji dołączył się nowy czynnik. Zrozumiał, że nie jest to walka jednostronna. Na próżno szukał na ekranie śladu niebezpieczeństwa. Kiedy wreszcie dostrzegł pułapkę było już za późno. Uczestniczyło w niej siedem wrogich statków. Jeden w środku, a reszta tworzyła wokół niego pierścień o średnicy pół miliona kilometrów, który obejmował zasięgiem prawie połowę floty Niszczycieli. Na pierwszy rzut oka nie było w nich nic niezwykłego, jeśli nie liczyć faktu, że wszystkie utrzymywały swoje pozycje z matematyczną precyzją.

Obce pomruki prawie zamilkły. Ta formacja miała wyraźnie diaboliczny cel, ale nikt nie był w stanie go odgadnąć. Bron zresztą i tak nie miał czasu na szukanie rozwiązania. Jeden z krążowników Niszczycieli próbował przejść środkiem pierścienia nie widząc w tym żadnego niebezpieczeństwa. Natychmiast wyparował w iskrze, która przeskoczyła miedzy statkiem w środku a jednym z bocznych. Najwyraźniej odległość 250 000 kilometrów w niczym nie osłabiła jej mocy.

Bron zamknął oczy z przerażenia. Około trzydziestu innych statków jego flory zostało również trafionych taką iskrą. Inne, które już leciały w to piekło miały tylko jedno wyjście: przejść w podprzestrzeń bez przygotowanych matryc, ryzykując zaginiecie w jakichś nieznanych rejonach kosmosu.

Nadzieja słyszalna w głosach Obcych zagłuszała wszystkie kanały, ale rozkazy Brona były szybkie i krótkie. Polecił statkom ze skrzydeł zaatakować pierścień od zewnątrz. Dwa z nich źle obliczyły drogę i spłonęły. Wreszcie jeden z krążowników wpadł na genialny pomysł i wysłał na zderzenie z wrogiem swoją szalupę bez załogi. Obcy wybuchł bez niespodzianek. Reszta rozregulowanego pierścienia wyładowywała swoje iskry na siebie. Cały pierścień zamienił się w słoneczną kule.

Po zniszczeniu tej pułapki głosy Obcych o mało nie doprowadziły Brona do szaleństwa.

Dopiero po kwadransie ucichły na tyle, że mógł odebrać raporty o kosztach tego ataku. Stracił 50 statków. 20 innych ratowało się nie przygotowanym skokiem w podprzestrzeń, skąd niektóre może kiedyś powrócą. Jego ufność w siebie została poważnie zachwiana; był wyczerpany fizycznie. Potrafił już tylko wpatrywać się we wrogą armadę zastanawiając się, jak będzie wyglądał koniec. Jeżeli kiedykolwiek czuł się źle i samotnie, to właśnie w tej chwili.

Rozdział XXXIII

„Nie wyobrażaj sobie tylko, że płacze nad tobą” - stwierdziła brutalnie Jaycee. „Zawsze wiedziałam, że jesteś urodzonym pechowcem. Mam na linii Andera. Nie tylko jest on prawdziwym mężczyzną, ale na dodatek ma jeszcze pomysły”.

- Ja również. Któregoś dnia stłukę cie na kwaśne jabłko, Jaycee. Ale na razie potrzebuje czegoś bardziej konstruktywnego. Co nowego, Ander?

„Zaciekawił mnie wrak tamtego statku. Prześledziłem jego drogę w Chaosie aż do źródła i okazało się, że ma ten sam wiek co pocisk z Onaris. Właściwie cała flota Obcych pochodzi z tego okresu. Wszyscy są w przestrzeni od 700 milionów lat i całą drogę przebyli z prędkością podświetlną”.

- Co?! Jesteś pewien?

„Nie mam żadnych wątpliwości. To tłumaczy obecność pustych pojemników. Według moich obliczeń ponad 99 procent tej floty składa się teraz z pustych transportowców”.

- To sporo zmienia - mruknął Bron. - Przynajmniej wiem, że musze znaleźć tylko z tuzin zamieszkałych statków.

„Nawet mniej. Zresztą masz za sobą przewagę psychologiczną”.

- Skąd to przypuszczenie?

„To oczywiste. Celem tego przedsięwzięcia trwającego 700 milionów lat jest spotkanie z tobą. Żadna forma życia, bez względu na jej psychologie, nie może przeżyć tego bez śladu. Jesteś przecież powodem istnienia tej floty. Nie wiemy czy jest to rasa nadzwyczaj długowieczna, czy też przekazywali sobie

wiedze z pokolenia na pokolenie, ale w każdym przypadku jesteś dla nich superlegendą. Czy śmiałbyś stawić czoła Bogu Wszechmogącemu?"

- Czytałem Biblie - odparł Bron. - Prawdę mówiąc, drżałbym na samą myśl o tym, gdybym wierzył, że Bóg istnieje.

„Właśnie. Ale oni wiedzą, że ty istniejesz. Dlatego sądzę, że ten atak jest raczej formą obrony niż napaści".

- Obrony? Żartujesz chyba Ander!

„Bynajmniej. Bez dostępu do podprzestrzeni żaden z tych statków nie może powrócić do swojej bazy. Nie mają żadnego powodu, żeby dokonywać napaści u kresu swojej podróży bez powrotu, której nikt z nich nie przeżyje. Jedynym wytłumaczeniem może być właśnie desperacki podryg obrony. Nie masz racji Bron. Jest to samobójcza misja bez odwrotu, której celem jest prawdopodobnie próba zniszczenia jakiegoś aspektu przyszłej historii zawartej w Chaosie".

- Jeżeli chodzi im o zniszczenie floty Niszczycieli, to są już bliscy celu. Nawet ich puste pojemniki są groźną bronią.

„Myślę, że wszystko to jest celowe. W tego typu wyprawie każdy atom ładunku powinien osiągnąć swój maksymalny potencjał. Znając z góry nasze możliwości przystosowali wszystko tak, żeby każdy atom ich floty był odporny na naszą broń i jednocześnie stanowił broń, przed którą nie mamy ochrony".

- To się zgadza z naszymi wnioskami. Nawet puste pojemniki są uodpornione na nasze pociski. Ich jedynym słabym punktem wydaje się być pewna tendencja do samozniszczenia pod wpływem kontaktu lub bliskiego zbliżenia... Boże! Ander!... Chyba dałeś mi rozwiązanie. Funkcją katalizatora nie jest prowokowanie nowych działań, ale przyspieszanie już istniejących reakcji. Po prostu należy walczyć z nimi ich własną bronią.

W chwile później Bron popędził na mostek wołając po drodze zbrojmistrza i szefa arsenału. Szybko tłumaczył im założenia nowej taktyki, którą przyjęli ze zdumieniem, ale zaraz pobiegli dokonać odpowiednich przeróbek. Bron polecił dowódcy Skuy wybrać odpowiedni cel i resztę czasu spędził na opowiadaniu Jaycee, jaki los zgotuje jej po tym wszystkim. To ulżyło mu nieco.

Wrogowie wydawali się wyczuwać te atmosferę podniecenia. Ich pomruki stały się krótsze, tak jakby panika opanowywała ich rozmowy, osiągając niewyobrażalne natężenie decybeli. Słychać teraz było napięte głosy, nerwowe, wypełnione strachem, złością i straszliwym przeczuciem rozmowy. Bron prawie mógł sobie wyobrazić Obcych tkwiących w ciemnościach, spływających potem w atmosferze stęchlizny spowodowanej wiekowym upchnięciem pośród niewyobrażalnych silników. Domyślał się, że pragną w tej chwili gwałtownej śmierci, uwalniającej ich z długiego uwięzienia, które ma się zakończyć kieską.

Po wybraniu celu Bron czekał tylko na sygnał zbrojmistrza. Otrzymał go dopiero w strefie ataku na kilka sekund zanim wskaźniki gotowości osiągnęły punkt zerowy. Natychmiast wystukał swoją zgodę i oddał dowództwo komputerowi.

Wrogi statek był wyraźnie widoczny na ekranach. Widać było także długie rury torped poruszające się z pozorną powolnością. Wśród załogi, która już dowiedziała się o szczegółach, wzrosło napięcie. Broń mezoniczna stanowiła główną siłę, którą ci ludzie rozumieli, a nowa taktyka nie sprawdziła się jeszcze.

W miarę jak torpedy posuwały się do przodu na ekranach pojawiały się coraz to nowe szczegóły celu, w który miały uderzyć. Normalnie uzbrojone pociski spowodowałyby wybuch oślepiający na kilka sekund ekrany. Torpedy bez zapalników uderzyły we wrogi statek nie powodując żadnych wybuchów. Obraz pozostał niezachwiany. Ale wróg zaczął wydzielać z siebie szalone spirale nieznanej formy energii.

Przez chwile Obcy najeżył się długimi igłami strzelającymi fioletowym ogniem, jak jakiś surrealistyczny jeż. Te promienie energii utworzyły wokół niego swoisty pawi ogon takiej wielkości, że zniknąłby w nim z łatwością każdy z liniowców Niszczycieli. Dziwne wyładowanie zniknęło wreszcie pozostawiając zjonizowaną pustkę jako jedyne oznaczenie miejsca, w którym niedawno jeszcze znajdował się obcy statek. Prawie cała jego masa zamieniła się w promieniowanie. To fenomenalne osiągniecie dało rezultat tylko dzięki nowej taktyce Brona.

W czasie całego zajścia rechotanie było przytłumione i zaniepokojone. Tym razem nie było okrzyków. Tylko równy pomruk żalu i strachu.

Bron wybrał nowy cel i przekazał szczegóły swojej taktyki reszcie floty. Wyczuwał niewyraźnie, że Obcy rozumieli konsekwencje tej decyzji. Przygnębienie wyczuwalne w ich głosach przekonało go, że ostatnia decyzja rozstrzygnęła bitwę na jego korzyść.

Następna skuteczna salwa zwiększyła te pewność. Wkrótce dwie inne jednostki doniosły z entuzjazmem o skuteczności nowej metody. Możliwość ponownego atakowania bronią dalekiego zasięgu zelektryzowała załogi. Zostały one wyszkolone właśnie do tego typu walki. Nareszcie stali się znów Niszczycielami i to dosłownie.

Bron poczuł dreszcze na widok setki statków atakujących jednocześnie wroga. Torpedy z brązu wyglądały na czarnym tle pustki jak wirujące świetliki. Ponure statki Obcych jako jedyne utrzymywały jeszcze swój straceńczy kurs z niesamowitą dokładnością. Wkrótce jednak zaczęły eksplodować na 50 różnych sposobów, jeden po drugim, w daremnych akcjach samobójczych. Olbrzymie obszary kosmosu zapełniały się sekundowymi słońcami lub rozświetlały się długimi ogonami jonizacji. Czasami reakcje te były tak gwałtowne, jakby nowa galaktyka rodziła się na skraju Mlecznej Drogi.

- Ananias! Twoja kolej, Ananias!

- Słyszę cie Bron. Widzimy was. Powiedziałbym, że świetnie się bawicie.

- Tak jak w Boże Narodzenie w Europie. Odkryliśmy ich pietę Achillesową. Ich statki są uodpornione na wszystkie nasze bronie, ale niszczą się same pod wpływem kontaktu fizycznego. Nasze torpedy mają zapalniki bliskie i nigdy nie wchodzą w kontakt fizyczny z wrogiem. Po prostu wyjęliśmy im detonatory.

- Ale jeśli wyjmiesz detonator, to nie nastąpi wybuch - zaprotestował Ananias.

- I dobrze. Cała ta flota bierze udział w akcji samobójczej. Każdy jej atom jest przeznaczony do samozniszczenia. Wystarczy tylko uruchomić te reakcje.

Przestrzeń przed Skuą rozświetliła się setką ulotnych słońc. Ogony jonizacji o długości milionów metrów świeciły jak rampy neonowe, oświetlające ekstrawagancką formę dezintegracji. Czerwone, fioletowe i żółte kule ognia wybuchały jak sztuczne ognie. Głosy Obcych były teraz nieprzerwanym krzykiem bez najmniejszych wahań, ale szybko stawały się coraz wyższe i bardziej odległe, jakby członkowie tego piekielnego chóru wpadali kolejno i topili się w swoim straszliwym bagnie.

Rozdział XXXIV

Głosy Obcych umilkły wreszcie, a ich ostatnie echa odbijały się niemrawo jak dym po letnim pożarze. Zanim flota Komanda dotarła na miejsce spotkania z Niszczycielami już było wiadomo, że Bron odniesie zwycięstwo. Wspólnie obie floty zniszczyły szybko główne siły wroga i poszczególne statki rozpierzchły się, ścigając niedobitków. W głowie Brona wreszcie zapanowała cisza.

Rozluźnił się i ogarnęło go nagle potworne znużenie. Jak większość jego ludzi, Bron nie zmrużył oka przez ostatnie trzydzieści sześć godzin. Kiedy zorientował się, że końcowe operacje zwycięskiej bitwy nie wymagają już jego obecności opuścił mostek, poszedł do swojej kabiny i rzucił się na łóżko. Zasnął natychmiast.

Po jakiejś chwili wydało mu się, że lekkie kołysanie wyrywa go ze snu do stanu świadomej półjawy. Wiedział mgliście, że to było złudzenie, a jednak jakaś cześć jego świadomości wciąż analizowała i interesowała się szczegółami tego powtarzającego się koszmaru. Zamiast z nim walczyć pozwolił ponieść się fantazji. Zaczęło się, jak poprzednio, od całkowitej utraty czucia. Zupełnie jakby myśl oddzieliła się od ciała. A przecież był świadom falowania lekkiego przypływu, który niósł go przez te czarne wody. Wrażenie narastało, aż stało się rzeczywistością.

Mimo braku światła wierność poszczególnych elementów, zazębiających się idealnie, czyniła ten sen wiarygodnym. Słyszał cichy szum fal rozbijających się. o ściany tunelu i szybkie echo przechodzące prawie w ultradźwięki, które dawało wyobrażenie o wielkości podziemi, w które go wciągano. Gdzieś przed nim, gęsiopodobny duch krzyczał swoją zalęknioną skargę, która nie miała w sobie nic ludzkiego.

Niewidzialna tratwa potrąciła nagle brzeg niewidocznego zakrętu, zachybotała się i popłynęła dalej unoszona mrocznym prądem. Samotna gęś została wzmocniona najpierw przez jedną, a potem przez inne i wszystkie razem zaintonowały straszliwy hymn, który przyprawił go o mrożące krew przerażenie. Nowy zakręt, przed którym poczuł już wyraźnie uderzenie... swój kombinezon.

Kombinezon? Zdrętwiałe palce obmacały otaczającą go pustkę. Odkrył małe zgrubienie szwów wewnątrz rękawic. Całe ciało potwierdziło fakt, że brak czucia jest wynikiem podwójnego materiału kombinezonu kosmicznego szczególnej grubości i wytrzymałości oraz zdrętwienia wynikającego z długotrwałego przebywania w tej samej pozycji. Wszystko to, w połączeniu ze zmniejszonym ciążeniem i unoszącym go płynem, tłumaczyło brak czucia, ale nie wyjaśniało, dlaczego miał pełną świadomość tych wszystkich nieprawdopodobnych detali. Nie tłumaczyło również, co może go oczekiwać na końcu tej szatańskiej drogi.

Gęsi rechot zamienił się w krzyk, potem w ośli ryk skłóconego chóru, by wreszcie przejść w oskarżenie i wymówkę. Sama wyrazistość tego ohydnego głosu wystarczyłaby, żeby rzucił się do ucieczki, gdyby tylko był panem swoich czynów. To było jednak niemożliwe. Setki milionów lat strachu i nienawiści zostały wyrażone głosem w fałszywej i gorzkiej skardze dochodzącej od czegoś, co oczekiwało go za następnym zakrętem.

Ogarnęła go panika, odbierająca wszelki rozsądek. Miotał się wściekły w swoim kombinezonie, że nie może ruszyć ręką. Bezsilny, uwięziony oczekiwał w strachu aż prąd doniesie go za kolejny zakręt. Miliony atmosfer naciskały na dach tunelu. Powietrze, którym oddychał było ciepłe i lepkie od potu, jego własnego strachu i tak przesycone smakiem metalu i plastyku, że sztywniał od niego jeżyk. Lada moment miał zakończyć swoją podróż i stanąć oko w oko z oprawcami, którzy zaplanowali jego zabójstwo w czasach, kiedy życie na Ziemi walczyło jeszcze o wyodrębnienie się z bezwładnej magmy.

Nie wiedział, jak będą wyglądać, ale wątpił, żeby jego umysł wytrzymał to objawienie. Gęsi chór stawał się coraz bliższy. Wydawało się, że wystarczy wyciągnąć reke, żeby dotknąć tych zastraszonych istot. Czuł, że już powinno pojawić się światło, ale wokół wciąż było ciemno. Wreszcie inny głos wśliznął się w jego głową. Był to pomruk bez sensu, który jednak wstrząsnął nim z taką gwałtownością, że musiał zwrócić na niego uwagę mimo kombinezonu, mimo gęsi i magnetycznego przyciągania obcej rzeki.

„Może w ohydnych ciemnicach jakiejś nieludzkiej inkwizycji czyjś umysł oszalał...”

- Jaycee! Na pomoc!

„...nie przez tortury czy słabość ducha...”

- Jaycee! Zlituj się i wyciągnij mnie stąd. „...ale pod wpływem o wiele głębszej rany. Czyż nie wiesz, że Bóg umiera...’umiera...?”

- Jaycee! Nic absolutnie nie wiem o Bogu, ale wyciągnij mnie stąd.

„Wychodzisz z tego, Bron. Wytrzymaj jeszcze trochę. Twój metabolizm szybko się polepsza, a serce bije coraz równiej”.

Bron otworzył oczy. Na twarzy miał maskę tlenową, przez którą widział zaniepokojone oczy lekarza. Zdał sobie sprawę, że nie leży już w swojej kabinie, a na stole operacyjnym ambulatorium Skuy.

- Jaycee. Co się stało?

„Wpadłeś w korne przed siedemnastu godzinami. Lekarze starali się przywrócić ci świadomość, ale bez skutku. Musiałam wreszcie zastosować rozluźnienie za pomocą klucza semantycznego, żeby zmusić cie do odzyskania przytomności, bo wszystkie funkcje życiowe zaczęły spadać poniżej wszelkich norm. Skontaktowałam się z Ananiasem i wspólnie mieliśmy już udzielić zgody na masaż serca”.

- Znowu miałem ten sam sen. Ten, w którym płynę tunelem gdzie oczekują mnie Obcy. Miałem przebyć jeszcze jeden zakręt.

Jeszcze nie zrezygnowali z ciebie, Bron. Zwyciężyłeś ich flotę, ale znaleźli inny sposób, żeby cie dopaść. Teraz atakują twój umysł”.

- Czy wciąż odbieracie obce sygnały na kanale transferowym?

Jeszcze silniej niż poprzednio. Antares je filtruje, ale wciąż je odbieramy”.

- Sygnały ich floty ucichły pod koniec bitwy. To, co odbieramy teraz musi pochodzić z ich bazy. To rodzaj zakodowanych obrazów przesyłanych w formie dźwiękowej. To chyba jest ich system łączności. Nawet sam łapie od czasu do czasu różne obrazy. Kiedy się rozluźniam, ich efekt bywa wręcz hipnotyczny.

„To logiczne. Twoja koma przypominała rzeczywiście skutek ultragłębokiej hipnozy. To działa na równie niskich poziomach świadomości, jak te, które wykorzystano dla zsyntetyzowania osobowości Halterna. Zbyt niebezpieczny obszar, żeby go wystawiać na działanie wroga”.

- Nie sądzę, żeby to był atak. Odbieram to raczej jako próbę nawiązania kontaktu. „Po prostu chcą ciebie zabić, Bron. To zwykłe, stare jak świat, morderstwo”.

- To coś więcej, Jaycee. Miejsce z mojego snu jest realne. To była projekcja rzeczywistej sytuacji. Żeby przeżyć, potrzebny jest gruby kombinezon kosmiczny, co pozwala sądzić, że jest tam potwornie gorąco. Ciążenie jest o połowę mniejsze od ziemskiego. Istnieje atmosfera, bo słyszałem dźwięki i hydrosfera, bo pływałem po czymś. Nie wyśniłem sobie tych rzeczy. One zostały mi zakomunikowane. To jest realne miejsce... gdzie...

Jeżeli istnieje, to w galaktyce Messiera 31, po drugiej stronie pustki międzygalaktycznej. Nie wiem dlaczego ta rzeczywistość miałaby być tak ważna?”

- Dlatego, że musze tam polecieć. Ten sen był wideofoniczną próbką Chaosu. Moja droga w tamtym tunelu stanowi ustalony element przyszłości.

„Zmieniałeś już przepowiednie Chaosu, Bron. Dlaczego wiec ta predykcja miałaby być niezmienna?”

- Bo wygraliśmy na razie jedną bitwę z niewyobrażalnie antyczną flotą. Ale prawdziwy wróg jest wciąż nietknięty i stał się bez wątpienia jeszcze groźniejszy. Jeżeli mogli wystrzelić pocisk na Onaris, to równie łatwo mogą wysłać inny na Ziemie lub inną planetę. Te pociski mogą być już w drodze. Jeżeli chcemy wygrać definitywnie, musze przenieść walkę do nich. A ten sen, Jaycee, jest predykcją jakiejś części wypadkowej tej właśnie akcji.

Rozdział XXXV

- Ananias. Ile masz statków o potencjale podprzestrzennym pozwalającym na osiągniecie Messiera 31? Ananias gwizdnął cicho ogarniając wszystkie implikacje pytania.

- Tego nikt nigdy nie robił, Bron. Nikt nie próbował osiągnąć innej galaktyki. Astrolab Tantal poleciał najdalej, ale przebyliśmy zaledwie ułamek tej odległości.

- Tym razem chce lecieć aż do oporu. Potrzebuje szczegółów o wszystkich statkach Komanda posiadających potwierdzoną zdolność dokonywania skoków podprzestrzennych ponad dziesięć kiloparseków.

- Ale ty mówisz o sześciuset kiloparsekach. Żaden statek nie ma takich zdolności.

- Żaden nie próbował, a wiec nie wiemy. Chce statków i załogę złożoną z ochotników. Przejrzeliśmy statki Niszczycieli i sądzimy, że trzy może będą się nadawały. Chciałbym ich mieć ze trzydzieści.

- Zgoda, Bron. Sprawdzę to natychmiast w komputerze. Zawiadomię cie, jeżeli coś znajdziemy.

- Jaycee? Jesteś tam?

„Nie. Mówi Doc. Nasze laboratoria głębokiej przestrzeni

obliczyły, że masz zaledwie dwa procent szans na dotarcie do Messiera 31 na pokładzie dowolnego statku znanego typu. Nie ma żadnego precedensu, żeby jakikolwiek statek dokonał skoku na odległość większą od piętnastu kiloparseków i powróci! do normalnej przestrzeni”.

- Przy dwóch procentach szans jestem gotów zaryzykować. Jeżeli będzie trzeba, to przelecimy krótkimi skokami.

„To niczego nie zmieni, bo nie można obliczyć współrzędnych w przestrzeni, w której nie ma gwiazd jako punktów odniesienia”.

- Damy sobie radę Coś na pewno da się wymyślić, Doc.

„Wciąż nie widzę, co chcesz przez to osiągnąć. Nie możesz wziąć z sobą całej floty, a Andromeda ma więcej gwiazd niż nasza galaktyka. Masz jedyną szanse na kilkaset milionów, że trafisz na zamieszkały system, nie mówiąc już o znalezieniu ich bazy”.

- Będzie mi towarzyszyć pełna ekipa Chaosu. Sądzę, że otrzymamy dość dobre współrzędne Chaosu analizując pochodzenie obcej floty. To nam powinno wskazać z grubsza sektor. Później trzeba będzie tylko uwzględnić poprawki astronomiczne.

„Ty jesteś szefem. Jeżeli chcesz to zrobić, to nie możemy cie powstrzymać. Ale naszym zdaniem ta akcja jest bezmyślnym marnowaniem ludzi i statków”.

- Przyjąłem do wiadomości twoje obiekcje, Doc, ale musze rozegrać te partie po swojemu. Nie ma tam Jaycee?

„Nie ma dziś służby. Mam ją zawołać?”

- Nie. Opisz mi ją po prostu.

„Wiesz przecież, że nie mogę tego zrobić. Chyba nie spodziewałeś się odpowiedzi”.

- Nie wiem, co może być tak cholernie tajnego w opisie osoby, która większość swego czasu spędza na ćwiczeniu swojej złośliwości w mojej głowie.

„Informacja jest tajna po prostu dlatego, że nie chcemy żebyś ją poznał. Zostaliście oboje psychologicznie złączeni dla stworzenia silnie antagonistycznego związku. Tak jak przewidziano, osiągnęliście wysoki poziom wzajemnych stosunków, które nie są zakłócane przez zwykłe sentymenty. To czyni z was najlepszą ekipę, jaką mamy. Dlatego właśnie nie chcemy, żeby ta równowaga została zakłócona”.

- Przez miłość, na przykład? - zapytał z rozbawieniem Bron.

„Nie doceniasz siły pary, Bron. Z wyjątkiem kontaktów fizycznych jesteście bardziej złączeni niż jakiekolwiek dwie osoby w zwykłym związku. Nigdy nie osiągnęlibyście tak totalnego zespolenia. Nawet w klasycznym związku miłosnym”.

- Co jeszcze?

Już i tak powiedziałem za dużo. Od tej chwili nie odpowiemy na żadne pytanie dotyczące Jaycee. Chciałem ci po prostu uzmysłowić kruchość tej równowagi”.

- Sądzę, że uzmysłowiłeś mi o wiele więcej. Mam nawet przeczucie, że przemodelowałeś znaczną cześć przyszłości.

Bron przeszedł przez mostek Skuy i stanął przed klawiaturą komputera. Jego palce naciskały przyciski po omacku i starannie unikał spoglądania na nie. Wpatrywał się z uporem w przyrządy umieszczone w głębi sali.

„Co robisz, Bron? Chyba powinniśmy zrobić nagranie tego”.

- Odczep się. Cała ta historia przerasta cie na kilometr. Cokolwiek byś powiedział, polecę do Messier 31. A jeżeli ujdę z tego z życiem, to wrócę rozwiązać drugą wielką zagadkę galaktyczną.

„Cóż to jest, na Boga?”

- Wrócę po Jaycee. I wątpię, żeby Komando mogło mi w tym przeszkodzić.

Stopniowo cichły silniki i sześć statków zanurzyło się jednocześnie w przestrzeń tachjonową. Za każdym razem kiedy osiągali spokojną fazę lotu Bron odpinał pasy i obliczał nowe parametry. Korweta Niszczycieli o nazwie Nemesis była o wiele mniejsza niż Skua, ale jej generatory podprzestrzenne były najpotężniejsze w całej flocie. Niewidoczne w tej chwili dwa inne statki Niszczycieli i trzy Komanda przez cały czas naśladowały manewry Brona.

Zespół Chaosu, złożony również z ochotników, wściekle pracował przez cały czas nad ustaleniem z coraz większą precyzją drogi wrogiej floty. Swawolnym żartownisiem, który odpowiadał za te fantastyczną improwizacje był nikt inny jak sam akademik Laaris, który z namaszczeniem kierował najbardziej skomplikowaną i najbardziej meczącą analizą Chaosu, jaką kiedykolwiek przeprowadzano.

Z braku gwiazd, jako współrzędne w matrycy umieszczano wyniki obliczeń Chaosu powtarzające na odwrót drogę, którą przebyli Obcy. Bron skrzyżował palce. Stosowanie obliczeń Chaosu-do matryc było procedurą niepewną i mało znaną. Jak dotąd jego statki wykonały siedem skoków po pięćdziesiąt kiloparseków i wciąż trzymały się razem. Przeczyło to tak bardzo wszelkiemu znanemu prawdopodobieństwu, że wszyscy mieli wrażenie, że żyją wyłącznie dzięki siłom nadprzyrodzonym.

Laaris pierwszy zwrócił uwagę na dziwne zależności w obliczeniach Chaosu. Wciąż odmawiając uznania Brona za kogoś innego niż mistrza synkretystyki Halterna uparł się, żeby mu znosić najbardziej powikłane problemy z prośbą o ich wytłumaczenie. Dzięki pomocy Andera oraz własnego, wciąż rosnącego, zrozumienia mechanizmów Chaosu, Bron z reguły był w stanie dostarczać zadowalających odpowiedzi. Tym razem Laaris zrozumiał, że odkrył coś, co przerastało wszystkie dotychczasowe odkrycia i radość z tego faktu można było porównać jedynie do jego niepokoju, dotyczącego możliwych konsekwencji.

- Mistrzu Haltern, musisz mi to wytłumaczyć - stwierdził i rozwinął na stole dziesięć długich wydruków, oczekując niecierpliwie aż Bron je uważnie przejrzy.

- W czym rzecz?

- To odchylenie - odparł Laaris wskazując na komentarze komputera umieszczone na bokach wydruków. - Im dalej lecimy tym bardziej nasza droga odchyla się od linii prostej.

- Może to znaczy po prostu, że ich flota leciała po podobnej krzywiźnie?

- Skądże! Powinniśmy posuwać się po prostej współbieżnej do wypadkowej. To jest przecież linia geodezyjna, która nie ma prawa się zakrzywiać.

- A czynnik czasu? Biorąc pod uwagę obrót i ucieczkę Andromedy w ciągu wieków nasza droga powinna przecież się zakrzywiać, jeżeli lecimy po śladach obcej floty. Najlepszą współrzędną, jaką możemy dostać z obliczeń Chaosu będzie przecież pozycja ich bazy, ale sprzed siedmiuset milionów lat.

Laaris aż tupnął z przerażenia.

- Już wyjaśniałem, że linie w Chaosie są zawsze proste. Mylisz je z liniami w zwykłej czasoprzestrzeni, gdzie istnieją krzywe. W Chaosie wszystkie fale wydarzeń są kuliste, a wszystkie linie proste. Inaczej być po prostu nie może.

Bron przyjrzał się ponownie wykresom.

- Ponieważ wydaje się być aksjomatyczne, że wszystkie osie w Chaosie są prostymi, a nasza droga zakrzywia się, wiec należy z tego wyciągnąć wniosek, że dane, które dostarczamy komputerom nie są prawdziwymi współrzędnymi Chaosu.

- Wątpisz w sprawność moich aparatów - krzyknął Laaris przyjmując natychmiast postawę obronną.

- Oczywiście, że nie. Znam ciebie i wiem, że wszystko sprawdziłeś, zanim przyszedłeś do mnie.

Podejrzewam, że coś jest nie tak z samymi informacjami entropijnymi. Czy możliwe jest, żeby przesłano nam sygnał, którego nasze czujniki nie potrafią odróżnić od fal rzeczywistego zdarzenia? Laaris podrapał się w czoło.

- To zależy od mocy. Każdy sygnał, który nie będzie się różnił od rzeczywistego wydarzenia będzie traktowany jak zdarzenie. Jeżeli jeszcze pokryje się z oryginalnym sygnałem, to możemy nie zauważyć zmiany. Dlaczego o to pytasz?

- Bo właśnie zaczynam sądzić, że może nie szukamy Obcych, ale jesteśmy przez nich prowadzeni.

Rozdział XXXVI

– Jaycee! Daj Andera. Musze wiedzieć, czy zamierzone sygnały entropijne są możliwe do zrealizowania. „Ander czeka od chwili, gdy zacząłeś rozmawiać z Laarisem. Twierdzi, że jest to nie tylko możliwe, ale nawet już stosowane do natychmiasto-

wej łączności na dystansach galaktycznych. Coś takiego zastosowano na przykład w kanale transferowym".

- A wiec moglibyśmy śledzić promień ich latarni, biorąc ją za oś jakiegoś wydarzenia? „Zgadza się. Przy ich technice wszystko jest możliwe".

Sygnał powrotu do zwykłej przestrzeni oznajmił koniec kolejnego skoku i wkrótce Bron ponownie musiał przetrzymać okropny ból. Nagłe pojawienie się zdziwionego rechotu Obcych napełniło go obawą. Od czasu jego komy na pokładzie Skuy ich głosy nigdy nie nasiliły się do poziomu słyszalności, mimo że brał przed snem pigułki antyhipnotyczne.

Oficer łączności odkrył katastrofę w kilka sekund. Dwa statki eskorty nie powróciły z podprzestrzeni. Może powrócą za kilka dni w zupełnie innym punkcie, ale najprawdopodobniej dołączyły do legionu zaginionych statków, skazanych na wieczną tułaczkę po bezwymiarowych korytarzach podprzestrzeni.

W czasie programowania kolejnego skoku Bron zorganizował konferencje radiową z kapitanami pozostałych statków. W obecnym tempie potrzebowali dokonać jeszcze czterech skoków po pięćdziesiąt kiloparseków, z których każdy niósł ze sobą ryzyko katastrofy. Wykonując siedem udanych skoków dawno już przekroczyli wszelkie szanse przeżycia. Dlatego Bron zaproponował przebycie ostatnich dwustu parseków w jednym skoku. Nikt nie zaprotestował, mimo że wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że wkraczali w obszary fizyki, w których byli ignorantami.

Laaris dostarczył wkrótce dowodu na istnienie transmisji entropijnej o takim natężeniu, że wszelkie normalne obliczenia Chaosu zostały zmienione. Pułapka stawała się coraz boleśniej oczywista, ale Bron rozkazał nanieść współrzędne ostatniego skoku na matryce. Tam, gdzie znajduje się ich latarnia powinno być najwięcej szans na spotkanie Obcych. Po sprawdzeniu obliczeń wszystkie cztery statki skoczyły w podprzestrzeń.

Po zakończeniu skoku Nemesis była sama.

Bron musiał się. przyznać do mieszanych uczuć, kiedy jego samotny statek wleciał w granice olbrzymiej mgławicy Andromedy. Strach, niepokój i żal z utraty statków eskorty przeważały, ale nie to było najgorsze. Często podróżował po Drodze Mlecznej i zdawał sobie sprawę z różnorodności jej gwiazd. Tutaj, na pierwszy rzut oka, gwiazdy miały te same rozmiary, typy spektralne i były równie gęsto rozmieszczone. A jednak patrząc na nie, nie mógł się przekonać, że były to gwiazdy jego świata. W jakiś niewytłumaczalny sposób to wspaniałe skupisko słońc miało w sobie coś niepowtarzalnego i obcego, co czyniło go równie obcym, pozbawionym wszelkiego znaczenia i samotnym.

Andromeda rzeczywiście musiała być inna. Wśród miliardów gwiazd Drogi Mlecznej tylko Ziemia wydała inteligentne życie. A teraz, stojąc na skraju innej galaktyki, Bron miał spotkać się z obcym odpowiednikiem człowieka. Sprowadzony do roli samotnej jednostki przez okoliczności, które zostały najprawdopodobniej przewidziane, wiedział, że kiedy zbliży się do ostatniego zakrętu tunelu będzie sam i bezbronny. Sam wobec formy inteligencji, która badała przestrzeń w czasach, gdy na Ziemi ledwo pojawiły się pierwsze formy życia.

- Słuchajcie mnie - krzyknął, tknięty nagłą myślą, że Obcy musieli przecież przechwytywać jego sygnały z kanału transferowego. - Wiem, że mnie słyszycie.

Gęsi rechot wzmógł się na chwile i zaraz umilkł, jakby był odpowiedzią. Bron mówił dalej:

- Schodzę na spotkanie z wami. Zniszczyliście wiele naszych planet bez widocznego powodu. Gdybym chciał, to mógłbym zniszczyć jeszcze więcej waszych planet, bo posiadam statki zdolne do przekroczenia pustki galaktycznej w ciągu ułamka ludzkiego życia. Tak wiec przyjdę do was silny, a nie słaby. Nie mam broni, ale gdyby coś się stało mnie, albo mojemu statkowi, to reszta mojego gatunku będzie o tym wiedziała i w końcu zniszczy was za to.

Jeszcze raz głosy Obcych stały się wyraziste, przypominając tym razem fale wzburzonego morza, a potem ucichły pozostawiając w kanale tylko leciutki szum podobny do ocierania się o siebie ziarenek piasku na plaży.

Laaris nadszedł z ostatnimi obliczeniami. Był teraz w stanie zlokalizować źródło transmisji entropijnej, która najprawdopodobniej pochodziła z systemu leżącego zaledwie o dwa kiloparseki od granic galaktyki. Bron wyraził zgodę na dokonanie skoku i zaraz po obliczeniu współrzędnych Nemesis ponownie zanurzyła się w podprzestrzeni.

Wynurzyli się z niej w pobliżu całkiem zwyczajnego słońca klasy K5 o masie około osiemdziesięciu procent masy Słońca. Gwiazda ta miała tylko jedną planetę, mniejszą od Ziemi. Obserwacje teleskopowe niczego nie wykryły na jej powierzchni. Była to kula pomarszczonych skał, pokryta chmurami, najwyraźniej bez śladów życia, o szalejącej atmosferze złożonej z węglowodoru. Temperatura na powierzchni przekraczała dwieście stopni Celsjusza. Sygnał entropijny był nadawany właśnie z tej planety, ale niezbyt precyzyjne instrumenty Nemesis nie pozwalały na dokładne ustalenie jego źródła.

Nemesis miał na pokładzie tylko jedną szalupę. Bron polecił przygotować ciężkie skafandry kosmiczne, a następnie poprosił o dwóch ochotników jako załogę. Kiedy przyjrzał się dokładniej kombinezonom zrozumiał, że jego podróż przez tamten straszliwy tunel ze snu zbyt szybko stanie się rzeczywistością.

Szalupa nie czuła się dobrze w atmosferze. Była skonstruowana do pracy w przestrzeni. Szczególnie ciężko sią ją prowadziło w burzach, w które szybko wleciała. Ponieważ nie można było wykorzystać do końca jej mocy, z uwagi na nieaerodynamiczne kształty, szalupa podskakiwała, chwiała się i trzęsła pod wpływem prądów i dziur powietrznych.

Od czasu do czasu było widać powierzchnie planety. Przyglądali się ze zdumieniem groźnym ostrogom skalnym zmiatanym przez ciężki wiatr naładowany wielkimi oleistymi kroplami. Oglądali powolne falowanie tutejszego morza ciekłych metali. Tu i ówdzie leżały przewrócone potężne łańcuchy skał, jakby je ktoś wyrywał z korzeniami. Nigdzie nie było widać śladu porządku, który mógłby świadczyć o działaniu inteligencji.

Szalupa dokonała trzech wypadów na powierzchnie, powracając za każdym razem na Nemesis dla odpoczynku, regulacji instrumentów i analizy zebranych informacji. Laaris uruchomił wszystkie komputery, żeby znaleźć jakieś powiązanie niezmiennego sygnału Obcych z terenem planety. Informacje zebrane podczas lotów na małych wysokościach zaczęły w końcu dawać pewien schemat zależności, który wskazał najpierw na półkule południową, aż wreszcie współrzędne utworzyły sektor o średnicy zaledwie jednego kilometra.

Bron polecił wykonać fotografie lotnicze z różnych wysokości, które wykorzystał do zrobienia rozsądnego szkicu terenu. Drżącą ręką przewracał odbitki. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że już mu te dane pokazywano. Instynktownie potrafił interpretować grę światła i cienia. Zrozumiał, że wszystko opisano mu w czasie jego komy na pokładzie Skuy. Wtedy pamiętał głównie przerażającą końcówkę snu. Teraz wrócił do początku tej podróży i był pewien, że tym razem odbędzie ją do końca.

- Jaycee! „Słucham, Bron".

- Opisz klawiaturę specjalną kanału transferowego. „Po co? Czyżbyś wybierał się na urlop?"

- Opisz ją!

„Dobrze już, dobrze. Regresja katatoniczna, znieczulenie bez utraty świadomości, kara i śmierć. Co to ma znaczyć, Bron?" Bron podniósł do oczu jedną z fotografii i wskazał palcem na jeden z zaciemnionych obszarów.

- To jest wejście do tunelu. Wejdę tam. O ile się nie mylę, będzie to ciężka podróż. Masz sześć godzin na przygotowanie się. Odpocznij. Kiedy wyruszę bede potrzebował całego poparcia, jakiego możesz mi udzielić.

Rozdział XXXVII

Szalupa wylądowała ciężko na jedynym płaskim kawałku terenu. Przez całą drogę w atmosferze była targana niemiłosiernie przez burze, a chmury skondensowanych polimerów węglowodorowych zakłócały wskazania przyrządów nawigacyjnych. Teraz stała na lekko ugiętych wspornikach z dziobem wzniesionym do gwiazd. Sto metrów dalej widniało wejście do

pieczary znajdujące się w stoku góry. Dzięki jakimś nieznanym mechanizmom wpadał w nią duży strumień.

„Twoja odporność na większość słabości ciała została więcej niż udowodniona” - stwierdziła Jaycee ponurym tonem. „Na nieszczęście nie wiemy, czy potrafisz przeżyć własne samobójstwo. Czy to jest to miejsce?”

- Wiemy, że sygnały pochodzą z tego sektora, a ten strumień wpadający do groty wydaje się potwierdzać mój sen.

„A wiec co zamierzasz?”

- Wejdę tam. „Z eskortą?”

- Sam. Tylko z tobą.

„Nie rozumiem twoich motywów, Bron. Nawet bez Obcych jest to samobójcza wyprawa. Spójrz tylko na siłę prądu. Co ty chcesz udowodnić?”

- Moja droga przez te grotę jest już częścią historii. Musze dowiedzieć się, co jest za ostatnim zakrętem.

„Bądź szczery. Nie jesteś męczennikiem i nie będziesz nadstawiał swojej oślej skóry w imię dobra stosunków międzygwiezdnych. To nie jest ani heroizm, ani zwykła ciekawość. Jeżeli wchodzisz do wnętrza tego tunelu, to znaczy, że jesteś prawie pewien, że znajdziesz tam coś, czego chcesz i co będziesz mógł zabrać. Nie bardzo wiem, jak ty na to wpadłeś, ale musze przyznać, że jestem ciekawa tego, co się stanie”.

- Wiesz, co jest w tobie złego Jaycee? Nie masz duszy.

„A wiesz czego ty nie masz, Bron? Nie masz przed sobą żadnej przyszłości”.

Bron kontemplował przez kilka minut przerażającą panoramę zanim wreszcie zdecydował się. Wyszedł z szalupy, polecając załodze pozostanie w środku na wypadek, gdyby potrzebował ich pomocy. Na zewnątrz jego kombinezon stał się jeszcze sztywniejszy i bardziej niewygodny. Tym bardziej że musiał iść po ostrych i stromych nierównościach.

Posuwał się do przodu jak nurek pochwycony nagle przez podwodny prąd. Nie wiedział czy to z powodu własnej wyobraźni, czy też ułożenia terenu, miał wrażenie, że nawet wiatr popycha go w kierunku jaskini.

„Śmiało, Bron. Jestem z tobą”.

Głos Jaycee był teraz jego jedyną podporą w tym koszmarze.

- Jak wygląda stan skafandra?

„Stąd wygląda nieźle i powinien wytrzymać około dziesięciu godzin, jeżeli nie uszkodzisz go. Nie jesteśmy natomiast pewni, czy wytrzymasz tak długie uwięzienie. Jeżeli dostaniesz ataku klaustrofobii, to możesz sobie coś zrobić”.

- Wiesz jak mnie uspokoić.

„Sprawi mi to przyjemność i to nie po raz pierwszy. Zawsze stanowiłeś żenujący przypadek psychologiczny”.

Był teraz wewnątrz groty i starał się powstrzymać od włączenia lampy skafandra. Czarne ściany groty nic mu nie mówiły i tylko szybki prąd ciekłego metalu pozostawał wciąż widoczny.

Nagle zaczął słyszeć. Gęsi mruk dochodził go teraz bardziej przez głośniki skafandra niż przez kanał transferu. Słyszał w oddali lepkie krzyki i ich przerażenie przekonało go o tym, że odkryto jego przybycie. Usłyszał również cichy przestraszony krzyk Jaycee.

Wkrótce musiał się zatrzymać. Ścieżka, którą szedł dotąd urwała się niespodziewanie. Próbował wymacać nogą dno strumienia, ale okazało się to niemożliwe. Prąd natomiast wciągnął go jakby zanurzył nogę w żywym srebrze. Z krzykiem ześliznął się z kruchej podpory.

Natychmiast poczuł, że strumień, czy teraz już raczej rzeka unosi go mrucząc i pluskając o ściany fantastycznego tunelu. Upadając usłyszał szczek lampy uderzającej o występ skalny. Powinna wytrzymać ten wstrząs, ale niespodziewanie zgasła. Po raz pierwszy od czasu wejścia do tunelu poczuł, że ogarnia go panika.

„W porządku, Bron?”

Głos Jaycee przywrócił mu obiektywizm.

- Wciąż się utrzymuje na powierzchni, jeżeli o to chodzi. Ale to mój jedyny atut.

„Sam to powiedziałeś. Obcy czy swoi i tak dobrze wiesz, że nie masz najmniejszej szansy na wydostanie się stąd. Wiec może mi wreszcie powiesz, po co tam wlazłeś?”

- Uwierzysz, jeżeli ci powiem, że niczego nie szukam? „Nie. Za dobrze cie znam”.

- A wiec powiedz mi co knuje. Przyjąłem tamten sen za cześć Chaosu. Uważam go za dowód na to, że dopłynę szczęśliwie i trafie wreszcie na miejsce, w którym są Obcy.

„Przecież nie wiesz, co jest dalej”.

- Nie. Wiem tylko, że powodzenie tej wyprawy jest aksjomatyczne. „Może mi powiesz, kiedy i jak na to wpadłeś?”

- Droga Jaycee, to wynika bezpośrednio ze wszystkiego, co Obcy dotąd zrobili. Pociski i armada gwiezdna; to wszystko miało na celu zmniejszenie szans na moje spotkanie z nimi. Przed milionami lat podjęli próbę zapobieżenia temu, co się niedługo stanie. Nie zadawaliby sobie tyle trudu, żeby zapobiec czemuś, co i tak miało się nie udać. Tak wiec to musi się udać.

„Patrzę na to trochę inaczej, Bron. Uważam, że zrobili to wszystko, żeby ciebie zniszczyć. Ponieważ wszystkie ataki na odległość nie powiodły się, wiec ściągnęli cie do siebie. Sądzę, że jesteś w pułapce Chaosu, z której nie ma wyjścia. Wciągnęli cie w zasadzkę, która będzie coraz bardziej mordercza, aż w końcu całkowicie zniszczy twój potencjał Chaosu i ciebie”.

- Nieprawda. Nawet jeżeli masz racje, to oni i tak już przegrali. „Niby czemu?”

- Jest jeden punkt, którego ani ty, ani oni nie uwzględniacie. Ja nie jestem zwykłym człowiekiem. Dzięki kanałowi transferowemu jestem syntezą siebie, wszystkich komputerów wspomagających i przekazów, nie mówiąc już o takich osobach, jak: Doc, Ander czy Ananias. Obcy mogą mnie zabić, ale wszystkie informacje już wam przekazałem. Znajdziesz nowego agenta i nic nie stracisz z wyjątkiem paru kilogramów protein bez znaczenia. Widzisz; nie tylko ja jestem katalizatorem Chaosu, ale również cały system, którego jestem częścią.

„Cicho, Bron. Wzmacniam odbiór. Słyszę huk katarakty. Jaki jest teraz prąd?”

- Chyba silniejszy, ale trudno mi się zorientować.

„Zobacz, czy dosięgniesz jakiegoś występu i spróbuj się go chwycić. Według moich instrumentów ta katarakta jest naprawdę niebezpieczna”.

- Jak bardzo?

„Możemy się mylić z tej odległości, ale najprawdopodobniej chodzi o spadek rzędu trzech kilometrów”.

- Jaycee...!

„Tak”.

- Nic. Jakie mam szanse przeżycia?

„Bezkręgowiec miałby z jeden procent. Ale ty...”

- Czy kombinezon wytrzyma?

„Zależy w co będziesz uderzał. Prawdopodobnie nie. Cześć jego systemów życiodajnych nie wytrzyma zresztą na pewno tego typu hamowania”.

- Wkrótce dowiemy się wiec, które z nas miało racje.

Poczuł nagle uderzenie. Starając się ogarnąć i zrozumieć to, co docierało do niego przez skafander, zrozumiał wreszcie, że spada. Całkiem w dole słychać było kipiel wzburzonego metalu. Bez najmniejszego wstydu zaczął krzyczeć.

Rozdział XXXVIII

Chory umysł złamanego ciała...” Poczuł lekkie kołysanie fal, na których leżał.

„... płaczący nadaremnie w ulotnym wietrze...”

Potem zorientował się, że prąd unosi go dalej wzdłuż ciemnego tunelu. Czuł jakimś dodatkowym zmysłem ledwo zauważalne zmiany kierunku. Słyszał szybki plusk rozbijających się fal i głosy... Głosy, które mroziły krew.

„...umysł, który oszalał nie z powodu tortur...”

Gdzieś w dali jakaś kleista gęś śpiewała samotnię swój hymn z gardłem pełnym krwi. Dołączyły do niej inne, tworząc całe stado wyśpiewujące swe przerażenie i gorzkie żale.

Ponad nim, siedemset milionów lat ewolucji ciążyło na suficie tunelu. Płuca Brona odmawiały oddychania cuchnącym powietrzem o metalicznym smaku. Niemożność poruszenia ręką czy

nogą przywodziła go na skraj histerii. Jeszcze jeden zakręt, ale tym razem wyraźnie poczuł uderzenie o brzeg... poczuł przez kombinezon.

- Jaycee!

„Jestem z tobą, Bron".

- A wiec upadek nie zabił mnie?

„Wprowadziliśmy cie w stan katatonii. Dzięki temu spadałeś bardziej miękko. Prawdę mówiąc, upadek okazał się mniej groźny niż sądziliśmy. Wysokość była złagodzona przez siedemnaście kaskad. Jesteś teraz na głębokości około trzech kilometrów i wciąż się obniżasz. Wprowadziliśmy cie w stan świadomego znieczulenia, bo nie wiemy jak poważne odniosłeś obrażenia".

- Wyłącz znieczulenie. Chciałbym wiedzieć.

Przez chwile słyszał w głowie delikatny pomruk, a potem ból ogarnął całe ciało. „Jak się czujesz?" - zapytała z niepokojem Jaycee.

- Nie mam chyba żadnego mięśnia w całości, ale nie wygląda mi na to, żebym był połamany. „Kombinezon staje się widocznie coraz sztywniejszy w miarę wzrostu ciśnienia. Teraz przypomina

prawie skorupę. Szatan dobrze pilnuje swoich".

- Słyszysz ich?

„Obliczyliśmy już natężenie tych głosów. Według naszych obliczeń powinieneś tam dotrzeć za około siedem minut".

Rechot wztnógł się, rozchodząc się głośnym rykiem po ścianach tunelu. Wściekły chór był teraz tak bliski, że miał wrażenie jakby znajdował się tuż przed nim. Nowy wstrząs oznajmił przejście przez ostami zakręt. Tym razem nie był to sen. Nie miał żadnej możliwości ucieczka od tego koszmaru. Tym razem to była rzeczywistość.

Poczuł, że prąd staje się coraz wolniejszy. Po oddalającym się echu zorientował się, że wpłynął do dużej groty. Wreszcie zobaczył światło wzdłuż gładkich ścian i nastała nagła i przerażająca cisza.

Plecy otarły się nagle o pochyloną kratę, na której mógł zaczepić pietę i wypełznąć z płynnego metalu. Rozglądał się zdumiony, przygotowany na spotkanie ze swoimi prześladowcami bez względu na potworność ich kształtów. Ale był sam.

Metalowa rzeka płynęła pomiędzy stromymi brzegami sztucznie uformowanymi w prostokątne kształty i przerwanymi tylko kładką, na którą się wspiął.

Zobaczył wreszcie, że znajduje się w ogromnej sali o wyraźnych ścianach, ozdobionych tysiącami rysunków lub rzeźb, które mogły być zarówno dekoracyjne, jak i funkcjonalne. Wysokie, ciche maszyny, o przeznaczeniu i kształtach całkowicie obcych, stały w niszach jak niemi strażnicy, przerażający w swej obcości.

Jakiś ruch wśród tych ciemnych mechanizmów przyprawił go o skamienienie ze strachu. Skarżący się krzyk, tak znajomy, zmroził go aż do szpiku. Żywe istoty, pozostające w cieniu, wyszły nagle gęsim krokiem z jakiegoś schowka i przeszły rzędem przed nim... idąc w stronę rzeki.

Przyglądał się ich kościstym dziobom, które zanurzały się w metalowej rzece. Później istoty zakołysały się, przechodząc ponownie przed nim, w niemym proteście wobec jakiejś nieznanej okropności, ale nie przejmując się wcale jego obecnością. Śledził je wzrokiem z przerażeniem i z coraz większym zrozumieniem. Dziwne, zdegenerowane oślepłe, brzydkie i całkowicie głupie. Żyły, żywiły się i rozmnażały bez wątpienia w tym skarbcu zaginionej cywilizacji. Nawet ich chwytne ręce uległy zanikowi, ustępując miejsca rozwijającemu się dziobowi i długiej wygiętej do przodu szyi.

Sala przywodziła na myśl jakąś katedrę i Bron pojął wreszcie ironie i niewłaściwość tego chóru, który słyszał. Kiedyś bowiem ten hymn miał jakieś znaczenie, ale teraz ewolucja dobiegała końca i ta osobista skarga upadła od rangi kosmicznych rozwiązań do poziomu lokalnej kłótni o ziemie.

Odzyskując trochę pewności siebie Bron przystąpił do zwiedzania. Niektóre urządzenia byty pełne oznajmiających coś światełek, jakby cała sala wciąż żyła swoją nieskończoną starością. Jedna z maszyn, kiedy podszedł do niej, przemówiła do niego znajomym rechotem. Ale robiła to bardzo cicho, jakby jej przemówienie stało się powitaniem lub przeprosinami za dawną nienawiść. Przyglądał się jej z niepokojem wiedząc, że był to ten sam głos, który mu groził we śnie i prawdopodobnie kierował atakiem obcej floty. Teraz ta sama maszyna uznała go za swojego władcę, ale nie odczuwał z tego powodu najmniejszego triumfu.

„Gdzie są Obcy, Bron?"

- Ci, których zamierzaliśmy tu znaleźć, już nie istnieją, Jaycee. Ich rasa wygasła. „Ale przecież zaatakowali nas!"

- Dalecy potomkowie tych istot, które zniknęły i zapomniały o nas przed milionami lat. Może nawet w ich flocie były jakieś żywe istoty, ale z pewnością już dawno zapomniały o celu swego lotu. Tylko maszyny wydały nam bitwę.

„Jak możesz być tak pewien, że wrogowie nie istnieją?"

- Ewolucja. Fakt, że osiągnęli taki stopień rozwoju jest dowodem ich ewolucji. Człowiekowi wystarczyło zaledwie cztery miliony lat na zejście z drzew i wyruszenie w kosmos. Jeżeli przyjmiemy takie tempo rozwoju, to czy możesz w ogóle wyobrazić sobie czym się staniemy za sześćset czy tysiąc sześćset milionów lat? Jedno jest pewne. Nie będziemy już wtedy homo sapiens. Stanie się z nami to samo, co z nimi.

„Nie pomyślałam o tym".

- Rozwój inteligencji jest formą krytycznej reakcji ewolucyjnej. Jest niestały. Użyteczność inteligencji w długim horyzoncie czasowym jako czynnika gwarantującego przeżycie jest mocno wątpliwa. Prawdopodobnie nie przekracza kilku milionów lat.

„A co z latarnią entropijną, która cie tu przywiodła?"

- Przodkowie tych istot produkowali dobre maszyny. Przewidzieli je do wiecznego działania, nie zdając sobie z pewnością sprawy z tego, że zapomną jak je obsługiwać na długo przed ich zużyciem. Może ta latarnia była częścią ich systemu łączności. Może zainstalował ją któryś z ich ostatnich filozofów zapraszając wszystkich, którzy posiądą odpowiednią technologie i poziom rozwoju, żeby przybyli i skorzystali z tego, co jeszcze zostało. Takie ostatnie posłanie. Czymże jest to miejsce? Rodzajem muzeum mającego pokazać apogeum ich rozwoju wszystkim istotom inteligentnym, które będą w stanie tu dotrzeć.

„To dlaczego wysłali flotę i pociski?"

- To proste. Na początku ich ewolucji to miejsce musiało być dla nich czymś szczególnie ważnym. I kiedyś odczytali w analizach Chaosu, że któregoś dnia obca istota wkroczy do tej szczególnej sali i okradnie ją jak hiena cmentarna. Nie wyobrażali sobie wówczas, że będą szczęśliwi z powodu tej wizyty. Zrobili wiec wszystko, żeby do niej nie dopuścić. Cokolwiek by przedsięwzięli, istota ta wciąż istniała w ich przyszłości. Nie mogli wiedzieć, że to oni przegrają, a nie my ich zniszczymy.

„I podejrzewałeś to od początku, prawda?"

Jaycee zaczynała rozumieć, dlaczego Bron tak nalegał na zlokalizowanie wrogiej planety.

- Wiedziałem, że nie mogli przeżyć milionów lat własnej ewolucji. Mimo wszelkich dowodów czegoś przeciwnego, nie mogli pozostawać dla nas realną groźbą. Musiało wiec istnieć coś innego.

„I tego właśnie szukałeś?"

- Te istoty były o wiele dalej niż my w wielu dziedzinach. Mogli wytwarzać atomy, jak my maszyny. Stosowali entropie z taką samą maestrią z jaką my używamy elektromagnetyzmu. Wyobraź sobie fuzje ich wiedzy z naszą. Czy będzie wtedy istnieć we wszechświecie cokolwiek, czego nie będziemy w stanie zrobić?

„A wszystko to należy do ciebie!" - stwierdziła Jaycee ironicznie, głosem ociekającym kwasem.

- Właśnie. Któregoś dnia powrócę tu z odpowiednią liczbą ludzi i sprzętu dla otworzenia tej jaskini. Zabiorę wtedy wszystko, co będziemy w stanie zrozumieć.

„Może ktoś tu powróci Bron, ale nie ty. Zostało ci powietrza na niecałe trzy godziny. Czyżbyś naprawdę sądził, że masz jakąkolwiek szanse na wydostanie się stąd żywym?"

- Musi być sposób na wyjście, bo istnieje sposób na wejście.

Wystarczy tylko trochę pomyśleć, żeby je znaleźć na czas.

Rozdział XXXIX

Wgłębi Sali Bron odkrył dużą przezroczystą cysternę, wypełnioną brunatno-azurowym płynem. Zafascynowany nią przystanął i zauważył wewnątrz miliardy maleńkich punkcików świetlnych, które mrugały i ruszały się bezwładnie. Czasami dostrzegał lśniący ślad pomiędzy poszczególnymi błyskami. Zrozumiał, że ogląda tutejszą replikę makiety Chaosu. Był to swoisty kamień z Rosetty, który mógł utworzyć pomost pomiędzy ich dwiema, zupełnie obcymi sobie, kulturami. Jego odkrycie stanie się najprawdopodobniej najważniejszym wydarzeniem entropijnym w historii. Jeżeli tylko uda mu się zrozumieć je i wykorzystać, fizyka dokona nowego skoku.

Przyglądał się brunatnemu płynowi jak urzeczony, zastanawiając się, czy była to rzeczywista, działająca w czasie realnym makieta. W takim przypadku jeden, z tych błyszczących punkcików oznaczał jego. Nagle w rogu cysterny błysnęło szczególnie silnie. Jednak on nigdy się nie dowie czy miało to jakieś znaczenie. Pozostało mu powietrza na dwie i pół godziny, a dotychczas nie znalazł sposobu wydostania się na powierzchnie.

Odnaleźć planetę, dotrzeć do groty, zrozumieć to odkrycie... wszystko wydawało się być serią testów mających na celu ustalenie kwalifikacji tych, którzy wejdą do tej sali. Ostatnią próbą było wydostanie się stąd żywym. Logicznie rzecz biorąc powinno się mu udać, podobnie jak poprzednio. Tylko, że tym razem nie miał absolutnie niczego, co mogłoby mu pomóc, a jego wiedza była bardziej niż prymitywna. Próba była być może obliczona na zmierzenie zdolności przybyszów, ale odrobina powietrza, która mu została ograniczała ją w czasie w sposób barbarzyński. Obcy wybierali swoich następców z potworną troską.

Odwrócił się plecami do cysterny, pewien, że gdzieś musi być jakieś wyjście. Wystarczyło je tylko znaleźć. Nie był w stanie wrócić pod prąd. Tak samo nie mógł mieć żadnej nadziei, że ci, co pozostali na górze, zdążą dotrzeć na głębokość trzech kilometrów zanim skończy mu się powietrze.

Nagle dotarł do niego zaniepokojony głos Jaycee.

„Bron! Co Cana robi ze swoją flotą?”

- Mam nadzieje, że dokładnie to, o co go prosiłem.

„Antares powiadomił o wejściu na niską orbitę statków Niszczycieli. Czy to ty wydałeś ten rozkaz?”

- Odczep się, Jaycee. I tak mam dość zmartwień.

Jeszcze raz zaczął rozważać swój problem. Metaliczna rzeka przechodziła przez kraty i znikała wewnątrz planety. Z tej strony nie było żadnego wyjścia.

„Bron! Dziesięć ciężkich krążowników Niszczycieli wchodzi w system Słoneczny, a Obrona Kosmiczna zlokalizowała pięćdziesiąt innych w drodze. Czy Cana ma zamiar zaatakować Ziemie?”

Bron nie odpowiedział. Jego poszukiwania przywiodły go na środek sali, gdzie wznosiła się ogromna kolumna, prawdopodobnie przecinająca sufit. Wyróżniała się prostotą. U dołu widniały otwierające się do środka drzwi, a solidność przezroczystych ścian zmusiła go do zastanawiania się nad wielkością ciśnienia, jakie ta konstrukcja miała wytrzymywać.

„Bron! Słuchasz mnie?”

- Słucham, Jaycee.

„Znam twoje zdolności w dziedzinie Chaosu. Rozpoznam je wszędzie. Czy poleciłeś zniszczyć Antares?”

- Nie zniszczyć, a zdobyć.

„Tak właśnie sądziłam, ale po co?”

- Bo jeżeli bede trzymał Antares, to Ziemia straci ten przekaźnik, a co za tym idzie również kontrole nade mną.

„Nie wywiniesz się z tego. To zdrada i nie masz żadnej szansy na wygranie. Komando rozbije Cane i wykończy go”.

- Większa cześć floty Komanda jest z Ananiasem. Spróbuj mu to powiedzieć.

Wyjątkowa prostota kolumny odróżniała ją wyraźnie od maszyn i ze środka sali nie można było jej nie zauważyć. Ten kontrast musiał coś oznaczać. To było coś, co mogło zafascynować tylko czystą inteligencje. Po raz pierwszy od chwili wejścia do groty pozwolił sobie na uśmiech.

„Świnia, świnia” - głos Jaycee uderzał z siłą rozpalonego do białości ostrza. „Wszystko ukartowałeś, co? Ananias zabrał flotę tak daleko, że nie możemy się z nią połączyć zwykłym radiem nadświetlnym. Naszą jedyną nadzieją jest kanał transferowy na statku wywiadu radiowego...”

- ...którym dowodzi Ananias - zakończył za nią Bron. -Jaycee, bądźmy realistami. Dominacja Ziemi skończyła się.

„Chcesz zniszczyć Ziemie” - wykrzyknęła z niedowierzaniem.

- Wprost przeciwnie. Potrzebuje jej tak samo, jak drugiego mocarstwa. Ale na ich właściwych miejscach. Nie jako dwie skłócone potęgi imperialistyczne, ale jako członków unii wszystkich planet zamieszkałych. Wszystko to jest częścią porozumienia zawartego pomiędzy mną, Caną i Ananiasem. Ziemia i jej planety oraz Federacja Niszczycieli będą od teraz tworzyły jedną całość. Za dużo jest planet do zasiedlenia, żeby ludzkość pozostawała podzielona.

Wszedł do kolumny, przyglądając się jej drzwiom. Zamykał je prosty system ciśnieniowy. Nawet, jeśli Obcy pozostawili jakąś instrukcje obsługi, to i tak jej nie odnalazł, ale działał ze ślepą ufnością, pewien, że urządzenie to było tym, czym logicznie rzecz biorąc być powinno. Drzwi zamknęły się za nim.

Natychmiast strumień płynnego metalu zabulgotał pod stopami i zaczął go unosić. Jechał coraz wyżej i wyżej, i w końcu zaczął się zastanawiać czy kolumna ta gdzieś się kończy i czy nie będzie się, jakimś nieznanym sposobem, wznosił wiecznie. O ruchu informował go jedynie lekki chrobot skafandra, ocierającego się od czasu do czasu o ściany.

„Bron! Antares się poddała i jednostki desantowe rozpoczęły już jej zajmowanie. Czyni to z ciebie zdrajcę. Czy możesz podać mi chociaż jeden powód, żebym nie musiała nacisnąć na przycisk śmierci?”

- Jeżeli chcesz, to radze się pospieszyć. Pierwszym celem tych oddziałów desantowych będzie zniszczenie anten kanału transferowego. Ale jeśli nie naciśniesz... wiesz co wtedy się stanie? Wrócę na Ziemie specjalnie po ciebie. Zdobyłem niezłe cesarstwo i kiedy jego ciężar stanie się dla mnie zbyt duży, to wierz mi, że będę potrzebował każdego poparcia. I nie mów, że nie pociąga cie rola pierwszej damy wszechświata.

„Wiesz, kim jesteś Bron... Jesteś zwykłym pieprzonym, świńskim megalomanem”.

- Oboje jesteśmy, Jaycee. Jeżeli pamięć mnie nie myli, ty również jesteś niezłą świnią.

Wreszcie coś się zmieniło dzięki grubym powłokom kombinezonu, prawie niezauważalnie. Właściwie to instynkt podpowiedział mu, że podróż dobiegła końca. Z początku nic nie widział. Potem dostrzegł nad sobą słabo świecące punkciki. Ze zdumieniem zorientował się, że patrzy na gwiazdy. Gdzieś tam wśród tych punkcików była Droga Mleczna, a on pływał na plecach w jeziorze płynnego metalu, w ciszy nocy innej galaktyki.

Włączył sygnał rozpoznawczy kombinezonu i, oczekując na przybycie szalupy, obserwował odległe konstelacje swego nowego cesarstwa. Łkanie kobiety, odległej od niego o sześćset tysięcy parseków, przypomniało mu, że obok szczególnych predyspozycji posiada również zwykłe ludzkie słabości. Teraz już nic, bez wątpienia, nie będzie tak jak dotychczas.

KONIEC

Andrzej Augustynek

Atak

III nagroda w konkursie „Fantastyki”



I Akcja, którą jutro przeprowadzimy ma wyjątkowy charakter. Liczba zaangażowanych osób, różnorodność zastosowanych środków czynią ją absolutnie niepowtarzalną. Plan ataku jest opracowany bardzo dokładnie. Wszystkie operacje są zsynchronizowane co do sekundy.
Cel ataku - ośrodek zagranicznej firmy, która wydzierżawiła od naszego rządu kawałek wyspy i zbudowała na nim silnie strzeżony obiekt. Prace tam prowadzone są nam zupełnie nieznane. Krążą na ten temat najdziwniejsze plotki. Prośba naszego rządu o zgodę na wizytację obiektu została odrzucona. Oficjalne oświadczenie firmy brzmi enigmatycznie. Twierdzą, że pracują nad nowymi technologiami przemysłowymi, nic więcej nie można od nich wyciągnąć.
Z naszej części wyspy prowadzi się ciągłą obserwacje obiektu. Niestety efekty są skromne. Obiekt jest starannie strzeżony. Liczna załoga w ogolenie wychodzi na zewnątrz. Wszelkie ładunki są przywożone i wywożone w kontenerach. Poza obserwacją naziemną przeprowadzono zwiady lotnicze połączone ze szczegółowym filmowaniem. Dokonano też licznych wstrzeleń na teren obiektu miniaturowych aparatów podsłuchowych. Nasi pojedynczy agenci usiłowali, też bezskutecznie, przedostać się na teren bazy. Podobnie mało dała inwigilacja w jej siedzibie zamorskiej. Wszystko co wiemy da się streścić w kilku zdaniach. W firmie zatrudnieni są wybitni naukowcy z najrozmaitszych dziedzin. Są wśród nich fizycy, biolodzy, psychologowie. Podpisali wieloletnie kontrakty na prace bez prawa opuszczania terenów firmy. Nawet urlopy spędzają w ośrodkach wypoczynkowych firmy - atrakcyjnych i pilnie strzeżonych. Podnoszę wzrok znad notatek i patrzę na moich słuchaczy. Siedzą w różnych pozach. Pochyleni, wyprostowani, jedni patrzą na mnie z uwagą, inni ostentacyjnie ziewają. Wszyscy milczą. Pewnie większość z nich przelicza w myślach zarobione pieniądze. I te, które jeszcze mogą zarobić. Ilu z nich przeżyje? Każdy wierzy w szczęśliwą gwiazdę. Są tu byli wojskowi, dawni przestępcy, desperaci. Łączy ich jedna cecha: są znakomitymi specjalistami w swoim fachu.
- Waszym zadaniem jest zdobycie obiektu. Naszym, to znaczy naukowców, przejecie i zabezpieczenie dokumentacji prowadzonych tam prac. Jak was uprzedzono, mogą być ofiary. Ci, którzy przeżyją oraz rodziny tych, którzy polegną mają zapewniony dostatni byt. Ale pamiętajcie, jeżeli dostaniecie się do niewoli, jesteście członkami terrorystycznej organizacji. Rząd waszą akcje potępi, po czym wdroży energiczne, acz bezowocne śledztwo. Teraz najważniejsze - system obrony bazy. Według opinii naszego sztabu, załoga obiektu nie spodziewa się zmasowanego ataku. Nastawiona jest na pilnowanie, aby na jej teren nie dostały sie niepowołane jednostki. Teren wewnątrz bazy nie jest według nas zaminowany ani też baza nie jest zdolna do samozniszczenia. Obiekt otacza betonowy mur. Wewnątrz znajduje się dziesięciometrowej szerokości pas zaoranej ziemi, a dalej wysokie na pięć metrów zasieki z drutów pod wysokim napięciem. Nad zasiekami rozlokowano dziesięć wież strażniczych oraz system reflektorów dużej mocy. Wewnątrz zasieków rozciąga się pas trawy o szerokości 25 metrów. Na nim zlokalizowano szereg budynków zaplecza. W środku stoi centralny obiekt, którego kopuła ma 100 metrów średnicy.
Stacja jest zasilana w energie elektryczną systemem podziemnych kabli łączących ją z sześcioma punktami krajowej sieci energetycznej wysokiego napięcia. Teoretycznie eliminuje to groźbę utraty energii na skutek awarii sieci przemysłowej. Pobór mocy sięga 90 megawatów. Stacja ma awaryjny generator prądotwórczy. Według naszych ocen jego moc nie przekracza dziesięciu megawatów. Uruchamia się on już po pięciu sekundach od wyłączenia prądu płynącego z sieci. Pełną moc uzyskuje po dwudziestu sekundach. Do wnętrza obiektu prowadzi wyłącznie centralna brama. Otwierana i zamykana jest elektrycznie. Stacja jest zbudowana tak solidnie, że wykluczony jest skuteczny atak przy użyciu bomb konwencjonalnych.
Jeżeli przełamiemy opór na zewnątrz, stanie przed nami problem opanowania wnętrza obiektu. Tu możecie polegać wyłącznie na sobie i swoim rozeznaniu.
Teraz o samym ataku. Przygotowujemy się doń od dawna. Pierwszym jego etapem było prawie dwuletnie przyzwyczajanie załogi obiektu do ruchu turystycznego na wyspie. Codziennie rano, najpierw dwa statki, a następnie dwa transportowe śmigłowce przywożą kilkuset turystów, których rozwozi się czterema autokarami. Wszystko to dzieje się w bezpośredniej bliskości murów bazy. Turyści ubrani są w kolorowe kamizelki i kaski biura turystycznego. Będziecie ubrani tak samo. Jednak w waszym przypadku kaski będą kuloodporne.
Jutro o godzinie 7.40, jak co dzień, autokary z turystami, czyli wami, będą przejeżdżać koło bazy. Równocześnie nadlecą dwa śmigłowce.
O godzinie 7.40 zostanie wyłączony prąd w całym regionie. Stacja zostanie całkowicie pozbawiona energii. Wtedy zacznie się zasadnicza cześć akcji. Z ukrytych w wiosce punktów rozpocznie sie ostrzał bazy nabojami z gazem paraliżującym. Pasażerowie autokarów ubrani w maski przeciwgazowe przystąpią do forsowania murów i zasieków oraz eliminowania obrony bazy. W tym czasie z pierwszego śmigłowca zostanie zbombardowany generator, na szczęście dla nas, zlokalizowany na powierzchni, siedem metrów od centralnej budowli. Z pokładu drugiego śmigłowca zostanie zrzucona skacząca bomba, która zniszczy centralną bramę. W dwudziestej sekundzie akcji z pokładów śmigłowców rozpocznie się desant spadochronowy. W trzydziestej sekundzie akcji nasi komandosi mają już być wewnątrz centralnej budowli.
W tym też czasie, stacje naziemne zakłócą łączność radiową bazy. Odcięta zostanie też w pierwszej sekundzie akcji łączność telefoniczna i teleksowa bazy ze światem.
Żaden sygnał o ataku nie może opuścić bazy. Mamy kilka godzin na wykonanie zadania. Zajmie się tym grupa naukowców. Wy rabujecie złoto, pieniądze, biżuterie, tak by upozorować rabunkowy charakter akcji.
Jeżeli akcja się nie powiedzie i któryś z was dostanie się do niewoli - mówicie, że akcje przeprowadzono w celu zdobycia jednej tony złota, którą podobno przywieziono do bazy. Jest faktem, że firma administrująca bazę kupiła ostatnio duże ilości złota. Uprzedzając ewentualne pytania, na zakończenie dwie sprawy. Pierwsza - nie znam wszystkich powodów, dla których zorganizowano i sfinansowano naszą akcje. Druga - każdy element pierwszych trzydziestu sekund akcji setki razy wykonywaliście na ćwiczeniach. Potem musicie zdać się na własne rozeznanie. Oczywiście obowiązuje was zakaz niszczenia aparatury i materiałów naukowych. Teraz czas wolny. Jutro o piątej rano - pełna gotowość.

II Zbyt dużo rzeczy dzieje się na raz. Atak na mury, atak spadochronowy, przed chwilą skacząca bomba rozbiła główną bramę. Przytłacza mnie to wszystko. Może dlatego nie bałem sie wyskoczyć na spadochronie. Byleby tylko dobrze wylądować. Jest skrawek trawy. Nawet miękko! Szybko odpiąć klamry. Tu nie jest bezpiecznie. Opór jeszcze trwa. Już blisko wyrwa w bramie. Nasi komandosi wbiegają przez nią. Wbiegam do tunelu. Z przodu słychać pojedyncze strzały i cichy, dziwnie pulsujący dźwięk. Biegnij dalej. Rozwidlenie tunelu. Tor kolejowy i droga. Drogą. Z przodu słyszę wybuch. To pewnie nasi. Brakuje mi tchu. Zwolnij trochę. Cholerna maska przeciwgazowa bardzo utrudnia oddychanie. Koniec korytarza. Znowu wyrwa. Strzały milkną. Syk gazu paraliżującego.



Jest dobrze! Nasi działają z precyzją szwajcarskiego zegarka. Możesz zwolnić. Pierwsze pomieszczenia. Ciekawe co w nich, pewnie jakieś magazyny. Coraz częściej mijam leżących, obezwładnionych gazem, pracowników stacji. Udało sie! Stacja opanowana. Nasi sprawdzają poszczególne pomieszczenia. O, jest i tablica informacyjna. Sekcja energetyczna i zaplecze techniczne jest na lewo. Na wprost cześć mieszkalna i socjalna. Na prawo sekcja kontroli stacji i laboratoria. W takim razie na prawo. Mam szczęście. Już na trzecich drzwiach tabliczka „Pracownia Psychologiczna". Wchodzę. Znajome aparaty. Nic szczególnego. Jest i regał z dokumentacją. Teczki pedantycznie oznakowane i ułożone. Ta może być interesująca: „Zdalne sterowanie ludźmi". Znalezisko niezwykle ciekawe. Sterowanie człowiekiem na drodze pobudzania ośrodków nerwowych przez wszczepione elektrody oraz chemiczna stymulacja zachowań agresywnych. Rozlega się straszliwie głośny dźwięk. Aż

mnie przygięło. Zatykanie uszu niewiele pomaga. Dźwięk jest nie tylko głośny, ale i pulsujący. Nie mogę zebrać myśli, a co dopiero pracować. Ale co to? Zrywa się wiatr? Skąd tutaj wiatr? A jeżeli jest to przewietrzanie stacji? Czyżby opór jeszcze się nie skończył? Nie mamy więcej naboi z gazem paraliżującym. Czas się wycofać. Przeraźliwy dźwięk nie cichnie, ale staje się mniej dokuczliwy. Tworzy melodyjny ciąg. Korytarz pełen naszych ludzi zatykających rękoma uszy. Idą jak pijani.
- Jesteś zmęczony, bardzo zmęczony!
Co to za głos? Wyraźnie przebił się przez ten ogłuszający dźwięk.
- Jesteś bardzo zmęczony, twoje ruchy stają się coraz wolniejsze, wolniejsze. Zmęczenie staje się trudne do przezwyciężenia, wszystkie mięśnie rozluźniają się, chcesz odpocząć.
Mam ochotę usiąść, z trudem podnoszę nogi. Rzeczywiście ogarnęło mnie zmęczenie.
Zastosowali hipnozę zbiorową! Musze się przeciwstawić! Najlepszy sposób, to każdą sugestie odrzucać wmawiając sobie, że jest odwrotnie. Nie zwracam uwagi na głos dochodzący z zewnątrz. Ten głos mnie nie dotyczy.
Udaje mi się przeciwstawić sugestii. Ostatecznie jestem naukowcem zajmującym się właśnie hipnozą.
- Ogarnia cie zmęczenie nie do przezwyciężenia, oczy są bardzo zmęczone, powieki pieką. Z najwyższym wysiłkiem poruszasz się. Każdy ruch sprawia ci przykrość. Chcesz, odpocząć. - Ogłuszający dźwięk cichnie. Głos staje się przytłumiony. Towarzyszy mu cichy dźwięk, który już nie drażni, a raczej uspokaja. - Ogarnia cie spokój, mięśnie masz rozluźnione, ruchy stają się coraz wolniejsze.
Udało mi się obronić przed wpływem sugestii. Teraz szybko do wyjścia. Mijam słaniających się komandosów. Broń już porzucili. Całkowita kieska! A co na zewnątrz? Niestety, zwłoki naszych porozrzucane po terenie całej bazy. Na murach strażnicy. Nie słychać żadnych strzałów. Widzę jak strażnicy metodycznie przeszukują teren. Słyszę jęk. Jeden z naszych jest ranny. Podchodzi do niego ktoś z załogi bazy. Jest bez hełmu. Tylko na głowie przy uchu ma jakieś urządzenie. Podnosi broń. Strzela w głowę komandosowi. Ależ okrucieństwo! Tymczasem strażnik odwraca sie obojętnie i idzie dalej. Co robić? Z powrotem do tunelu!
- Ogarnia cie senność. Oczy masz zamknięte, wypoczywasz. Jest ci dobrze, ciepło, jesteś spokojny. Słuchasz tylko mojego głosu. Nic innego nie jest dla ciebie ważne. Będziesz wykonywał polecenia, które ci przekaże. A teraz śpij i wypoczywaj. Jesteś bardzo zmęczony. Czujesz w głowie narastający szum. Na korytarzu leżą nasi komandosi. Jedni wyprostowani, drudzy skuleni, miedzy nimi porozrzucana broń. Co robić? Jedyna szansa to udawać, że też jestem zahipnotyzowany. A co dalej - zobaczymy. Powoli kładę się na ziemi. Być może obserwują rozwój wydarzeń. Udaje, że zasypiam. Na wszelki wypadek położyłem sie w pobliżu pistoletu maszynowego. Przymykam powieki.
- Śpisz, jest ci dobrze, ciepło, wypoczywasz - głos monotonnie powtarza sugestie.
W końcu korytarza pojawiają się uzbrojeni ludzie. Powoli zbliżają się do nas. Spod przymkniętych powiek widzę, że ich ruchy są wolne. Każdy ma przy uchu urządzenie, takie samo jakie widziałem u strażnika na zewnątrz. Po przeciwnej stronie korytarza jakiś ruch. Powoli kieruje wzrok w tamtą stronę. Następna grupa strażników. Jesteśmy otoczeni, chociaż w naszej sytuacji nie ma to już żadnego znaczenia.
- Już długo odpoczywałeś. Twoje zmęczenie ustąpiło. Za chwile będziesz mógł otworzyć oczy, będziesz mógł chodzić nie budząc sie ze snu, w jakim się znajdujesz. Będziesz wykonywał dokładnie wszystkie polecenia, jakie ci przekaże. A teraz powoli otwórz oczy.
Strażnicy stoją nad nami. Każdy z nich ma numer na piersi. A urządzenie na głowie to jedna słuchawka kabłąkiem trzymająca sie głowy. Numer jest chyba przylepiony. A ubrani są różnie. Każdy z nich inaczej. Może to moja szansa? Tylko spokojnie.
- Otworzyłeś oczy. Teraz wstań i powoli idź w kierunku, który wskazuje strzałka świecąca na suficie korytarza.
Powoli podnoszę głowę. Na suficie rozbłysnęła strzałka. Jej blask migocze w takt pulsacji dźwięku. Moi towarzysze powolnym krokiem zaczynają iść w nakazanym kierunku. Towarzyszą nam strażnicy. Przyglądam się im ukradkiem. Oni też są zahipnotyzowani. Ale steruje się nimi w odmienny sposób. To urządzenie koło ucha to odbiornik, przez który podawane są sugestie. Każdy strażnik ma numer, czyli prawdopodobnie sugestie są podawane indywidualnie. Zdalnie sterowane roboty! Idziemy wolnym krokiem. Korytarz kończy się masywnymi drzwiami. Bezszelestnie otwierają się przed nami. Tu nasi nie dotarli. Wdarli się tylko do niewielkiej części stacji. Za drzwiami stoi kilku ludzi. Każdego z jeńców pobieżnie rewidują. Zabierają im metalowe przedmioty. Z jednego zdjęli przewieszony przez ramię pistolet maszynowy. Mnie parę razy dotknęli nic nie zabierając, ale też niczego nie miałem przy sobie. Zbliżamy się do jakiegoś pomieszczenia. Otwierają się drzwi. Widzę, że pomieszczenie jest wypełnione maleńkimi celami. Kątem oka spostrzegam jak jeden z naszych potyka się i przewraca. Uderza głową o posadzkę. Chwile leży nieruchomo. My idziemy dalej. Nad leżącym nachyla się strażnik i w tym momencie komandos podnosi głowę. Z czoła cieknie mu krew. Rozgląda sie półprzytomnie. Niezgrabnie wstaje. W jego oczach pojawia sie zdziwienie, a później przerażenie.
- Co, co to jest, gdzie idziemy?!
Widzę, że jest jeszcze oszołomiony upadkiem.
- Ratunku! - krzyczy i rzuca się do ucieczki. Strażnik wolnym ruchem podnosi pistolet i strzela. Biegnący upada. Zaczynam działać. Takie zamieszanie to może moja ostatnia szansa. Jedną ręką szarpie za odbiornik idącego obok strażnika. Zrywam mu go z głowy i błyskawicznie nakładam na swoją. W tym czasie drugą ręką odrywam numer z piersi strażnika i przykładam go do swojej. Zaskoczony strażnik zachwiał się. Ale już ręka sięga po pistolet włożony za pasek od spodni. Jestem szybszy. Wyrywam mu pistolet i odskakuje. Przed sekundą padł strzał i zginął mój towarzysz, który na skutek upadku zbudził się ze snu hipnotycznego. A ja w głośniku słyszę głos:
- Szesnasty strzelaj natychmiast.
Podnoszę pistolet i strzelam prosto w serce. Kula odrzuca strażnika na ścianę, wyrywa kawał ciała wielkości talerza. Krew obficie wytryskuje z rany. Strażnik pada na ziemie. Dobra broń do walki w tłumie. Nie przebija na wylot, tylko zostaje w ciele ofiary. Rozlega się na nowo ten okropny dźwięk. Towarzyszy mu głos: Jesteś znowu spokojny, nie zwracasz uwagi na odgłosy z zewnątrz, słuchasz tylko mnie. Jesteś spokojny. Chcesz słuchać mojego głosu i wykonywać polecenia, które ci przekaże. Wejdź do pomieszczenia przed sobą. Idź wzdłuż tych maleńkich pokoi. Wejdź do pierwszego wolnego. Połóż się na leżance. Tam odpoczniesz. Będzie ci dobrze. Będziesz szczęśliwy. Moi towarzysze powoli znikają W celach. Drzwi automatycznie zamykają się za nimi. Gołymi rekami tych drzwi się nie wyłamie. Po chwili w pomieszczeniu zostają tylko strażnicy i ja.
- Dziękuje za dobrze wykonaną robotę. Teraz udacie się na posiłek, a później odpoczniecie. Przechodząc obok magazynu oddacie broń. Strażnicy odwracają się i wychodzą z pomieszczenia. Będę grał role zahipnotyzowanego strażnika. Ale co teraz robić? Gdzie iść? Czy uda mi się dobrze odegrać te role? Nie znam stacji. Znam natomiast prawidłowość hipnozy. To moja szansa. Staram sie iść w środku grupy. Idziemy w całkowitym milczeniu. Krok za krokiem. Korytarz wydaje się nie mieć końca. Pełno różnych pomieszczeń. Mijamy jeszcze jedne automatycznie otwierane drzwi. Nie, stąd nie ucieknę.
Z boku, na wysokości mojego nosa, przesuwa się taśmociąg. Strażnicy kładą na nim pistolety. Robie to samo. Idziemy dalej. Stołówka. Automatyczne koryta. Obok nich miejsca do siedzenia. Strażnicy siadają. Widzę wolne miejsce. Siadam. Po chwili staje nade mną inny strażnik. Usiłuje siąść na zajętym już przeze mnie miejscu. Powoli się podnoszę. Słyszę głos:
- Szesnasty pomyliłeś miejsca. Idź na swoje.
Ile takich pomyłek jeszcze popełnię? Wstaje i spostrzegam, że na siedzeniu jest numer 325. Idę. Widzę wolne miejsce z numerem 436.
- Szesnasty idziesz w złą stronę. Idź na swoje miejsce! Zawracam. Idę wzdłuż szeregu zajętych miejsc. Po chwili widzę wolny numer 16. Siadam. Koryto wypełnia się jakimś kleikiem.
- Zaczynasz jeść to wyborne jedzenie. Rzeczywiście jest znakomite. Masz wielki apetyt.
Strażnicy nachylają się. Jedzą jak psy. Robie to samo, choć smak jest okropny.
- Skończyłeś jeść.
Przez koryto przepływa silny strumień ciepłej wody. Zmywa resztki jedzenia. Po chwili znów koryto wypełnia się, tym razem jakąś jasnobrązową cieczą.
- Jesteś spragniony. Pij ten wyborny, orzeźwiający napój...
- A teraz wstań i idź do swojego pokoju.
Wstajemy. Przechodzimy przez korytarz. Na jego końcu napis: Pomieszczenia mieszkalne. Tym razem od razu spostrzegam, że celki są ponumerowane. Wchodzę do numeru 16. Z boku materac, obok we i prysznic. U góry oko soczewki. Na pewno kamery.
Drzwi zamykają się. Na wszelki wypadek stoję nieruchomo. Tym ‘ razem głos dochodzi gdzieś spod sufitu.
- Odłóż słuchawkę na półkę. Na szczęście jest tylko jedna.
- Rozbierz się do naga... Szesnasty, zapomniałeś złożyć ubranie.
Racja, rozebrałem się, ale zapomniałem złożyć ubranie. Składam je. Mimo zdenerwowania staram się robić to powolnymi, spokojnym ruchami.
- Załatw teraz swoje potrzeby wydalnicze...
- Idź pod prysznic.
Woda włącza się automatycznie. Najpierw są to mydliny, później czysta woda. Stoję nieruchomo pod prysznicem. Zaczyna dmuchać ciepłe powietrze.
- Idź spać, jesteś bardzo zmęczony. Będziesz spał dotąd, dokąd nie zbudzę cie swoim głosem.

Andrzej AUGUSTYNEK
(ur. 1948 w Krakowie) - absolwent psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pracuje jako adiunkt w Instytucie Psychologii UJ. W pracy naukowej zajmuje się zagadnieniami hipnozy i pamięci. Autor kilkunastu prac naukowych opublikowanych w kraju i za granicą W 1980 r. w „Problemach" ukazał się (ego debiut literacki - opowiadanie SF „Wyznanie".

Ciężkie chwile mnie czekają. Jak długo nie rozpoznają we mnie intruza?

III Minęły trzy dni. Nadal skutecznie gram swoją role. Coraz mniej błędów. Coraz lepiej poznaje zwyczaje panujące w bazie. Pracujemy kilka godzin dziennie przy usuwaniu zniszczeń spowodowanych atakiem. Jest to prosta praca, nie wymagająca wysiłku. Trzeba przyznać, że dbają o nas. Kilka godzin dziennie spędzamy opalając się na świeżym powietrzu. Jednak cały czas strażnicy pozostają pod wpływem hipnozy. W grupie strażników, czy też obecnie raczej robotników, dochodzi do pewnych rotacji. Kilka razy widziałem jak jeden z nich niespodziewanie wstawał od jedzenia i wolnym krokiem szedł w kierunku, który wskazywała mu strzałka, pojawiająca się na suficie, inni na nią nie reagowali. Po chwili człowiek ten znikał i już się nie pojawiał. Co się z nim dalej działo? Nie wiem, ale przypuszczam, że robili z nim doświadczenia. Na zwolnione miejsce przychodził następny człowiek. W jednym z nich rozpoznałem naszego komandosa. Wynika z tego, że jedynym rezultatem naszego ataku było dostarczenie do bazy nowych robotników. Jak oni to robią, że do każdego z nas docierają indywidualne sugestie? Ilu musi być ludzi tym się zajmujących? A może sterowanie jest komputerowe? Opracowany jest tylko ogólny program, który następnie komputer realizuje już w formie zindywidualizowanej.
Z początku bardzo mnie meczy ciągłe pilnowanie roli. Teraz przyszło przyzwyczajenie. Sugestie realizuje niemal mechanicznie. A przecież nie jestem zahipnotyzowany. Co dalej mnie czeka? Co czeka tych innych? Ciągła hipnoza powoduje nieodwracalne zmiany w psychice człowieka. Czemu to wszystko służy? Czy tylko otrzymaniu bezwolnych, ludzkich automatów? Czy też jest to tylko cześć większego programu naukowego?

IV - Ubierasz się i idziesz do pracy, która sprawia ci tyle przyjemności.
Skończyło się opalanie. A szkoda, słońce tak pięknie przygrzewa. Idę w towarzystwie ośmiu robotników. Strzałka kieruje nas w nową dla mnie cześć stacji. Idziemy przez długi, krety korytarz. Po drodze mija nas kilku pracowników stacji. Jak zwykle ubrani są w niebieskie fartuchy. Nie zwracają na nas uwagi. Dotąd widziałem ich kilkudziesięciu. Nigdy nie zaszczycili nas nawet jednym spojrzeniem. Nie lekceważą nas. Jesteśmy im obojętni. W połowie korytarza stoi człowiek w niebieskim fartuchu i, o dziwo, z uwagą nam się przygląda. A nawet, jeżeli z tej odległości można ocenić, uśmiecha się do nas. Ale czy to możliwe?! Czuje jak w ustach robi mi się sucho, serce przyspiesza bicie, ogarnia mnie przerażenie. Przecież to jest docent Ryan, z którym przed trzema laty byłem na kongresie w Paryżu! Jeden z najlepszych specjalistów od hipnozy. Co będzie, jeśli mnie pozna? Nie mogę zdradzić się żadnym niepotrzebnym ruchem. Idę równym krokiem. Nie patrzę w jego stronę. Mijam go. Może się uda.
- Cześć.
Odwracam się. Podnoszę wzrok. Na jego twarzy dobroduszny uśmiech.
- Cześć - odpowiadam. A wiec specjalnie na mnie tu czekał!
- Wierz mi, gdy zobaczyłem cie na ekranie, oczom nie wierzyłem. Ale... moje uznanie! Znakomicie odgrywałeś role zahipnotyzowanego. Teraz chodźmy do mnie. Wspólnie pomyślimy, co dalej.
Nie odpowiadam. Idę z nim. Wchodzimy do eleganckiego pomieszczenia.
- Siadaj i odpręż się. Na pewno kosztowało cie to sporo nerwów.
Siadamy w wygodnych fotelach. Ryan podniósł słuchawkę telefonu. Naciska klawisze.
- Proszę przygotować pomieszczenie mieszkalne dla docenta Ostiridisa... Tak, jest moim kolegą i prawdopodobnie będzie współpracownikiem... Tak, szef wie... Inne sprawy załatwimy później.
Pamięta nawet moje nazwisko. Mówi o współpracy. Czemu nie. To jeszcze jedna szansa na przeżycie. Z czasem może uda sie uciec, a jeżeli nie, to będę żył i pracował w moim zawodzie. Choć na pewno w wynaturzony sposób.
- Znasz swoją sytuacje. Przez trzy dni wiele mogłeś zrozumieć. Stacji nie opuścisz nigdy. Jedyne rozsądne wyjście to praca ze mną. O innych na razie nie mówmy. Stawiam sprawę jasno. Wiec zgoda?
- Zgoda.
- Bardzo się cieszę.
- Co będę robił?
- Prowadził badania naukowe. Oczywiście pod ścisłym i stałym nadzorem.
- Mogę znać cel tych badań?
- Będzie czas i o tym podyskutować. Ale na wstępie ustalmy jedno. Możemy rozmawiać o wszystkim, tylko nie o etycznej stronie tego, co tu robimy. Ten problem dla ciebie nie istnieje. Lojalnie cie uprzedzam, że każde twoje słowo, każdy twój ruch, zresztą każdego z nas, jest rejestrowany.
Otwierają się drzwi. Wchodzi młoda dziewczyna. Na głowie też ma odbiornik. Wiec i ona. W reku niesie odzież.
- Przebierz się, a następnie idź z tą „damą", zaprowadzi cie do twojego pokoju. Nie bądź zbyt agresywny wobec niej i nie zapomnij wcześniej zdjąć jej słuchawki z głowy.
- Do zobaczenia.
- Cześć.
Przebieram się. Trochę się wstydzę tej zahipnotyzowanej dziewczyny. Gdy kończę ubieranie, moja przewodniczka wstaje i bez słowa wychodzi. Idąc za nią uświadamiam sobie, że nie usłyszałem ani jednego słowa wypowiedzianego przez zahipnotyzowanych.

V Nie sądziłem, że kiedyś będę robił takie próby na ludziach. Moja etyka wzięła w łeb. Początkowo to co robiłem budziło we mnie odrazę i sprzeciw. Z czasem zaczęło mnie wciągać. To co robimy jest pasjonujące od strony poznawczej. Przedmiotem badań - nie tylko hipnoza, ale również sterowanie człowiekiem za pomocą elektrod implantowanych w mózgu. Efekty są zdumiewające. Sterowany człowiek na rozkaz bez wahania zabije innego, a nawet samego siebie. Podejmie ciągłą prace ponad siły. Zużyje wszystkie rezerwy biologiczne i nawet nie zaprotestuje. Przydzielili mi określone zadanie. Mam rozpracować zagadnienie wpływu długotrwałego zahipnotyzowania na psychikę człowieka. Badam ludzi, którzy byli zahipnotyzowani bez przerwy od kilku do kilkunastu miesięcy. Skutki są przerażające. W przeważającej części ludzi tych nie da się już odhipnotyzować, to znaczy przywrócić do normalnego funkcjonowania. Po zastosowaniu nawet najlepszej procedury wyprowadzającej ze stanu hipnozy są jedynie bezwolnymi kukłami, niezdolnymi do podjęcia jakiegokolwiek samodzielnego działania. Pamięć z poprzedniego okresu życia mają silnie osłabioną. Wspomnienia o bliskich nie wywołują u nich żadnego zainteresowania. Zapytani czego pragną najbardziej, milczą. Czekają jedynie na polecenia, które tak jak pod hipnozą bez wahania wykonują. Pozostawieni sami sobie odczuwają narastający lek. W kilku przypadkach popełnili samobójstwo. W wielu innych wystąpiła ostra psychoza. Jedynym dla nich ratunkiem jest ponowne zahipnotyzowanie. Ratunkiem dla ich ciała, gdyż psychika już wcześniej uległa doszczętnemu rozbiciu. Żadne metody terapeutyczne nie mogą im pomóc. Jakże to monstrualny dowód słuszności mojej tezy o szkodliwym wpływie hipnozy na funkcjonowanie psychiki. A byłem krytykowany, gdy twierdziłem, że zastosowanie hipnozy w leczeniu może przynieść większe straty niż korzyści. Nie spodziewałem się też, że pod hipnozą można uzyskać taki wpływ na organizm człowieka. Można zatrzymać akcje serca. Można znieść odczuwanie największego bólu. O pracach psychologiczno-medycznych prowadzonych na terenie bazy wiem już prawie wszystko. Ale przed naszym atakiem mówiono, że na terenie obiektu znajdują się fizycy i astronomowie. Co oni tu robią? Spróbuje o to zapytać.
- Słuchaj, czy my jesteśmy jedyną grupą badawczą, która tu pracuje.
Podnosi na mnie zdziwiony wzrok. Ale bez wahania odpowiada.
- My jesteśmy tylko dodatkiem. Wykorzystujemy wolne pomieszczenia poziomu pierwszego. Pod nami na poziomie drugim pracują fizycy i astronomowie. Dla nich zresztą powstała ta baza.
- Co oni tam robią?
- Pamiętaj, obowiązują nas dwie zasady. Pierwsza, że żadnej informacji nie można wynieść na zewnątrz bazy. Druga, że wymiana informacji dokonuje się tylko w obrębie danego poziomu. Jeżeli interesuje ciebie to, co oni tam robią, możesz zawsze tam zjechać. Ale nie ma wtedy powrotu na poziom pierwszy.
- Można tak po prostu zjechać?
- Tak, windą, jeżeli chcesz, to pokaże ci, gdzie ona jest.
- Czy oni kiedyś wychodzą na zewnątrz?
- Nie. Wszystko jest im dostarczane z góry. Nawet dziewczęta. A i światło słoneczne mogą zobaczyć tylko przez otwór w kopule obserwacyjnej. Porozumiewać się mogą z nami telefonicznie. Mogą oni, ale my nie, gdyż telefon jest jednostronny... Zakończyłem swoje badania. Opracowałem szczegółowy raport. Po kilku dniach otrzymałem podziękowanie od dowódcy poziomu, a wraz z nim nowe zadanie. Zbadać, czy pod hipnozą ranny człowiek może nadal realizować swoje zadania bojowe. Jako grupę eksperymentalną otrzymałem dziesięciu naszych komandosów. Zróżnicowane zranienia miał wykonać miejscowy chirurg. Za kilka dni mam rozpocząć badania. Przy pierwszej próbie protestu dowódca dał mi do zrozumienia, że w przypadku odmowy przeprowadzenia badań, zostanę zlikwidowany.
Nie, takich badań nie będę prowadził. Jeszcze mam szanse. Drugi poziom! A jeżeli na nim prowadzą jeszcze straszniejsze badania? Fizycy może, ale astronomowie?... Wystarczy nacisnąć przycisk, aby sprowadzić windę. Bez wahania naciskam go. Otwierają się drzwi. Wchodzę. Jest tylko jeden guzik. Przyciskam go. Winda stoi nieruchomo. Na ekranie obok niego pojawia się napis: „Przed ponownym naciśnięciem przycisku proszę zapoznać sie z regulaminem wywieszonym obok ekranu". Czytałem go niezbyt uważnie. Pokrywa się z tym, co wcześniej powiedział Ryan. Naciskam przycisk. Winda nadal stoi nieruchomo.
- Pana nazwisko. Pyta głos z głośnika umieszczonego na wysokości mojej głowy.
- Ostiridis.
- Specjalność naukowa.
- Psychologia.
- Przedmiot badań na terenie pierwszego poziomu.
- Wpływ długotrwałego zahipnotyzowania na psychikę człowieka.
Chwila ciszy.
- Centralny komputer stacji przeanalizował dane biograficzne oraz cały

okres pobytu w bazie i proponuje dowódcy poziomu drugiego przyjęcie pana na ten poziom podkreślając szczególnie pańskie zainteresowania kosmologiczne.
- Czy naprawdę pan jest zdecydowany? Stąd nie ma odwrotu. Słyszę inny męski głos. - Chociaż po tym, co pan przeżył na pierwszym poziomie trudno się dziwić, że nawet zupełnie nieznany los jest lepszym wyjściem niż dalsze pozostawanie na poziomie pierwszym. A dla nas z pewnych względów może pan być przydatny. W tej sytuacji wyrażam zgodę.
- Po wyjściu z windy proszę udać się za strzałką do pomieszczenia mieszkalnego nr 16 i tam czekać na dalsze polecenia. Numer szesnasty! Czy to tylko zbieg okoliczności? Winda rusza. Po chwili zatrzymuje się. Wychodzę. Korytarz jest taki sam jak na poziomie pierwszym. Ide za strzałką. Widzę kolejno numerowane pomieszczenia. Podchodzę do tych z numerem szesnastym. Drzwi otwierają się automatycznie. Najpierw rozglądam się, a później zwiedzam moje nowe pomieszczenie. Toż to cały apartament. Dwa pokoje. Telewizja kolorowa, sprzęt radiowy Hi-Fi, regały na płyty i taśmy. Spis książek i czasopism. Wspaniale utrzymane sanitariaty. Programator poleceń: menu, filmy i inne rzeczy do wyboru. Wystarczy nacisnąć odpowiednią kombinacje klawiszy. Otwieram szafę, różnorodna odzież. Pierwszy raz od dłuższego czasu ogarnia mnie przyjemny nastrój.

VI Wzywa mnie dowódca poziomu drugiego. Staje przed V X drzwiami, poprawiam ubranie. Naciskam klamkę. Wchodzę. Zza biurka wstaje siwy, starszy mężczyzna i patrzy na mnie z uśmiechem. Jego twarz chyba gdzieś widziałem.
- Witam.
Podaje mi rękę i przedstawia się.
- Decaud.
- Ostiridis. Wymieniamy uścisk dłoni.
- Proszę siadać, czego Pan się napije?
- Kawy, jeśli można!
- Bardzo proszę - mówi i naciska jeden z licznych przycisków w rogu biurka.
Tak, miałem racje, że twarz ta wydawała mi się znajoma. Oglądałem ją w TV podczas uroczystości wręczenia nagrody Nobla. Przed dwoma laty on był laureatem z dziedziny fizyki. Stawia przede mną filiżankę. Rozglądam się po gabinecie. Jest urządzony skromnie, ale gustownie. Żadnej aparatury.
- No i jak się Panu podoba u nas, na drugim poziomie?
- Z tego co widziałem w ciągu dwu dni, to znacznie bardziej niż na poziomie pierwszym.
- Cieszę się. Na wstępie musze powiedzieć, że z zainteresowaniem śledziłem na ekranach wasz atak. Niestety, nie mieliście żadnych szans.
- Niestety?
- Tak, byłem za wami.
- No, a gdybyśmy zdobyli bazę?
- Tu byście nie dotarli. A na poziomie pierwszym mi nie zależy. Z uwagą też prześledziłem każdy Pana krok na stacji. Czy Pan wie, że atak na strażnika, w całości, zajął Panu jedną sekundę i siedemnaście setnych. Było to zrobione po mistrzowsku.
- To Pan, Panie Profesorze, to widział?
- No, nie na bieżąco, później przeglądam taśmy magnetowidowe. Zrobił Pan to tak dobrze, że nawet komputer tego nie zanalizował. Szczególnie mądry był ten obrót po przylepieniu numeru, by zająć pozycje strażnika. A później udawanie zahipnotyzowanego było równie znakomite.
- Nie miałem innego wyjścia chcąc przeżyć.
- Tak, to co oni robią wszystkich nas na drugim poziomie napawa wstrętem. Jak się Pan przekona, my z tym nie mamy nic wspólnego. Po prostu właściciel obiektu uznał, że pierwszy poziom można wykorzystać. Mój sprzeciw na nic się nie zdał.
- Panie Profesorze, jeżeli można zapytać, skoro tu jestem, dlaczego nie wolno nam wyjść na górę?
- Ależ wolno, my sami narzuciliśmy sobie ten rygor dla bezpieczeństwa tego, co robimy. Ale i tak jak się Pan przekona, jesteśmy dużo bardziej wolni od każdego innego człowieka. Choć wolność nasza ma nieco inne, niż się Pan spodziewa, znaczenie.
- Nie rozumiem?
- Jest swobodą wyboru tego, gdzie chcemy być.
- Przyznam, że nie rozumiem w dalszym ciągu.
- Wiem, brzmi to niejasno. Na wyjaśnienie przyjdzie czas. Jak przypuszczam, nie zna Pan historii powstania bazy ani tego, jakie badania tu prowadzimy.
- Nie, nic na ten temat nie jest mi wiadomo.
- W takim razie będę mówił, a Pan niech się poczęstuje kawą. Proszę mi wierzyć, jest doskonała.
- Dziękuje.
- Jak Pan może wie, jestem jednym z twórców detektora fal grawitacyjnych.
- Oczywiście, ale nie tylko twórcą detektora, lecz i tym, który pierwszy eksperymentalnie dowiódł istnienia tych fal.
- Nie przeceniajmy mojej roli. W każdym razie przed laty prowadziliśmy liczne badania. Na lądzie i na morzu. Stwierdziliśmy wówczas, że w okolicy tej wyspy istnieje duża anomalia grawitacyjna. Była tak duża, że nie mogła być wytłumaczona w znany nam sposób. Dokładne badania pozwoliły stwierdzić, że centrum anomalii leży pod wyspą na głębokości 200 metrów. Dotarliśmy do tego, co anomalie wywołuje. Co to jest - sam Pan zobaczy. Nie chce więcej o tym mówić, gdyż zależy mi na pana opinii jako psychologa, sformułowanej bez wytworzenia wcześniejszego nastawienia.
- Ależ ja się nie znam na falach grawitacyjnych.
- Nie o nie chodzi, lecz o zjawiska im towarzyszące, a być może i o interpretacje pewnych faktów. W każdym razie dokopaliśmy się. Odkrycie było tak rewelacyjne, że zabroniłem moim współpracownikom mówić o nim komukolwiek. Wydostałem od rządu środki na budowę tej bazy. Prezydent i głównodowodzący armią, gdy dowiedzieli się, co tu znaleźliśmy, bez wahania przeznaczyli na ten cel ogromne środki. Baza powstała w rekordowo krótkim czasie.
- Jaki charakter ma ta anomalia?
- Cierpliwości, młody człowieku. Pod bazą ogniskuje się fala grawitacyjna. Jakby istniała tam soczewka tych fal. Byliśmy dotąd przekonani, że ogniskować fale grawitacyjne mogą jedynie bardzo masywne ciała, np. czarne dziury, w mniejszym stopniu planety. Tu jednak jest inaczej. Fale grawitacyjne są ogniskowane w nieznany nam sposób.
- A jakie jest znaczenie tego faktu?
- Słuszne pytanie. Tutaj możemy odbierać te fale dzięki kolosalnemu wręcz ich wzmocnieniu.
- Jaka jest szybkość rozchodzenia się tych fal?
- Widzę, że karta biograficzna mówiła prawdę o pana zainteresowaniu fizyką... Nie udało nam się dotąd zmierzyć tej prędkości. Ale można przypuszczać, że jest nieskończona.
- Czyli pojecie równoczesności zdarzeń w kosmosie wreszcie nabrałoby sensu.
- Tak, ale o tym za wcześnie jeszcze mówić. Do kreślenia tej prędkości konieczne jest zaobserwowanie przynajmniej kilku źródeł fal grawitacyjnych w zakresie fal radiowych lub optycznych. A przy założeniu, że prędkość rozchodzenia się fal grawitacyjnych jest inna niż światła, zadanie staje się piekielnie trudne. Oczywiście tylko na samym początku. A jesteśmy właśnie na początku.
- Ile źródeł fal grawitacyjnych dotąd zaobserwowaliście?
- Kilkaset.
- Gzy niosą one jakieś ciekawe informacje?
- Niektóre obiekty wysyłają modulowane fale grawitacyjne.
- Co?
- Modulacja taka jest zjawiskiem normalnym w ciasnych układach podwójnych, gdy jeden ze składników jest przykładowo czarną dziurą szybko obiegającą po ciasnej orbicie drugi składnik. Może to nie być zresztą czarna dziura, musi jednak obiekt ten być masywny i bardzo gesty... Odkryliśmy też obiekty zmieniające swoje pola grawitacyjne w sposób zupełnie nieregularny. Mechanizm zjawiska jest nam nieznany.
- Czy na falach grawitacyjnych można by przesłać jakąś informacje?
- Tam, gdzie istnieje możliwość modulacji po zakodowaniu zawsze można przesłać informacje.
- Czy zaobserwowaliście coś takiego?
- Właśnie nad tym pracujemy. Osobiście jednak nie wierze w cywilizacje kosmiczną wysyłającą informacje o swoim istnieniu. Konieczny do tego wydatek energetyczny jest zbyt duży. Natomiast kosmiczna rozmowa, kto wie. Wtedy jednak staniemy przed zadaniem złamania szyfru. A tu to Pan sam dobrze wie, jakie trudności nastręczać będzie zrozumienie pozaziemskiego przekazu informacji.
- Nie wiem, czy zadanie to jest w ogóle wykonalne. Weźmy chociażby przykład ziemskiego jeżyka Sumerów...
- Przyjemnie nam się rozmawia, ale mamy jeszcze jedną sprawę do omówienia.
- Słucham.
- Anomalia fal grawitacyjnych jest wytwarzana przez sztuczny obiekt. Nie został on wytworzony przez człowieka. Chce, aby Pan go zobaczył.
- A czy...
- Przepraszam, że przerywam. Porozmawiamy po Pana powrocie. Chce usłyszeć Pana opinie. Proszę, tu jest szkic topograficzny jak ma Pan trafić do obiektu. Zresztą to całkiem blisko.
- Dziękuje bardzo.
- Po powrocie, gdy Pan odpocznie, proszę do mnie.
- Oczywiście, Panie Profesorze.

VII Szyb ma średnice około trzech metrów. Założono w nim oświetlenie, wentylacje, klamry i liny poręczowe. Przed wejściem wywieszono szkic szybu wraz z jego odnogami. Wchodzę do szybu. Schodzenie po klamrach nie jest dla mnie zbyt łatwe. Byleby tylko nie spaść. Po dłużącym się zsuwaniu w dół docieram do poziomego odcinka szybu. Idę parę metrów i staje przed czymś tajemniczym. W blasku reflektorów ściana obiektu lśni krystalicznie. Dotykam jej. Jest idealnie gładka, chociaż struktura ściany nie jest jednolita. Błyszczy na niej wiele różnokolorowych plam. Wygląda to jak kryształy zatopione w tworzywie. Widzę, że tylko cześć ściany została odsłonięta. Podchodzi do mnie nieznany mi młody człowiek.
- Cześć, na imię mam Jon. Czy ty jesteś psychologiem?
- Tak.

- Co o tym sądzisz? - wskazuje ręką na ścianę urządzenia.
- Prawie nic o tym nie wiem. A jakie to jest duże?
- Ogromne. Centralna cześć w kształcie nieregularnym, ale zbliżonym do kuli albo raczej do jakiegoś wielościanu, ma średnice około ośmiuset metrów. Z centralnej części wychodzi sześć ramion. Cztery z nich rozchodzą się poziomo w różnych kierunkach i mają po 1120 metrów długości przy piętnastometrowej średnicy. Jedno ramie o długości 4145 metrów i średnicy trzydziestu metrów idzie pionowo w dół. Jak przypuszczamy, ramie to doprowadza energie do obiektu. Koniec ramienia znajduje się w płynnej lawie. Jaki jest sposób przyswajania energii przez obiekt, nie wiemy. Szóste ramie idzie skośnie pod górę i rozgałęzia się na dwanaście kilkudziesięciocentymetrowych korytarzy kończących się tuż pod powierzchnią.
- Ile to waży?
- Nie wiemy, gdyż nie udało się pobrać próbki.
- Dlaczego?
- Twardość ścian jest zbliżona do twardości diamentu i wytrzymuje temperaturę 10 000° C. Brutalnych metod nie chcemy stosować, gdyż skutki tego mogą być nieobliczalne.
- A kiedy to zbudowano?
- Według pomiarów izotopowych, próbek skał otaczających maszynę, co najmniej milion lat temu.
- Czy cały ten twór jest zbudowany tak jak ta ściana?
- Zewnętrznie tak. A budowy wewnętrznej nie znamy. Spowodowane to jest słabą przenikliwością zarówno dla promieni Roentgena, jak i dla ultradźwięków. Trudno zresztą się temu dziwić przy rozmiarach tej maszyny.
- Zauważyłem, że nazywamy to coś za każdym razem inaczej. Jak wy to nazywacie?
- Maszyną.
- A czy ona ma jakieś zewnętrzne wskaźniki, manipulatory?
- Nie, już ci mówiłem, że zewnętrznie jest jednolita.
- Jak sądzisz, czemu ona może służyć?
- Wybacz, ale nie odpowiem. Sądzę, że Profesor może na ten temat najwięcej powiedzieć. No, ale na mnie czas. Musze iść do swojej roboty.
- Do zobaczenia.
- Cześć.
Zostaje sam przy ścianie maszyny. Czuje się przytłoczony jej ogromem. Czemu i komu miała służyć? Jak potężni musieli być jej twórcy? Gdzie są teraz? Pytania, pytania. Jak na nie odpowiedzieć? Czy Profesor zna odpowiedzi? Nie sądzę. Idę wzdłuż odsłoniętej ściany. Dotykam jej ręką. Wydaje się martwa. To złudzenie, ile energii w niej drzemie, ile możliwości. A gdyby był to olbrzymi komputer? Albo sztuczny intelekt?

VIII- Dobrze, że Pan przyszedł. No i co pan powie o maszynie?
- Jestem wstrząśnięty jej ogromem. Dlaczego trzymacie to w tajemnicy? Jej odkrycie jest największym wydarzeniem w historii ludzkości!
- Niewątpliwie, ale zrozumie Pan niedługo, że należy odkrycie zachować w ścisłej tajemnicy. Jej ujawnienie miałoby skutki trudne do przewidzenia.
- Panie Profesorze, co Pan sądzi o celu?...
- Przepraszam, że przerywam, jeszcze trochę cierpliwości. Następne zadanie to wyprawa do korytarzy nad maszynę. Po powrocie porozmawiamy.
- Może tylko jedno pytanie?
- Słucham.
- Jak zbudowano w skale to urządzenie?
- Moim zdaniem, najpierw zbudowano maszynę, a następnie zalano ją wulkaniczną lawą. Proszę pamiętać, że wyspa, na której się znajdujemy, jest pochodzenia wulkanicznego.
- Kiedy mam się udać do korytarzy?
- Kiedy będzie Pan chciał. Ale proszę na siebie uważać. Wyprawa jest niebezpieczna. Kilku ludzi nie wróciło stamtąd, a kilku wróciło rannych. Uprzedzam też, że czeka Pana sporo chodzenia. Musi Pan zabrać plecak z żywnością, wodą i licznikiem Geigera. Dostanie Pan buty, które będą pozostawiać radioaktywny ślad kroków. To zabezpieczy przed zabłądzeniem. Odnośnie ekwipunku wydałem już odpowiednie polecenie. Został przygotowany. Przed wyjściem radze poćwiczyć odnajdywanie własnych śladów. I niech się Pan nie boi radioaktywności. Izotop, który będzie na podeszwach nie może zaszkodzić. Aha, jeszcze jedno. Czeka tam Pana wiele niespodzianek. Niech Pan będzie przygotowany na najdziwniejsze wydarzenia. Więcej Panu nie powiem. I jeszcze raz do zobaczenia.
- Bardzo dziękuje za rozmowę.
- Ależ nie ma za co. Z niecierpliwością będę czekał na Pana powrót.
Przede mną prosty odcinek korytarza. Na podłodze i suficie migocze czerwony napis: „Koniec poziomu drugiego". Przekraczam linie ostrzegawczą. Z przodu coś w rodzaju ściany, ale specjalnego rodzaju. Z bliska wygląda jak gęsta mgła. Ostrożnie wsuwam w nią rękę. Dłoń znika. Nic nie czuje. Zanurzam sie we mgle. Robie dwa kroki. Mgła znika. Jestem w olbrzymiej sali.
Pod ścianami przyozdobionymi srebrnymi łańcuchami stoją liczne fotele. Półokrągłe nisze okienne lśnią purpurowym blaskiem. Na środku tłum przebierańców bawi się w takt skocznej muzyki. Kelnerzy roznoszą na tacach wino i napoje orzeźwiające. W końcu sali ogromna kurtyna z kolorowego materiału. Kurtyna właśnie się podnosi. Na scenie olbrzymia stylizowana postać szatana z widłami w reku, białymi zębami i rogami. W dołu widać płomienie. Na scenę majestatycznym krokiem wkracza żyrafa przystrojona złotem i drogimi kamieniami. Na jej grzbiecie, trzymając sie na szyi, siedzi błazen wymachujący toporem. Tancerze wbiegają na scenę. Otaczają żyrafę. Gdzieś spod ziemi rozbrzmiewa głośna muzyka. Siedząca przed sceną orkiestra zamiera bez ruchu, jakby była złożona z kukieł i marionetek. Przed orkiestrą dyrygent. Jest nim garbaty karzeł, którego sataniczny uśmiech zdradza posiadanie jakiejś tajemnicy, która nakazała całej orkiestrze zastygnąć bez ruchu. Ponad orkiestrą coś, co przyprawia mnie o uczucie okropnego przerażenia. Opuszczam wzrok. Zauważam, że w coraz to innego członka orkiestry, na przeciąg sekundy, wkracza upiorne życie. Wykonuje jakiś ruch przy swoim instrumencie, by ponownie znieruchomieć. Doznaje wrażenia, że czas dla nich przeskakuje z jednego momentu w drugi. W tym samym czasie na parkiecie i scenie zabawa trwa w najlepsze. Znowu podnoszę wzrok. Przez sale na wysokości mojej głowy przelatują widmowe kształty pędzących samochodów. Widzę wielopoziomową estakadę. Bezgłośnie pędzą z niej w moim kierunku setki samochodów. Gdzieś za mną znikają. Zachodzi we mnie jakaś przemiana. Coś dzieje się z moim ciałem. Patrzę na swoje dłonie. Palce przemieniają się w szpony. Skóra dłoni pokrywa się czarnym futrem. Twarz ulega zniekształceniu. Czuje, jak rosną mi zęby. Z gardła wyrywa się ryk. Czuje nieodpartą chęć rzucenia się na któregoś z tancerzy i rozszarpania go na kawałki. Koszula na moim ciele pęka. Paski plecaka boleśnie uciskają ciało, które gwałtownie się rozrasta. Paski pękają. Sprężam się do skoku. Wzrok mam utkwiony w szyi najbliższego mi człowieka. Skacze. Dopadam go. Zatapiam kły w jego szyi. Czuje ciepło krwi spływającej do mojego pyska. Pije ją łapczywie. Postacie z orkiestry nagle ożywają i zaczynają bezgłośnie grać. Tancerze nieruchomieją. Rzucam zwłoki, które nie dają mi już krwi. Z gardła wydobywa się ryk zwycięstwa. Oczy zachodzą mgłą zadowolenia.
Widzę zbliżający się samochód. Słyszę ostry pisk hamulców. Samochód gwałtownie skręca. Czuje podmuch wiatru. Samochód uderza w betonową barierę. Łoskot gniecionych blach. Zbliża sie następny samochód. Ostry sygnał klaksonu. Odruchowo uchylam się w bok. Widzę przerażone oczy kierowcy wpatrzone we mnie. Mija mnie. Ledwie mnie dotknął, a ja już czuje piekący ból w mojej owłosionej łapie.
Cofam się kilka kroków. Jakaś mgła. Jeszcze dwa kroki do tyłu i jestem znowu w korytarzu bazy. Upadam na podłogę. Ciężko oddycham. Co to było? Patrzę na dłonie. Są normalne. Tylko z jednej sączy się krew. Nie mam plecaka. Koszula rozerwana w szwach. Powoli wstaje. Jestem bardzo osłabiony. Wszystkie mięśnie drgają. W żołądku czuje bolesny skurcz. Powoli idę do swojego pokoju. Serce bije jak szalone, ze spazmatycznym jękiem łapie powietrze. Nareszcie mój pokój. Patrzę w lustro. Moja twarz. Ale tak zmęczonej nigdy jeszcze nie widziałem. Nienaturalna bladość, przekrwione oczy. Próbuje powiedzieć: - Co to było?
Z ust wydobywa się słaby skrzek. Ponawiam próbę. Tym razem wychodzi lepiej. Siadam. O niczym nie myślę. Powoli uspokajam się. Minione przeżycia są dla mnie czymś całkowicie niezrozumiałym. Co to było? Sen, halucynacja? A gdzie jest mój plecak? Co się stało z ręką, z moją koszulą? A może cała ta stacja, mój pobyt na niej to sen? Ale jak się z niego zbudzić? Nie, to nie sen, to rzeczywistość. Ale co to znaczy rzeczywistość? Musze znowu wrócić do tych korytarzy. Są przecież tak blisko.

X- Dobrze, że Pan wrócił. Czemu tak szybko? Wygląda Pan nieszczególnie. Czy nic Panu się nie stało?
- Nic groźnego, tylko skaleczenie.
- Niech Pan siada, proszę, tu jest dobry sok owocowy, proszę pić i opowiadać.
Profesor z zainteresowaniem słucha mojej opowieści. Nie przerywa. A ja staram się możliwie wiernie opowiedzieć co przeżyłem.
- No to w sumie miał Pan szczęście. A teraz proszę powiedzieć, co Pan o tym sądzi.
- Profesorze, napisałem raport. Oto on. A tak dodatkowo chce powiedzieć, że nie rozumiem tego, co przeżyłem. Może to urządzenie w jakiś sposób materializuje treści zawarte w naszej podświadomości?
- Niestety, nie jest to takie proste. Badania w tych korytarzach prowadzimy już od dawna. Z początku wchodząc do określonego korytarza spotykało się zawsze ten sam świat. Moi ludzie mieli nawet ulubione światy, które odwiedzali. Poznawali jeżyk ludzi tam żyjących. Bo musze Panu powiedzieć, że mówi się tam nieznanymi nam jeżykami.-
- Przepraszam, że przerywam. Jak duże są te światy?
- To waśnie jest najdziwniejsze. Ich rozmiarów nie da się określić. Raz jeden z moich współpracowników wziął motocykl. Przejechał kilkaset kilometrów i nie znalazł granicy tego świata. Wydaje się, że każdy z nich obejmuje powierzchnie całej Ziemi.
- A co z niebem, czy za każdym razem jest inne?
- I tu następny problem. Niebo jest identyczne z naszym. Sam prowadziłem obserwacje nieba w światach różnych korytarzy. Nie tylko konfiguracja gwiazd i galaktyk jest identyczna. Identyczne są i ich widma

optyczne.
- Czyżby był to świat alternatywny do naszego? Z tym, że obejmowałby tylko Ziemie? A wszechświat dla wszystkich byłby ten sam?
- Tak sądziliśmy. Nawet przypuszczaliśmy, że wiara w centaury, diabły i tym podobne istoty brała się stąd, że istoty te przedostawały się przez korytarze do naszego świata i błądziły po nim.
- Czy wszystkie te światy są jakoś podobne do naszego?
- W zasadzie wszystkie są zamieszkiwane przez istoty człekopodobne na różnych poziomie rozwoju.
- Ale Pan Profesor mówił, że było to przypuszczenie, które nie potwierdziło się.
- Właśnie chciałem o tym mówić. Od pewnego czasu w tych uporządkowanych światach zaczęło się coś psuć. Najpierw mieszały sie ze sobą. Wchodząc do określonego korytarza nie można było przewidzieć, jaki świat tam zastaniemy. Zdarzało się, że dwóch ludzi wchodząc do tego samego korytarza w odstępie dwóch sekund znajdowało się w różnych światach. Później pojawiały sie metamorfozy. Wchodzący ludzie ulegali jakimś przeobrażeniom. Przykład tego sam Pan przeżył. Metamorfoza ta znika natychmiast po powrocie do naszego świata, ale bardzo osłabia organizm. Ostatnio pojawia się również coś jakby nakładanie sie dwóch światów na siebie. Jeden jest realny, drugi widmowy. Z tym, że szybko mogą zamieniać się rolami. A gdy dodam jeszcze powstające często zaburzenia w logice zdarzeń tam występujących, należy odrzucić przypuszczenie, że światy te są alternatywne do naszego.
- Ale jeśli są tak samo wielkie jak nasz? Jeżeli żyją w nich inne istoty, czym są?
- Czy ja wiem? Może tylko atrapami? A gdy wchodzimy do korytarza, maszyna działa na naszą psychikę?
- A mój plecak, koszula?
- Gdy o tym myślę, zastanawiam się, czym w ogóle jest rzeczywistość. Może zbiorem matematycznym? Czas byłby jednym z działań na tym zbiorze. Fizycy od dawna szukają elementarnego składnika materii. Atomy, elektrony, kwarki, wszystkie mają złożoną budowę. A odległości pomiędzy ich elementami są porównywalne z odległościami pomiędzy obiektami kosmicznymi, przy uwzględnieniu oczywiście skali wielkości. Nie wiem czy kiedykolwiek znajdziemy podstawową cegiełkę materii. Może ona nie istnieje. Może istnieje tylko bardzo złożony zbiór matematyczny?



- Czy Einstein nie doszedł do podobnego wniosku?
- Niezupełnie. Starał się sprowadzić wszystkie cechy wszechświata do systemu równań teorii pola. Dzieła nie dokończył. Einstein był zbyt rzetelnym uczonym, aby publikować własne spekulacje nie poparte dokładnymi obliczeniami. Szkoda, że nie żył trochę później. Przy współczesnych metodach matematycznych, mając do dyspozycji programowane maszyny liczące, może uporałby się z tym ogromnym zadaniem.
- Czy inni nie próbowali tego robić?
- Próbowali. Ale może nie mieli odwagi, wyobraźni i intuicji naukowej na miarę Einsteina. Nie wiem, czym są te światy zaczynające się w korytarzach nad maszyną. Pewne jest tylko, że ich istnienie związane jest z nią nierozerwalnie.
- Czy nie ma szans na zrozumienie tego?
- Szanse są zawsze. Ciągle pracujemy, choć od dawna mam poczucie, że stoimy w miejscu. Nie wiem, czy zadanie to jest wykonalne dla człowieka. Są i chwile, gdy mam poczucie bliskości rozwiązania problemu. Ale to mija i powraca przygnębienie wywołane własną bezsilnością. Czasami mam ochotę wejść do któregoś z korytarzy i już tu nie wrócić. Kilku moich kolegów wybrało to rozwiązanie. Jeden po blisko rocznym pobycie wrócił na parę dni. Opowiadał wiele. Stwierdził, że znalazł tam miejsce dla siebie, że jest tam potrzebny.
Mówiąc kiedyś o naszej wolności miałem na myśli właśnie możliwość takiego wyboru. A nam nie pozostało nic oprócz pracy i ponawiania prób zrozumienia. Wierze, że tutaj jest klucz do wielu podstawowych problemów naszej rzeczywistości.
- Panie Profesorze! Postanowiłem tam jeszcze pójść. Wrócę. Wtedy i ja może chociaż minimalnie przyczynie się do lepszego zrozumienia tego, o czym mówimy.
- Powodzenia!

XI Wchodzę do gabinetu profesora. Siedzi za biurkiem poAl chylony nad gazetą. Nie podnosi głowy. Widzę, że jest bardzo zmęczony.
- Wrócił Pan, to dobrze.
- Panie Profesorze miał pan racje, że światy generowane przez maszynę rozpadają się. Dokonałem kilkudziesięciu wejść i mogę już pokusić się o uogólnienia. Najczęściej jeden świat jest dla mnie realny, drugi widmowy. W każdej chwili role te mogą sie odwrócić. Obiektywnie, jeżeli oczywiście w tym przypadku można mówić o obiektywności, obydwa istnieją wzajemnie się przenikając. A jedynie obserwator przenosi się z jednego do drugiego. Widziałem nawet sytuacje, gdy przenikały się równocześnie trzy światy, z których każdy w przypadku nie dającym się przewidzieć, stawał się dla mnie realny. Coraz niebezpieczniej jest tam. Raz o mały włos nie zmiażdżyło mnie wyłaniające się drzewo. Również, jak Pan Profesor słusznie zauważył, zdarza się, że światy te interferują ze sobą. Dochodzi wtedy do zmian przystosowawczych będących jakąś wypadkową dwóch odmiennych rzeczywistości. Także logika zdarzeń załamuje się. Na szczęście nasz świat jest prawdziwy i nie jest tworem tej maszyny.
- Tego właśnie nie jestem pewien.
Profesor podnosi na mnie wzrok. Widzę w nim po raz pierwszy lęk.
- Niech Pan czyta.
Podsuwa mi dziennik. Na pierwszej stronie pod dużym nagłówkiem: „Czy zbiorowa halucynacja ogarnia świat?” - czytam następujący tekst:
„..Jak donoszą agencje z całego świata, w wielu punktach globu ludzie doznają dziwnych halucynacji. Widzą jakieś widmowe postacie, budowle, krajobrazy. Zjawisko praktycznie objęło całą Ziemie. Pytani o przyczyny, naukowcy dają sprzeczne wyjaśnienia. Najprawdopodobniejsza jest hipoteza prof. Orne z Genewskiego Uniwersytetu, który twierdzi, że do atmosfery ziemskiej dostał się kosmiczny gaz, który wywołuje halucynacje. Obecnie powstają zespoły badawcze, których celem jest wytłumaczenie tego zjawiska. O wynikach ich prac będziemy państwa informować na bieżąco.
Przypominamy też o apelu rządu, że nie ma podstaw do paniki, a doniesienia o rzekomych odkryciach jakichś dziwnych istot błąkających się po naszym globie są wymysłem nieodpowiedzialnych jednostek chcących potęgować napięcie... Czuję, jak ogarnia mnie zdenerwowanie. Podnoszę wzrok znad gazety i patrzę na Profesora. Jest nienaturalnie blady i patrzy gdzieś poza mnie. Odwracam się. Na tle ściany widać szczyt góry i bezchmurne niebo. Na szczycie siedzi alpinista ubrany w maskę tlenową i gruby skafander. Rozgląda się po okolicy. Powoli odwraca się w naszym kierunku. Nieruchomieje. W jego oczach pojawia się zdziwienie powoli przekształcające się w obłędny strach.

(Kraków, sierpień 1981)

Andrzej Augustynek



Motto:
„Dawniej mi się zdawało, żem z mroków chaosu
Wybiegł w świat - niepochwytny i wolny od losu.
– – – – – – – – – – – – – – – – –
Dziś wiem, że w zło się trzeba, jak w szelest zasłuchać - Że je łatwiej wykrwawić, niźli udobruchać...
(B. Leśmian - „Klęska”; z tomu „Napój cienisty”, 1936)

Bolesław Leśmian przyszedł na świat w Warszawie, najprawdopodobniej w roku 1878. Najprawdopodobniej, gdyż nie jest to data całkiem pewna: wymienia ją poeta w jednym z listów, mimo że w odpisie metryki figuruje rok 1877, a na płycie nagrobnej -1879. Urodzony w samym sercu Mazowsza, zawdzięczał Leśmian więcej ziemi ukraińskiej, która wydała poetów tej miary, co Seweryn Goszczyński i Józef Bohdan Zaleski. Lata szkolne spędził w Kijowie, gdzie ukończył gimnazjum klasyczne i studia prawnicze na Uniwersytecie św. Włodzimierza. Tu też zaczął pisać utwory poetyckie, wysyłając je do wielu magazynów krajowych, m.in. krakowskiego „Życia” i warszawskiej „Chimery” (19C2 r. - cykl z „Księgi przeczuć”). Pierwszy okres działalności wieńczą wystąpienia patriotyczne, zatargi z policją carską, a wreszcie pospieszny wyjazd do Niemiec, Włoch i Paryża, który oznacza rozstanie z Polską na lat kilkanaście.

Okres paryski to pasmo kolejnych sukcesów literackich poety - człowieka nader nieśmiałego, otwartego na ludzkie troski i cierpienia, utrzymującego z trudem siebie i swoją rodzinę (w Paryżu Leśmian ożenił się z malarką Zofią Chądzyńską i miał z nią dwie córki). W roku 1912 ukazuje się pierwszy zbiór wierszy - „Sad rozstajny” (1912), a w kilka miesięcy później - „Klechdy sezamowe” (1913) i „Przygody Sindbada Żeglarza” (1913). Twórczość Leśmiana przechodzi swoistą metamorfozę pod wpływem czołowych przedstawicieli rosyjskiego symbolizmu: Konstantego Balmonta i Dymitra Mereżkowskiego, z którymi autor „Dziewczyny” nawiązuje serdeczne, niemal przyjacielskie kontakty. W tym samym czasie Leśmian ogłasza również wiele szkiców literackich, recenzji, błyskotliwych rozpraw estetyczno-filozoficznych; współpracuje z czasopismem „Myśl Polska”, a w roku 1911 obejmuje nawet na krótko kierownictwo Teatru Artystycznego w Warszawie.

Lata wojny zastają poetę w Lodzi zajętego prowadzeniem Teatru Polskiego. Tak oto rozpoczyna się jeden z bardziej znanych okresów jego życia, trwający aż do roku 1934. Z uzyskaniem niepodległości obejmuje Leśmian notariat w Hrubieszowie i przygotowuje do druku kolejny tom wierszy zatytułowany „Łąka” (1920). W dwa lata później przenosi się do Zamościa, pozostając w styczności z ugrupowaniem poetyckim „Czartak” Emila Zegadłowicza. Sprowadzony brutalnie na ziemię - oszukany przez nieuczciwego wspólnika wpada w tarapaty finansowe, ratując się dzięki pomocy wiernych przyjaciół. Zapowiedzią pożądanej stabilizacji staje się wybór Leśmiana w poczet członków Polskiej Akademii Literatury (1933). Poeta wyjeżdża do Warszawy, gdzie spotyka się z coraz większym uznaniem krytyków i wydawców (pozytywne recenzje z jego utworów piszą m.in. Karol Irzykowski i Ostap Ortwin). W roku 1936, na kilka miesięcy przed śmiercią publikuje trzeci tom poezji - „Napój cienisty”. W roku 1938 ukazuje się ostatni zbiór jego wierszy - „Dziejba leśna”.

Twórczość Leśmiana doczekała się wielu omówień i recenzji. Zajmowali się nią: Artur Sandauer, Tymoteusz Karpowicz, Jacek Trznadel, Michał Głowiński, Jan Błoński, Jarosław Marek Rymkiewicz, Jerzy Kwiatkowski, Kazimierz Wyka... Jen ostatni nazwał autora „Sadu rozstajnego” poetą *„jedynym, świetnym, znakomitym”*. I chyba nie bez słuszności. Jest bowiem Leśmian najwybitniejszym przedstawicielem symbolizmu polskiego, kierunku, który kształtuje się we Francji w latach osiemdziesiątych XIX wieku (Stephane Mallarme i in.) i przez wiele dziesięcioleci oddziaływuje na poezję europejską. Kierunek ów domaga się wieloznaczności przesłania artystycznego, oddziaływania poprzez aluzje, niedomówienia, sugestię, a tym samym nakłaniania bardziej wyrobionego czytelnika do twórczej, aktywnej lektury tekstu. Jest to, w przypadku Leśmiana, zamierzenie szczególnie ambitne. Tematem wielu utworów staje się proces poznawczy, sposób i forma postrzegania rzeczywistości. W symbolicznym wierszu „Dziewczyna” (1933) - odbieranym niekiedy jako wyraz pokoleniowego sporu między romantycznym (czytaj: modernistycznym) i utylitarnym pojmowaniem świata - liczy się tylko samo dążenie do celu, poszukiwanie nieosiągalnego Absolutu, okupione ogromnym wysiłkiem, niesłychanym trudem, ofiarą. Mimo tych przeszkód, zdaje się twierdzić Leśmian, trzeba walczyć do końca wydzierając światu jego złowrogą obojętność, bowiem ponadludzkie wysiłki poznawcze stanowią właśnie o sensie naszego istnienia.

Heroiczna pochwała działania i refleksja nad tragizmem bytu nadaje poezji Leśmiana oblicze swoiste, niepowtarzalne. W ukazaniu absurdu ludzkiego istnienia wyprzedza autor „Łąki” założenia egzystencjalizmu europejskiego: podważając życie śmiercią - jak uczynią to później Sartre i Camus - dowodzi otaczającej nas pustki, nicości, ogromnej odpowiedzialności za losy świata, która obciąża nas wszystkich w jednakim stopniu („U wód Hiranjawathi - nad brzegiem żałoby”, „Cmentarz”, „Zmierzchun”). *„Przepaść Leśmiana - pisze Jacek Trznadel - godna przemyśleń Augustyna i nieskończonych przestrzeni Pascala jest najgłębszą przepaścią poezji polskiej XX wieku. Tak jak Kierkegaard mówi o paradoksie wiary, tak Leśmian uwydatnia paradoks egzystencji i myślenia. Tęsknota, rozpacz, próba transcendencji, miłość rozbijają tu zdroworozsądkową koncepcję życia i świata”.*

Zdaniem autora „Sadu rozstajnego” prawdziwa sztuka umożliwia wniknięcie w powstawanie i niepowtarzalną jedność rzeczy. Wyrażając w sposób intuicyjny to co irracjonalne poezja może zastąpić przeżycie o charakterze religijnym. Nie jest tajemnicą, iż Leśmian korzysta w tym twierdzeniu z sugestii wybitnego filozofa epoki modernizmu Henri Bergsona. Wizja płynnej, zmiennej rzeczywistości, która odradza się wciąż na nowo w walce materii i ducha przypomina kosmogonię Bergsona z jej podstawową opozycją pomiędzy bezładną materią a „wichrem życiowym” (elan vital), stanowiącym jedyną prawdziwą siłę twórczą. Powołaniem poety jest uchwycenie rytmu, w jakim ów „wicher życiowy” wyraża się w świecie. Jednym z kluczowych motywów twórczości Leśmiana staje się zatem obsesja powtórzeń, nawrotów, bezustannych odbić - w lustrze, w wodzie, w oczach postronnych świadków wydarzeń, *„gdzie dalsze zakrzepnięcie bliższego jest echem..."* („Prolog", „Zielona godzina"). Odbicie to także marzenie, sen we śnie, rodzaj pozazmysłowego kontaktu. Ale motyw zwierciadła jest również alegorią upadku kultury, znakiem powtarzalności, zastoju. W wierszu „Dziewczyna przed zwierciadłem" bohaterka widzi swą śmierć w toni odbicia.

Leśmianowskie pejzaże są zwykle świadectwem przemijania, ulotności marzeń, emocji. Czas tych utworów zawiera w sobie całą tajemnicę życia. Poezja jest formą „natura naturantis" (życia twórczego), dopóki stanowi dla nas tajemnicę. Wszelkie określenie jest dla niej *„rodzajem trumny szklanej, która przejrzyś-*

Bolesław Leśmian

Prolog

(ze zbioru „Sad rozstajny”, 1912)

*Dwa zwierciadła, czujące swych głębin powietrzność,
Jedno przeciw drugiemu ustawiam z pośpiechem,
I widzę szereg odbić, zasuniętych w wieczność,
Każde dalsze zakrzepłym bliższego jest echem.*

*Dwie świece płoną przy mnie, mrużąc złote oczy,
Zapatrzone w lustrzanych otchłań wirydarzy:
Tam aleja świec liśćmi złotymi się jarzy
I rzeka nurt stężały obojętnie toczy.*

*Widzę tunel lustrzany, wyżłobiony, zda się,
W podziemiach moich marzeń, groźny i zaklęty,
Samotny, stopą ludzką nigdy nie dotknięty,
Nie znający pór roku, zamarły w bezczasie.*

*Widzę baśń zwierciadlaną, kędy zamiast słońca, Nad
zwłokami praistnień orszak gromnic czuwa,
Baśń, co się sama z siebie bez końca wysnuwa
Po to, aby się nigdy nie dosnuć do końca...
Gdy umrę, bracia moi, ponieście mą trumnę*

*Przez tunel pogrążony w zgróz tajemnych krasie,
W jego oddal dziewiczą i głębie bezszumne,
Nie znające pór roku, zamarłe w bezczasie.*

*Gdy umrę, siostry moje, zagaście blask słońca,
Idźcie za mną w baśń ową, gdzie chór gromnic czuwa,
W baśń, co się sama z siebie bez końca wysnuwa
Po to, aby się nigdy nie dosnuć do końca!...*

ciejąc- zabija (...). Tajemnica podlega analogicznym przemianom, co życie w ogóle. Dla epok następnych jest tylko wspomnieniem". Stąd też leśmianowski czas momentalny", chwytanie wydarzeń „na żywo", dynamika procesów fabularnych jako próba obrony sztuki przed zapomnieniem, losem starych rekwizytów, pożółkłych fotografii. Opozycja „świat - człowiek" kojarzy się w wielu wierszach Leśmiana z fundamentalną sprzecznością: „natura - kultura". Próba powrotu do natury, „zieleni i kwiatów", prapoczątku zdarzeń („Łąka", „W malinowym chruśniaku") nie oznacza jednakże kontynuacji mitu antycywilizacyjnego, zrodzonego z osiemnastowiecznych utopii „wieku złotego" i sentymentalnej, preromantycznej wizji świata. Propozycja Leśmiana jest raczej spojrzeniem teleologicznym: to człowiek staje się ośrodkiem zainteresowania, a cały ruch materii zmierza ku niemu w tajemnym misterium zespolenia. Powrót do natury jest jednak fikcją, utopią sfrustrowanej cywilizacji: człowiek może być tylko obserwatorem żywiołowego bogactwa przyrody, zawsze „na zewnątrz", zawsze obcy, samotny i niespełniony. Świat poza nim wymyka się poznaniu, rozpada się na drobne okruchy, fragmenty, byty psychiczne - nie udaje się go scalić, tak jak nie można przezwyciężyć platońskiego podziału na rzeczy „same w sobie" i ich znaki. Jakże bliskie jest to przesłanie dwudziestowiecznym refleksjom egzystencjalnym, upartym, lecz daremnym wysiłkom odrzucania skostniałych, przebrzmiałych wartości cywilizacji, która nas wydała.

Czytając Leśmiana trudno nie zadać pytania o rolę „fantastyki" w konstrukcji jego utworów. Sądzę, że można tu mówić o specyficznym zorganizowaniu całego świata poetyckiego, który rządzi się wewnętrznymi prawami i zgodnie z tymi prawami kształtuje odrębną wizję rzeczywistości. Chodzi tu jednak nie tylko o czysto werbalny, lingwistyczny aspekt „fantastyki" wynikający z przekonania, że poezja jest wyobrażeniem, pozorem realności. Leśmian, pilny uczeń i tłumacz Edgara Allana Poego, równie często posługuje się fantastyką filozoficzną, przypowieścią, której nadaje sobie tylko właściwe ramy formalne. Nawiązania do poetyki „fantasy" w „Przygodach Sindbada Żeglarza", fantastyczne fabuły w stylizacjach ballad romantycznych („Dusiołek", „Srebroń", „Znikomek"), kreacje „dziwnych ludzi" z pogranicza jawy i nieistnienia, zapełniają wielowymiarowe przestrzenie jego wierszy. *„Całe dzieło poety twierdzi R. Przybylski - to swego rodzaju baśń kosmogoniczna".* Baśń jest bowiem podstawową, pierwotną formą poznawania świata. Stąd też w wielu utworach Leśmiana przypominających marzenia senne, prostota i kompensacyjna moc baśni łagodzi tragizm wyrażonych za jej pomocą prawd.

Był kiedyś autor „Łąki" bohaterem takiej oto anegdoty: *„Pod «Ziemiańską» zajechała pusta dorożka i po chwili wysiadł z niej Bolesław Leśmian"*, A jednak ten skromny, niepozorny człowiek, będący obiektem wielu kpin i żarcików, powiedział o nas znacznie więcej aniżeli tomy uczonych rozpraw i rozbiorów.

Andrzej Niewiadowski

Dziewczyna

(ze zbioru „Napój cienisty", 1936)

*Dwunastu braci, wierząc w sny, zbadało mur od marzeń strony,
A poza murem płakał głos, dziewczęcy głos zaprzepaszczony.
I pokochali głosu dźwięk i chętny domysł o Dziewczynie
I zgadywali kształty ust po tym, jak śpiew od żalu ginie...
Mówili o niej: „Łka, wiec jest!" -I nic innego nie mówili
I przeżegnali cały świat - i świat zadumał się w tej chwili...
Porwali młoty w twardą dłoń i jęli w mury tłuc z łoskote
Inie wiedziała ślepa noc, kto jest człowiekiem, a kto młotem?
„O, prędzej kruszmy zimny głaz, nim śmierć Dziewczynę rdzą powlecze"
Tak, waląc w mur, dwunasty brat do jedenastu innych rzecze.
Ale daremny był ich trud, daremny ramion sprzęg i usił!
Oddali ciała swe na strwoń owemu snowi, co ich kusił!
Łamią się piersi, trzeszczy kość, próchnieją dłonie, twarze bledną...
I wszyscy w jednym zmarli dniu i noc wieczystą mieli jedną!
Lecz cienie zmarłych - Boże mój! - nie wypuściły młotów z dłoni!
I tylko inny płynie czas - i tylko młot inaczej dzwoni...
I dzwoni wprzód! I dzwoni wspak! I wzwyż za każdym grzmi nawrotem!
I nie wiedziała ślepa noc, kto hi jest cieniem, a kto młotem?
„O prędzej skruszmy zimny głaz, nim śmierć Dziewczynę rdzą powlecze!"
Tak, waląc w mur, dwunasty cień do jedenastu innych rzecze.
Lecz cieniom zbrakło nagle sił, a cień się mrokom nie opiera!
I powymarły jeszcze raz, bo nigdy dość się nie umiera...
I nigdy dość, i nigdy tak, jak tego pragnie ów, co kona!...
I znikła treść - i zniknął ślad - i powieść o nim już skończona!
Lecz dzielne młoty - Boże mój - mdłej nie poddały się żałobie
I same przez się biły w mur, huczały spiżem same w sobie!
Huczały w mrok, huczały w blask i ociekały ludzkim potem
I nie wiedziała ślepa noc, czym bywa młot, gdy nie jest młotem?
„O, prędzej skruszmy zimny głaz, nim śmierć Dziewczynę rdzą powlecze!'
Tak, waląc w mur, dwunasty młot do jedenastu innych rzecze.
I runął mur, tysiącem ech wstrząsając wzgórza i doliny!
Lecz poza murem - nic i nic! Ni żywej duszy, ni Dziewczyny!
Niczyich oczu ani ust! I niczyjego w kwiatach losu!
Bo to był głos i tylko głos, i nic nie było oprócz głosu!
Nic - tylko płacz i żal, i mrok, i nieświadomość, i zatrata!
Takiż to świat! Niedobry świat! Czemuż innego nie ma świata?
Wobec kłamliwych jawnie snów, wobec zmarniałych w nicość cudów,
Potężne młoty legły w rząd na znak spełnionych godnie trudów.
I była zgroza nagłych cisz! I była próżnia w całym niebie
A ty z tej próżni czemu drwisz, kiedy ta próżnia nie drwi z ciebie?*

Quo vadis polska fantastyko?

Jest sprawą oczywistą, że na naszym rynku księgarskim, ubogim w popularne opracowania fantastyki naukowej, każda nowa pozycja krytyczna spotyka się z formalną aprobatą czytelników. Zainteresowanie rośnie, jeśli autorem książki jest profesjonalista, zawodowy krytyk, parający się literaturą science fiction tylko okazjonalnie. Wielbiciele prozy przyszłościowej twierdzą wówczas, że ich gatunek doczekał się rehabilitacji, a milczący obserwatorzy przełamują barierę nieufności przyciągnięci logicznym, racjonalnym tokiem wywodu autora.
Takimi zaletami odznacza się najnowsza praca Leszka Bugajskiego - „Spotkania drugiego stopnia", będąca zbiorem szkiców z ostatniego dziesięciolecia publikowanych min. na łamach „Literatury", „Nowego Wyrazu", „Nurtu", „Radaru" i „Życia Literackiego". Autor tej książki, znany krytyk krakowski, przedstawiciel pokolenia debiutującego pod koniec lat sześćdziesiątych, ma już w dorobku kilka zwartych pozycji wydawniczych, z których ostatnia - dedykowana najmłodszym prozaikom Polski Ludowej („Następni", 1983) została uhonorowana doroczną nagrodą im. S. Piętaka. Bugajski nie jest też debiutantem w dziedzinie science fiction: zaczynał od omówień powieści Stanisława Lema, był recenzentem wielu krajowych antologii i wydawnictw seryjnych, jednym z czołowych krytyków powojennej fantastyki naukowej.
„Spotkania drugiego stopnia" zawierają szkice dotyczące wybranych sylwetek autorskich (Jerzy Żuławski, Stanisław Lem, Adam Wiśniewski-Snerg, Arkadij i Borys Strugaccy, Philip Dick) oraz przeglądy najciekawszych wydarzeń w łonie krajowej science fiction: omówienia antologii, pozycji seryjnych i inicjatyw przekładowych („Śladem Lema", „Co jest, co będzie?", „Człowiek pozostał ten sam", „»Przyziemny« Kosmos"). Cały wybór otwiera esej z roku 1975 zatytułowany „Co dalej?", stanowiący rodzaj refleksji nad „Summa technologiae" Stanisława Lema i sytuujący tę książkę w kontekście współczesnych zagrożeń o charakterze egzystencjalnym. Już w recenzjach dotyczących twórczości Lema autor „Spotkań..." daje się poznać jako rzeczowy komentator tej prozy. Ze szczególną trafnością formułuje cele i zadania gatunku, traktując najciekawsze osiągnięcia beletrystyki przyszłościowej na równi z innymi odmianami literackimi (co do niedawna nie było takie oczywiste). Jego wnioski i spostrzeżenia mają dużą siłę przekonywania, a stwierdzenia w rodzaju „zwierciadło fantastyki naukowej" czy „pilot Pirx ostrzega" weszły na stałe do terminologii krytycznej science fiction. „Literatura fantastyczno-naukowa - twierdzi Bugajski - nawet w swoich kamuflażach zbliża się do problemów, jakimi zajmuje się każda poważna literatura. (...) opisuje społeczeństwo jako całość, interesuje się jego totalitarnymi formami organizacji i stosowanymi represjami, (...) pojedynczym człowiekiem wtłoczonym w bezwzględne rygory społeczne, stłamszonym naporem technologii, człowiekiem ubezwłasnowolnionym przez racjonowanie wszystkiego. Czy to mało, kiedy możemy zobaczyć siebie w takim zwierciadle?" To pytanie towarzyszy czytelnikowi podczas lektury wszystkich tekstów wyboru. Bugajski - rzecz charakterystyczna - mówi o historii najnowszej science fiction z całą powagą, bez ironicznego zmrużenia oka, rzadko ułatwia sobie sprawę dokonując streszczeń i skrótów: jego recenzje i przeglądy w ogromnej mierze odchodzą od uproszczonej wizji tematu, są przede wszystkim żmudnymi interpretacjami konkretnych utworów. Dalekowzrocznością wniosków i swoistą odwagą w ferowaniu ocen zaskakują eseje poświęcone twórczości A. Wiśniewskiego-Snerga. Warto przypomnieć, że Bugajski był jednym z pierwszych krytyków, którzy wysoko ocenili debiutancką powieść tego pisarza („Robot", 1973), mimo nawiązań do wcześniejszych kreacji St. Lema (zwłaszcza „Pamiętnika znalezionego w wannie" i „Dialogów").
Szczególnie interesujące wydają się rozważania autora na temat prognoz rozwoju polskiej science fiction, wygłaszane kilka, a nawet kilkanaście lat temu. Wiele z tych sądów, nierzadko prekursorskich (któż w roku 1971 zajmował się oceną antologii fantastyczno-naukowych?) zachowało swą aktualność po dzień dzisiejszy, a praktyczne potwierdzenie hipotez i przypuszczeń było najlepszym dowodem umiejętnego rozpoznania sytuacji kulturalnej 35-lecia. I tak na przykład z ogromną

My z niego wszyscy

W piśmie takim jak nasze, z trudem lansującym pogląd o równoprawności fantastyki, nie przez wszystkich jeszcze uważanej za normalną literaturę, w dobrym tonie jest od czasu do czasu obejrzeć się wstecz w poszukiwaniu zacnych paranteli. Powinny one, jeśli tylko „ojcowie założyciele" gatunku posiadają uznany format literacki ostatecznie rozbroić i przekonać przeciwników. Osoba i dzieło Poego (1809-1849), klasyka grozy i science fiction, a także twórcy noweli detektywistycznej - przypomniane nam właśnie przez SW „Czytelnik" - wydają się dla takiej obrony niezłym pretekstem. Wydawnictwo rzuca tę prozę na rynek z okazji swego czterdziestolecia w bardzo dobrym towarzystwie wznowień fundamentalnych dla literatury i kultury, w ozdobnej w dodatku edycji. Nie sposób, wydawałoby się, nie wygrać procesu o potwierdzenie szlachectwa, mając w odwodzie takiego szacownego pradziadka.
A jednak sprawa wcale nie jest prosta. Wraz ze wznowieniem Poego staje przed nami na powrót spór o pisarza przez jednych uważanego za nowatora i geniusza, przez innych za niegodnego uwagi hulakę, nicponia i literackiego fuszera. Jedni mówią o znacznym wpływie Poego na konstrukcję short story, na krytykę i poezję, inni wytykają mu ignorancję, snobizm i literackie awanturnictwo. Argumentom broniącym Poego, iż podobnie jak wszystko co wielkie, dzieło jego zrazu zapoznane przez rodaków, doczekało się nobilitacji via Europa (zwłaszcza we Francji Poem entuzjazmowali się Baudelaire, Malarme, Valery); przeciwstawiany bywa pogląd, iż wielcy Francuzi zachwycili się Amerykaninem w wyniku powierzchownej znajomości angielskiego, która uczyniła ich ślepymi na jego jawne kiksowanie. Poe jest tak czy owak klasykiem i prekursorem, ale ten nie rozstrzygnięty spór o niego także się już ucukrował i wszedł do historii literatury. Wymienione zarzuty ciążą więc pośrednio nad fantastami, którym pisarz patronuje i którzy podobnie jak on, mając ambicje wybiegania w przód i w bok od wyjeżdżonych literackich tropów, grzeszą jednocześnie przeciw, wypracowanym na terenie głównego nurtu, kanonom powagi, symetrii, stylistycznej czystości, wiarygodności itp. Powstrzymując się od uczynienia z tego tekstu antologii krytycznych cytatów, odwołam się do jednego tylko autora, ale za to znamienitego, bo do Noblisty, T. S. Eliota. W eseju „Od Poego do Valery'ego" („Szkice krytyczne", wybór i tłumaczenie M. Niemojowska, PIW-72r) pisze on co następuje: „Badając szczegółowo jego (Poego) prace, nie możemy oprzeć się wrażeniu, że nie ma w nich nic prócz niechlujności stylistycznych, infantylnych koncepcji myślowych nie popartych ani obszernym oczytaniem, ani gruntownym wykształceniem, i przypadkowych eksperymentów w różnych gatunkach literackich (...) podejmowanych głownie pod presją materialnych potrzeb, bez doskonałego wypracowania jakiegokolwiek szczegółu (...). Poe odznaczał się potężnym intelektem, ale (...) był to intelekt wysoce utalentowanego chłopca w zaraniu wieku dojrzewania. Zjawiska, które najbardziej angażują jego żywą ciekawość, to (...): dziwy przyrody i mechaniki, zjawiska nadprzyrodzone, kryptogramy, szyfry, zagadki i labirynty, automaty do gry w szachy i różne fantastyczne pomysły. Różnorodność i zapał tych dociekań raduje nas i oszałamia; ale w końcu nużą nas dziwactwa i chaotyczność jego zainteresowań. Nie dostaje mu właśnie tego, co przysparza godności człowiekowi dojrzałemu: zintegrowanego poglądu na życie". Tak oto wygląda krytyczny koń trojański, którego niefrasobliwie wprowadzam na łamy organu fantastów. W dodatku nie zamierzam tym zarzutom zaprzeczać. A jednak... A jednak wypadnie spróbować odpowiedzieć na pytanie, co sprawia, że ten autor i dziś, w 150 lat bez mała od momentu śmierci, nadal fascynuje? Widać to wyraźnie w olbrzymiej większości prezentowanych nam właśnie' opowiadań. Pozostała ta proza nadal żywą, ironia Poego i stylistyczna przewrotność nie straciły gryzącej mocy, jego pomysły (mimo lektury tylu naśladowców) nadal robią na czytelniku wrażenie świeżych, jego groza jest niekłamana, a dylematy - mesmeryzm, życie pozagrobowe, upiory, wynalazki, sztuka dedukcji, wola, tajemnicze podróże, czasoprzestrzeń, paradoksy, nienawiść, sytuacja prasy... - mimo iż rzeczywiście dobrane chaotycznie, nadal czekają na pióra pisarzy i naukowców. Wystarczy zresztą nazwać te dylematy nieco inaczej, by zabrzmiały bardzo współcześnie: psychologia głębi, doświadczenia Moody'ego, psychotronika, psychoanaliza... Utwory Poego są w Polsce i świecie czytane i do dziś oddziaływają zapładniająco. Nie tak dawno Wydawnictwo Literackie przypomniało część jego opowiadań w tłumaczeniu Leśmiana: w ogóle miał Poe w Polsce tłumaczy aż sześćdziesięciu. To o czymś świadczy! Oglądaliśmy w minionym dziesięcioleciu filmy wg Poego, do których przykładali rękę nie tylko mistrzowie klasy B jak Corman czy Vadim, lecz także reżyserzy pierwszej gildii w rodzaju Felliniego i Malle'a. Spróbujemy więc zarzuty Eliota odwrócić, tak by przynajmniej częściowo zabrzmiały na korzyść Poego. Owszem, bywał fragmentarycz-

dozą nieufności wypowiadał się Bugajski na temat twórczości Czesława Chruszczewskiego, jednego z bardziej kontrowersyjnych autorów science fiction, zastrzeżeniami opatrywał również sensacyjne, kosmiczno przygodowe historie Bohdana Peteckiego Na marginesie recenzji „Wehikułu wyobraźni" pisał o coraz lepiej zapowiadających się autorach debiutujących po roku 1968 (W. Żwikiewicz, A. Krzeptowski), podejmując ocenę instytucjonalnych form organizacji ruchu science fiction.
Najważniejsze w krytycznych obserwacjach Bugajskiego wydaje się jednak rozpoznanie prawdziwych przyczyn boomu polskiej fantastyki naukowej w połowie lat 70-tych. „Można zaryzykować następującą tezę: im bardziej pogłębiały się trudności w naszym życiu, tym bujniej rozwijała się science fiction. Jest to bowiem wymarzony gatunek dla uprawiania literatury »zamiast«, a taką właśnie w coraz większym stopniu stawała się rozpowszechniana oficjalnie literatura w naszym kraju"- twierdzi autor „Spotkań drugiego stopnia", dodając: „Fantastyka ma właściwie nieograniczone możliwości kreacji światów nieprawdziwych, może robić co jej się żywnie podoba, ale może także trzymać się wiernie realiów świata współczesnego, być do niego aluzją, jego metaforą, zwracać uwagę na zjawiska, które niepokoją, przerażają i jednocześnie udawać, że zainteresowana jest odległą przyszłością. SF była bardziej „bezpiecznym^ gatunkiem literackim i bardziej komfonowym niż jakikolwiek inny. Dlatego też rozkwitła w okresie, gdy nasza literatura szukała zastępczych form działania, gdy nie mogła opis wać wprost naszej rzeczywistości, swobodnie sięgać do wszystkich tematów". Jeśli ten wniosek potraktować z całą powagą, jego konsekwencje okażą się doniosłe w skutkach. Z praktyki literackiej wynika niezbicie, iż utopia, fantastyka, naukowa oraz tzw. fikcja niemimetyczna w rodzaju prozy gotyckiej, „imaginary story" pojawiały się zawsze w okresach szczególnych napięć społecznych, wstrząsów kulturowych, gwałtownych przeobrażeń świadomościowych, kiedy przyszłość cywilizacji rysowała się szczególnie mglisto i niejasno, a kłopoty z przepływem informacji nie zawsze ułatwiały rozpoznanie owego stanu rzeczy. W odniesieniu do literatury polskiej ostatnich lat kilkunastu gwałtowny rozwój prozy spekulatywnej byłby oznaką ogromnego dramatu tejże literatury. I zarazem - narastającego dramatu science fiction, która musi borykać się z problemami przerastającymi jej możliwości. Zdaniem Bugajskiego świadectwem przywracania właściwych proporcji twórczych stanie się powrót science fiction do zaspokajania funkcji ludycznych, rozrywkowych. Jest to hipoteza interesująca, choć kontrowersyjna, bowiem w całokształcie procesu historyczno-literackiego rzadko zdarzają się prawdziwe powroty do punktu wyjścia.
„Spotkania drugiego stopnia" trzeba zatem traktować jako kolejne rozpoznanie gatunku zdobywającego sobie coraz większe uznanie czytelników. Może zbyt mało jest w tej książce porównań i odniesień do konkretnych wydarzeń współczesności (pokolenie „Kolumbów", generacja'68), ale jednej rzeczy nie sposób jej autorowi odmówić doskonałej orientacji w topografii zjawiska, o którym pisze. Praca Leszka Bugajskiego może okazać się zatem cennym uzupełnieniem „Zaczarowanej gry" A. Smuszkiewicza.

Andrzej Niewiadowski

Leszek Bugajski: Spotkania drugiego stopnia. KAW, Kraków 1983. Cena 50 zł.



ny i chaotyczny, bo z interesowało go wiele rzeczy, a życie prywatne i twórcze miał trudne i pokręcone. Poe metodyczny,- dogłębny, Poe z niekłamanym naukowym zapleczem byłby to zapewne autor paru, a nie kilkudziesięciu opowiadań, krytyk i poematów - nie mielibyśmy więc aż dwutomowego wyboru. Poe sprawiedliwy, spokojny, wyważony przekreś la Poego ekstrawaganckiego i eksperymentatora. Poe dogłębnie oczytany, kompetentny znawca gatunków, które istnieją, wykluczałby raczej tego, pod którego piórem rodzą się gatunki nowe. Poe rezygnujący ze swych fantastycznych fascynacji, oznaczałby dziewiętnastowiecznego zapomnianego autora, za którego nikt nie da dziś pięciu groszy, W literaturze, jak w życiu, obowiązuje zasada - coś za coś. A więc w przypadku Poego rozległość była zapłatą za głębię. Intensywność, dramatyczność i szarża miały cenę umiaru, Za nowatorstwo przyszło zapłacić połowicznością. Przyszło Poemu stąpać krokiem czasem nierównym i chwiejnym, ale za to po dziewiczym terenie. Niepokój, awanturnictwo, ale i sława były alternatywą spokoju i zapomnienia. Co Poe zaczął, niesymetrycznie, krzykliwie, szkicowo, inni tacy jak Stevenson, Wells, Chesterton - kończyli w formach bardziej artystycznie dopracowanych. Ale to Poemu należy się wawrzyn wynalazcy i prekursora.
Na zakończenie wyznanie prywatne. Czytałem recenzowane opowiadania przed kilkunastu laty, w pierwszym wydaniu i pamiętam, że (podobnie jak później Borges i Cortazar) bardzo mi lektura Poego pomogła w stawianiu pierwszych literackich kroków. Wiem, że jest to doświadczenie, jeśli nie całej generacji, to na pewno paru młodych adeptów pióra, których literackim początkom miałem przyjemność asystować. Poe fascynuje młodych, przynależy bowiem do wcale licznej rodziny ludzi pióra właśnie niespokojnych i młodych duchem, którym rzeczywistość widzialna i namacalna nie wystarcza i którzy pragną ją piórem poszerzyć na przeróżne sposoby. Stąd też wyprowadzanie twórczości Poego wyłącznie z jego przekornej reakcji na racjonalną, mieszczańską kulturę współczesnej mu Ameryki wydaje mi się w dużej mierze chybione. Takie indywidua literackie są samorodne i zjawiają się w każdym czasie, a ich cechą zasadniczą nie jest to dokąd zmierzają, lecz to, że muszą burzyć granice. Na swój sposób przykrzy i nieokrzesani wymyślają świat i literaturę od nowa, chadzają wszędzie własnymi ścieżkami - dopiero z czasem okazuje się, że przecierają je także dla innych. Są geniuszami, lecz nie tworzą arcydzieł. Są samotni, lecz mają naśladowców. Bardzo wiele wymagają w sztuce od innych i od siebie, lecz jakże często bywają tandetni. Skłonność do marzycielstwa, do narkotycznych i alkoholicznych uniesień łączą z zadziwiającą trzeźwością rozumowania. Są na przemian bezwzględni i tolerancyjni... I za to, jacy są, bywają kochani przez miliony czytelników. Zapewne wszystko to w sumie jest rzeczywiście nieco chłopięce, ale pamiętajmy, że chłopięcość to stan skądinąd podniosły, z którego w dodatku niekoniecznie się wyrasta po przejściu mutacji.

Maciej Parowski

Edgar Allan Poe: Opowiadania. Wybór i wstęp: W. Kopaliński; przełożyli: S. Wyrzykowski (tom I), W. Furmańczyk, A. Staniewska, M. Stemar, A. Szpakowska, K. Tarnowska, B. Zieliński (tom II). Czytelnik, Warszawa 1984. Cena (tom I/II) 300 zł.

Goetel Ferdynand

(1890-1960)

Prozaik, dramaturg, publicysta

Urodził się 15 maja 1890 r. w Suchej w woj. krakowskim z ojca Walentego i Julii z Kohlerów. Studiował architekturę w Wiedniu, którą porzucił, aby udać się do Warszawy z zamiarem poświęcenia się literaturze. W listopadzie 1914 r., jako poddany austriacki, został internowany i wywieziony do Turkiestanu. Wrażenia z pobytu w Azji opisał w książce „Przez płonący Wschód" (1921). W latach dwudziestych powrócił do Polski. Drukował w „Zwrotnicy" i „Pamiętniku Warszawskim". W latach 1926-1933 był prezesem polskiego PEN-Clubu, w 1932 i 1939 prezesem Związku Zawodowego Literatów Polskich. W r. 1967 redagował „Kurier Poranny". W czasie okupacji hitlerowskiej pisywał do konspiracyjnego pisma „Myśl Państwowa" i wydawanego przez niemieckie władze okupacyjne dwutygodnika „Przełom". W r. 1942 wchodził w skład redakcji miesięcznika „Nurt". Po wojnie wyemigrował do Włoch, potem do Anglii, gdzie pozostał do końca życia. Zmarł w Londynie 24 listopada 1960 r. Opublikował m.in.: „Kar-Chat" (1923, powieść osnutą na tle egzotycznych wspomnień), opowiadania „Ludzkość" (1925), dramat „Samuel Zborowski" (1929), powieści: „Serce lodów" (1930), „Cyklon" (1939), „Tatry" (1953 - eseje), „Czas wojny" (1955 - pamiętniki), „Nie warto być małym" (1959). W publicystyce deklarował się jako zwolennik rządów totalitarnych, w prozie historycznej i podróżniczej był znakomitym gawędziarzem, rzecznikiem egzotyki, malowniczości życia i wszechstronności ludzkiego istnienia.

Ferdynand Goetel był również autorem groteski fantastycznej o problematyce społeczno-obyczajowej zatytułowanej „Król Nikodem". Komedia ta została wystawiona przez Leona Schillera na deskach teatru „Rozmaitości" we Lwowie w roku 1930, a jej fragmenty przedrukowane w „Wiadomościach Literackich" (1930/41).

Współtwórcą „Króla Nikodema" był Rafał Malczewski (1892-1965)malarz, literat, taternik, syn Jacka i Marii z Gralewskich. Urodził się 24 października 1892 r. w Krakowie. Studiował architekturę i filozofię. Malarstwa uczył się w Akademii Wileńskiej, a także pod kierunkiem ojca, który przekazał mu również zamiłowanie do literatury pięknej. W 1917 r. osiedlił się na stałe w Zakopanem. Tu powstały jego najciekawsze obrazy malowane w stylu określanym jako „prymitywistyczno-infantylistyczny". (Nagradzane wieloma medalami na wystawach w Brukseli, Budapeszcie, Wenecji, Moskwie i Nowym Jorku znajdują się obecnie w Muzeum Narodowym w Warszawie, Leningradzkim Ermitażu i National Gallery of Canada w Ottawie). Równolegle z malarstwem uprawiał Malczewski działalność literacką, którą zainicjował sonetami o tematyce tatrzańskiej („Taternik", 1921). Scenerią jego utworów były najczęściej Tatry (sensacyjne opowiadania „Narkotyk gór", 1928). Powszechne uznanie zyskała jego monografia „Tatry i Podhale" (1935). Malczewski był też świetnym felietonistą, współpracował z „Ilustrowanym Kurierem Codziennym" (1933-1939) i „Gazetą Polską" (1932 - 1939), pisywał do „Bluszczu", „Chwili", „Czasu", „Dziennika Lwowskiego", „Epoki", „Plastyki", „Sternika", „Świata", „Taternika", „Wiadomości Literackich". Jego zbiory felietonów ukazały się w tomach „Trzy po trzy o sporcie" (1938), „Od cepra do wariata" (1939). W roku 1937 autor „Tatr i Podhala" został odznaczony Złotym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury w dziedzinie sztuki. W grudniu 1939 r. przedostał się do Francji, stamtąd do Ameryki Południowej. Osiadł na stałe w Montrealu. Tu ukazywały się jego kolejne szkice i powieści. W 1959 r., ciężko chory, na wpół sparaliżowany przyjechał do Polski, przebywał m.in. w Zakopanem (w 1960 wydano jego zbiór szkiców poświęcony środowisku artystycznemu Zakopanego: „Pępek świata"). Zmarł 15 lutego 1965 r. w Montrealu.

Komedia fantastyczna „Król Nikodem" jest interesującym przykładem pamfletu politycznego posługującego się niewybrednym komizmem słownym i sytuacyjnym w celu ukazania prawdziwego oblicza rzeczywistości polskiej. Swoje krótkotrwałe powodzenie zawdzięcza niesłychanie przejrzystym aluzjom społecznym i obyczajowym, doskonale czytelnym w klimacie pomajowego zamachu stanu i zmian konstytucyjnych II Rzeczypospolitej. „Polityka w dziele literackim - pisał przed laty Stendhal - to strzał z pistoletu na koncercie, coś głośnego i wulgarnego, na co nie można jednak nie zwrócić uwagi". Ten sąd w całej rozciągłości stosuje się do dramatu Goetla i Malczewskiego. Konwencja przyszłościowa („... rzecz dzieje się w 2000 roku w potężnym państwie") jest tu wyraźnie umowna, a w sportretowanych osobach nietrudno dopatrzeć się rysów ówczesnych polityków i mężów stanu (kreacja Nikodema przypomina np. sylwetkę prezydenta Ignacego Mościckiego).

Głównym atutem dramatu jest zmysł aktualności, cięty język, barwny opis wydarzeń, które rozgrywają się w kulisach życia politycznego (rządzą nimi prawa korzyści materialnej, cynizm, wszechstronna ranga pieniądza). Historia nieudanego buntu przywódcy stojącego na czele marionetkowego rządu budzi refleksję nad zasięgiem i charakterem mechanizmów władzy, a w latach 1918-1939 nie była bynajmniej ewenementem należąc do silnego nurtu prozy politycznej, która dokonywała rozrachunku z polską rzeczywistością 20-lecia („Romans Teresy Hennert" - Z. Nałkowskiej, „Generał Barcz" - Kadena-Bandrowskiego, „Pokolenie Marka Świdy" - A. Struga, „Przedwiośnie" - S. Żeromskiego i in.) Warto przypomnieć, że podobną tematykę podejmie w rok później jeden z ciekawszych pisarzy tego okresu wypowiadający się w konwencji SF (→) Jan Karczewski (jego powieść „Automatyczny prezydent" okaże się polskim odpowiednikiem alegorii Karela Čapka - „R.U.R", 1924).

Bibliografia wybrana

- Mały Słownik Pisarzy Polskich, Warszawa 1981,
- Bukowski K.: Z teatru (w) „Wiek Nowy" (Lwów) 1930/88/3,
- Terlecki T.: Król Nikodem {w) „Świat kobiecy" (Warszawa - Lwów) 1930/22,
- Terlecki T.: Król Nikodem przed premierą w „Rozmaitościach" (w) „Słowo Polskie", Lwów 1930/297.

Rzecz dzieje się w r. 2000 w potężnym państwie

Osoby:

Król Nikodem I - automat, Inżynier Winkeleisen - później Nikodem H, Hrabia Wymarło później Nikodem III, Mateusz Pała - później Nikodem IV, Chloe, Hanusia, Apollo...

Poczekalnia I klasy na dworcu linii powietrznej. Na wprost ściana bez okien, na niej portret Nikodema I, pędzla Teodoryka Witkiewicza, wnuka Witkacego, pod nim flaga państwowa w dwóch kolorach: brązowym i jasnozielonym. Poniżej podróżny tron z duraluminium (...). Winkeleisen: Otóż młodzieńcze - nim staniesz u boku jego królewskiej mości musisz wiedzieć, że król Nikodem...

Pała: Nie jest żadnym królem... Apollo: Nie jest królem?

Wymarło: Jest! Jest! Królem jakiego nie było jak świat światem. Chodzi tylko o to, że nasz król posiada pewną, bardzo szczególną ułomność, która jest zarazem jego najwspanialszą cnotą. Król nasz, panie adjutancie, jakby to powiedzieć...

Pała: Nie jest człowiekiem!

Wymarło: Właśnie! Nie jest człowiekiem!

Apollo: Panowie ze mnie kpią? Jako adjutant króla jegomości nie powinienem tego słuchać!

Winkeleisen (klepiąc go po ramieniu): To się chwali. To się bardzo chwali. Cóż jednak robić, drogi poruczniku? Fakt jest faktem. Powiem ci nawet więcej: król Nikodem jest automatem z jakichś bliżej nie znanych nam metali. Cudownym, niewiarygodnym automatem, lecz tylko automatem.

Wymarło: Nawet świetny ród Wymarłów nie wydał z siebie tak wspaniałego, bezdusznego pudła.

Apollo: To niemożliwe! Król Nikodem chodzi!

Pała: Jak go puszczą z futerału.

Apollo: Je! Król mówi!

Pała: To co mu sufluje Winkeleisen.

Apollo: Ależ nie, nie uwierzę!

Winkeleisen: Za chwile przekona pan sie naocznie...

Apollo: Lecz skąd się na Boga wziął taki cudaczny automat?

Winkeleisen (niezbyt chętnie): Był taki, co go wynalazł (...) Pamięta pan epokę trzydziestoletniego bałaganu? Były to najcięższe czasy w historii państwa. Naród raz po raz wybierał sejm, bo już tylko umiał głosować. Sejm nim utworzył rząd tracił mandaty, rząd nim się utworzył łapał synekury lub uchwalał sobie emeryturę i dmuchał za granice. Głowa państwa ważyła tyle ile kapelusz, a naród wołał, że i to za wiele. Na znak protestu przeciwko anarchii obywatele kpili sobie z praw i nie płacili podatków. Dwa wspaniałe urodzaje zniszczyły ziemiaństwo, cena bowiem na produkty rolne spadła i ziarno gniło w spichrzach, czekając na koniunktury. Przemysł, aby móc eksportować za granice, pożerał ostatnie zapasy obcych walut ze skarbu państwa. Import pochłaniał eksport, banki zjadały producenta, aby podtrzymać konsumpcje. Trzech bezrobotnych żyło kosztem jednego, który sam żył z tego co ukradł.

Pała: Lud się burzył.

Wymarło: Arystokracja wzruszała ramionami...

Winkeleisen: Co tu mówić! Zupełny chaos. Ostatnimi laty nie przechodził już w sejmie żaden wniosek. Pamięta pan przecież, jak ten połobłąkany senator Wy prostek postawił nagle pytanie, czy dwa a dwa jest cztery? Dyskutowano dwa tygodnie udowadniając Wyprostkowi, choć to był ostatni notowany anioł w ludzkiej skórze, dwie defraudacje, jedno kazi-



KRÓL NIKODEM

Ferdynand Goetel i Rafał Malczewski

rodztwo i tuzin nadużyć. Po czym dwa a dwa jest cztery przepadło ogromną większością.

Pała: Przepraszam, za mną stała lewica!

Winkeleisen: Cóż z tego, że stała, kiedyś ty leżał?

Wymarło: Mnie popierał związek arystokratów!

Winkeleisen: A mnie kapitał. Niewiele nam to jednak pomogło. Wtedy dopiero w pewien prohibicyjny dzień zeszliśmy sie przypadkowo na wódce w knajpie „Pod śledziem marynowanym". Przy piątej kolejce zawarliśmy pakt wspólnego działania zwany w historii „Ugodą Marynowaną" lub „Sojuszem Wielkiego Śledzia". Nazajutrz, kiedy w Izbie zgłoszono trzysta rozbieżnych wniosków, postawiliśmy kontrwniosek o restytuowaniu monarchii. I stał się cud! Cała Izba wotowała za nami, z jednym, jedynym zastrzeżeniem, aby królem został ktoś bez politycznej przeszłości.

Apollo: Rozumiem. Ale skądżeż król Nikodem?

Winkeleisen: W tym cała rzecz, bo gdyby nie on nigdy by nam się nie udało. Obywatel bez przeszłości politycznej okazał się zupełną fikcją. Z kilku tysięcy zgłoszonych kandydatur nie utrzymała sie żadna. Rozwścieczony na nas sejm zainicjował wówczas w całym kraju strajk generalny. I oto w tej chwili zjawiła sie przed nami ta oto kobieta (wskazuje palcem na Chloe). Apollo: Pani?

Winkeleisen: We własnej osobie! Wiec mówi owa kobieta, że przywiozła z sobą automat mający wszelkie cechy żywego człowieka. Pomimo całego sceptycyzmu pojechaliśmy do hotelu, w którym owa dama stanęła.

Pała: Po prawdzie tośmy pojechali do niej, nie do automatu.

Winkeleisen: No i przyjacielu mój... osłupieliśmy tak, jak i pan osłupieje za chwile. Automat naszej pięknej nieznajomej przewyższał najśmielsze nasze przypuszczenia. Mało tego, iż zbudowany był na zupełne podobieństwo ludzkie, że miał postawę szlachetną, kwitnącą cerę i dostojny wyraz twarzy, ale i dal się kierować jak kto chciał za pomocą maleńkiego aparaciku nadawczego trzymanego w dłoni. Mówił, chodził, jadł - cud po prostu. Czyż mogliśmy sobie wymarzyć lepszego kandydata na króla? A dalej, cóż? Szczęśliwa era w życiu państwa. Król Nikodem, kierowany co miesiąc przez jednego z nas, a pod kontrolą wszystkich, panuje nam szczęśliwie w zgodzie z rządem, sejmem i narodem.

Apollo: Niesłychane rzeczy! Lecz skądże się wzięła ta maszyna? Winkeleisen: Wynalazł ją niejaki Rybak... uczony... mąż pani Chloe... Apolloo: Pani ma męża?

Chloe: Miałam męża.

Apollo: Ach, mąż pani umarł?

Pała: Co to to nie! Żyje, ale (robi znak ręką) siedzi pod kluczem.

Apollo: Był zbrodniarzem?

Wymarło: Tak jest! Zbrodniarzem stanu! Dowiedziawszy się, iż automat jego ma zostać królem przybył odebrać swój wynalazek. Groził publicznym zdemaskowaniem kandydata. Twierdził, że wynalazł aparat dla celów cokolwiek poważniejszych... iżby coś tam ulżyć ludzkości, że tylko on sam albo wybrany człowiek powinien nim kierować.

Apollo: Ale aparat był jego pomysłu, jego własnością!

Pała: A racja stanu? Choćby się był nie sprzeciwiał trzeba by go sprzątnąć (...). Czasy są demokratyczne, rozumiesz pan?

Apollo: Niezupełnie.

Pała: Czasy są demokratyczne... nie starczy mieć rozum, trzeba umieć udawać głupiego...

Na tarczy ukazują się sygnały. Dwu służących w niebieskich kostiumach wnosi spore pudlo, które stanowi rodzaj lektyki (...)

Winkeleisen (podchodzi do pudła i otwiera je kluczykiem. Na tle jasnej, atłasowej poduszki ukazuje się postać króla Nikodema): Znów ukradli jeden order! Pała: Mówiłem, żeby zmienić blachy na miedź.

Winkeleisen (otwiera gębę królowi):I grdyka nie naoliwiona! Doprawdy ci mechanicy zrobili się już niemożliwi! Pała : Bo awansowaliśmy ich już dwa razy, żeby nie kradli. Wsadzić by ich do Rybaka i wziąć drugich.

Winkeleisen: Kiedy i tak już za dużo tych wtajemniczonych. Połowa pańskiego budżetu idzie na zamkniecie ludziom gęby (...).

Winkeleisen: Baczność, król jegomość zaczyna urzędowanie! Nikodem (uśmiecha się, poprawia kołnierzyk, schodzi spokojnie z futerału, składa ukłon wszystkim i zaczyna przemawiać monotonnym głosem): Kierując sie sercem nie zapominamy o rozumie, czcigodni panowie. Spieszyliśmy z utęsknieniem do waszej pięknej krainy, aby spojrzeć na wasze przyjemne oblicza i ujrzeć słowa pełne ciepłej rozwagi. Znam wasze miasto i kocham, urodził się tu mój kucharz, a pasta do butów, której stale używam, jest również tutejszego wyrobu. Zbożna przeciętność waszych zamierzeń...

Apollo: Co to takiego? Wymarło: Pst! To próba dzisiejszej mowy.

Nikodem: ...i oględność poczynań raduje me serce od dawna, wiem jednak, że posiadacie w waszych murach tak niezwykłe osobliwości, jak najsmutniejsza na całym świecie kawiarnia i pies o pięciu potrzebnych nogach. Przedłóżcie śmiało wasze życzenia!

Chloe: Dosyć, umiemy to już na pamięć!

Nikodem: Wszystko, co leży w naszej mocy uczynimy, by słuszne żądania uwzględnić, wątpliwości, które by zaistniały, rozproszyć, a skargi ukoić.

Pała: Przestań! (zakrywa Nikodemowi gębę).

Nikodem (mówi pomimo tego): Panie burmistrzu, dziękuje za tak serdeczne przyjęcie (...)

Winkeleisen: Zawsze mi musicie przeszkadzać w próbie, a jak coś się nie uda to pretensja gotowa (...)

Nikodem (nagłym ruchem odrzuca go precz): Mam tego dość, bałwanie, obejmuje rząd sam!

Pała: Co to jest? On się wściekł! Nikodem: Nie będziesz się już znęcała nade mną fałszywa hołoto! od dzisiaj rządze sam... na kolana przede mną! Wracamy natychmiast do stolicy!

Pała i inni (klękają): O Boże... Król Nikodem ożył!

„Król Nikodem", fragmenty aktu I (w) „ Wiadomości Literackie" 1930/41.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

1947

SF dla dorosłych (ASF):

13. WELLS Herbert George: Niewidzialny człowiek. Tłum. z ang. (Wałbrzych) Spółdzielnia Wyd. „Wałbrzych" 16° ss. 124. Brak nazw. tłum.
14. WROCZYŃSKI Kazimierz: Baczność A R 7. Powieść o atomie. Warszawa. Wyd. „Ekspresu Wieczornego". 8° ss 232.
15. ZIEMIĘCKI Andrzej: Schron na placu Zamkowym. Powieść o Warszawie z 1980 roku. Warszawa. Wyd. „Kuriera Codziennego". 8° ss. 235, nlb. 1.
16. ŻUŁAWSKI Jerzy: Stara Ziemia. Powieść. Wyd. I powój. Warszawa. Wiedza. 8° ss. 280, nlb. 1.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

17. BASS Eduard: Klub jedenastu. Tłum. z czesk. Zdzisław Hierowski. Katowice. Wyd. AWIR. 8° ss. 138, nlb. 6. CJSF/F (właść. młodzieżowa satyra fantastyczna).
18. GUMIA Jan Wł.: Cudowny świat przygód. Wolny przekład (z niem.). Katowice. Wyd. AWIR. 8° ss. 196, nlb. 3. CJSF/F - Źródło: PAATZ Herbert: Doktor Kleinermacher fuehrt Dieter in die Welt.
19. UMIŃSKI Władysław: Balonem do bieguna południowego ponad lodami Antarktydy. Nowe wydanie (I powój.) przejrzane przez autora. Warszawa. Gebethner i Wolff. 8° ss. 247.
20. VERNE (Jules): Straszny wynalazca. Powieść fantastyczna. Tłum. z franc. K. Bobrówki. Wyd. I powój. Poznań. Księgarnia Ziem Zachodnich. 8° ss. 207. Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.

Utopia (U):

BASS E.: Klub... - zob. CJSF.
21. Čapek Karel: Fabryka absolutu. Tłum. z czesk. P(aweł) Hulka-Laskowski. Katowice (m. druku). Wyd. „Mewa". 8° ss. 194.
22. FRANCE Anatol(e): Wyspa pingwinów. Tłum. z franc. Jan Sten. Wyd. III (I powój.). Łódź. Książka. 8° ss. 279, nlb. 1. 10 000 egz.
23. KRASICKI Ignacy: Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki. Opracć. Stanisław Adamczewski. Wyd. I w tym opracowaniu. Warszawa. Książka. 8° ss. XI, 123, nlb. 1.10 000 egz. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych, nr. 12
24. (MORE Thomas): Utopia. Tłum. z łac. K(azimierz) Abgarowicz (na k. tyt. nieprawidłowo: Abganowicz). Przedm.: Maksymilian Rode. Poznań. Instytut Wyd. „Kultura". 8° ss. XXIII, 135. Na k. tyt. aut.: Św. Tomasz Morus.
25. SWIFT Jonat(h)an: Podróże Guliwera. Opracć, na nowo Witold Zechenter. Wyd. I w tym opracowaniu. Kraków. Wyd. M. Kot. 8° ss. 141, nlb. 2. Wyd. skrócone, obejmujące tylko Podróż do Liliputu i Podróż do Laputy.
26. SZTABA Zygmunt: Giełda przestaje notować. Powieść. Warszawa. Wyd. Stanisława Cukrowskiego. 16° ss 259, nlb. 1. U/AF.

Fantazja dla dorosłych (AF):

27. CAROLL Lewis: Ala w krainie czarów. Wolny przekład z ang. Marii Morawskiej. Wiersze tłum. A(ntoni) Lange. Wyd. IV (I powój.). Warszawa. Gebethner i Wolff. 16° ss. 185, nlb. 2. AF/CJF.
LSZTABA Z.: Giełda.... - zob. Utopia.

1948

SF dla dzieci I młodzieży (CJSF):

28. (?) LOVELL Jerzy: Miki jedzie na Księżyc. Łódź. Wyd. „Reklama". 8° ss. 15, nlb. 1 CJSF (?)/F.

Utopia (U):

29. KRASICKI Ignacy: Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki. Wstęp i koment.: Bronisław Gubrynowicz. Wyd. IV (do r. 1918 - powój. I), pełne. Wrocław. Ossolineum. 16° ss. XXXIV, 158, nlb. 1. 5000 egz. Biblioteka Narodowa. Seria I, nr. 4.
30. KRASICKI Ignacy: Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki. Opracć. Stanisław Adamczewski. Wyd. II w tym opracowaniu. Warszawa. Książka. 8° ss. XI, 123, nlb. 1. 10 000 egz. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych, nr. 12
31. ROMAŃSKI Marek: Miss o szkarłatnym spojrzeniu. Powieść sensacyjna. Łódź. Wyd. „Kolumna". 8° ss. 220 Romański Marek - pseudonim; właściwe nazwisko autora: Marek DĄBROWSKI.
TWAIN M.: Yankes... - zob AF.
32. (VOLTAIRE Franeois Marie Arouet de): Tak toczy się światek. Tłum. z franc. Boy (Tadeusz Żeleński). Ilustr. A. Uniechowski. Warszawa. Wiedza. 8° ss. 254, nlb. 3. Woltera Powiastki Filozoficzne. T. 2 - Na k. tyt. aut.: Wolter.

Fantazja dla dorosłych (AF):

33. PRUS Bolesław: Sen. Cienie. Wyd. II. Warszawa. Książka. 8° ss. 29. nlb. 2. Mała Biblioteczka „Książki", nr. 8.
34. TWAIN Mark: Yankes na dworze króla Artura. (Tłum. z ang.). Warszawa. Wiedza. 8° ss. 234, nlb. 3. 5000 egz. AF/U. - Brak nazw. tłum.

Horror (W):

35. LEROUX Gaston: Upiór Opery. (Tłum. z franc;). Łódź. Wyd. „Kolumna". 8° ss. 219. Brak nazw. tłum.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

W 1978 r. we Frankfurcie nad Menem Berend H. Feddersen, znawca i kolekcjoner dzieł sztuki zorganizował w jednej z tamtejszych galerii wystawę abstrakcyjnych obrazów młodej malarki japońskiej Yamasaki, której talent - jak powiadał - odkrył zupełnie przypadkowo. Krytycy ocenili obrazy na ogół pochlebnie, pod kreślając ich „surowy prymitywizm" i dziecięcą naiwność

Rozmowa

barwnych plam. Publiczność była zachwycona, tym bardziej że sama malarka pozostawała w ukryciu, a tajemniczość autora zwykle dodaje uroku jego pracom. Krytykom zrzedły miny, a publiczność obraziła się, kiedy Feddersen na konferencji prasowej przedstawił wreszcie tajemniczą malarkę: ku zgrozie wszystkich okazała sie nią szympansica zwana Barbelhen...

Historyjka ta może służyć do żartów na temat względności ocen współczesnej sztuki abstrakcyjnej, czy też w ogóle jej poziomu, snobizmu dzisiejszych koneserów sztuki, relatywizmu estetyki w ogóle itd. Ale można też sytuację odwrócić i zapytać: a może obrazy szympansa zawierały jednak jakieś elementy „sztuki prymitywnej" i oceny krytyków nie były tak zupełnie pozbawione podstaw? Taka interpretacja większości z nas wydaje się nie do przyjęcia - jakże to, małpa miałaby być twórcą? U podstaw całej kultury, systemów wychowawczych i oświatowych leży przekonanie, że między człowiekiem a resztą żywych istot na Ziemi istnieje przepaść nie do przebycia. 2e jesteśmy o tyle „wyżsi" od zwierząt, iż możliwość traktowania ich jako „młodszych braci", zdolnych może do jakichś uczuć nie tylko fizjologicznych lub do działań nie wyłącznie instynktownych - większości ludzi w ogóle nie przychodzi do głowy.

Naturalnie, „wiemy ze szkoły", że z resztą żywych istot na Ziemi łączy nas pewne ewolucyjne pokrewieństwo i że z małpami człekokształtnymi pochodzimy nawet od „wspólnego przodka". Wspólne pochodzenie nie zmienia jednak przekonania, że granica między zwierzęciem a człowiekiem jest absolutna, nieprzekraczalna i zarazem najzupełniej jednoznaczna i oczywista. Otóż najnowsze badania nad zachowaniem na przykład delfinów i małp podważają nieco pewność tego przekonania. Zajmijmy się na razie małpami.

Organizm małp człekokształtnych mniej różni się od organizmu człowieka, niż bylibyśmy skłonni przypuszczać. Na przykład spośród 1065 charakterystycznych cech anatomicznych - 753 cechy mamy wspólne z szympansem. Na poziomie niższym, tj. molekularnym, różnice są jeszcze mniejsze. Na przykład pewne bardzo ważne białko, enzym, dzięki któremu może oddychać każda komórka, tzw. cytochrom C, jest zbudowany ze 104 podstawowych cegiełek, aminokwasów. Spośród tych 104 aminokwasów tylko jeden jest inny u człowieka niż u rezusa, małpki z rodziny koczkodanów, zatem nawet nie antropoida (tj. małpy człekokształtnej). Można twierdzić, że gdyby przedstawiciele obcei cywilizacji zechcieli odróżnić ludzi od małp na podstawie wyłącznie różnic biochemicznych, mieliby ogromne trudności.

Małpy są obdarzone dużą inteligencją, wrażliwością i każda z nich stanowi odróżnialną od innych indywidualność (co zresztą łatwo zauważyć także u psów, kotów czy koni). Łączą nas z nimi podobne choroby, sposoby zachowania i podobne reakcje,

z tamtej strony lustra

z goryliczką Koko

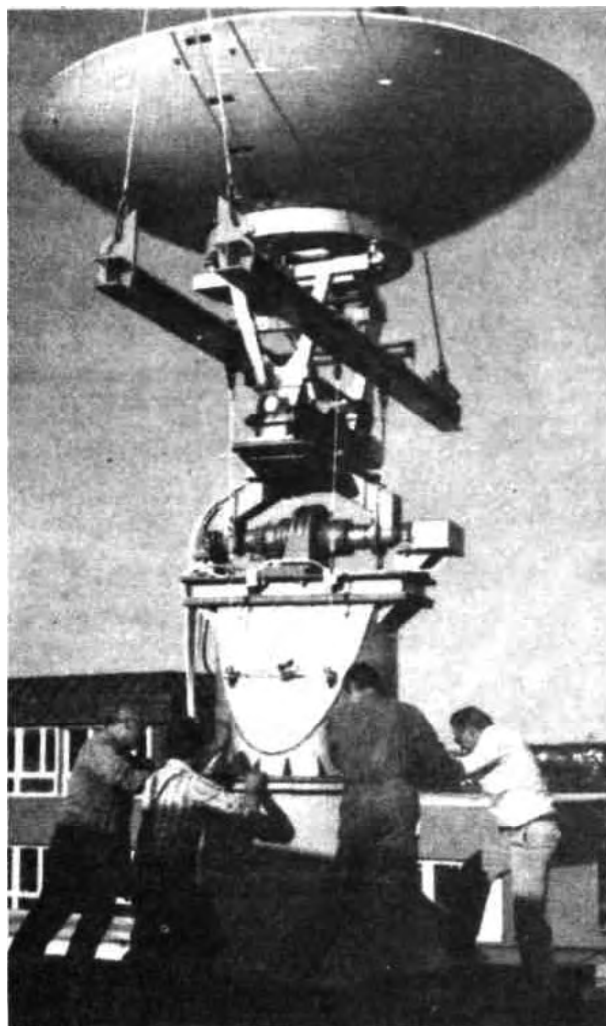
Maciej Iłowiecki

wyrażające te same podstawowe uczucia: niepokój, strach, ból, gniew, radość, przywiązanie... Małpy posługują się narzędziami, umieją podejmować wspólne działania, by osiągnąć jakiś cel, potrafią uczyć się i przewidywać różne sytuacje.
No tak, ale my posługujemy się przecież mową! Zwierzęta, jak wiadomo, doskonale porozumiewają się między sobą różnymi sposobami i w wystarczającym dla swoich potrzeb zakresie. A także potrafią porozumiewać się z ludźmi; ci, którzy kochają psy, wiedzą w jakim wielkim zakresie można porozumieć się z psem-przyjacielem. Wszakże język ludzki, pojęciowy, operujący systemem sygnałów drugiego stopnia, to znaczy „sygnałami sygnałów", miałby być zwierzętom z natury niedostępny. Miałby być właśnie ową nieprzekraczalną granicą między światem zwierząt i ludzi. Żeby bowiem posłużyć się takim właśnie językiem, trzeba dysponować przynajmniej zaczątkami myślenia, trzeba umieć odróżniać rzeczy od symboli rzeczy, mieć poczucie upływu czasu i poczucie własnej tożsamości. Trzeba mieć zatem jakiś rodzaj świadomości, początki własnego myślenia.
Otóż właśnie, nigdy nie udawało się nawet najinteligentniejszych małp nauczyć ludzkiej mowy. To zdawało się przesądzać sprawę. Zdumiewające, że dopiero zaledwie kilkanaście lat temu zwrócono uwagę na rzecz oczywistą: układ anatomiczny małpich krtani nie pozwala na wydawanie artykułowanych dźwięków ludzkiej mowy. I wówczas od razu w kilku ośrodkach badawczych - zrodził się pomysł prosty i genialny: próby nauczenia małp języka symboli nie muszą ograniczać się do nauki wymawiania słów, bowiem język symboli może operować obrazem lub gestem. Na Uniwersytecie Stanu Nevadą w Reno małżeństwo Gardnerów zaczęło uczyć szympansiczkę Washoe języka gestów - mowy głuchoniemych, (tzw. american sing language, w skrócie ameslan). Małpka szybko opanowała około 300 znaków, tzw. migów. Po kilku latach można było całkiem nieźle z nią się porozumieć - umiała wypełnić liczne polecenia przekazane ameslanem, umiała owym językiem gestów wyrażać swoje pragnienia, uczucia i nastroje. W styczniu 1979 r. Washoe urodziła syna. Nazwano go Sequoyah (na cześć twórcy alfabetu dla języka szczepu Indian Cherokee) i po paru miesiącach opiekunowie małego szympansa spostrzegli z najwyższym zdumieniem, że nie uczony przez ludzi Seguoyah także potrafi posługiwać się niektórymi migami ameslanu! Zakrawało to na cud: szympansica Washoe zaczęła uczyć dziecko ludzkiego języka gestów i to bez jakiejkolwiek zachęty ze strony ludzi.
Kiedy czyta się sprawozdania Gardnerów, rzeczywiście pewne rzeczy „nie mieszczą się w głowie". Kiedyś, na przykład, zastano Washoe kontemplującą swe odbicie w lustrze. „Kto to?" zapytał językiem gestów Allen Gardner, wskazując odbicie. „Ja, Washoe" - odpowiedziała odpowiednimi migami małpka (odrębny znak oznacza „ja", inny - imię). Małpka wskazała na siebie, nie na odbicie w lustrze. Zatem wiedziała, co to znaczy „ja" i wiedziała, że w lustrze znajduje się tylko jej obraz. Washoe umie też określić swój stan psychiczny („jestem smutna"), doskonale rozumie, czego się od niej żąda i czego może oczekiwać za spełnienie wymagań („będę grzeczna, dasz banana?").
Na Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii młoda badaczka Francine Patterson opiekuje się goryliczką Koko. Małpka ta (urodzona w 1971 r.) potrafi językiem głuchoniemych wyrazić bodaj jeszcze więcej niż Washoe. Kiedy Francine Patterson musiała raz opuścić goryliczkę rano i wróciła wieczorem, Koko poinformowała opiekunkę: „Dziś rano byłam smutna i płakałam". Jest zatem świadoma upływu czasu i przemijania...
Kiedyś Koko podrapała Francine, ta zaś odgrywała przez cały dzień obrażoną. Na drugi dzień Koko nie mogła już tego znieść i ze skruszoną miną oświadczyła: „Koko była niedobra, źle (jest) drapać i gryźć". „Dlaczego mnie podrapałaś?" spytała Francine. „Byłam szalona" - odpowiedziała małpka i zaczęła częstować opiekunkę mlekiem, które właśnie dostała - z wyraźnym trudem przełamując łakomstwo. Innym razem Koko bawiąc się w łazience zbiła umywalkę. Natychmiast pognała do swego pomieszczenia, gdzie zaczęła się spokojnie bawić. „Co zrobiłaś?" - pyta Francine. „Nic, byłam grzeczna i spokojna" - miguje goryliczka. „Kto zbił umywalkę?" - „Kasia - tam - niegrzeczna" brzmi spokojna odpowiedź (Kasia jest asystentką dr Patterson, zresztą głuchoniemą i posługuje się wyłącznie ameslanem). Zatem goryliczka kłamie i czyni tak po to, by uniknąć kary! Zdawało się dotąd, że kłamanie jest wyłączną właściwością człowieka. Koko na codziennym spacerze zatrzymuje się przed koniem ciągnącym wózek mleczarza. „Koń - .smutny" - pokazuje gestami. „Dlaczego?" pyta opiekunka. Goryliezka wskazuje na wędzidło: „Zęby - boli - smutny". Czy można przypuszczać, by zwierzę znało w s p ó ł c z u c i e ? Koko płacze, gdy Francine opuszcza ją choć na chwilę. Ale potrafi też nieźle wymyślać opiekunce, stosując swoiste stopniowanie. „Zwykłe" przezwisko to po prostu „Ty - brudna" (i ciekawe, że wszystkie małpy uczone języka gestów używają w gniewie tego właśnie określenia). Kiedy Koko naprawdę jest zła na kogoś, gniewnie gestykuluje: „Ty - ptak" (wyraźnie nie lubi i boi się ptaków) albo „Ty - obcas" (to już nie wiadomo dlaczego, może ktoś ją kiedyś kopnął). Raz, kiedy rozzłoszczona goryliczka popłakała się ze złości, gdy jej czegoś zabroniono, nazwała opiekunkę „brudną, złą ubikacją".
Koko często bawi się w przyjęcia na niby, tak jak małe dzieci. Częstuje wtedy swoje lalki p u s t ą filiżanką i gestami zaprasza: „Pij mleko". Potrafi nazwać nowy, nieznany sobie przedmiot, posługując się nauczonymi już znakami gestów. Na przykład nazwała kiedyś maskę karnawałową „otworem na oczy". Dr Patterson ocenia, iż możliwości Koko sięgają poziomu czteroletniego inteligentnego ludzkiego dziecka. W Ośrodku Badania Ssaków Naczelnych im. Yerkesa (w Atlancie, w Georgii, USA) uczy się małpy języka, w którym funkcję stów spełniają proste symbole geometryczne (koło, trójkąt, kwadrat itd). Jest to więc język ideograficzny, nazywany yerkishem (od nazwiska patrona Ośrodka). Rysunki umieszczone są na klawiszach, które należy przyciskać. Kombinacja różnych znaków oznacza odpowiednie pojęcie, zaś na ekranie komputera ukazują się odpowiadające kombinacjom znaków zdania po angielsku. Sześcioletnia szympansica Lana potrafi - naciskając klawisze - wyrazić c6 najmniej 100 poprawnych, choć krótkich zdań, stanowiących odpowiedzi na pytania lub wyrażające jej prośby czy stany psychiczne. Wyniki doświadczeń były tak obiecujące, że system „yerkish" postanowiono zastosować w pracy z dziećmi upośledzonymi,



nie mogącymi mówić i jeszcze jedna niezwykłość z tej dziedziny. Szympansica Moja z pracowni Gardnerów lubi rysować kredą na tablicy. Zwykle rysuje dziwaczne „abstrakcje" albo po prostu nieregularne kreski. Raz narysowała jednak kształt, przypominający skrzyżowanie ryby z samolotem. „Co to jest?" spytano Moje. - „Rak" - odpowiedziała. Potem, w obecności zwołanych szybko ekspertów, narysowała jeszcze inne kształty, oświadczając, że są to kot i truskawka. Rysunki Moji, publikowane w wielu pismach na świecie, przypominają malowanki przedszkolaków. Są przecież rysunkami świadomie mającymi coś przedstawiać. Szympans chciał narysować ptaka i zrobił to, rysując nie tego, konkretnego ptaka, ale „ptaka w ogóle", symbol ptaka.
Trzeba pamiętać, że doświadczenia tego typu dopiero się zaczęły. Małpy człekokształtne w ich naturalnym środowisku nie mają takich „bodźców intelektualnych", nie bywają uczone przez ludzi, i zresztą mają w ogóle inne problemy do rozwiązania. Zdolności do symbolicznego myślenia, posługiwania się abstrakcyjnym językiem i pewną swoistą logiką są zdolnościami potencjalnymi. Można przypuszczać, że u wielu zwierząt, zwłaszcza wyższych, można byłoby przez odpowiedni trening ujawnić owe potencjalne możliwości. Wiele zależy od klucza, którym można trafić do psychiki zwierzęcej. Sprawozdania na temat „mówiących małp" wywołały naturalnie głosy sceptyków Niektórzy bowiem uczeni nie mogą po prostu uwierzyć, że zwierzęta, nawet tak bliskie człowiekowi jak szympans czy goryl, są w stanie pojmować symbole i wyrażać nimi różne informacje. Być może mamy tu do czynienia jedynie z doskonałą pamięcią, z czysto, mechanicznym odtwarzaniem wyuczonych bezmyślnie znaków, A może Gardnerowie, pani Patterson i inni badacze - ludzie, którzy bardzo kochają zwierzęta - podświadomie naciągają wyniki?
Skądinąd zawsze mnie też zastanawiało, dlaczego temat porozumienia się ze zwierzętami, dość rzadko pojawia się w literaturze SF. Najsłynniejszą bodaj książką na ten temat jest piękna baśń dla dzieci o doktorze Doolittle, który poznał języki różnych gatunków i potrafił rozmawiać ze wszystkimi stworzeniami Ziemi. Znana jest również książka Vercorsa „Zwierzęta-niezwierzęta" i kilka innych.
Nie wydaje mi się fantazją myśl, że kiedyś odnajdziemy klucz do tego, by w pełni zrozumieć, co mogłyby nam przekazać szympans, delfin albo pies. Czego się wówczas od nich dowiemy?

Listy z Ziemi



Prasa doniosła w sierpniu 1983'r. o odkryciu przez naukowców amerykańskich układu planetarnego gwiazdy Wega. Za pomocą teleskopu umieszczonego na orbicie okołoziemskiej udało się uzyskać dane stwierdzające, ze wokół tej gwiazdy, odległ] od Ziemi o 26 lat świetlnych, krąży pierścień materii. H. H. Auman i F, Gillett, którzy pierwsi zaobserwowali to zjawisko, twierdzą, że masa tych obiektów może być porównywalna z masą planet znajdujących się w naszym Układzie Słonecznym. W ten sposób po raz pierwszy uzyskano dowód, potwierdzający hipotetyczną dotychczas możliwość istnienia ciał znacznych rozmiarów wokół gwiazdy innej niż Słońce.

Dwa miesiące wcześniej, 13 czerwca amerykańska sonda kosmiczna „Pionier-10" minęła orbitę Neptuna i z prędkością 49 tys. kilometrów na godzinę pomknęła w przestrzeń międzygwiezdną opuszczając na zawsze Układ Słoneczny. „Pionier-10" poniósł w bezkresną otchłań kosmosu wiadomość o naszym istnieniu. Na pozłacanej płytce aluminiowej umieszczonej na powłoce wystrzelonej 11 lat temu sondy zostało wyryte posłanie, zawierające minimalny zasób wiedzy o Ziemi i człowieku. Dziś cały świat zna figury kobiety i mężczyzny z ręką wyciągniętą w powitalnym geście, schemat Układu Słonecznego z zaznaczonym torem lotu „Pioniera", symbolicznie określoną odległość naszego Słońca od najbliż szych pulsarów i ich charakterystykę. Wiadomości o naszym istnieniu - tu, na Ziemi wysyłane są w kosmos od 25 lat. Pierwszym „listem" był metalowy proporczyk umieszczony na radzieckiej automatycznej stacji międzyplanetarnej „Luna-1" wystrzelonej w kosmos 2 stycznia 1955 r. Poczynając od tej daty proporczyki z herbem i abrewiaturą ZSRR są mocowane na wszystkich międzyplanetarnych stacjach automatycznych wystrzeliwanych przez Związek Radziecki. Ostatnie plakietki umieszczone na stacjach „Wenus-13" i „Wenus-14" przedstawiają popiersie W.I. Lenina i jego imię. Stacje te będą okrążać naszą „gwiazdę poranną" po orbitach heliocentrycznych przez nieokreślenie długi czas.

Znacznie bardziej skomplikowanych informacji dostarczyć ma naszym ewentualnym odkrywcom krzemowy pojemnik pozostawiony na Księżycu przez jego pierwszych zdobywców - Armstronga i Aldrina. Pojemnik wielkości chronometru zawiera posrebrzaną taśmę aluminiową z elektronicznym zapisem pozdrowień od szefów państw w 74 językach, wyjątek z przepisów USA dotyczących nawigacji lotniczej i kosmicznej, listę ważniejszych funkcjonariuszy NASA i fragmenty przemówień prezydenta Nixona. Na Księżycu pozostawiono też plakietkę z napisem „Ludzie z planety Ziemia stanęli na Księżycu po raz pierwszy w lipcu 1969 r. Przybyliśmy tu w imię pokoju dla całej ludzkości", a-także przekazaną przez ówczesnego sekretarza generalnego ONZ, U Thanta specjalną pocztówkę, na której został wydrukowany wstęp do Karty Narodów Zjednoczonych. Po drugiej stronie pocztówki znajduje się 7 znaczków obrazujących aspiracje i osiągnięcia ONZ. Również następny sekretarz generalny ONZ, Kurt Waldheim miał możliwość przesłać nieznanym dziś jeszcze braciom w rozumie swe posłanie.

Jego głos uwieczniony został na wideopłytach znajdujących się na pokładzie dwóch amerykańskich „Voyagerów".

Przekaz niesiony przez „Voyagery" jest najobszerniejszą wizytówką człowieka wyniesioną w przestrzeń kosmiczną. Dlatego tez warto szczegółowo przeanalizować jego treść. Początkowo planowano nagranie na płytę 6 fotografii: Ziemi, cząsteczki DNA, człowieka i zwierząt. Z czasem liczba nagranych zdjęć wzrosła do 118. Zadanie postawione przed uczonymi nie należało do najłatwiejszych. W ciągu zaledwie dwóch tygodni mieli oni przedstawić do akceptacji spis obrazów, dźwięków i utworów muzycznych, nakreślić niezbędne schematy i diagramy, nagrać to wszystko na wideopłytę. Zapis [jednej czarno-białe] fotografii zajmował 8 sekund Na etapie projektu wiele dyskusji wywołała kwestia, czy odbiorcom przesłania przedstawiać świat Ziemian w kolorze, czy w odcieniach bieli i czerni. Nagranie jednego kolorowego zdjęcia zajmuje dwukrotnie więcej czasu, co przy ograniczonej objętości nagrania nie było faktem bez znaczenia. Wybór kompromisowego rozwiązania przesądziła konieczność przedstawienia w kolorze Widma światła słonecznego. Wśród 118 zdjęć 20 fotografii jest barwnych. Przedstawiają one m.in. Ziemię widzianą z kosmosu, wspomniane już widmo światła słonecznego (tęcza), dzieci różnych narodowości i różnych kolorów skóry, zimowy pejzaż, zachód słońca, świat podmorskich głębin i penetrującego go nurka, pejzaż współczesnego miasta.

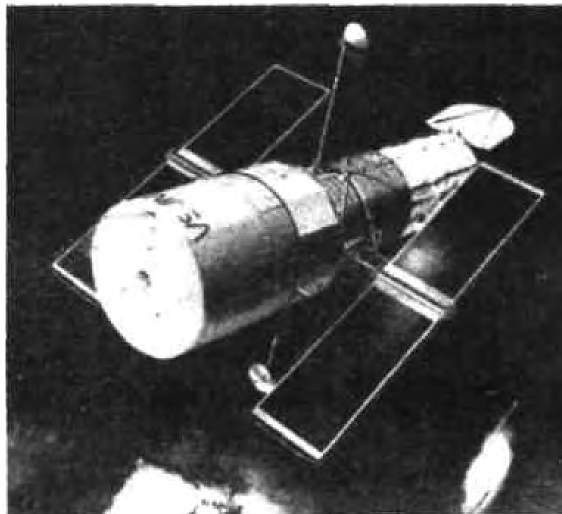
Pozłacana miedziana wideopłyta waży 0,567 kg i jest opakowana w aluminiową folię zawierającą instrukcję oraz igłę umożliwiającą odtworzenie płyty. Czas nagrania - ok. 2 godz. Na powierzchni płyty naniesiono uran - 238, którego czas półrozpadu wynosi 4,51 mld lat. Ewentualny odbiorca przesyłki będzie mógł dzięki temu określić jej wiek. Wystarczy porównać ilość powstających w wyniku rozpadu izotopów z pozostałą masą uranu.

Jeden z pierwszych nagranych na płytę obrazów - to swego rodzaju „słownik" zawierający podstawowe jednostki masy, miary i czasu, a także systemu liczenia. Dla przykładu - schematycznie przedstawiono atom wodoru (pierwiastka najczęściej występującego w kosmosie) w momencie zmiany jego postaci energetycznej. Wtedy właśnie wodór o masie 1 M wysyła promieniowanie o częstotliwości 1 f t długości 1 L. Z tych trzech jednostek wyprowadzono jednostki masy, długości i czasu. Teraz dopiero zaczyna się opowieść o nas samych.

Najpierw o tym, gdzie znajduje się Ziemia. Schemat przedstawia Układ Słoneczny z zaznaczoną na nim Ziemią, a także średnią odległość poszczególnych planet od Słońca i szybkość ich obrotu. Następna fotografia widma światła słonecznego niesie podstawowe informacje o tym, do jakiej klasy gwiazd zaliczyć należy naszą gwiazdę. Teraz kolej na zdjęcie samej „błękitnej planety".

Następne zdjęcia opowiadają o życiu zamieszkujących Ziemię istot. Dwa z nich przedstawiają strukturę DNA - kwasu dezoksyrybonukleinowego, który jest nośnikiem informacji o tym, jak rozwija się każdy organizm. Inne prezentują anatomię istot ludzkich i sposób rozmnażania. Wspomniana już fotografia dzieci - to wizytówka różnych ras ludzi zamieszkujących Ziemię. Na dwóch zdjęciach przedstawiono pięciopokoleniową rodzinę i schematyczny wybór sylwetek przedstawicieli różnych pokoleń z podaniem ich wieku i masy ciała. Wiek najstarszej, 80-letniej babci jest zarazem przeciętną długości życia człowieka.

Żyjemy na Ziemi i badamy ją. Inny schemat obrazuje ruch kontynentów. Od prakontynentu istnie jące-



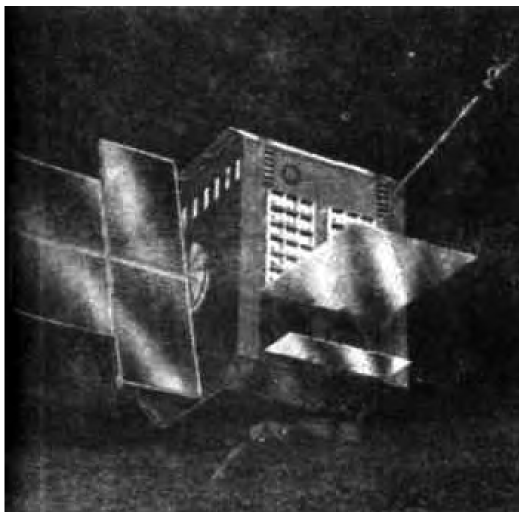


go na Ziemi 3 mld lat temu, przez ich obecne położenie do sytuacji, jaką przybysze z kosmosu mogą zastać za 10 mld lat. Na tym schemacie oznaczono też moment pojawienia się na Ziemi człowieka. Przekazanie podstawowych wiadomości o budowie i składzie chemicznym Ziemi - to zadania schematu. Określoną informację niosą nawet kolorowe pejzaże - na zimowym widnieje schemat heksagonalnej budowy płatka śniegu. To jedynie część spośród umieszczonych na płycie zdjęć. Zawiera ona również pisemne pozdrowienia w 55 ziemskich językach. Wybór formy pozdrowień pozostawiono już inwencji samych nadawców - stąd bogactwo treści. Warto przytoczyć choćby kilka:

„Pozdrawiamy was! Nie gryziemy! A wy? Zawsze wasza - Ziemia". „Pozdrawiamy was kimkolwiek jesteście. Przyjaźnimy się z tymi kto jest naszym przyjacielem". „Pozdrowienia dla wszystkich. żyjących we wszechświecie". „Witamy naszych przyjaciół z dalekich gwiazd. Chcemy kiedyś spotkać się z wami".

Istotnym uzupełnieniem obrazu Ziemi jest dwunastominutowy zapis dźwiękowy. Z płyty płyną dźwięki towarzyszące wybuchowi wulkanu, trzęsieniu ziemi, burzy. Mają one opowiedzieć o burzliwych i dramatycznych epizodach związanych z narodzinami naszej planety. Mieszkańcy innych planet być może usłyszą, jak świszczę ziemski wiatr, jak o dach bębnią krople deszczu, usłyszą szum morskiego przypływu, granie świerszczy i kumkanie żab, śpiew ptaków, rżenie konia, śmiech człowieka i odgłos jego kroków, bicie ludzkiego serca, trzask płonących drew. Usłyszą syreny statków wracających do portu i stukot kół odjeżdżającego pociągu, ryk silników startującego samolotu i pisk opon samochodu. Czy ewentualnych słuchaczy z kosmosu urzekną, jak nas - Ziemian - dźwięki otwierających kolejną część nagrania preludium i fugi J.S. Bacha, czy potrafią docenić bogactwo form i odrębność kulturową muzyki zairskiej, senegalskiej, japońskiej, bułgarskiej, meksykańskiej czy gruzińskiej? Dziewięćdziesięciominutowe nagrania zamyka 13 kwartet smyczkowy L. van Beethovena. Analiza materiału zawartego na wideopłycie zajmie odbiorcom przesyłki dużo czasu. Czy prawidłowo zrozumieją jego treść? Czy przekaz ma szanse kiedykolwiek dotrzeć do istot rozumnych? I czy, co najważniejsze, istnieją we wszechświecie istoty rozumne, dla których dziś podejmujemy wysiłek porozumienia? Wątpliwości można mnożyć. Ale współczesna wiedza pozwala nam budować już nie tylko teorie, będące próbą odpowiedzi na te pytania. W dostępnym naszym obserwacjom wszechświecie istnieje 10 mld galaktyk. Każda z tych galaktyk liczy ponad 10 mld gwiazd. Wega - jedna z tych miliardów gwiazd otoczona jest przez krążące wokół niej planety. Życie rozumne nie musi być we wszechświecie wyjątkiem, ani nawet rzadkością.

Marek Car



Dwa dni „Orbitowania"

Zgodnie z zapowiedzią w numerze 3/83 dziś wstrzelimy się w „Orbitę". Początkowo mieliśmy pewne kłopoty z lokalizacją celu, jednak dzięki koledze Pawłowi Porwitowi otrzymaliśmy właściwy namiar: Poznański Oddział Polskiego Stowarzyszenia Miłośników fantastyki „ORBITA", os. Kosmonautów 118 w Poznaniu. Wraz ze współrzędnymi geograficzno-administracyjnymi redakcja otrzymała zaproszenie do wzięcia udziału w seminarium „Pozycja fantastyki we współczesnej literaturze i filmie". Najpierw jednak spróbujmy choć w przybliżeniu naszkicować bieg wydarzeń, które do zorganizowania tego seminarium doprowadziły.

Na małą skalę, bo na małą, ale zaczęło się to już w 1973 roku, kiedy poznańscy studenci z inicjatywy Mieczysława Kurpisza postanowili założyć klub fanów SF. Bardzo szybko klub ten uległ samoistnemu rozpadowi, lecz przecież początek został zrobiony. W roku 1976 w Warszawie powstał Ogólnopolski Klub Miłośników Fantastyki i Science Fiction, w tym samym roku odbył się w Poznaniu Eurocon III. Być może te dwa fakty przyczyniły się do tego, że w grudniu 1977 roku w „Expressie Poznańskim" ukazało się ogłoszenie o organizowaniu księgozbioru literatury SF przez filię Biblioteki Publicznej im. E. Raczyńskiego. W notatce zawarte było również zaproszenie skierowane do tych miłośników SF, którzy pragnęliby o przeczytanych książkach podyskutować. Pierwsze spotkania sami organizatorzy uznają teraz z dystansu pięciu lat działania - za mało interesujące i nie spełniające pierwotnych założeń. Ambicje animatorów poznańskiego ruchu zaspokoiła dopiero zorganizowana przez nich w maju 1978 roku największa w Polsce wystawa książek i wydawnictw fantastyczno-naukowych. Wystawa przyciągnęła nie tylko fanów. Zwiedziło ją nawet wielu zagranicznych gości, bawiących akurat na Międzynarodowych Targach. Ubocznym skutkiem wystawy było zaginięcie kilkunastu najciekawszych książek SF oraz... Księgi Pamiątkowe! Klubu. Było to zarówno kolejnym dowodem na to, że pasje prawdziwych kolekcjonerów nie znają przeszkód ani granic, jak i potwierdzeniem chronicznego braku książek SF w naszym kraju. Lukę tę koledzy z Poznania postanowili w miarę możności zapełnić, jest to jednak aspekt ich działania wart odrębnej wzmianki.

W listopadzie 1978 roku pięciu delegatów z Poznania przybyło na międzynarodowe seminarium „Orbity Przyjaźni" zorganizowane w Warszawie przez OKMFiSF. Plonem tego wypadu było wiele nowych kontaktów z klubami na terenie całego kraju, wzajemna wymiana doświadczeń z działalności, wiele nowych pomysłów. Tymczasem - jak na złość - rok 1979 zaczął się pod znakiem nieporozumień Klubu z dotychczasowym mecenasem - Miejską Biblioteką Publiczną w Poznaniu. Ostatecznie nowym mecenasem (i sponsorem) Klubu został Osiedlowy Dom Kultury „Orbita", który dzięki uprzejmości dyrekcji użyczył Klubowi nie tylko nazwy, lecz i sali, w której organizowano giełdy książek, odczyty i prelekcje, pokazy filmów i przezroczy oraz spotkania z pisarzami.

Dzięki energii i wysiłkom ówczesnego zarządu Klubu w październiku 1979 roku w Napachaniu k. Poznania zorganizowano III Ogólnopolskie Plenum Klubów Fantastyki Naukowej. Warto również podkreślić fakt, iz działalność poznańskiego Klubu zainspirowała lokalną TV do stworzenia programu „Telewizja Młodych Kosmonautów «Orbita»". Programowi temu dorabiano - m.in. w „Wirażach" - nieco inne podłoże, fakt jednak pozostaje faktem: pierwszymi uczestnikami tego programu byli członkowie „Orbity".

Lata 1980-82 upływają pod znakiem pewnego zastoju w działalności typowo imprezowej. Jedynym znaczącym wydarzeniem staje się zorganizowane w maju 1980 roku seminarium w Wągrowcu, poświęcone nurtom rozwojowym współczesnej fantastyki naukowej. Poza tym jest tylko monotonne i nużące dreptanie po wszystkich możliwych urzędach w walce o prawo wydawania własnego fanzinu, którego pierwszy numer ukazał się już w 1979 roku jako okazjonalne dopełnienie Plenum w Napachaniu. Od maja 1982 roku zaczyna się ożywienie działalności „Orbity", w październiku zapada decyzja o przyłączeniu się „Orbity" do Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki na prawach oddziału PSMF. Przy okazji pisania o „Nostromo" wspomniałem juz o współpracy obu klubów, co zaowocowało przeglądem filmów w maju 1983 roku.

Warto również powiedzieć parę ciepłych słów pod adresem pani Alicji Lech - dyrektorki Osiedlowego Domu Kultury „Orbita". Dzięki niej możliwa jest zarówno ta codzienna działalność Oddziału, jak i ta obliczona na szeroką popularyzację fantastyki naukowej w naszym kraju. To jej propozycją było zorganizowanie jubileuszowego sympozjum, poświęconego pozycji fantastyki w literaturze i filmie. Seminarium to odbyło się w dniach 17-18 września 1983 roku w ODK „Orbita". Niestety nie wszyscy zaproszeni prelegenci przybyli, zawiódł na przykład S. Otceten, który miał opowiedzieć o literaturze fantastyczno-naukowej w oczach krytyki. Nie odbyła się również prelekcja na temat ewolucji filmu SF w Polsce i na świecie. Jak wiadomo, wszystkie tego typu niespodzianki raczej źle wpływają na przebieg całej imprezy, powodują powstawanie luk w programie, zmuszają do dokonywania szybkich przesunięć. Sprawności organizatorów, umiejętnościom pozostałych prelegentów należy zawdzięczać to, że seminarium na ogół przebiegało poprawnie, że zostawiło po sobie miłe wrażenia i świadomość, że warto było przyjechać. Można się było wiele nauczyć słuchając pana Smuszkiewicza opowiadającego o roli rekwizytów w utworach SF, można się było uśmiechnąć słuchając barwnej i ciekawej wypowiedzi pana Kołodyńskiego na temat recepcji filmu SF w Polsce, wzbogaconej o ciekawostki i anegdoty związane z powstawaniem i rozpowszechnianiem filmów fantastyczno-naukowych. Być może ten opis działalności kolegów z Poznania brzmi trochę jak laurka, trudno jednak nie zgadzać się z faktami. Na pewno, jak w każdym innym klubie miłośników (nie tylko SF) dochodzi do ostrych sporów, do zaciętych dyskusji, może nawet kłótni spowodowanych problemami organizacyjnymi lub względami czysto osobistymi. Nie przeszkadza to jednak „Orbicie" funkcjonować w sposób zgodny z przyjętymi założeniami, czego efektem są nie tylko wymienione przeze mnie imprezy o zasięgu ogólnokrajowym. W grę wchodzi przecież systematyczna już działalność wydawnicza, organizowane co miesiąc giełdy książki i ogłaszane dwa razy w roku aukcje książek będących własnością Oddziału, współpraca nie tylko z klubem „Nostromo", ale i z innymi klubami na terenie kraju (dowodem tego chociażby wypożyczona od kolegów z Lodzi wystawa rysunków „Dzieci i SF") oraz systematyczne dokonywanie zakupów książek dla członków Oddziału

Wszystko to pochłania olbrzymie ilości czasu i energii, a trzeba podkreślić, że „Orbita" wcale nie jest największym klubem. Liczy sobie 34 osoby uznawane za czynnych działaczy, 8 członków korespondentów oraz... bardzo wielu sympatyków, czyli osób co najwyżej biernie uczestniczących w imprezach. Tymczasem zamiary działaczy obejmują organizowanie kolejnych imprez o dużym zasięgu. Należy do nich zaliczyć przede wszystkim konkurs literacki, organizowany we współpracy z redakcją miesięcznika „Nurt" i Wydawnictwem Poznańskim, (szczegółowe informacje można uzyskać w siedzibie Oddziału). Niektóre z pozostałych planów na przyszłość działacze zdradzili wysłannikowi naszej redakcji, ponieważ jednak twierdzą, że należy przede wszystkim mówić o dokonaniach - na razie nic o tym nie napiszemy. W tej sytuacji zostaje nam tylko życzyć wszystkim członkom Klubu, by promień „Orbity" coraz bardziej się powiększał.

(ARK)


DZIERŻONIOWSKIE
DNI
FANTASTYKI

O dziewiąte! rano siedzimy już w przedziale i z coraz większym niepokojem zerkamy na zegarki - brakuje jeszcze Maćka Parowskiego. Dziewiąta dziesięć, dziewiąta dwanaście... Pół minuty przed odjazdem na peronie pojawia się Maciek, razem z nim zadyszana Ania Szulc z Telewizji. Gadamy przez chwilę, potem zaczynamy systematyczne przeczesywanie pociągu - jest pierwsza znajoma twarz. Janusz Zajdel, obok niego Julia Nidecka. Parę przedziałów dalej skromnie siedzi pan Stefan Weinfeld. W efekcie nawet nie zauważamy, kiedy mija sześć i pół godziny jazdy z Warszawy do Wrocławia. Dopiero w czekającym przed dworcem samochodzie zaczynam czuć zmęczenie. Drobiazg - jeszcze tylko godzinka podróży, potem zjemy obiad, odpoczniemy w hotelu... Brutalna rzeczywistość zadaje, kłam naszym cichym marzeniom. W minutę po dojechaniu do Dzierżoniowa wpadamy we wściekły młyn. Okazuje się, że już jesteśmy spóźnieni. Zmieniamy samochód, zamiast obiadu dojadamy kanapki zabrane na drogę. Paręnaście minut po piątej jesteśmy już w Wałbrzychu. Nawet nie mamy okazji obejrzenia okolicy, bo o tej porze roku zmierzch zapada wcześnie. Szybki podział na grupy „bojowe" - naczelny zabiera jedną, mnie powierza drugą. Kilka minut później w dwóch punktach miasta zaczynają się dwa równoległe spotkania Czytelników z redakcją „Fantastyki". Opowiadamy o piśmie, o fantastyce naukowej, o kłopotach z papierem. Rysiek Wojtyński, jak umie i może, stara się zastąpić nieobecnego kierownika graficznego redakcji. Wychodzi mu to wcale, wcale... - ostatecznie współpracuje z nami niemal od samego początku. Pytań na tym spotkaniu pada niewiele, ale są bardzo rzeczowe. Co zamierzamy zmieścić w najbliższych numerach, skąd ciągłe opóźnienia, czemu tak mały nakład? Tłumaczymy, odpowiadamy, wyjaśniamy. Że konkurs wzbogacił redakcję o ciekawe prace, które zaprezentujemy, że pracujemy z trzymiesięcznym wyprzedzeniem, że drukarnia jak zwykle nawala, że 150 000 egzemplarzy to i tak sporo jak na europejskie stosunki. Wreszcie - już dobrze zachryp' nieci - kończymy spotkanie. Wychodzimy spoceni, bo rano w Warszawie było dość zimno, a Dolny Śląsk powitał nas ciepło i pogodnie.

Około dziewiątej wieczorem dobijamy do Dzierżoniowa, w pośpiechu zjadamy kolację. Teraz tylko aby dojechać do hotelu w Bielawie, wskoczyć pod prysznic, potem spać. Oczywiście nic z tych pięknych planów. W hotelu brak wody. Zabawne, ale to nas lepiej otrzeźwia niż planowany prysznic. Zaczyna się typowa dla każdego zjazdu wędrówka po pokojach. Udaje mi się złapać na korytarzu Zdziśka Lekiewicza, który rano wraz z Niewiadowskim i Andrzejem Wójcikiem tłumaczył bibliotekarzom, jakie są źródła popularności literatury fantastycznej i fantastyki naukowej. Zapytany, jak poszło, podnosi kciuk do góry i znika w którymś pokoju. Kieruję się tam, gdzie najgłośniej - pukania oczywiście nikt nie słyszy, więc wchodzę bez zbędnych ceremonii.

W pokoju aż niebiesko od dymu, każdy gada z każdym. Płynność duża - co chwila ktoś wychodzi, ktoś nowy już od drzwi włącza się do ogólnego gwaru, ktoś wraca prowadząc ze sobą jeszcze dwie osoby. Niemal wszyscy są na „ty", wszyscy znają się od dobrych kilku lat. Rysiek Głowacki rozmawia z Wójcikiem i Bronisławem Kledzikiem z Wydawnictwa Poznańskiego; ja wypytuję Antoniego Smuszkiewicza, czy wysłał już do redakcji swój esej o roli rekwizytu w SF, który słyszałem na seminarium w Poznaniu przed miesiącem; Andrzej Trepka rozmawia z Jackiem Rodkiem. Rozchodzimy się wcześnie - tak około trzeciej nad ranem. Jeszcze tylko siadamy na godzinkę z Bronisławem Kledzikiem i Antonim Smuszkiewiczem w hallu, żeby skończyć zaczętą rozmowę Do pokoju docieram o czwartej rano.

Krzysiek Szolginia robi mi pobudkę około siódmej trzydzieści: „Biegnij do łazienki, panowie z wodociągów odkręcili kran!" To zresztą stało się regułą na te cztery dni woda była tylko między siódmą trzydzieści a ósmą piętnaście. Kto przespał i nie zrobił zapasu w miednicy albo w umywalce, ten chadzał na parter. Tam było dłużej. Po szybkim śniadaniu („autobus czeka, pospieszcie się panowie") przemierzamy skromne dziesięć kilometrów dzielące hotel w Bielawie od klubu „Pegaz" w Dzierżoniowie. Tam miga mi w przelocie Bogusław Lamch, dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Wałbrzychu, który dwa miesiące wcześniej zwrócił się do redakcji z propozycją zorganizowania Dni Fantastyki na Ziemi Dzierżoniowskiej. Redakcja z kolei dokooptowała do grona współorganizatorów Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki, które właśnie szukało miejsca na swój II Walny Zjazd. Ze względów organizacyjnych profesjonaliści mieszkali w Bielawie, natomiast PSMF i kluby niezależne okupowały hotel w Kamionkach. Oczywiście lepiej byłoby razem, ale żaden z tych hoteli nie był na tyle wielki, by pomieścić ponad sto pięćdziesiąt osób, które przybyły na imprezę. Z zaproszonych stu osiemdziesięciu gości zabrakło bowiem niektórych. Mocno odczuliśmy nieobecność Wiktora Żwikiewicza i Bohdana Peteckiego, nie dotarł przedstawiciel Naszej Księgarni ani Wydawnictwa Lubelskiego. Natomiast z krajów socjalistycznych przybyli: pisarz Heiner Rank z NRD i przedstawiciele fanów SF z Czechosłowacji. Pani Maria Zarzycka - dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Dzierżoniowie - wygląda na trochę zagubioną w tym tłoku osób usiłujących z nią rozmawiać jednocześnie, pytać o szczegóły, po które co chwila trzeba sięgać do notatek. Wprawdzie tradycje Dzierżoniowskich Dni Literatury sięgają aż szesnastu lat (osiem imprez organizowanych regularnie co dwa lata), wprawdzie prowadziła już inne cykliczne imprezy jak konkursy czytelnicze i turnieje wiedzy o Ziemi Dzierżoniowskiej, Dni Książki, Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy, ale ten zjazd fantastów przekroczył wszystkie jej oczekiwania. Redaktor naczelny Adam Hollanek i prowadzona przez niego grupa redakcyjna miała szczęście - w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Wałbrzychu spotkała godnych siebie partnerów, ludzi świadomych tego, po co fantastykę naukową czytają, czego im w całokształcie obrazu SF brakuje. Wprawdzie ktoś tam usiłował porównywać prozę SF z powieścią kryminalną, ale potem padło sporo ciekawych pytań i dobrze trzeba się było napocić nad odpowiedzią, jakie są zadania i cele, jakie kierunki rozwoju współczesnej polskiej prozy SF. Porównywano wspólnie polską SF z SF innych krajów Europy (różnice nakładów - u nas ogromne, na Zachodzie niewielkie, ale z ilością tytułów zostaliśmy w tyle). Sporo powiedziano - nie zawsze dobrze - o komiksie. Do bardzo ciekawych należało spostrzeżenie, że zasadniczo bardzo mało wiemy o historii literatury SF w sąsiednich krajach socjalistycznych jak NRD czy ZSRR, sporo też zostało powiedziane o funkcjach społecznych literatury SF i o historii krytyki polskiej.

W tym samym czasie pan Krzysztof Boruń w Nowej Rudzie opowiadał o problemach fantastyki i parapsychologii. Andrzejowi Wójcikowi i mnie również się źle nie trafiło. Pani Zarzycka kazała nam poczekać na eskortę, więc z cokolwiek niepewnymi minami zasiedliśmy w fotelach. Po pięciu minutach


1


2


3


4

Fot. 1 i 2. Pisarze i wydawcy na posiedzeniu założycielskim polskiej sekcji World SF.

Fot. 3. Na pokazie video (w roli lektora Tadeusz Markowski).

Fot. 4. Kuluarowe rozmowy: red. Janina Zielonko (wyd. „Iskry"), Marek Oramus (autor „Sennych zwycięzców") i Maciej Parowski (w środku).

eskorta nadeszła - dwójka sympatycznych dziewcząt mających doprowadzić nas do szkoły. Okazało się, że w sali gimnastycznej czeka dwustu uczniów. Zapoznawanie się nie trwało długo, pierwsze lody przełamał Andrzej opowiadając o swoich studenckich czasach, kiedy postanowił przechytrzyć profesorów i kierując się upodobaniami oraz lenistwem za temat pracy magisterskiej wziął sobie to, na czym nikt dobrze się nie znał, czyli fantastykę naukową. Z kolei ja - w ramach zwalczania potencjalnej konkurencji - stwierdziłem, że uprawianie SF od strony pisarskiej to piekielnie dużo ciężkiej pracy oraz, że osobiście to ja najbardziej lubię spać. Przyznam, że obaj byliśmy nieco zaskoczeni, kiedy pilnujący nas profesor na zakończenie wygłosił krótką mowę o roli pracy w osiąganiu kołaczy - może uznał, że o tym lenistwie mówiliśmy zbyt zgodnie i trochę za dużo? W każdym razie żal nam było wychodzić, bo trafiliśmy na kilkanaście jeszcze młodych, jeszcze nie do końca uformowanych, a już ciekawych osobowości. Właśnie na tym spotkaniu padło pytanie, którego żaden z nas się nie spodziewał. Zazwyczaj czytelnicy pytają o plany na przyszłość, co będzie w najbliższych numerach pisma, jakich pisarzy i jakie kraje redakcja zamierza prezentować. Jeden z bardziej dociekliwych młodych ludzi spytał: „A jak do tego doszło?". Z pytaniem dobrze trafił - opowiedzieliśmy o powstaniu Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Fantastyki i Science Fiction, co nieco o PSMF i oczywiście o sześcioletnich bojach o „Fantastykę", o niepowodzeniach i rozczarowaniach, o staraniach zakończonych sukcesem dopiero w połowie 1982 roku.

W kilka minut później - pożegnani oklaskami i wręczeniem kwiatów - wychodziliśmy ze szkoły. Czas na obiad. Oczywiście znowu jemy go w pośpiechu, bo za kwadrans zacznie się w kinoteatrze oficjalne otwarcie Dni Fantastyki oraz V Ogólnopolskiego Konwentu Klubów i Miłośników Science Fiction pod nazwą „Polcon 83". Na sali krząta się już ekipa telewizyjna pod wodzą Ani Szulc. Ustawianie świateł, próba mikrofonu, szum na sali powoli zacicha... już! Na podwyższenie kolejno wchodzą przedstawiciele współorganizatorów i sponsorów: Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Wałbrzychu, Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, reprezentowanej przez dyrektora Lamcha. Z ramienia RSW „Prasa-Książka-Ruch" parę słów mówi dyrektor Krajowego Wydawnictwa Czasopism Maciej Hoffman. Redaktor naczelny „Fantastyki" podaje warunki konkursu ogłoszonego na parę dni przed rozpoczęciem imprezy przez Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Wałbrzychu i jako juror obiecuje druk wyróżnionych prac (jedna z nich już znajduje się w wydawnictwie), zapowiada ściślejszą współpracę z fanami i więcej polskich opowiadań po zwiększeniu objętości pisma. Wszyscy mówią treściwie i krótko - pewnie między innymi i dlatego, że te „telewizyjne" reflektory nie tylko świecą, ale i grzeją nielicho. Nasz fotoreporter zawzięcie błyska fleszem, nie wiedząc, że film okaże się niedoświetlony.

Na podium wkracza Andrzej Szatkowski ten jest odporny na dogrzewanie. Informuje wszystkich o zmianach w Radzie Głównej PSMF, to jest właściwie o braku zmian, bowiem w wyniku wyborów przeprowadzonych przez Walny Zjazd ponownie został prezesem RG PSMF, nasz redakcyjny kolega Maciek Makowski drugą kadencję będzie pełnić obowiązki sekretarza generalnego. Szatkowski opowiada również o wynikach konkursu, zorganizowanego z kolei przez PSMF i o najważniejszych uchwałach Walnego Zjazdu. Jest tu i zamiar wystąpienia do władz z wnioskiem o zezwolenie na prowadzenie działalności gospodarczej, i wniosek o umożliwienie członkom korespondentom zapisywania się do dowolnych oddziałów PSMF bez względu na miejsce zamieszkania, i zamiar założenia Klubu Książki przy PSMF mającego ułatwić fanom dostęp do najbardziej poszukiwanych pozycji, i wreszcie projekt najciekawszy - chęć założenia funduszu im. Stefana Grabińskiego jako pomoc dla początkujących twórców SF. Kilka minut później zaczyna się film „Ucieczka z Nowego Jorku", ale my siedzimy już w samochodzie jadącym na spotkanie z czytelnikami do Nowej Rudy. Jest autor „Zabawy w strzelanego" Andrzej Drzewiński, czterech przedstawicieli redakcji i teoretyk SF Zdzisiek Lekiewicz, zamierzający służyć nam moralnym wsparciem.

Po powrocie do Dzierżoniowa - kolacja i pokaz filmu „Powrót Jedi". Potem przenosimy się do hotelu w Bielawie. Czekamy na rozpoczęcie obrad polskiej sekcji World Science Fiction i opowiadamy sobie wrażenia ze spotkań. Okazuje się, że było ich sporo. W Dzierżoniowie, Świebodzicach, Wałbrzychu, Świdnicy, Kłodzku, Szczawnie Zdroju, Bielawie, Niemczy, Ostronowicach, Pieszycach, Ząbkowicach Śląskich, Nowej Rudzie. Spotkania z autorami, spotkania z redakcją, prelekcje, kiermasz książek, fanzinów i plakietek SF, ekspozycja malarstwa i grafiki Janusza Giniewskiego i Ryśka Wojtyńskiego - w sumie w ciągu trzech dni 50 razy powtórzony kontakt z sympatykami i ze zdeklarowanymi miłośnikami fantastyki w literaturze, filmie i plastyce. Na razie czekamy, aż zbierze się komplet profesjonalistów, którzy przybyli do Dzierżoniowa. Jest Bronisław Kledzik i Lech Jęczmyk, jest pani Janina Zielonko z „Iskier", jest dyrektor wydawnictwa „Alfa" i zespół redakcyjny pod przewodnictwem redaktora naczelnego - w sumie 29 osób, bo przecież na sali nie może zabraknąć takich pisarzy jak Krzysztof Boruń i Andrzej Trepka, Adam Wiśniewski-Snerg i Edmund Wnuk-Lipiński, Ryszard Głowacki i Janusz Zajdel. Siedzą na sali przedstawiciele krytyków Antoni Smuszkiewicz i Andrzej Niewiadowski (niestety Ryszard Handke nie przybył do Dzierżoniowa). Najwięcej czasu zajęły sprawy formalne, potem poszło szybko - sprawnie wyłoniono pięcioosobową grupę, której powierzono załatwienie formalności, związanych z oficjalnym zarejestrowaniem polskiej sekcji World SF. Mimo zmęczenia po pracowitym dniu znalazły się jeszcze siły i czas na omówienie problemów oraz sposobów propagowania polskiej noweli fantastycznej, której tak na naszym rynku brakuje.

Nawiasem mówiąc, współzałożycielem World SF był polski pisarz Konrad Fiałkowski, a w skład tej organizacji weszli przedstawiciele wszystkich krajów socjalistycznych.

Następnego dnia od rana znowu spotkania autorskie, a po obiedzie w klubie „Pegaz" prelekcja Krzysztofa Borunia o parapsychologii połączona z demonstracją ciekawego „wykrywacza emocji" o nazwie biofeed-back. I wreszcie clou programu sobotniego, czyli maraton filmowy poprzedzony - o dziwo, niespotykanie krótką prelekcją Maćka Parowskiego na temat filmów SF. Jak na trzy filmy („Wojna światów", „Ucieczka z Nowego Jorku" i „Walka o ogień") maraton to może trochę za duże słowo, ale nie jest to pierwszy przykry figiel wypłatany miłośnikom SF przez Dyrekcję Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów w Warszawie i Filmotekę Polską. Pamiętam, jak w roku 1978 podczas pierwszych „Orbit przyjaźni" w Warszawie musiałem trzem tysiącom ludzi zebranych w audytorium maximum Uniwersytetu Warszawskiego powiedzieć, że nie odbędzie się projekcja „Gwiezdnych wojen". W Dzierżonowie groziła podobna sytuacja dyrektorowi Lamchowi. Na szczęście jedną z ważniejszych imprez popularyzatorskich uratowało przed wykreśleniem z programu Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów we Wrocławiu.

Wieczór, do drzwi kinoteatru zawzięcie dobija się grupka tych, dla których już miejsca zabrakło. Na szczęście pierwsza jest „Wojna światów", więc po projekcji wychodzę razem z kilkoma kolegami, na nasze miejsca wślizguje się kilku szczęśliwców z grupki oczekujących pod drzwiami. Dobijamy do Bielawy i tu dopadam nareszcie Bogusława Lamcha. Ze swojej strony wiem, że jest to od trzech lat największy zjazd fantastów z całego kraju, ciekaw jestem jednak i jego oceny. Tym bardziej że podczas wstępnych rozmów w redakcji wcale nie krył swoich wątpliwości. Z jego ówczesnego punktu widzenia było to spore ryzyko, bowiem na miejsce nobliwych postaci twórców literatury „prawdziwej" mieli wkroczyć reprezentanci literatury uważanej nieraz za bardziej użyteczną, niż dojrzałą w formie i ponadczasowości zawartego w niej przekazu. Teraz - wzięty na torturę spokojnego siedzenia w fotelu - wyznaje, że trochę zmienił zdanie na temat fantastyki. Jego początkowe obawy przeobraziły się w serdeczne zainteresowanie i zaufanie do ludzi, z którymi przyszło mu przebywać przez cztery dni. Na moją prośbę dokonuje przybliżonego obliczenia i stwierdza, że zasięg społeczny Dni Fantastyki jest kilkakrotnie większy niż ten ustalony w oparciu o doświadczenia wyniesione przez niego z organizacji poprzednich Dni Literatury. Przy okazji przypomina mi, że wprawdzie sam maraton filmowy był krótki, ale oprócz niego odbyły się zamknięte pokazy video (nie tylko „Powrotu Jedi", był jeszcze „Blade Runner" i „The Last Countdown"), były projekcje filmów w Kłodzku, Dzierżoniowie, Pieszycach i Nowej Rudzie, gdzie oprócz filmów „maratonowych" pokazano widzom „Odmienne stany świadomości", „Saturn 3", „Solaris", „Bliskie spotkania trzeciego stopnia" i „Czułe miejsca".

Wyjeżdżamy więc z Dzierżoniowa ze świadomością, że Dni Fantastyki umożliwiły fanom odnowienie starych kontaktów, czytelnikom bezpośrednie rozmowy i dyskusje z pisarzami, wszystkim organizatorom dały poczucie dobrze spełnionego obowiązku, a miłośnikom filmu udostępniły pozycje mało znane albo nawet i wcale nieznane. Wywozimy z Dzierżoniowa olbrzymi bagaż wspomnień, niezatartych wrażeń i jeszcze coś. Taką cichą, bardzo cichą myśl: „A może by tak jeszcze raz za dwa lata? I właśnie w Dzierżoniowie..."

Andrzej Krzepkowski

Znaczący margines

mówi Józef Górdziałek, z-ca redaktora naczelnego Wydawnictwa „Śląsk”

Maciej Parowski: - Na początku 1983 roku wydaliście państwo nie przewidziane w zapowiedziach Wydawnictwa „Śląsk” ani na 1982, ani na 1983 wznowienie książki SF Bohdana Peteckiego „»Rubin« przerywa milczenie”. Czy to posuniecie zapowiada może zmianę kursu i bardziej aktywny stosunek Wydawnictwa do science fiction?

Józef Górdziałek: - Przegląda się w tym raczej nasz przygodowy, pełen improwizacji i przypadków sposób życia z drukarnią. Pojawiają się czasem nagłe możliwości szybkich wznowień, drukarnia zgłasza jakąś lukę i wydawca musi mieć przygotowany na takie właśnie okazje portfel pozycji rezerwowych, które wchodzą na maszyny niejako z marszu. Jest to najczęściej typ wydawnictw rentownych, łatwych edytorsko, wysokonakładowych. Fantastyka pióra Bohdana Peteckiego, który jest naszym odkryciem i jednym z popularniejszych autorów, spełnia wszystkie te warunki.



- Rentowna, łatwa edytorsko, wysokonakładowa - to oczywiście nie koniec określeń fenomenu SF. Jakie miejsce zajmuje ten fenomen w planach katowickiej oficyny?

- Od razu powiem szczerze - dość skromne. W wewnętrznych rozważaniach traktujemy science fiction jako część literatury sensacyjno-rozrwvkowej: podchodzimy do niej właściwie po amatorsku, dość tradycyjnie, nie rozważając prądów, podgatunków, podziałów, nie uzupełniane wiedzy o pojawiających się wciąż książkach i autorach. Fantastyka stanowi bowiem bardzo drobny fragment, nie ogródek nawet, naszej działalności. Teraz, kiedy w wyniku reformy elastyczność wydawcy wobec żądań rynku jest większa niż kiedykolwiek, będzie tę fantastykę u nas widać. Ale proszę nie oczekiwać rewelacji. Oznacza to w sumie nie więcej jak 2 tytuły rocznie. Stawiając mocniej na fantastykę musielibyśmy zrezygnować z czegoś innego, rozwijać ją kosztem innych podstawowych dziedzin. Nie chcemy tego robić.

- Jakie są te podstawowe kierunki działania Wydawnictwa?

- Od trzydziestu lat sprawujemy patronat nad miejscowymi pisarzami i śląską tematyką. Ponadto w przekroju 30 lat istnienia dopracowaliśmy się inicjatyw robiących nam markę w. skali ogólnopolskiej. Myślę o „Bibliotece Pisarzy Czeskich) Słowackich”, o serii biograficznej, o eseistyce kulturalnej (głównie poświęconej literaturze) i dość rozbudowanym dziale literatury młodzieżowej. Na tym się skupiamy, tematyka wyprofilowana jest wcześniej; wydawnictwo ma tu niebagatelne doświadczenia, jest też na tę tematykę zapotrzebowanie. Taki rozwój działów i kierunków zapewni byt wydawnictwu i pozwoli mu utrzymać się na powierzchni, a przecież wraz z ustaniem dotacji, były z tym kłopoty. To inni - nie my - mają opcje na klasykę (tzn. na książki „niehonoraryjne”); my z kolei nie chcemy przesadzać z elastycznością w stosunku do rynku i pójść na nadmierną sensację.

- Kiedyś nie obawialiście się państwo sensacji. Pamiętam, że przed dwudziestu z górą laty ukazywała się tania, pokupna „Biblioteka złotej podkowy”. Było tam trochę tradycyjnej grozy, trochę niesamowitości, trochę współczesnego kryminału i fantastyki także. To tam ukazała się „Zbrodnia wielkiego człowieka” Adama Hollanka.

- Rzeczywiście, ale nawet w „Złotej podkowie”, serii z założenia łatwej, rozrywkowej - wtedy mówiło się „wagonowej” - fantastyka była marginesem. Nawiasem mówiąc książka p. Hollanka została przykrojona do serii i skrócona. Ogółem ukazało się około 50 tomików „Podkowy”; po 3-4 latach istnienia serii, kiedy znowu nie na dochody położono nacisk, lecz na sprawy merytoryczne, powstała u nas odrębna seria kryminalna, a „Złota podkowa” skończyła żywot. Uczciwość wymaga, by przyznać, że im bliżej końca, tym wiece, było w niej tytułów przypadkowych, bez ambicji. Potem skończyła się, „Śląsku” także literatura kryminalna; skupiono ją w „Czytelniku”, Iskrach i MON. A my położyliśmy nacisk na literaturę młodzieżową.

- Pewien typ fantastyki można kwalifikować częściowo jako literaturę młodzieżową. Może to jest droga dla science fiction w Wydawnictwie „Śląsk”?

- Ma pan rację, np. Petecki zdaje się ewoluować w stronę fantastyki młodzieżowej. Niby to co pisze, to proza na każdy wiek, ale wprowadzenie bohatera młodzieżowego przesądza sprawę. Przed dziesięciu laty wykonaliśmy inny eksperyment z pogranicza science fiction i literatury młodzieżowej, namawiając Alfreda Szklarskiego, autora popularnych książek podróżniczych z Tomkiem w roli głównej, na powieść „Sobowtór profesora Rawy”. No a ostatnio, przygotowując plany literatury młodzieżowej, postanowiliśmy sięgnąć do protoplasty fantastyki - Juliusza Verne’a. Ale i tu nie skupimy się na samej tylko fantastyce, lecz sięgniemy także po jego powieści przygodowe, obyczajowe, historyczne; Verne’a pasjonowały nie tylko wynalazki, lecz także na przykład przewroty społeczne. W Polsce nie wszyscy o tym pamiętają. Przy okazji tych vernowskich poszukiwań redaktor Morga, zajmujący się tą literaturą, natrafił na interesującą fantastyczną powieść George Sand - „Laura, czyli podróż w krysztale” - napisaną trochę pod wpływem Verne’a, trochę E. T. Hoffmana. Tę książkę wydamy także.

- Jeśli dodać do tego debiut Janusza Szablickiego przed trzema laty: „Trzecie stadium ewolucji”, a ze starych rzeczy bardzo sympatyczną, szkoda, że jedyną fantastyczną pozycje Macieja Kuczyńskiego „Babcia robot przy kominku” z 1962 roku; jeśli pamiętać, że wspieracie SF, popularyzując naukę w pięknie zdobionych książkach o metalach, o ludziach pierwotnych... - to skromne uznanie za zasługi dla science fiction jednak się Wydawnictwu należy.

- Och, mamy tych czasem zupełnie niezłych pozycji fantastycznych na koncie trochę więcej. Ukazały się w „Bibliotece Pisarzy Czeskich i Słowackich” np. dwie książki Čapka „Fabryka absolutu” i „Krakatit”, wydaliśmy dwie książki Frantiska Behounka, cztery Peteckiego; był przekład z bułgarskiego Petera Stipowa „Goście z planety Mion”... Pamiętam to dokładnie, bo przecież pracuję tu już 30 lat - od samego początku. I w planach, mniej lub bardziej zaawansowanych, też mamy parę rzeczy z dziedziny SF. Jest w produkcji druga książka Szablickiegp „Dla każdego inny raj”, przygotowujemy do druku debiut Eugeniusza Dębskiego, autora z Wrocławia. Myślimy o

zbiorze najnowszych opowiadań radzieckich, których wyboru (z prasy) i przekładu dokona Piotr Fast, rusycysta z Uniwersytetu Śląskiego. Wznowimy A. Hollanka „Katastrofę na słońcu Antarktydy”... Ale wszystko to w sumie, rozciągnięte na lata naprawdę nie da więcej niż dwie książki SF rocznie. Może potem trzy, jak przybędzie nam możliwości. Rozszerzamy przecież zainteresowania poza tradycyjne obszary - polski i czeski. Ale na razie nie mamy nawet „specjalnego człowieka do fantastyki” ani wśród redaktorów, ani wśród związanego z wydawnictwem kręgu recenzentów wewnętrznych.

- Co na to bardzo aktywni, bardzo zakochani w SF, wydający własnym sumptem fanzin, a ostatnio nawet zbiór opowiadań - przedstawiciele Śląskiego Klubu Fantastów?

- Utrzymujmy z nimi kontakty (odstąpiliśmy im nawet nasze dawne locum) zapoznajemy się z ich pracami, wysłuchujemy ich sugestii i opinii na temat potrzeb rynku. To pod wpływem ich namów m.in. zdecydowaliśmy się ujednolicić szatę graficzną wydawane] u nas prozy SF. To jeszcze nie seria, ale juz jakby je] zalążek. Natomiast co się tyczy wspomnianego przez pana zbioru opowiadań klubowiczów, to niestety co najmniej połowa w nim to teksty bardzo młodzieńcze, właściwie grafomańskie. Trzeba umieć czekać, nie wykluczam, że z tego właśnie środowiska wykluje się za jakiś czas kadra związanych z nami recenzentów SF i autorów, może tłumaczy. Już teraz były próby wspólnego wydania przez klub i wydawnictwo, opowiadań Kuttnera. Na razie nic z tego nie wyszło, ale w przyszłości, kto wie?

- Życzę panu w takim razie, by margines science fiction rozszerzał się w Wydawnictwie jak tylko to możliwe, i by duży udział w jego zapełnieniu mieli katowiccy miłośnicy SF. Dziękuje panu za rozmowę.

Notował Maciej Parowski



Komu i za co?

Od czasu do czasu na łamach „Fantastyki” wspominamy o fanzinach. Czasem mówimy o tych najlepszych, czasem tylko o tych co ciekawszych. A jest ich na świecie bardzo dużo (wg listy opublikowanej przez Europejski Komitet Science Fiction pod koniec roku 1982 w samej Europie ukazywały się 94 regularnie wychodzące pisemka). Nie sposób wszystkie fanziny zliczyć, bo często są to twory efemeryczne, pojawiające się tak długo, póki zapaleńcom, którzy je do życia powołali starcza energii, materiałów czy wreszcie zasobów finansowych. Z tego to między innymi powodu zjawisko fanzinu nie doczekało się jeszcze żadnego wyczerpującego i pełnego opracowania.

Kryteria klasyfikacji nie są zresztą w pełni określone - kryterium „amatorskości” przy bardzo wysokim poziomie poligraficznym i regularności wydawania pisma o sporym nakładzie zasadniczo wystarcza do uznania pisma za fanzin, bywają jednak pisma profesjonalne wydawane o wiele gorszą techniką niż owe amatorskie próbki. Trudno również przeprowadzać jakiekolwiek klasyfikacje opierając się na treści. W efekcie wszystkie rozróżnienia są tylko kwestią umowy. Obecni zawodowcy byli ongiś amatorami, więc fanziny w rodzaju „Intercomu”, „Andromedy”, „Atlantis”, „Kwazara”, „Dark Star”, „Eavy” czy „Fandom Mirror” również mogą mieć przed sobą podobną przyszłość.

Fanziny rządzą się nieco innymi prawami niż wydawnictwa profesjonalne, choć często tym wydawnictwom dają początek, czasem wyprzedzają je, a czasem ograniczają się do przedruków. Są pomiędzy nimi takie, które mają ambiqe krytyczno-literackie, są takie, które prezentują ciekawostki, anegdotki z życia fanów, najświeższe doniesienia o spotkaniach z kosmitami i spekulacje na temat UFO. Ich poziom graficzny zależy od możliwości wydawcy. Są więc fanziny wydawane na powielaczu, na byle jakim papierze i takie, które aż przyjemnie wziąć do ręki. Prezentują swoim czytelnikom albo niezbyt udane rysuneczki i pseudonaukowe wizje, albo najnowsze osiągnięcia techniki kosmicznej czy piękne obrazy malowane przez profesjonalistów. Badanie zjawiska fanzinu SF to praca bardzo żmudna i niemal nie mająca końca. Przy tak wielkiej rozpiętości tematyki, przy ciągłych zmianach, przy zastępowaniu jednych fanzinów innymi każda systematyka będzie - siłą rzeczy - opracowaniem nieaktualnym już w chwili wydania. Być może warto jednak podjąć ten trud i być może uda się to naszej redakcji, choć oczywiście nie możemy niczego z góry obiecać. Możemy natomiast naszkicować dzieje pewnego fanzinu wydawanego w naszym kraju, a z kilku względów godnego uwagi.

Prahistorią tego pisma były „Materiały” - wydawnictwo stworzone w 1979 roku przez Mirka Murawskiego z Poznania. Prezentowane w nim były przedruki z prasy, dotyczące fantastyki. Idea przedruku z prasy już z samego porównania nakładów (siłą rzeczy nakład fanzinu nie może być wysoki) skazana była na niepowodzenie. Tak więc po szóstym numerze możliwości wydawania „Materiałów” przestały istnieć i fanzin ten powiększył grono efemeryd, które wpadły do lamusa. Były jednak tą jaskółką, która zwiastowała rzecz nową - „Kwazara”.

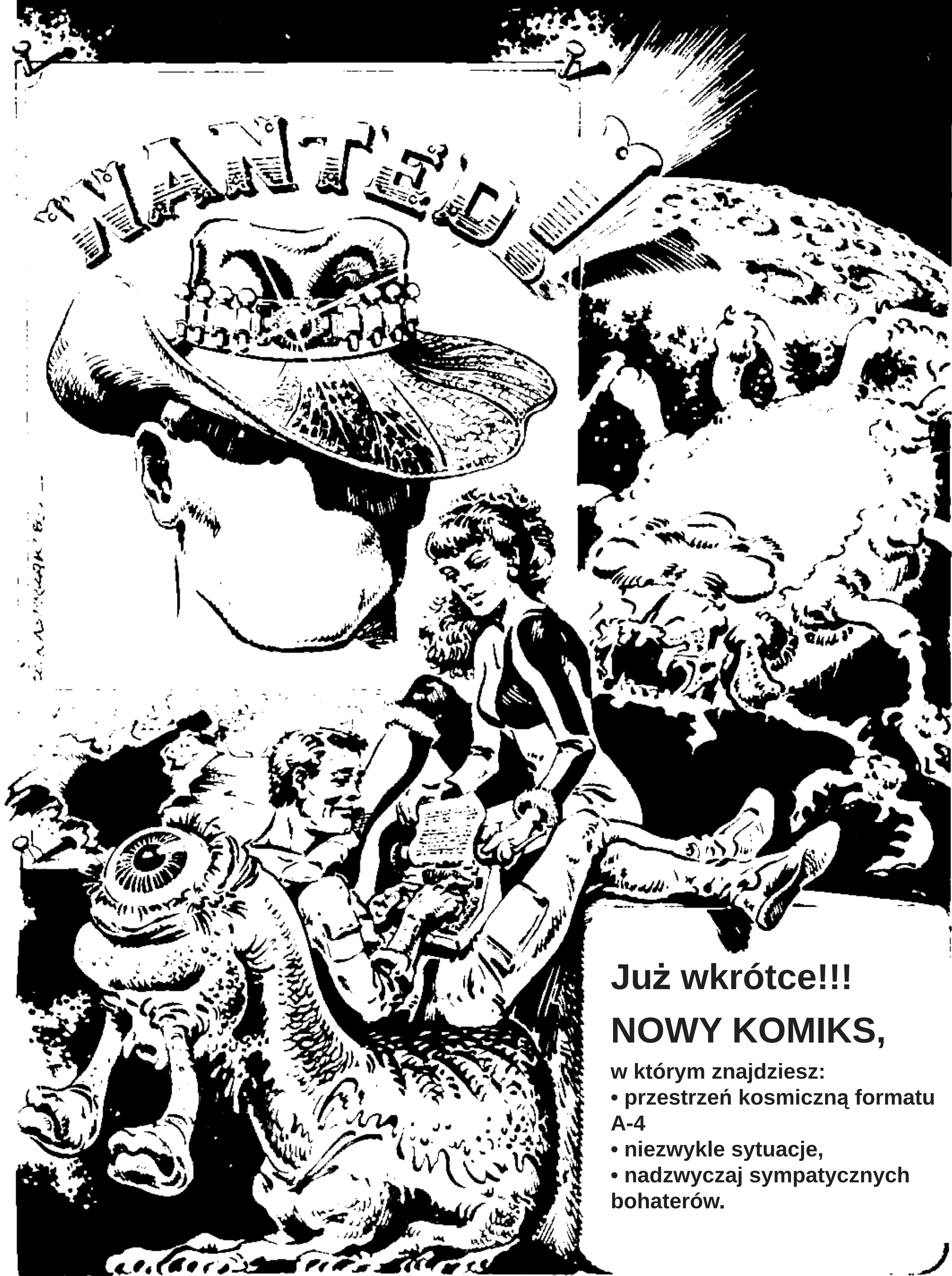
Pierwowzór, okazjonalny numer „Kwazara” ukazał się 1979 roku jako dopełnienie III Plenum Klubów Fantastyki Naukowej w Napachaniu. Od tej chwili członkowie klubu „Orbita” podjęli walkę o kontynuację swojego fanzinu. Ukazanie się pierwszego, stustronicowego numeru wcale bowiem jeszcze nie oznaczało pokonania wszystkich przeszkód, trudności i kłopotów. Udało się jednak i już w pierwszym półroczu 1980 roku wyszły cztery kolejne numery „Kwazara”.

Po okresie zastoju, spowodowanego wahaniem władz, „Kwazar” ukazuje się znowu, obecnie jest w Polsce najstarszym fanzinem wydawanym ze względną regularnością. Znaleźć w nim można tłumaczenia opowiadań autorów zagranicznych, mało znane opowiadania pisarzy polskich, trochę nowych nazwisk ludzi dopiero „przymierzających się” do pisania fantastyki naukowej i wreszcie próbę naszkicowania swego rodzaju panoramy obecnej fantastyki naukowej, zasygnalizowania rodzących się trendów. „Kwazar” od typowego fanzinu różni się brakiem informacji dotyczących działalności i problemów klubowych - ambicje jego twórców sięgają nieco wyżej. „Kwazar” jest w efekcie niskonakładowym (110 egzemplarzy) periodykiem krytyczno-literackim. Można mieć do niego różne zastrzeżenia. Nie zawsze wysokiej jakości przekłady, nieco szwankuje redakcyjne dopracowanie opowiadań naszych rodzimych autorów, nie najciekawsze są szata graficzna i projekt okładki (nie zmieniony od lat). Również i papier pozostawia wiele do życzenia. Wszystko to nie zmienia jednak faktu, że „Kwazar” utrzymuje - jak do tej pory - najwyższy ze wszystkich fanzinów poziom merytoryczny zamieszczanych w nim materiałów. Jest periodykiem wydawanym w naszym kraju chyba najsolidniej.

Ktoś może powie: „A cóż znaczy ledwie 110 egzemplarzy każdego numeru?” Rzeczywiście. Niby jest to bardzo niewiele, niby jest równoznaczne z niewielką siłą oddziaływania, niby rola popularyzatorska tak małego pisma znaczy równie mało. Na szczęście nie kryterium ilościowe zostało przyjęte przez międzynarodowe jury utworzone podczas obrad VII Euroconu w Lublanie. Sędziowie nie dali się zasugerować wysokonakładowością i poczytnością pisemek typu „UFO-Contact” czy „Paladin”, ich dobrym papierem i krzykliwym wystrojem plastycznym. I oto w efekcie skromny, niskonakładowy, wydawany na podłym papierze „Kwazar” otrzymał najwyższą nagrodę jury Euroconu za rok 1983. Europa Award nie jest nagrodą w dosłownym znaczeniu, nie idą za nią zwyczajowe gratyfikacje. Jest raczej czymś w rodzaju wyróżnienia, przyznawanego danemu fanzinowi za jego zawartość merytoryczną i rolę w popularyzowaniu fantastyki naukowej. Tej najnowszej, najciekawszej, najlepiej napisanej. Miejmy nadzieję, iż w krótkim czasie uda się członkom Poznańskiego Oddziału PSMF „Orbita” bodaj dwukrotnie zwiększyć nakład „Kwazara”. Tak, by choć z biedą starczyło dla tych wszystkich, którzy po przeczytaniu niniejszej notatki zapragną zapoznać się z „Kwazarem” w sposób bardziej bezpośredni.

(ARK)

CZŁOWIEK BEZ TWARZY



Już wkrótce!!!

NOWY KOMIKS,

w którym znajdziesz:

- **przestrzeń kosmiczną formatu A-4**
- **niezwykle sytuacje,**
- **nadzwyczaj sympatycznych bohaterów.**

COLIN KAPP

Formy Chaosu



Keith Page

fantastyka